Mistycy, prorocy, szarlatani

Sławomir Koper
Tomasz Stańczyk

HARDE

Mistycy, prorocy, szarlatani

Sławomir Koper
Tomasz Stańczyk

HARDE
WYDAWNICTWO

Mistycy, prorocy, szarlatani
Copyright © by Sławomir Koper, Tomasz Stańczyk, 2022

Redakcja: Katarzyna Litwinczuk
Projekt okładki: Piotr Dąbrowski
Opracowanie graficzne okładki: Olga Bołdok-Banasikowska
Opracowanie graficzne środka: Iwona Adamus
Koordynacja: Aleksandra Janiszewska
Korekta: Firma UKKLW – Elżbieta Steglińska, Weronika Trzeciak

Źródła zdjęć: domena publiczna: s. 10 (fotografia obrazu Michała Greima w zbiorach Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie), s. 30 (obraz Walentego Wańkowicza w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie), s. 88, s. 114 (fot. Jan Mieczkowski), s. 190; Biblioteka Narodowa: s. 132, s. 168 (fot. z książki Norberta Okołowicza *Wspomnienia z seansów z Frankiem Kluskim. Zbiór dokumentów i materiałów dowodowych*, 1926); Narodowe Archiwum Cyfrowe: s. 246; Agencja Wyborcza.pl: s. 286
Sławomir Koper jest autorem rozdziałów 2, 7 i 9
Tomasz Stańczyk jest autorem rozdziałów 1, 3, 4, 5, 6 i 8

Copyright © TIME S.A., 2022

ISBN 978-83-66630-91-8

Wydawca:
TIME Spółka Akcyjna
ul. Jubilerska 10, 04-190 Warszawa wydawnictwoharde.pl
facebook.com/hardewydawnictwo
instagram.com/harde wydawnictwo

Dział sprzedaży i kontakt z czytelnikami: harde@grupazpr.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Spis treści

Od autorów

Rozdział 1. Tadeusz Grabianka – król Nowego Izraela

- Szwedzki mistyk
- Pomiędzy Lotaryngią a Rzecząpospolitą
- Alchemicy z Berlina
- Nowy Izrael w Awinionie
- Sekta w akcji
- Petersburski epilog

Rozdział 2. Andrzej Towiański. Koło Sprawy Bożej

- Paryż, jesień 1841 roku
- Prorok spod Wilna
- Iluminacja
- Droga do Paryża
- Problemy rodziny Mickiewiczów
- Prorok w akcji
- Koło Sprawy Bożej
- Wygnanie mistrza
- Ksawera Deybel
- Duchowa spółka
- Panslawizm
- Rozłam w sekcie
- Nowa epoka
- Włoscy towiańczycy

Rozdział 3. Makryna Mieczysławska – tajemnicza zakonnica z Kresów

- Ofensywa prawosławia
- Opowieść matki Makryny
- Audiencja u Grzegorza XVI
- Car Mikołaj I u papieża
- Sprawa księdza Semenenki

Audiencja u Piusa IX
Przepowiednie i cud
Adam Mickiewicz i matka Makryna
Wątpliwości
Kim była naprawdę? Kto za nią stał?
Rozdział 4. Medium musiało być kobietą – Julian Ochorowicz
Prekursor telewizji
Seanse z Eusapią Palladino
Refleksje Bolesława Prusa
Stanisława Tomczykówna, telekineza i zjawa „Małej Stasi”
Głos zza grobu
Rozdział 5. Mariawici – Maria Franciszka Kozłowska i Maria Michał Kowalski
Dzieło Wielkiego Miłosierdzia
Mateczka duchowa
Najwierniejszy uczeń
Mariawici w Watykanie
Wojna o parafie
Proces przeciwko dziennikarzowi
Mateczka i arcybiskup Michał
Mistyczne małżeństwa księży z zakonnicami
Mandolinistki arcybiskupa Michała
Votum separatum sędziego Alchimowicza
Polskie Królestwo Boże
Kapłaństwo kobiet
Dramatyczny rozłam
Mariawityzm wczoraj i dziś
Rozdział 6. Dziennikarz i zjawy. Przypadek Franka Kluskiego
Epoka okultyzmu
Teofil Modrzejewski

Zmarli w królestwie „kreta”
Widma poległych bohaterów
Zmarła narzeczona i średniowieczni medycy
Zjawy i ich odlewy
Duchy czy materializacja myśli?
Rozdział 7. Teozofia i masoni. Wanda Dynowska i Michał Tokarzewski-Karaszewicz
Helena Bławatska i teozofowie
Wanda Dynowska
Teozofia nad Wisłą
Polskie Towarzystwo Teozoficzne
Pomiędzy masonerią a ezoteryką
Kościół liberalnokatolicki
Generał teozof z bliska
Azyl w Mężeninie
Pożegnanie z krajem
Teozof konspirator
Ofiara własnej lojalności
W poszukiwaniu własnej drogi
Biblioteka Polsko-Indyjska
Rozdział 8. Najsłynniejszy polski jasnowidz – Stefan Ossowiecki
Tajemniczy Żyd z Homla
Eksperymenty z Piłsudskim
Zaginięcie generała Zagórskiego
Sprawa Lody Halamy
Wizje dalekiej przeszłości
Czaszka generała Sowińskiego
Złowieszcza aura
Dar bilokacji
Smakosz życia
Śledztwo przeciwko jasnowidzowi

Światopogląd jasnowidza
Nadchodząca wojna
O sobie wolę nie mówić
Rozdział 9. MSekta Niebo. Bogdan Kacmajor
Uzdrowiciel znad Zalewu Wiślanego
Sekty i kapitalizm
Majdan Kozłowiecki
Zbigniew Sajnóg
Życie w sekcie
Szaleństwo i metoda
Śmierć w Niebie
Wojna ze wszystkimi
Rozłam i upadek
Epilog bez happy endu
Zakończenie
Wybrana bibliografia

Spis treści

Od autorów
Rozdział 1. Tadeusz Grabianka – król Nowego Izraela
Szwedzki mistyk
Pomiędzy Lotaryngią a Rzecząpospolitą
Alchemicy z Berlina
Nowy Izrael w Awinionie
Sekta w akcji
Petersburski epilog
Rozdział 2. Andrzej Towiański. Koło Sprawy Bożej
Paryż, jesień 1841 roku
Prorok spod Wilna
Iluminacja
Droga do Paryża

Problemy rodziny Mickiewiczów
Prorok w akcji
Koło Sprawy Bożej
Wygnanie mistrza
Ksawera Deybel
Duchowa spółka
Panslawizm
Rozłam w sekcie
Nowa epoka
Włoscy towiańczycy
Rozdział 3. Makryna Mieczysławska – tajemnicza zakonnica z Kresów
Ofensywa prawosławia
Opowieść matki Makryny
Audiencja u Grzegorza XVI
Car Mikołaj I u papieża
Sprawa księdza Semenenki
Audiencja u Piusa IX
Przepowiednie i cud
Adam Mickiewicz i matka Makryna
Wątpliwości
Kim była naprawdę? Kto za nią stał?
Rozdział 4. Medium musiało być kobietą – Julian Ochorowicz
Prekursor telewizji
Seanse z Eusapią Palladino
Refleksje Bolesława Prusa
Stanisława Tomczykówna, telekineza i zjawa „Małej Stasi”
Głos zza grobu
Rozdział 5. Mariawici – Maria Franciszka Kozłowska i Maria Michał Kowalski
Dzieło Wielkiego Miłosierdzia
Mateczka duchowa
Najwierniejszy uczeń
Mariawici w Watykanie
Wojna o parafie

Proces przeciwko dziennikarzowi
Mateczka i arcybiskup Michał
Mistyczne małżeństwa księży z zakonnicami
Mandolinistki arcybiskupa Michała
Votum separatum sędziego Alchimowicza
Polskie Królestwo Boże
Kapłaństwo kobiet
Dramatyczny rozłam
Mariawityzm wczoraj i dziś
Rozdział 6.Dziennikarz i zjawy. Przypadek Franka Kluskiego
Epoka okultyzmu
Teofil Modrzejewski
Zmarli w królestwie „kreta”
Widma poległych bohaterów
Zmarła narzeczona i średniowieczni medycy
Zjawy i ich odlewy
Duchy czy materializacja myśli?
Rozdział 7. Teozofia i masoni. Wanda Dynowska i Michał Tokarzewski-Karaszewicz
Helena Bławatska i teozofowie
Wanda Dynowska
Teozofia nad Wisłą
Polskie Towarzystwo Teozoficzne
Pomiędzy masonerią a ezoteryką
Kościół liberalnokatolicki
Generał teozof z bliska
Azyl w Mężeninie
Pożegnanie z krajem
Teozof konspirator
Ofiara własnej lojalności
W poszukiwaniu własnej drogi
Biblioteka Polsko-Indyjska
Rozdział 8. Najsłynniejszy polski jasnowidz – Stefan Ossowiecki
Tajemniczy Żyd z Homla

Eksperymenty z Piłsudskim
Zaginięcie generała Zagórskiego
Sprawa Lody Halamy
Wizje dalekiej przeszłości
Czaszka generała Sowińskiego
Złowieszcza aura
Dar bilokacji
Smakosz życia
Śledztwo przeciwko jasnowidzowi
Światopogląd jasnowidza
Nadchodząca wojna
O sobie wolę nie mówić
Rozdział 9. MSekta Niebo. Bogdan Kacmajor
Uzdrowiciel znad Zalewu Wiślanego
Sekty i kapitalizm
Majdan Kozłowiecki
Zbigniew Sajnóg
Życie w sekcie
Szaleństwo i metoda
Śmierć w Niebie
Wojna ze wszystkimi
Rozłam i upadek
Epilog bez happy endu
Zakończenie
Wybrana bibliografia

Mojemu Synowi Grzegorzowi,
pomysłodawcy tej książki
(i nie tylko tej)

Sławomir Koper

Od autorów

Żadna z naszych wspólnych książek nie powstawała z tak wielkimi problemami. Chwilami wręcz podejrzewaliśmy, że któryś z jej bohaterów rzucił na nas klątwę… Trudno bowiem inaczej ocenić ciąg niekorzystnych zdarzeń towarzyszących powstawaniu tej pozycji, co ostatecznie sprawiło, że ukazuje się ona z ponad dwuletnim opóźnieniem.

Zaczęło się od dwóch poważnych kontuzji jednego z nas, czego efektem była półroczna przerwa w aktywności pisarskiej. Potem przyszła pandemia i lockdowny – zamknięcie bibliotek i czytelni całkowicie zdezorganizowało nam pracę. Na koniec, gdy książka była już niemal gotowa, doszło do awarii twardego dysku i bezpowrotnie zniknął ostatni rozdział. Przy okazji przepadł też kompletny research, co okazało się znacznie większym problemem. Odtworzenie utraconych materiałów było wyjątkowo czasochłonne. Ostatecznie jednak książka została ukończona, co – nie ukrywamy – obaj przyjęliśmy z wielką ulgą.

Tematyka, którą tu poruszamy, była, jest i będzie bliska praktycznie wszystkim. Wiara w siły nadprzyrodzone towarzyszy bowiem ludzkości od zamierzchłych czasów i nie ogranicza się wyłącznie do oficjalnie uznawanych kultów religijnych. Zawsze pojawiali się prorocy, którzy głosili nowe idee, obiecywali odkupienie grzechów i wieczne zbawienie, a czasami także zapowiadali powstanie królestwa wiecznego szczęścia na Ziemi. Niektórzy z nich zdobywali ogromną popularność i tworzyli własne systemy religijne, innych zaledwie odnotowywano w kronikach. A jeszcze większa liczba proroków przepadała bez wieści, płacąc życiem za głoszone poglądy.

W dziejach naszego kraju również pojawiali się różnego rodzaju mistycy, a ich działalność nasilała się w trudnych okresach historii Polski. Czasy przełomów politycznych czy ekonomicznych zawsze bowiem sprzyjały zawirowaniom światopoglądowym, gdyż znikały dotychczasowe autorytety i konieczne było całkiem nowe spojrzenie na otaczający świat. Dlatego największy wysyp różnej maści proroków miał miejsce u schyłku Rzeczypospolitej Obojga Narodów, a następnie po zrywach powstańczych. Sekty ujawniały się również w czasach nam współczesnych, a szczególnie zaraz po upadku komunizmu.

Jednak nie ograniczyliśmy się tutaj wyłącznie do twórców alternatywnych systemów religijnych czy światopoglądowych. Uznaliśmy bowiem, że warto przedstawić również osoby o niezwykłych zdolnościach metapsychicznych, których fenomenu nigdy nie udało się wyjaśnić. Postacie obdarzone nadprzyrodzonymi zdolnościami pojawiały się bowiem od zarania ludzkości – i nieważne, czy nazywano je magami, czarownikami, czy kapłanami. Osoby te posiadały niezwykłe, obce przeciętnemu człowiekowi moce, dzięki czemu zachwycały i przerażały.

Przez stulecia niewiele się zmieniło i nie bez powodu przełom wieków XIX i XX określano jako epokę wirujących stolików. Chociaż obecnie seanse spirytystyczne

przestały być popularne, to rozmaici jasnowidze nadal świetnie prosperują. Podobnie jak twórcy sekt, którzy obiecują swoim wiernym przetrwanie po zapowiadanym końcu świata.

Ale historie, które przedstawiamy Państwu w niniejszej książce, są przede wszystkim dowodem na to, że bez względu na epokę ludzi zawsze fascynowały zaświaty – pragnęli zgłębić tajemnicę istnienia, poznać nieznane, zobaczyć niewidzialne.

Sławomir Koper, Tomasz Stańczyk

Tadeusz Grabianka

Rozdział 1

Tadeusz Grabianka – król Nowego Izraela

Przepowiednia głosiła, że Tadeusz Grabianka będzie siedem lat zgłębiać nauki tajemne, siedem lat rozkazywać i dwa razy po siedem lat królować. Co prawda starosta liwski nie zasiadł na polskim tronie, ale w zamian ogłoszono go królem Nowego Izraela.

Szwedzki mistyk

Na pierwszy rzut oka oświecenie może się wydawać epoką rozumu i dążeń antyreligijnych, ale paradoksalnie było to także stulecie przepełnione tendencjami mistycznymi. Co więcej, zdarzały się również przypadki, że ludzie zachwycający się dotychczas możliwościami ludzkiej inteligencji niemal z dnia na dzień stawali się zagorzałymi zwolennikami metafizycznych poglądów na świat. Sztandarowym tego przykładem były losy Emanuela Swedenborga, u którego mistycyzm przybrał postać konsekwentnej filozofii.

Karierę zaczynał jako autor prac z dziedziny matematyki i mechaniki oraz wynalazca i specjalista od wytopu metali. Jako pierwszy naukowiec w dziejach potrafił także powiązać aktywność mózgu człowieka z oddychaniem, a nie z pracą serca i krążeniem krwi. W 1744 roku Swedenborgowi objawił się ponoć Chrystus, który nakazał mu „odsłonić duchowy sens Pisma Świętego". Wizja zrobiła na Szwedzie tak wielkie wrażenie, że niebawem porzucił zainteresowania naukowe i stał się żarliwym mistykiem.

Zajął się badaniem duchowości i głosił poglądy, że anioły i diabły „są rodzaju ludzkiego; w niebie ci, co na świecie żyli w niebiańskiej miłości i wierze; w piekle ci, co żyli w piekielnej miłości i wierze"[1].

Tego rodzaju sformułowania nie były wprawdzie specjalną nowością, ale Szwed niebawem rozwinął swoje poglądy, twierdząc, że po śmierci ciała każda dusza pogłębia swoje niebiańskie lub piekielne przeznaczenie, a do tego w niebie istnieją „niezliczone społeczeństwa" i panuje „nieskończona rozmaitość". Dzięki temu miały istnieć nawet dwa rodzaje aniołów: niebieskie i duchowe[2].

„Miłość, w której trwają ci, co w Królestwie Niebieskim przebywają – tłumaczył Swedenborg – zowie się miłością niebieską; miłość zaś, w której trwają ci, co w Królestwie Duchowym przebywają, zowie się miłością duchową; miłość niebieska

jest miłością ku Panu, miłość zaś duchowa jest miłością bliźniego”[3].

Szwedzki mistyk czerpał również z *Apokalipsy według Świętego Jana*, głosząc nadejście Nowego Jeruzalem, w którym Bóg miał zamieszkać wraz z wybranymi wiernymi. Swedenborgowi zostało to ponoć objawione, gdy osobiście doświadczył wizji Sądu Ostatecznego i powtórnego nadejścia Stwórcy. Przy okazji poznał też ukryte przed wiernymi treści Pisma Świętego. Oczywiście Nowe Jeruzalem miało być prawdziwym Królestwem Bożym, gdyż nie dopuszczał istnienia w nim żadnego zła ani zwykłych ludzkich popędów. Ciekawostką natomiast pozostaje jego koncepcja istnienia płciowego anioła mającego być jednym ze stadiów rozwojowych człowieka.

Jednocześnie Swedenborg stanowił na swój sposób zaprzeczenie stereotypu mistyka. Nie przejawiał chęci do nawracania za wszelką cenę, chociaż ludzie z jego otoczenia odnosili wrażenie, że faktycznie obcują z wybrańcem Bożym, który pojawił się, by zbawiać innych. Szwed zresztą nigdy nie wdawał się w żarliwe dyskusje i był daleki od nawracania pod przymusem. Wygłaszał swoje poglądy w sposób delikatny i lakoniczny i nigdy nie mówił więcej, niż było to konieczne.

Był też swojego rodzaju ascetą, co nie zawsze stanowiło normę wśród rozmaitych zbawców ludzkości. Odżywiał się bowiem bardzo skromnie, a jedynym ustępstwem była kawa, którą faktycznie pijał w dużych ilościach. Nie zwracał uwagi na pory dnia, żył własnym rytmem i nawet jego sporadyczne konflikty ze złymi duchami przebiegały stosunkowo łagodnie. Być może dzięki takiemu postępowaniu oraz wytrwałej pracy wydawniczej (jest autorem ponad 30 dzieł z dziedziny teologii) na stałe zapisał się w historii myśli chrześcijańskiej Europy. Jego koncepcje wywarły też wielkie wrażenie na samozwańczych mesjaszach z terenu Rzeczypospolitej, w tym – na pewnego szlachcica z Podola, Tadeusza Grabiankę.

Pomiędzy Lotaryngią a Rzecząpospolitą

Region ten niemal zawsze uchodził za wylęgarnię proroków. To właśnie tam mesjaszem ogłosił się żydowski kabalista Jakub Frank, nauczał jeden z twórców chasydyzmu, Israel Baal Szem Tow, a także objawił się szlachcic Rohoziński, który zapowiadał nadejście „nowego królestwa”.

Tadeusz Grabianka pochodził z zamożnej rodziny szlacheckiej i – jak wielu mu współczesnych – nie był zadowolony z panujących wówczas porządków. Poszukiwał alternatywnych dróg, by pchnąć ludzkość na nowe tory[4], ale w jego przypadku nie chodziło o przemiany społeczne i polityczne, które niebawem znalazły wyraz w rewolucji francuskiej – bardziej był bowiem zainteresowany sprawami ducha i nie chciał zmieniać świata, lecz ludzi.

Urodził się w 1740 roku we wsi Rajkowce koło Płoskirowa (obecnie miasto Chmielnicki na Ukrainie). Jako młodzieniec przez kilka lat przebywał w Lotaryngii, gdzie panował były król Polski i teść władcy Francji, Stanisław Leszczyński. Po powrocie do kraju dopełnił edukacji w renomowanej warszawskiej szkole pijarów Collegium Nobilium. Gdy ponownie wyjechał do Francji, trafił na dwór Ludwika XV (zapewne dzięki rekomendacji Leszczyńskiego). Być może cieszył się również przychylnością słynnej królewskiej metresy, madame de Pompadour, gdyż był „pięknej powierzchowności” i „nadzwyczaj grzeczny”, a do tego miał „dziwny dar

jednania sobie wszystkich”[5][6].

Wiadomo też, że pod pewnymi względami postępował jednak niekonsekwentnie. We Francji nosił polski strój, natomiast po powrocie do kraju stał się propagatorem mody francuskiej, co wyjątkowo irytowało jego ojca. Józef Kajetan Grabianka nie dręczył się jednak tą sprawą zbyt długo, gdyż zmarł, gdy syn miał zaledwie 19 lat – i Tadeusz odziedziczył po nim znaczny majątek. W jego skład wchodziły trzy zamki na Podolu, czternaście wsi oraz domy we Lwowie i w Kamieńcu Podolskim. Młody Grabianka nie miał problemów finansowych i beztrosko spędzał życie, krążąc pomiędzy Podolem, Warszawą, Berlinem i Paryżem.

W wieku 31 lat ożenił się z Teresą Stadnicką, a posag wybranki znacznie powiększył jego majątek. Osiadł w Ostapkowcach nad Smotryczem, doczekał się dwóch synów i córki. Skoro jednak panowało przekonanie, że szlachcic bez urzędu jest jak chart bez ogona, Grabianka wystarał się o urząd starosty liwskiego. Z Podola do Liwu było jednak prawie 700 kilometrów, zatem raczej zbyt często tam nie bywał i wszelkie sprawy służbowe załatwiał za pośrednictwem zastępców. Ufundował jednak budynek kancelarii na miejscowym zamku, a ambitna pani Teresa, która interesowała się sprawami publicznymi, chciała, by został starostą kamienieckim. Małżonek odnosił się jednak do tego pomysłu z dużą obojętnością, gdyż już wówczas jego zainteresowania dotyczyły zupełnie innej dziedziny.

Podobno przemiana duchowa Tadeusza Grabianki nastąpiła, gdy w Warszawie spotkał znajomego, który wcześniej prowadził rozpustne życie, a teraz zachowywał się zupełnie inaczej. Gdy okazało się, że przyczyną tej odmiany było zgłębienie tajemnych nauk, Grabianka zapragnął tego samego także dla siebie.

Alchemicy z Berlina

Przełomowym wydarzeniem w życiu starosty był pobyt w Berlinie w 1779 roku. Zetknął się tam z Antoine’em-Josephem Pernetym, bibliotekarzem Fryderyka II, byłym benedyktynem, alchemikiem i ezoterykiem. Być może poznał wówczas także byłego księdza, Ludwika Józefa Filiberta Morveau, posługującego się nazwiskiem Brumore. Obaj Francuzi poszukiwali kamienia filozoficznego i sposobami alchemicznymi próbowali wyprodukować złoto. W ich umiejętności uwierzył nawet tak zdroworozsądkowy człowiek jak król Prus, Fryderyk II.

Władca nie zamierzał jednak za każdym razem pokrywać ich potrzeb finansowych, ale na szczęście dla alchemików znaczne zasoby posiadał akurat Grabianka. Nie oznacza to wcale, że Pernety i Brumore byli pospolitymi oszustami, a starosta liwski wyłącznie naiwnym Polakiem, który dał się skusić wizją nieograniczonego majątku. Obaj alchemicy zapewne faktycznie wierzyli w możliwość tajemniczej przemiany różnych składników w złoto, natomiast sam Grabianka bardziej interesował się wiedzą tajemną. Pernety i Brumore byli bowiem oświeconymi, czyli iluminatami, mającymi kontakt z wyrocznią – Świętym Słowem.

Brumore oświadczył Grabiance, że już od pewnego czasu czekał na cudzoziemca, wybranego przez Niebo. Oczywiście, musiał się upewnić, czy jest nim właśnie Polak. Z odpowiednim pytaniem zwrócił się więc do Świętego Słowa, a odpowiedź całkowicie go zadowoliła. Usłyszał ponoć, że serce przybysza „było czyste” oraz że

ma „nie obawiać się mieszania swojego i jego kadzidła”, gdyż pewnego dnia miał on stać się siedmiokroć „ważniejszy od ciebie”[7].

Czy o opinii wyrażonej przez Święte Słowo zadecydowały wyłącznie przymioty moralne Grabianki, czy również jego pieniądze – trudno jednoznacznie określić. Święte Słowo nie zakomunikowało bowiem motywów proroctwa, ale Brumore wyjawił Polakowi ścieżkę kariery. Przyszłość starosty rysowała się bowiem następująco: siedem lat będzie adeptem nauk tajemnych, przez drugie siedem będzie rozkazywał, a następnie dwa razy po siedem lat będzie królem.

Grabianka wiedział, że grupa kierowana przez Pernety’ego i Brumore’a liczyła około stu osób, i zapewne był też świadkiem inicjacji nowych członków sekty na pewnym wzgórzu pod Berlinem. Pernety miał tam doznać pierwszej iluminacji i z tego powodu przed specjalnie wznoszonym „ołtarzem potęgi” palono kadzidła, oczekując, aż odurzony kandydat dojrzy anioła.

Niebawem przyszedł też czas inicjacji Grabianki, po czym ziemianin powrócił na Podole, by „nie zwlekając, iść poświęcić swoich”. Święte Słowo szczególnie bowiem upodobało sobie jego ród i nadało mu tytuł króla Nowego Izraela. Nie oznaczało to jednak władzy zwierzchniej nad starozakonnymi – Grabiankowe królestwo miało być bowiem „Izraelem z ducha” całkowicie oddzielonym od żydowskiego „Izraela z ciała”.

Grabianka przekonał do przystąpienia do sekty członków swojej rodziny, ale przywódców najbardziej zainteresowała jego sześcioletnia córka Ania. Święte Słowo zażądało, by dziewczynka przyjechała do Berlina na wychowanie u niejakiej panny Bruchier, przyjaciółki Brumore’a. Skoro jej ojciec miał być przecież królem Nowego Izraela, to jego córka powinna dorastać we właściwym otoczeniu, czyli wśród najbardziej wiernych poddanych. A przy okazji stać się zakładniczką posłuszeństwa ojca, z czego Grabianka doskonale zdawał sobie sprawę.

Wyjazdowi dziewczynki ostro sprzeciwiła się jej matka, ale niebawem skapitulowała. Święte Słowo faktycznie bowiem wydawało się wszechmocne – za jego przyczyną miało zostać wskrzeszonych na Podolu dwóch zmarłych włościan.

„Przebudzili się – relacjonował Pernety – i żyć zaczęli na nowo. Wyszli z grobów zdrowi, chodzili i dziękowali Bogu, (…) zgodni byli obaj, że widzieli i słyszeli o sprawach tamtego świata, zabroniono im mówić o nich. Jeden ze zmarłych miał na piersi wyryty znak krzyża i włóczni”[8].

Anusia ostatecznie trafiła do Berlina, natomiast sam Grabianka miał na Podolu czekać na wezwanie Świętego Słowa. Niebawem do jego dóbr zawitali Pernety z Brumore’em i na należącym do Grabianki zamku w Sutkowcach tak zapamiętale prowadzili eksperymenty alchemiczne, że omal nie puścili rezydencji z dymem. A chociaż warownia ocalała, to zdecydowanie gorzej było z finansami Grabianki, który nie tylko płacił za eksperymenty alchemików, lecz także zapewniał im utrzymanie. Na szczęście dla rodziny pani Teresa była osobą twardo stąpającą po ziemi i nie pozwoliła, by mąż do reszty roztrwonił majątek. Gdy zatem „zaczynał zanadto broić, zamykała dopływ gotówki”[9].

Chcąc udobruchać małżonkę i zdobyć fundusze na dalsze eksperymenty, Grabianka wystawił obelisk, na którym widniały napisy:

Czuła wdzięczność tu wieczną poświęca ofiarę
Temu sercu, co kocha Cnotę, Miłość, Wiarę.

Oraz

Aby cnotę przykładnie potomność wielbiła,
Miłość męża TERESIE KOLOS wystawiła[10].

Pomysł był może niezły, ale przedsiębiorcza połowica nie zamierzała zakończyć życia w biedzie i coraz częściej odcinała męża od finansów. Bardziej zresztą interesowała ją sprawa wydostania córki z Berlina, co wreszcie powiodło się w 1783 roku. Nie pozbyła się jednak opiekunki Anusi, która wraz z dziewczynką przyjechała do Ostapkowic. Ponownie też pojawił się Brumore, by kontynuować doświadczenia nad przemianą dowolnego metalu w złoto. Do reakcji chemicznych używał głównie rtęci i siarki, więc nic dziwnego, że podtruty oparami, zmarł dwa lata później.

Nowy Izrael w Awinionie

Tymczasem Pernety stracił łaski Fryderyka II i przeniósł się do Awinionu. Miasto pozostawało pod władzą papieża i właściwie nie wiadomo, dlaczego alchemik wybrał je na miejsce swojego pobytu. Niewykluczone jednak, że uznał, iż „najciemniej jest pod latarnią" i papieska inkwizycja nie będzie specjalnie ingerowała w jego działalność. Tym bardziej że jej ówcześni funkcjonariusze uchodzili za wyjątkowo skorumpowanych, a do tego w wielu innych europejskich miastach był już zbyt znany.

Nie zmienia to jednak faktu, że alchemikowi brakowało pieniędzy na dalsze eksperymenty. Doszedł więc do wniosku, że problem może załatwić tylko sponsor z Podola. Dlatego skorzystał z „niezawodnej uczynności Świętego Słowa, które z wrodzoną praktycznością wezwało Grabiankę, by opuścił Podole i udał się do Awinionu z odpowiednim zapasem gotówki"[11].

Zachował się przekaz, że w 1785 roku szlachcic rzeczywiście pojawił się w Awinionie, ale bez pieniędzy, natomiast „popychany jeno żądzą naprawiania ludzkości, zaciągnięcia jej pod sztandar Nowego Izraela, utworzenia z niej jednej owczarni, jednego Narodu Bożego"[12]. Pieniędzy jednak nie przywiózł, gdyż żona odmówiła dalszego finansowania jego planów – podróż odbył więc za pieniądze pożyczone od własnego kamerdynera. Pewną sumę uzyskał też w Paryżu od Róży i Aleksandra Lubomirskich.

W Awinionie uformowało się ostatecznie stowarzyszenie iluminatów nazwane Królestwem Nowego Izraela, na którego czele stanął Grabianka. Było ono kontynuacją grupy Nowa Jerozolima założonej w 1778 roku przez Pernety'ego. Jej nazwa nawiązywała do *Apokalipsy* i koncepcji Emanuela Swedenborga – miała stanowić przeciwieństwo Wielkiego Babilonu i rodzaj „mistycznego grodu przyszłości oznaczającego urzeczywistnienie najszczytniejszych pragnień"[13].

Przepowiednie sekty, czy też raczej Świętego Słowa, głosiły, że starosta liwski nie tylko zostanie królem Polski, lecz także – że upadnie dominacja Rosji. Grabianka

miał złamać również potęgę turecką i za swoją stolicę obrać Jerozolimę. Założyciele sekty „robili zaklęcia, wypędzali czarta, oczyszczali moralnie i tym podobne mistyczne spełniali ceremonie”[14].

Wierzyli też w możliwość uzyskania bezpośredniej „korespondencji z Niebem” przez „zadawanie pytań i otrzymywanie odpowiedzi” za pomocą kluczy różnych stopni[15]. Tego rodzaju praktyki wymagały jednak ostrożności i dlatego – mimo korupcji w szeregach papieskich służb – członkowie sekty woleli korzystać z gościny ich zwolennika, markiza Vernettiego de Vaucroze, posiadającego dobra nieopodal miasta. W jego rezydencji „na zebraniach zajmowano się roztrząsaniem pism Emanuela Swedenborga, (…) próbowano wywoływać duchy, interpretowano sny, zajmowano się astrologią i magią”. Część domu przeznaczono na świątynię, która została urządzona zgodnie z sennym widzeniem szwedzkiego mistyka i ozdobiona obrazami o treści alegorycznej. Jednocześnie przyrządzano tam na wolnym ogniu eliksir długowieczności, co – paradoksalnie – zapewne zdecydowanie mocno skracało życie członków sekty, gdyż praktycznie stale przebywali w trujących oparach rtęci i siarki[16].

Niewykluczone, że produkowano tam również substancje psychotropowe, gdyż kandydatów do sekty rozbierano podczas inicjacji do naga i „aplikowano tajemniczy eliksir zagęszczający krew i wywołujący stan egzaltacji”[17].

Co ciekawe, do Nowego Izraela przystępowali mieszkańcy różnych krajów Europy – jednym z najbardziej prominentnych członków był Fryderyk, książę Wirtembergii. W szeregi sekty wstąpił także osławiony były ambasador rosyjski w Warszawie, Nikołaj Repnin, nadzorca Stanisława Augusta.

Wydaje się wręcz nieprawdopodobne, by człowiek, który upokarzał polskiego króla, „dał się terroryzować szlachcicowi polskiemu, który weń wmówił, że jest z rozkazu Bożego królem Nowego Izraela”[18]. Być może zresztą udział w sekcie (a przy okazji też utrata łask Katarzyny II) spowodował, że dawny brutalny i bezczelny rosyjski magnat z czasem przeobraził się w całkiem ludzkiego wielkorządcę ziem litewskich. Zresztą przed Grabianką – jako królem Nowego Izraela – korzyli się też inni możni Rosjanie, tacy jak: admirał Siergiej Pleszczajew czy późniejszy adiutant wielkiego księcia Konstantego, Piotr Ozierow-Dzierżawin[19].

O przepowiedni, że miał zostać królem Polski, Grabianka najpewniej nie wspominał Repninowi, a potomek mistyka, Michał Leszczyc-Grabianka, uważał, że informacja o tym proroctwie była nieprawdziwa. Zapewne chodziło o królestwo mistyczne, gdyż trudno sobie wyobrazić, by Repnin był zwolennikiem nauk Grabianki, gdyby obejmowały one plany zdobycia tronu polskiego[20].

Nie zmienia to jednak faktu, że Grabianka z całą powagą traktował swoją misję – udał się nawet do Londynu, by pozyskać nowych wyznawców. Wprawdzie nie osiągnął tam wielkich sukcesów, aczkolwiek przyznawano, że był „człowiekiem wielkich uzdolnień, o niezmiernie ujmującym sposobie bycia”.

Niewykluczone, że powściągliwych Anglików zraziło przyzwyczajenie Grabianki do trzykrotnego pocałunku podczas powitania, tym bardziej że ostatni pocałunek prorok składał na ustach, co nad Tamizą kojarzyło się z homoseksualizmem. Potencjalnych adeptów Nowego Jeruzalem bulwersowała też głoszona przez proroka koncepcja Czwórcy Świętej, w której pełnoprawne miejsce miała zajmować

Najświętsza Maryja Panna. Anglikanie nie uznawali bowiem kultu Matki Boskiej i doszli do wniosku, że Grabianka jest nie tylko homoseksualistą, lecz także agentem znienawidzonych jezuitów.

Sekta w akcji

Władze Nowego Izraela stanowili: arcykapłan, Wielka Matka – reprezentująca Bogarodzicę, wielki prorok, tłumacz snów, kanclerz i dwaj członkowie rady. Nad wszystkimi – jako król, któremu przysługiwało pełne i bezdyskusyjne prawo do panowania – stał Grabianka. Nakazał się wręcz adorować, a wierni uznawali go za nieomylnego wybrańca Boga i Najświętszej Maryi Panny – był dla nich „synem uczennicy Najwyższego, ojcem największej mądrości, w którym zamieszkał duch Boży". Przy takiej rekomendacji nie powinno dziwić, że starosta miał uzyskać moc czynienia cudów[21].

Przez pewien czas sekta rozwijała się i sprawnie funkcjonowała, ale w pewnym momencie wśród jej członków zaczęły narastać konflikty wewnętrzne. Włoch Capelli, „włóczęga od dawna w Lucce znany", ogłosił się bowiem prorokiem grupy. A kiedy Grabianka zawyrokował, że to fałsz, ten w rewanżu nazwał Polaka fałszywym królem.

Inna sprawa, że problem Capellego niebawem sam się rozwiązał, gdyż został on oskarżony o herezję, co raczej trudno uznać za przypadek. Być może zwolennicy Grabianki w ten sposób chcieli się pozbyć rywala swojego mistrza? Włoch został wprawdzie zwolniony, ale niebawem znów go aresztowano i tym razem stanął przed sądem. Zakończył życie na szubienicy, co wskazywało, że wysunięto przeciwko niemu zarzuty innego rodzaju niż herezja. W tym bowiem przypadku skazano by go na śmierć na stosie.

Zamieszanie spotęgowała jeszcze niejaka pani Flumel, która oddała sekcie swoje pieniądze, licząc na ich pomnożenie. Gdy nie udało się spełnić jej oczekiwania, zawiedziona zaczęła oskarżać Grabiankę i jego wyznawców. Rozpowiadała, że w sekcie kobiety i mężczyźni „żyją wspólnie", a członkowie grupy „wodzą na pasku bogatych głupców"[22].

Zaniepokojenie działalnością grupy Grabianki okazała w końcu papieska inkwizycja i w efekcie postanowiono przeprowadzić rewizję w domach jej członków. Śledztwo jednak zarzucono, być może podziałała łapówka wręczona odpowiednim osobom. Dalsze kroki przerwał wybuch rewolucji i wcielenie Awinionu do Francji w 1791 roku.

Podczas rewolucyjnego terroru Grabianka zachowywał się podobno odważnie i niezwykle ryzykownie, ratując skazanych na śmierć przez Komitet Bezpieczeństwa Publicznego. Szczególnie wielu księży miało zawdzięczać mu życie, gdyż Polak „śmiało, publicznie powstawał przeciw gilotynie"[23]. Skompromitował się jednak przepowiednią, że Ludwik XVI z pomocą Nieba zostanie uwolniony i powróci w chwale. Co gorsza, ogłosił swoje proroctwo na dwa dni przed nadejściem do Awinionu wiadomości o zgilotynowaniu władcy. Król Nowego Izraela raczej nie powinien się mylić w tak ważnych kwestiach…

Inna sprawa, że gdy miasto dotknęła wielka powódź, której następstwem był głód,

Grabianka z funduszy sekty „karmił, odziewał całe tłumy”. Potrzeby były jednak ogromne – znacznie przewyższały możliwości finansowe proroka, który nie dysponował odpowiednio wielkimi sumami. W efekcie Grabianka popadł w poważne długi.

Niebawem został też aresztowany, co w czasach dyktatury jakobinów spotykało praktycznie każdego, kto się wyróżniał. Zapewne trafiłby pod gilotynę, ale na jego szczęście wcześniej obalono Robespierre’a. Oczywiście okoliczności odzyskania wolności przez króla Nowego Izraela nie mogły być prozaiczne, zatem Grabianka opowiadał, że w celi ukazał mu się Jan Chrzciciel i po prostu wyprowadził z więzienia.

W 1798 roku zainaugurowano działalność świątyni awinionskich iluminatów, w której odprawiano także katolickie msze święte. Jednak zwolennicy Grabianki „poplątali boskie dogmaty chrześcijanizmu z heretyckimi i bałwochwalczymi dodatkami”. Oczywistą herezją była Czwórca Święta, gdyż do Trójcy oficjalnie została już włączona Matka Boska opisywana jako „rodzicielka światła wśród ciemności, (…) królowa nieba i piekła, z półksiężycem otwierającym bramę Wschodu narodowi świętemu”[24].

Jesienią 1799 roku król Nowego Izraela zebrał swoich poddanych w świątyni i oświadczył, że z powodu ich grzechów zamyka ją na dwanaście miesięcy. Nakazał natychmiast opuścić przybytek, gdyż w innym wypadku „za chwilę zjawi się tam Pan w całej swojej chwale”, która mogła ich porazić[25].

Grabianka zawiesił działalność sekty i wyjechał z Francji – ponoć obawiał się represji Bonapartego wobec iluminatów. Bardziej prawdopodobne wydaje się jednak, że chodziło o ucieczkę przed wierzycielami, a Grabianka pojechał do Lwowa po pieniądze. Spotkał się tam z żoną, która… zdecydowanie odmówiła mu funduszy. Odtąd małżonkowie, którzy wcześniej i tak bardzo rzadko się widywali, żyli w separacji.

Grabianka wrócił więc do Awinionu i kolejne lata spędził tam „w ostatniej nędzy, bez dachu, bez przytułku, często o głodzie i chłodzie”[26].

Petersburski epilog

W 1803 roku prorok powrócił na Podole, bowiem od bajecznie bogatego byłego targowiczanina, Szczęsnego Potockiego, miał uzyskać obietnicę spłaty długów i wykupienia majątków z rąk wierzycieli. Najwyraźniej Grabianka nic nie stracił ze swojego osobistego uroku – inna sprawa, że dość ograniczonego umysłowo Potockiego łatwo można było sobie zjednać. Na niewiele to się jednak zdało, gdyż śmierć magnata w 1805 roku przekreśliła nadzieje proroka na wydostanie się z tarapatów finansowych. Pojechał zatem do swojego zwolennika Augusta Ilińskiego rezydującego w Romanowie na Wołyniu, a ten wyznaczył mu roczną pensję.

Grabianka nie zrezygnował jednak z akcji misyjnej i jeszcze w tym samym roku udał się do Petersburga. Przebywali tam już członkowie sekty Królestwo Nowego Izraela poszukujący zwolenników wśród rosyjskiej elity. Chociaż nie znalazło się ich zbyt wielu, to na pozyskanych adeptów Grabianka wywierał wręcz magnetyczny wpływ. Otaczano go uwielbieniem, słuchano jak wyroczni. Był bowiem znakomitym

mówcą, a prowadząc skromne życie, zjednywał sobie zwolenników. Tym bardziej że na każdym kroku podkreślał swoją głęboką i surową wiarę, a do tego szczerze wierzył we własne posłannictwo. Szczególnie mało odporne na urok podolskiego proroka były panie z towarzystwa, ceniące go „za jego słodycz w obejściu, rzewność i te ojcowskie rady i przestrogi”[27].

Grabianka nie stracił nic z osobistego czaru – był on „białym już, ale czerstwym staruszkiem”. Z całą powagą głosił, że do Petersburga przysłało go Niebo „dla odbudowania i urządzenia królestwa – Nowego Jeruzalem”. Sugerował, iż wszyscy powinni być wdzięczni „Opatrzności, że wskazała wam tę deskę zbawienia”[28].

Jednocześnie król Nowego Izraela zaczął głosić przepowiednie o nieodległym końcu świata i ponownym przyjściu Chrystusa. Miało to nastąpić za 30 lat. Grabianka twierdził też, że zdążył się już narodzić także Antychryst i dlatego każdy z adeptów proroka miał się wyrzec „Kościoła i władz w kraju obowiązujących” na korzyść jego sekty, gdyż tylko to mogło zapewnić zbawienie.

Działalność Grabianki zaniepokoiła w końcu carską policję, tym bardziej że król Nowego Izraela dużo czasu spędził we Francji – padły więc podejrzenia, iż był agentem Napoleona Bonapartego. Wiedziano też o przepowiedni, w myśl której Grabianka miałby zostać królem Polski. Nic zatem dziwnego, że trafił do aresztu. Zaprzeczył wówczas swoim aspiracjom do tronu polskiego oraz oświadczył, że nie głosił antyrosyjskich przepowiedni ani nie namawiał do nieposłuszeństwa. Deklaracje te nie zwróciły mu jednak wolności.

Był więziony w Twierdzy Pietropawłowskiej, a chociaż jego wpływowi znajomi starali się o zwolnienie, nie przyniosło to rezultatu. Grabianka spędził za kratami pięć miesięcy i w październiku 1807 roku, mając 67 lat, zmarł na apopleksję. Nie brakowało jednak opinii, że popełnił samobójstwo lub został otruty.

Pochowano go w kościele Świętej Katarzyny w Petersburgu. Raczej nie byłby z tego powodu specjalnie zadowolony, gdyż spoczywał tam już Stanisław August, którego Grabianka wyjątkowo nie lubił, i po którym miał zasiąść na tronie. Z perspektywy wieczności to grobowe sąsiedztwo nie trwało jednak długo, gdyż w 1938 roku trumnę ostatniego króla przewieziono do Polski.

Pewne nauki i koncepcje Tadeusza Grabianki po ćwierć wieku powróciły w filozofii Andrzeja Towiańskiego, który nie bez powodu na początku swojej działalności misyjnej poszukiwał w Petersburgu dawnych zwolenników podolskiego proroka. Minęło jednak wiele lat, w międzyczasie wiele się wydarzyło i próba Towiańskiego zakończyła się niepowodzeniem. Nie stanęło to jednak na przeszkodzie, by w późniejszych latach został autorem największego zamieszania umysłowo-religijnego wśród polskiej emigracji.

Andrzej Towiański

Rozdział 2

Andrzej Towiański. Koło Sprawy Bożej

W gronie różnego rodzaju proroków, którzy pojawili się w dziejach naszego kraju, Andrzej Towiański zajmuje wyjątkową pozycję. Stworzona przez niego sekta wywołała poważny ferment w środowisku emigracji polskiej, która osiadła w Europie Zachodniej po powstaniu listopadowym. Co więcej, w skład sekty weszli jej prominentni członkowie – w tym dwaj najważniejsi polscy poeci epoki romantyzmu. Wprawdzie Juliusz Słowacki szybko zraził się do proroka i jego wyznawców, ale Adam Mickiewicz pozostał wierny naukom Towiańskiego. I nawet gdy ostatecznie z nim zerwał, nadal był zwolennikiem wartości głoszonych przez sektę i właściwie nigdy nie powrócił na łono Kościoła katolickiego.

Paryż, jesień 1841 roku

27 września 1841 roku w paryskiej katedrze Notre Dame została odprawiona msza święta dla Polaków. Pojawiło się około 200 osób, obecna była właściwie niemal cała emigracyjna elita. Po zakończeniu nabożeństwa przed zgromadzonymi wystąpił przybyły niedawno do francuskiej stolicy Andrzej Towiański.

Nie był postacią całkowicie anonimową, gdyż już od kilku tygodni krążyły na jego temat różne plotki. Opowiadano, że uleczył chorą psychicznie żonę Adama Mickiewicza, oraz głosi naukę, która zbawi Polskę i zapewni emigrantom powrót do ojczyzny. Z tego powodu początkowo z zainteresowaniem przysłuchiwano się jego wystąpieniu, ale z każdą minutą zebranych ogarniało coraz większe osłupienie.

Przemówienie Towiańskiego okazało się bowiem zadziwiającą mieszanką dogmatów chrześcijańskich, elementów filozofii Wschodu oraz bieżących doktryn politycznych. Prorok wtajemniczał wiernych w zasadę reinkarnacji: tłumaczył wielokrotność żywotów przeszłych i przyszłych każdego człowieka. Przewidywał możliwość degradacji form istnienia aż do kształtów zwierzęcych czy wręcz roślinnych (w przyszłości miał tego używać jako argumentu wobec opornych wyznawców).

Inną zasadą głoszoną przez mistrza okazał się dogmat nieustającej walki dobra ze złem rządzącym całym światem ducha i materii. Określał to jako ścieranie się kolumn jasnych i ciemnych, zawłaszczających człowieka do zła lub wspierających go w dobrych uczynkach. Zwycięstwo dobra połączone z odnową moralną miało

umożliwić wyznawcom cudowny powrót do kraju.

Do swojej nauki wplótł także żywy wśród Polaków kult rodziny Bonapartych, pomieszany z ideologią panslawizmu niemal wprost wyjętym z rosyjskiej propagandy. Razem dawało to kompletny chaos ideologiczny.

Zebrani w katedrze nie mogli zrozumieć, w jaki sposób przyjęcie nauki prelegenta umożliwi im powrót do kraju. I gdy Towiański padł na kolana, wznosząc żarliwą modlitwę, część słuchaczy wyszła, nieliczni przyłączyli się do mistrza, a większość stała w milczeniu.

I tak miało już pozostać. Niektórzy oddawali się bez reszty Sprawie (tak swój ruch nazywał Towiański), natomiast inni uważali go za obłąkanego. Nie brakowało też takich, dla których był heretykiem.

Prorok spod Wilna

Andrzej Towiański urodził się 1 stycznia 1799 roku w majątku Antoszwińce położonym około 50 kilometrów od Wilna. Był synem zamożnego posiadacza ziemskiego i jedynym sukcesorem, gdyż dziesięcioro (!) jego rodzeństwa zmarło w dzieciństwie. Sam początkowo także nie cieszył się specjalnie dobrym zdrowiem, co skierowało jego zainteresowania właśnie w kierunku religii i medytacji.

Uczył się w gimnazjum wileńskim, gdzie zaprzyjaźnił się z Ferdynandem Guttem, który w przyszłości miał zostać jego najbliższym współpracownikiem. Obaj następnie trafili na Cesarski Uniwersytet Wileński – Towiański studiował tam prawo, natomiast Gutt, jak przystało na syna wileńskiego aptekarza, ukończył medycynę.

W Wilnie Towiański zetknął się z masonerią, gdyż do wolnomularzy należał ojciec Gutta. W ich poglądach nie widział sprzeczności z prawowiernym katolicyzmem, polscy masoni często bowiem łączyli działalność w lożach z obowiązkami chrześcijanina. Nic zatem dziwnego, że w ich szeregach znajdowało się wielu duchownych, a także wykładowców Uniwersytetu.

Towiański studiował w tym samym okresie co Mickiewicz, ale nic nie wiadomo na temat ich ewentualnych ówczesnych kontaktów. Musiał natomiast kojarzyć poetę, bowiem wieszcz wraz z przyjaciółmi byli zbyt wyrazistymi postaciami, by ich nie dostrzegać. Tym bardziej że późniejszy debiut poetycki Mickiewicza odbił się szerokim echem wśród miejscowej społeczności, a proces filomatów – jeszcze większym.

Po ukończeniu studiów Towiański został rejentem w wileńskim sądzie grodzkim i ziemskim, następnie asesorem w jednym z departamentów Litewsko-Wileńskiego Sądu Głównego. Musiał się sprawdzać w tej roli, gdyż pracował jako prawnik przez kilkanaście lat – aż do chwili, gdy z własnej woli podał się do dymisji.

Pewien wpływ na późniejsze postrzeganie postaci Towiańskiego miał fakt, że w tym czasie asesorem przy rosieńskim sądzie ziemskim był jego kuzyn i imiennik. Starszy od przyszłego proroka o kilkanaście lat prowadził awanturnicze życie i oskarżano go o różnego rodzaju oszustwa. Należały do nich także wyłudzenia, których dokonywał, podając się za agenta carskiej policji. Obu Towiańskich różniły tylko daty urodzenia oraz imiona ojców, nic zatem dziwnego, że niebawem zaczęto ich mylić. Problemy z identyfikacją miały nawet rosyjskie służby wywiadowcze: gdy

bowiem Towiański rozpoczął działalność religijną w Paryżu, brano go właśnie za jego kuzyna oszusta[29].

Pewne informacje na ten temat dotarły też nad Sekwanę, tym bardziej że prorok faktycznie głosił tam poglądy, które można było uznać za działalność na rzecz Romanowów. Oczywiście on sam nie widział żadnej sprzeczności między głoszoną nauką a patriotyzmem, jednak wielu mu współczesnych miało na ten temat zupełnie inne zdanie…

Iluminacja

Podobno Towiański odnajdywał najwięcej spokoju, spacerując po cmentarzach – wówczas kształtował się jego światopogląd. Zanim jednak doznał pierwszego objawienia, już wcześniej musiał mieć poczucie swej wyjątkowości, gdyż w marcu 1828 roku w jego misję uwierzył Ferdynand Gutt. Założyli nawet pewnego rodzaju spółkę – Gutt jako lekarz miał leczyć ciała pacjentów, natomiast Towiański zajmować się ich duszami.

Prorok szybko utwierdził się w swoich przeczuciach, bowiem dwa miesiące później, podczas modlitwy w wileńskim kościele bernardynów, doznał objawienia. Miał wówczas zrozumieć swoje powołanie i obowiązek naprawy otaczającego świata.

Na razie zadbał jednak o prywatne sprawy i w marcu 1830 roku poślubił Karolinę Max, córkę wileńskiego wytwórcy siodeł. Wybranka odznaczała się wyjątkową urodą, a do tego była osobą bardzo inteligentną, zatem trudno się dziwić decyzji Towiańskiego. Gorzej, że przejawiała też ogromne zdolności do snucia intryg, podobnie jak jej znacznie mniej urodziwa siostra, Anna. Tę zresztą niebawem poślubił Gutt, co podobno było objawem desperacji jego wybranki nieprzytomnie zakochanej… w Towiańskim.

Wprawdzie przyszły prorok zamierzał głosić potrzebę odnowy moralnej świata, ale nie unikał też wypełniania obowiązków małżeńskich. W ciągu dziesięciu lat przyszło na świat sześcioro dzieci, a potem jeszcze trójka. W odróżnieniu od rodzeństwa Towiańskiego jego potomstwo cieszyło się dobrym zdrowiem.

Gdy rok po ślubie Andrzeja z Karoliną wybuchło powstanie listopadowe, mistyk przejawiał do insurekcji zdecydowanie negatywny stosunek. Wprawdzie szanował patriotyzm bojowników i „ofiarę ciała”, ale uważał, że konieczna jest „ofiara ducha”, gdyż tylko wtedy miłość do ojczyzny może przynieść wymierne efekty. A w dodatku należy wybaczać swoim wrogom[30].

Po stłumieniu powstania Towiański uznał, że nastąpił właściwy czas na działanie – zrezygnował zatem ze stanowiska asesora i wyjechał do Petersburga. Miał nadzieję spotkać tam ludzi, którzy pamiętali działalność Tadeusza Grabianki, a przy okazji liczył również na nawiązanie kontaktów z przedstawicielami rosyjskiej arystokracji. Fakt, że wyznawała ona prawosławie, zupełnie mu nie przeszkadzał, gdyż dojrzał już wówczas do pewnego rodzaju ekumenizmu. Sukcesów jednak nie osiągnął, wzbudził natomiast podejrzliwość carskiej policji i po kilku miesiącach nakazano mu opuścić miasto.

Nie można jednak powiedzieć, że misja Towiańskiego zakończyła się całkowitym fiaskiem, gdyż dobrze wówczas poznał osiadłych w Petersburgu Helenę i Franciszka

Malewskich. Jeden z najstarszych przyjaciół Mickiewicza, filomata, i rodzona siostra żony wieszcza dostarczyli mu bezcennych informacji na temat poety. W przyszłości miało się to okazać bardzo przydatne.

Natomiast naukę Towiańskiego bezkrytycznie przyjął nad Newą malarz Walenty Wańkowicz (autor słynnego *Portretu Adama Mickiewicza na Judahu skale*). Został jego wielbicielem, a zadecydowały o tym pewne kwestie obyczajowe.

„(…) cichy i skromny, i chłodny – wspominał Wańkowicza lekarz Stanisław Morawski – ożeniwszy się z Ordzianką, malutką, ale dziwnej rafaelowskiej piękności panienką, w Petersburgu wmówił w siebie, szturchając się kułakami pod boki, że jest i że być musi natchnionym artystą poetą. Ciągle sobie różnymi najdziwaczniejszymi wyobrażeniami mózgi podsmalał, aż na koniec bez nauki, bez przygotowania w jakiegoś mistyka przeszedł i tysiące głupstw w życiu potocznym i domowym narobiwszy, z dobrą i piękną żoną się swoją rozstał i na towiańszczyźnie skończył. Chciało mu się koniecznie wspólności żon, a na to właśnie jego żona, choćby zapewne lepiej wyjść mogła, zgodzić się nie chciała i jak wariatowi pięknymi swoimi oczyma patrzyła mu w oczy”[31].

Wspólnotę żon wypominają prorokowi spod Wilna niemal wszyscy jego oponenci. Nie należy jednak tych oskarżeń traktować dosłownie, gdyż w XIX stuleciu prawie każdy nowo powstały ruch społeczny lub religijny podejrzewano o dewiacje obyczajowe. Wystarczy choćby przypomnieć rozważania Ignacego Rzeckiego na temat socjalizmu (i wspólnoty żon) w *Lalce* Bolesława Prusa.

Wobec niepowodzenia akcji misyjnej w Petersburgu Towiański wrócił w rodzinne strony. Nie zamierzał jednak przerwać działalności i odbył kilka podróży zagranicznych, gdyż jego celem było nawiązanie kontaktów z emigrantami osiadłymi po powstaniu listopadowym w Niemczech i Czechach. Wydaje się, że z tych wypraw wyciągnął całkiem trafne wnioski na temat nastrojów panujących wśród wygnańców.

Bardzo ważne okazało się również poznanie w Dreźnie Edwarda Odyńca, kolejnego z przyjaciół Mickiewicza i jego towarzysza podczas wyprawy po Europie. Odyniec znał sprawy późniejsze niż Malewski i widywał wieszcza na co dzień w rozmaitych sytuacjach. Poza tym był wyjątkowym gadułą oraz człowiekiem mało dyskretnym – podzielił się z Towiańskim nawet opowieściami o pierwszej miłości Mickiewicza, Maryli Puttkamerowej.

„Niejednokrotnie – przyznawał Odyniec po latach – opowiadałem o nim to wszystko, co nie tylko widziałem sam albo od niego słyszałem, ale mnóstwo takich szczegółów i rzeczy, o których on sam nigdy przede mną nie mówił, a tylko opowiadali mi inni, najbliżsi powiernicy i towarzysze dzieciństwa jego i pierwszej młodości, jak np. Jan Czeczot, Tomasz Zan i na koniec sama Maryla”[32].

We wrześniu 1836 roku zmarł ojciec Towiańskiego i przyszły prorok odziedziczył majątek, który obejmował 50 włók ziemi (około 900 hektarów) dających tysiąc rubli rocznego dochodu (prawie 22 tysiące euro). Nowy właściciel szybko przystąpił do reform gospodarczych zgodnych ze swoimi przekonaniami. Zniósł pańszczyznę, propagował oświatę na wsi, a na jego polecenie Gutt zajmował się leczeniem chłopów. Zadbał też o życie duchowe byłych poddanych, organizując wspólne modlitwy oraz wznosząc kaplicę w swoim ogrodzie. Wprawdzie poświęcił ją ksiądz, ale Towiański sam odprawiał tam nabożeństwa, uważając to za przejaw rewolucji

chrześcijańskiej. Natomiast według opinii sąsiadów działy się tam rzeczy całkowicie niezgodne z nauką Kościoła, wewnątrz nie było nawet krzyża, a sama budowla bardziej przypominała antyczną świątynię niż miejsce kultu katolickiego.

„[Opowiadano] w Wilnie – wspominał sąsiad Towiańskiego, Edward Wołodko – że podczas tych obrzędów stawała na owym »ołtarzu« kobieta w stroju Prawdy jako święta Filomena; uważam jednak, że była to jedna z licznych podówczas plotek kursujących w Wilnie o Towiańskim, utkana, być może, na tle obchodów rewolucyjnych w Paryżu. Na czym atoli polegały owe »msze« i nabożeństwa, objaśnić nie umiem”[33].

Przy okazji pojawiały się informacje, że jednak nie wszystko w majątku Towiańskiego wyglądało w taki sposób, jak przedstawiali to apologeci mistrza. Podobno „poddani jego włościanie tak samo byli uciemiężani jak i gdzie indziej, jeśli nawet nie więcej”. Nie jest to wykluczone, gdyż prorok z całą powagą opowiadał o swoich humanitarnych uczynkach, a relacje te mogą wprawić w osłupienie:

„Zwoszczyk [dorożkarz] w Petersburgu żądał dubeltowej zapłaty za kurs; pojechałem z nim więc na policję. Dyżurny zaraz powalił zwoszczyka pięścią, kopnął nogą, chciał batożyć, co powstrzymałem. Odtąd zwoszczyk był moim przyjacielem”[34].

Podobnie wyglądało postępowanie Towiańskiego w Wilnie, a tym razem jego przyjacielem został nieuczciwy introligator.

„Oprawił mi źle książki – opowiadał prorok – a żądał złotych polskich dziesięć zapłaty; pojechałem więc do policmajstra w Wilnie, ten uwięził natychmiast introligatora; chodziłem do winnego co dzień, później co tydzień, lecz że trwał w złem, więc zapomniałem. Aż jednego dnia ze strażą więzienną przybywa do mnie w prośby introligator. Uczęstowałem go i odtąd był moim przyjacielem”[35].

Czytając tego typu relacje, można więc dać wiarę znajomym i sąsiadom Towiańskiego. Chociaż oczywiście niektóre z ich wspomnień były tylko plotkami, to jednak część dość dobrze pasuje do opowieści, jakie snuł sam Towiański.

„Pamiętam, jak raz matka moja – opowiadał Wołodko – wróciwszy z jakiejś podróży, opowiadała o spotkaniu z Towiańskim i o następującej przygodzie, której była świadkiem. Mróz był trzaskający. Towiański spotkał na drodze zziębłego biedaka, uniesiony przeto litością zdjął kożuch z własnego furmana i odział nieszczęśliwego. Furman tymczasem dzwonił z zimna zębami w ciągu paru mil drogi”[36].

Metody postępowania proroka potwierdzała także historia „uleczenia” jednego z sąsiadów dotkniętych chorobą umysłową. Tym bardziej że do przywrócenia nieszczęśnikowi zdrowia Towiański i Gutt zabrali się razem.

„Bolesław Kontrym był człowiekiem zdolnym – kontynuował Wołodko – i wcale niepośledniego umysłu, zagrzebał się jednak na wsi. (…) Towiański postanowił go »odrodzić«. Skorzystał z nadarzającej się sposobności, kiedy Kontrym ciężko zachorował na jakąś gorączkę nerwową. Doktor Gutt leczył ciało, a Towiański kurację prowadził w ten sposób, aby jednocześnie i ducha uleczyć. Nasamprzód należało, zdaniem pana Andrzeja, usunąć z pamięci pacjenta wszystko, o czym wiedział, i dopiero z tak sztucznie doprowadzonego do stanu dziecka utworzyć się miał nowy, doskonały człowiek z wyrobionymi zasadami i pojęciami. Program w

części się udał – chory w rzeczy samej pamięć utracił całkowicie! Nie tak łatwo poszło z drugą jego częścią, to jest »zaszczepieniem idei«. W miarę jak umysł odzyskiwał władzę, wracała i pamięć, lecz nigdy już nie dościgła pierwotnego stopnia i Kontrym do końca życia wspierał ją notowaniem w książeczce kieszonkowej. Podziwiano w Wilnie zarówno lekkomyślną zarozumiałość mistrza, jak i zaślepienie adepta dającego sobą powodować”[37].

Inna sprawa, że nie wszyscy sąsiedzi Towiańskich zadowalali się wyłącznie komentowaniem postępków mistrza. Niejaki Jan Gacewicz, „były kapitan wojsk polskich”, przyczynił się do tego, że „Towiańskiego poddano badaniom”. Nie wiadomo jednak, czy „z punktu widzenia jurystycznego, jako sekciarza, czy patologicznego, jako psychopaty”. Wprawdzie prorok został „uznany za nieszkodliwego”, ale już samo przeprowadzenie badań zdyskredytowało go w oczach wilnian.

W maju 1839 roku Towiański doznał kolejnego objawienia, a rok później następnego. Tym razem wydarzenia przebiegały w spektakularny sposób: podobno na niebie pojawił się biały krzyż zwrócony ku zachodowi, a Matka Boska wskazała Francję jako cel misji.

Prorokowi nie można odmówić konsekwencji, prawdopodobnie przygotowywał się do wyjazdu już od pewnego czasu. Miał bowiem paszporty dla siebie i żony, podjął też decyzje dotyczące majątku i dzieci. Antoszwińce pozostawił w rękach dzierżawcy, a pięcioro dzieci oddał pod opiekę znajomych. Rodzeństwo zostało rozdzielone, łącznie opiekowały się nim trzy rodziny, a Towiańscy zabrali ze sobą tylko najstarszego syna, Jana. Gdy osłupiali znajomi pytali, czy nie obawiają się pozostawiać swojego potomstwa na łasce innych, rodzice mieli odpowiadać: „Bóg, który opiekuje się i ptaszętami, nie pozostawi bez opieki i naszych dzieci”. Najstarsze z nich miało wówczas siedem lat, zaś najmłodsze urodziło się niedługo przed wyjazdem.

Droga do Paryża

Chociaż władze carskie wydały prorokowi paszport uprawniający go do wyjazdu do Niemiec i Austrii, Towiański miał inne zamiary. Na pewno zamierzał się udać do Paryża, gdzie planowano właśnie sprowadzić prochy Napoleona z Wyspy Świętej Heleny. Rodzina wybrała się w podróż „zwykłym wozem” załadowanym „skrzynkami, łaskami, szynkami i przeróżnymi wiktuałami”. Na górze siedziała Towiańska z dzieckiem, a mąż „prowadził konia i szedł obok pieszo”.

Pierwszy dłuższy postój wypadł w Poznaniu, gdzie mistrz Andrzej rozpoczął głoszenie swojej nauki. Podobno zrobił duże wrażenie na metropolicie gnieźnieńskim i poznańskim, Marcinie Duninie. Duchowny odprawił nawet mszę w intencji Towiańskiego, chociaż nie zgadzał się z lansowaną przez niego zasadą reinkarnacji. Wielbicielkami nauki mistrza stały się natomiast panie z miejscowego towarzystwa, jednak niebawem i one zraziły się do niego.

„Podawał się za posłańca Bożego – relacjonował przeciwnik proroka, Władysław Gołembiowski – starał się robić zwolenników, zwłaszcza między kobietami, formował je w towarzystwo w pewnych przepisanych przez niego zasadach,

namawiał, by się spowiadały u niego i wyjawiały mu sekrety rodziców, braci i kochanków. Ostatnia ta okoliczność mocno kilka kobiet oburzyła i wykryła nie tylko niedorzeczność, ale nawet złe zamiary posłańca Bożego”[38].

Z perspektywy czasu ważniejszy wydaje się jednak fakt, że Towiański miał okazję poznać Konstancję Łubieńską, która była kochanką Mickiewicza podczas jego pobytu w Wielkopolsce w 1831 roku. Płomienny romans spowodował, że wieszcz przedłożył wdzięki hrabiny ponad niebezpieczeństwa wojenne i nie wziął udziału w powstaniu listopadowym – z tego powodu miał później poważne kłopoty. Romans z Łubieńską obfitował zresztą w różnego rodzaju zawirowania, gdyż arystokratka chciała porzucić męża i dzieci, by towarzyszyć poecie w podróży do Paryża. Ten jednak nie zgadzał się na to, a na domiar złego dwaj bracia hrabiny zamierzali wyzwać Mickiewicza na pojedynek za „pohańbienie czci ich siostry”. Bez wątpienia zatem Łubieńska mogła przekazać Towiańskiemu ciekawe informacje na temat swojego byłego kochanka…

Ostatecznie jednak prorok musiał opuścić Poznań i udał się nad Sekwanę. Pojawił się tam w połowie grudnia, ale niebawem wyjechał z francuskiej stolicy. Jak na proroka chcącego zbawiać rodaków nie spieszył się specjalnie z podjęciem akcji misyjnej. Zwiedzał miejsca bojów napoleońskich, a wiosnę następnego roku spędził w Anglii i Irlandii. Można odnieść wrażenie, że przez cały czas przygotowywał się do działania, zbierał informacje i czekał na dogodną chwilę.

Pod Waterloo spotkał się z generałem Janem Skrzyneckim, byłym wodzem naczelnym powstania listopadowego. Panowie poznali się już wcześniej podczas pobytu Towiańskiego w Pradze, a teraz prorok wprowadził go w szczegóły swojej nauki. Podobno Skrzynecki był bardzo zainteresowany, chociaż zauważał jej sprzeczność z katolicyzmem. Towiański spisał ich rozmowy i w ten sposób powstała *Biesiada z Janem Skrzyneckim*, a nazwisko znanego i zasłużonego generała miało potwierdzać powagę nauki litewskiego proroka.

Niebawem jednak Skrzynecki odżegnał się od związków z Towiańskim i w tej sytuacji mistrz nie zdecydował się na publikację broszury. Postanowił znaleźć inną ważną postać z grona emigrantów, która pomogłaby mu „wbić sztandar Sprawy Bożej”. Jego wybór padł na Mickiewicza – i zapewne z tego powodu nieco zmodyfikował tekst swoich nauk. Zaczął bowiem wykorzystywać w nich sformułowania pochodzące z twórczości wieszcza, dzięki czemu ich treść miała brzmieć dla poety znajomo. Jako doskonały socjotechnik wiedział jednak, że musi poczekać na sprzyjające okoliczności i pilnie nasłuchiwał informacji z Paryża. Wreszcie – gdy żona wieszcza miała ostry nawrót choroby psychicznej i lekarze nie dawali szans na jej wyzdrowienie – uznał, że nadszedł właściwy czas.

Problemy rodziny Mickiewiczów

Celina Mickiewiczowa chorowała od kilku lat, a pierwsze symptomy (depresję) zauważono u niej po śmierci matki, pianistki Marii Szymanowskiej. Po przyjeździe do Paryża i ślubie z Mickiewiczem zadziwiała czasami otoczenie swoją nadpobudliwością. Dziwiono się jej nieumiarkowanemu zamiłowaniu do klejnotów, zgorszenie budził fakt, że nosiła męskie ubrania. To ostatnie można zresztą przypisać wpływowi George Sand, natomiast upodobanie do ozdób miało się stać jednym z

objawów jej schorzenia.

Zachowały się relacje świadków opisujących zachowanie Celiny tuż przed atakiem choroby. Zauważano u niej nadzwyczajne podniecenie, chorobliwe podekscytowanie („gada, co ma na sercu, a czego by nie śmiała, będąc zdrową"). Żona wieszcza traciła kontakt z rzeczywistością i już w lipcu 1838 roku Adam starał się o wizytę u jednego z paryskich neurologów. Do ostrego ataku doszło kilka tygodni po urodzeniu drugiego dziecka.

Celina całkowicie traciła świadomość, zachowywała się agresywnie, często wręcz maniakalnie zmieniała ubrania. Czasami chorej wydawało się, że jest Matką Boską – wówczas godzinami improwizowała modlitwy, objawiała tajemne prawdy, przekonując otoczenie, że zbawi Polskę, emigrację i lud Izraela.

Wszyscy wiązali chorobę z niedawnym przyjściem na świat drugiego dziecka (syna Władysława) i przypominano, że pewne zaburzenie Celina przejawiała już po pierwszym porodzie:

„(…) w niedzielę jego nadobna małżonka – wspominał Eustachy Januszkiewicz – dostaje coś w rodzaju zapalenia mózgu czy z moralnych czy fizycznych przyczyn, nie wiadomo, karmi swego syna, być więc może, że pokarm uderzył w głowę, potem jest nieco temperamentu silnego, a nieobecność męża bicie krwi podwaja! Potem jeszcze egzaltowana do rzeczy religijnych, jednym słowem, że dziś ma pewien stopień obłąkania – zdaje się być natchnioną; ona zbawi ludzkość, Polskę i wszystkich niedowiarków do wiary powoła"[39].

Przerażenie wzbudzały także jej popisy wokalno-instrumentalne. Gdy śpiewała z własnym akompaniamentem *Wilię* (utwór męża do muzyki matki), „łzy miała w oczach, a taki ogień w duszy, iż się zdawało, iż ta pierś wydawszy ostatnią nutę, rozłamie się i pęknie".

W obłędzie Celiny przejawiały się tęsknoty i nadzieje polskiej emigracji, pomieszanie rozpaczy z wątkami z literatury romantycznej, uniesienia religijne, elementy mesjanizmu oraz występowali bohaterowie na miarę zbawców i odkupicieli. Celina przekroczyła granicę jawy i literatury, uznała świat poezji za realny i poczuła się bohaterką romantycznych wizji. Dramatyczną relację zawierają pamiętniki Antoniego Ostrowskiego odnalezione niedawno przez Elżbietę Wichrowską. To najobszerniejsza relacja na temat choroby żony wieszcza i dlatego zasługuje na przytoczenie w obszernym fragmencie:

„Pan Adolf Zaleski, oficer polski, leżał dosyć wielką chorobą tknięty. (…) Po bezsennej nocy zaczął drzemać nad rankiem, gdy wchodzi do niego pani Mickiewiczowa; żadnego nie miała obuwia, włosy jej rozpuszczone, spojrzenie mocne i pełne ekspresji, a w ręku szkatułka. Zdziwiony tą aparycją, że tak rzekę, o godzinie piątej z rana i pomimo deszczu z wiatrem pomieszanego, pozdrawia panią Mickiewiczową, która do niego tymi słowy przemawia:

– Adolfie, jesteś chorobą, smutkiem, tęsknotą zdjęty, a nie masz matki lub siostry, która by pocieszyła twe serce. Przyszłam do ciebie, by łzy twe otrzeć, rozjaśnić twe czoło, zdrowie ci powrócić. Biedny, od lat nie usłyszałeś głosu żadnej Polki, lecz teraz raduj się, jestem Mickiewiczowa.

Tu zatrzymała się i otworzywszy szkatułkę, wydobyła z niej szmatę i zaczęła nią twarz Zaleskiego obcierać. Potem (…) pokazała drugą szmatę krwią własną

zbroczoną i znów twarz chorego tarła, mówiąc, iż własną krew przelała dla dobra tego Polaka. Wszystko spokojnie znosił Zaleski niemogący się ruszyć i pani Mickiewiczowa zaczęła mu potem nogi trzeć. Co skończywszy, uklękła przed łóżkiem i mówiła, że:

– Nieszczęścia nasze skończone, wracamy na łono Ojczyzny, oto modlitwa, którą przebłagałam nieba, zamyślam ją kazać wydrukować, a zysk [przekazać] na zapłacenie długów przez Polaków poczynionych (…) na zakupienie rynsztunku wojskowego. Tobie zaś oryginał, a nadto krzyżyk zrobiony z drzewa wziętego w Olszynce.

To rzekłszy, odmówiła, zawsze klęcząc, modlitwę tak zbawienną i powiedziała:

– Teraz wstań i chodź, jesteś zdrowym.

To powiedziawszy, zamyślała wyjść pani Mickiewiczowa, lecz Zaleski nie chcąc jej wypuścić w tym stanie, powiedział jej, że uzdrowionym wstanie pod jednym warunkiem, to jest, że pani Mickiewiczowa wróci do siebie włożywszy obuwie i włosy uczesawszy.

– Lecz nie mogę tego dokonać, gdy żem ślub wzięła, że (…) w takim ubraniu pójdę i powrócę, gdyż pod tą racją tylko zdrowie odzyskasz – rzekła pani Mickiewiczowa. Na to Zaleski:

– Pani przysięga spełniona, jestem zdrów, więc niech Pani mnie usłucha.

To usłyszawszy, Pani Mickiewiczowa włożyła pantofle Zaleskiego i wiele jeszcze pocieszeń podawszy wyszła, a przez drogę klękała i kłaniała się przechodzącym”[40].

Przerażająca scena – Celina uważała, że jest uzdrowicielką, wysłanniczką Mesjasza, bojowniczką o Polskę, a do tego jeszcze kapłanką i czarownicą. Rozpuszczone włosy, bose stopy, nacieranie chorego własną, zapewne menstruacyjną krwią. Improwizowane modlitwy, magia, mesjanizm… A przede wszystkim straszliwa choroba kobiety, żony wieszcza i matki dwojga małych dzieci.

Julian Ursyn Niemcewicz za przyczynę choroby Celiny uważał „egzaltację religijną, litość nad tyloma nieszczęśliwych ziomkami, może też i ostatni niedostatek”. Wydaje się, że właśnie ta ostatnia przyczyna (skrzętnie na ogół pomijana przez badaczy) odegrała znaczącą rolę w szaleństwie Celiny. Mickiewicz nie potrafił zapewnić najbliższym minimum egzystencji oraz nie sprawdzał się w roli męża i ojca. Dopiero bowiem, gdy domownikom zagroziło widmo głodu, rozpoczął poszukiwania stałego zajęcia. A psychika kobiety nie mogła wytrzymać ciągłej troski o przyszłość swoich potomków. Jak długo można żyć poetycką sławą męża? Przecież uznanie czytelników nie zagwarantuje rodzinie dachu nad głową ani wyżywienia.

W grudniu 1838 roku Celina trafiła do zamkniętego Domu Zdrowia w Vanves pod Paryżem, gdzie powoli dochodziła do równowagi. Do domu powróciła przed Wielkanocą i w czerwcu rodzina ruszyła do Lozanny, gdzie poeta miał objąć stanowisko profesora literatury łacińskiej na miejscowej akademii teologicznej.

Niestety, mimo stabilizacji finansowej Celina Mickiewiczowa źle czuła się nad Jeziorem Genewskim. Narzekała na osamotnienie, brak polskiego towarzystwa, odnosiła wrażenie, że otacza ją obcy, wrogi świat. Złorzeczyła nawet na brak polskiej służącej.

Dodatkowo żona wieszcza spodziewała się trzeciego potomka i ciąża negatywnie wpływała na jej zdrowie psychiczne. Pani Mickiewiczowa była przekonana, że

miejscowy klimat wywiera fatalne skutki na zdrowie dzieci – podobno przyczyniał się do chorób tarczycy, skóry itp. Zauważano także, że Celina „samotniejsza niż w Paryżu zaczyna tęsknić do krewnych i znajomych, których przychylność nie zawsze umiała ocenić". Jednocześnie tłumaczyła mężowi, że w Paryżu „będzie mógł oddać jeszcze usługi naszej Polsce, a tu żyje jak pustelnik". Pani domu nie ograniczała się wyłącznie do wątku narodowego – przypominała również, że „Cezar zginął, ponieważ nie słuchał żony".

Wreszcie – w trosce o zdrowie Celiny – wieszcz zadecydował o powrocie do Paryża. W maju 1840 roku pani Mickiewiczowa urodziła kolejne dziecko (Helenę) i Adam poważnie obawiał się o stan jej psychiki. Rodzina opuściła ostatecznie Lozannę 7 października, by nad Sekwaną właściwie rozpocząć życie od nowa.

Zaledwie jednak zdążyli wynająć mieszkanie przy ulicy Amsterdamskiej 1, nastąpił atak choroby. Tym razem był krótkotrwały i pod koniec miesiąca pani Mickiewiczowa powróciła już do zdrowia. Stanowiło to jednak groźne ostrzeżenie i niepokojącą prognozę na przyszłość. Jak się bowiem okazało, żona poety nie została skutecznie wyleczona i w każdej chwili można było się spodziewać kolejnego ataku.

Wraz z wiosną choroba powróciła, a decydujące uderzenie nastąpiło w lipcu. Nasiliły się poprzednie symptomy, tym razem dodatkowo spotęgowane przez ataki szału. Celina zupełnie straciła kontakt z otoczeniem, uważała się za wybraną do wielkich czynów.

W ostatnich dniach lipca Mickiewicz ponownie oddał żonę do zakładu w Vanves. Lekarze byli pesymistami, uznali, że pacjentka prawdopodobnie już nigdy nie odzyska równowagi psychicznej. Poeta był tak przygnębiony, że nie zwrócił początkowo uwagi na pewien sen, który miał w tych dniach. Dopiero później uznał go za proroczą wizję:

„Widziałem człowieka z głębi kraju jadącego wózkiem jednokonnym, w biedzie, po błocie i mgle i uczułem, że ten człowiek wiezie wielkość! Wielkie rzeczy. I nie brałem tego za widzenie prorockie, ale za nadzwyczajny, żywy obraz poetycki, chciałem go opowiedzieć, ale spostrzegłem niepodobieństwo do prawdy, dałem pokój. Po poznaniu się z Andrzejem, nieprędko dowiedziałem się o szczegółach jego podróży i uznałem prawdę widzenia"[41].

Prorok w akcji

Andrzej Towiański przyjechał do Paryża z gotowym planem. Jako doskonały socjotechnik wiedział, że kluczem do sukcesu jest pozyskanie dla ruchu kogoś o powszechnie uznawanym autorytecie, a sytuacja rodzinna Mickiewicza otwierała duże możliwości działania.

Mistrz okazał się doskonale przygotowany do spotkania, od dawna zbierał informacje na temat wieszcza, a trudno o lepszych rozmówców niż dwaj przyjaciele z młodości plus była kochanka. Mickiewicz wpadł w pułapkę – był szczerze zaskoczony, że „prosty litewski szlachcic, który go nigdy nie znał i nie widział, przychodzi i powiada mu takie rzeczy o nim samym, o których Bóg tylko jeden i on sam wiedzieć mogłem".

Oczywiście Towiański odpowiednio podkoloryzował okoliczności swojego

wyjazdu z Litwy i nic nie wspomniał o wozie wyładowanym dobytkiem ani o swoim pieszym marszu przy koniu. Skoro Mickiewicz miał wizję, że mistrz jechał do Paryża „wozem jednokonnym", by rozpocząć swoją misję, to całkowicie się z nim zgodził. Poeta zupełnie poważnie traktował swoje sny i projekcje, a prorok nie uważał, że powinno się z nim w tej kwestii dyskutować.

Poza tym Towiański miał rzadką umiejętność: potrafił powiedzieć każdemu coś poruszającego. Bez problemu wmówił Adamowi, że w poprzednich wcieleniach wieszcz był „zakonnikiem znanym z surowości i męczeństwa. Był Dziewicą Orleańską. Był prorokiem przed Jezusem Chrystusem".

Litewskiego proroka można uważać za szarlatana lub chorego psychicznie wizjonera, ale należy podziwiać jego skuteczność. Po latach Adam opowiadał synowi, że podczas pierwszej rozmowy mistyk długo mówił o „dobrej nowinie", aż wreszcie zobowiązał się do uzdrowienia Celiny. Właśnie to zadecydowało, że Mickiewicz uwierzył Towiańskiemu i wbrew woli lekarzy zabrał chorą z kliniki. Pani Mickiewiczowa w stanie zupełnego obłędu stanęła przed mistrzem w podparyskim Nanterre:

„W salonie zebrało się kilka osób – wspominał wieszcz – nie te, które uwiadomiłem, ale przypadkowo nadeszłych. (…) Celina twarz miała jak z gipsu, wzrok osłupiały, była w paroksyzmie choroby. Towiański zbliżył się do niej, wziął ją za ręce, szepnął parę słów tak cicho, żem ich nie usłyszał. Celina padła na kolana, a wstawszy, zaczęła ściskać męża i dzieci. Wzruszenie obecnych było nadzwyczajne"[42].

Do dziś nie wiadomo, co litewski prorok powiedział Celinie, nie zanotowano również jej pierwszych słów po odzyskaniu świadomości. Przez najbliższe tygodnie pani Mickiewiczowa pozostała w Nanterre, przechodząc pod okiem mistrza regularną psychoterapię. Do końca życia miała jeszcze nawroty choroby, ale symptomy rzeczywiście już nigdy nie uderzyły z poprzednią siłą.

Mickiewicz uznał uzdrowienie żony za dowód nadprzyrodzonej mocy Andrzeja Towiańskiego. Natychmiast stał się gorliwym wyznawcą nauki mistrza i rozwinął ożywioną propagandę, poszukując nowych zwolenników. Zachwycony pisał w sierpniu 1841 roku do poety Józefa Bohdana Zaleskiego:

„Skoro ten list przeczytasz, upadnij na kolana i dziękuj Panu. Wielkie tu dzieją się rzeczy, Emigracja połączona. Spiesz zaraz, zaraz, do nas, abyś serce twe pocieszył, rozradował, okwiecił, ozielenił. U mnie w domu kwiaty i wiosna, i w sercu, i w duchu. (…) Więcej pisać nie wolno.

Słowiczku mój? A leć, a piej!
Na pożegnanie piej
Wylanym łzom, spełnionym snom,
Skończonej piosnce twej.

Bo wyszedł głos i padł już los,
Tajne brzemię lat
Wydało płód! I stał się cud!
I rozraduje świat"[43].

Koło Sprawy Bożej

Litewski prorok trafił na właściwy czas i miejsce. Emigracja polska nad Sekwaną miała za sobą lata rozczarowań (klęska powstania listopadowego, nieudana wyprawa Zaliwskiego, stłumienie spisku Konarskiego), w polityce europejskiej panowała równowaga, nic nie zapowiadało wojny między mocarstwami. Sprawa polska wydawała się pogrzebana na zawsze, a powrót emigrantów do kraju – niemożliwy. W zniechęconym środowisku duże szanse powodzenia miał więc mistyczny ruch religijny odwołujący się do cudownego rozstrzygnięcia sprawy polskiej.

Nauka proroka spod Wilna idealnie wpisywała się w ówczesne nurty religijne. We Francji działała w tym czasie sekta Miłosierdzia Bożego założona przez Pierre'a-Michela Vintrasa. Jej członkowie wyznawali poglądy zbliżone do poglądów Towiańskiego, zresztą z czasem część z nich po prostu przyłączyła się do mistrza. Intrygujące hasła głosił również polski Żyd Krystian Albrecht – nauczał, że Pismo Święte dotyczy wyłącznie terenów polskich, arka Noego osiadła po potopie na Górze Lanckorońskiej, Hebron to Kraków, Abrahama i Sarę pochowano na Wawelu, a Jezus Chrystus urodził się w Krzeszowicach. Biorąc to wszystko pod uwagę, nikogo nie powinno specjalnie dziwić, że żydowski prorok trafił wreszcie do zakładu dla obłąkanych.

Mickiewicz od dawna przejawiał skłonności do mistycyzmu. Nie chodzi nawet o uniesienia poetyckie, które przyniosły chociażby *Wielką improwizację*, ale o upodobania do duchowych objawień religijnych. W grudniu 1834 roku został współzałożycielem Związku Braci Zjednoczonych mającego stanowić przejaw religijnego odrodzenia emigracji. Planowano, że ta z założenia elitarna organizacja poprzez chrześcijańskie uczynki będzie pozytywnie oddziaływała na osiadłych we Francji rodaków, a jej członkowie mieli się spotykać na wspólnej modlitwie i rozmowach na tematy religijne.

Właściwie nigdy nie udało się zrealizować tego zamiaru, natomiast jeden z członków bractwa, Bogdan Jański, rozpoczął samodzielną działalność w gronie emigrantów dotkniętych różnymi nałogami. W polskich środowiskach we Francji stanowiło to poważny problem, bowiem większość uchodźców nie potrafiła się odnaleźć nad Sekwaną. Przystępując do powstania listopadowego, porzucili swoje dwory i domy, często także pozostawili w kraju rodziny. Wśród emigrantów nie brakowało młodzieży, która nie dokończyła edukacji i nie zdobyła żadnego zawodu, a także wojskowych, którzy nie nadawali się do innej pracy, gdyż dotąd ich jedynym zajęciem była służba ojczyźnie. To właśnie z tego grona rekrutowało się najwięcej frustratów i kandydatów na samobójców.

Naprzeciw ich potrzebom wychodził Domek Jańskiego, świeckie zgromadzenie, którego działalność popierał Mickiewicz. Widział on w Jańskim przyszłego założyciela zakonu mającego pracować dla zbawienia Polski. Wieszcz się nie mylił – to właśnie z tego kręgu wyrosło Zgromadzenie Zmartwychwstania Pańskiego, popularnie nazywane zmartwychwstańcami. Drogi jego członków i poety jednak się rozeszły – i właśnie zakonnicy mieli się stać najbardziej zajadłymi wrogami towiańczyków, chociaż zdarzały się także sytuacje odwrotne. Naukę litewskiego proroka przyjął bowiem ks. Edward Duński.

Koło Sprawy Bożej oficjalnie powołano do życia 1 czerwca 1842 roku, grupa liczyła wówczas siedemnaście osób. Jednak początki były dość skromne, bo z dotychczasowego otoczenia Mickiewicza przystąpili do niego tylko Celina i Stefan Zan, młodszy brat Tomasza Zana, przyjaciela z czasów studenckich. Do Koła dołączano po osobistej rozmowie z Towiańskim lub Mickiewiczem i po ich osobistej decyzji. Symbolem członkostwa stał się medalik wręczany nowo przyjętym przez mistrza lub „brata wieszcza" (oficjalny tytuł Mickiewicza). Z czasem działalność Koła sformalizowano, dzieląc jego członków na siódemki mające swoich przewodników. Sekta rozwijała się liczebnie, ale nigdy nie przekroczyła stu osób.

Natomiast w środowisku paryskiej emigracji gorliwie komentowano działalność towiańczyków, podejrzewając ich o poważne aberracje psychiczne.

„Rozważać więc niebawem rozpoczęto – podsumowywał generał Antoni Ostrowski – czy przypadkiem Mickiewicz długim a domowym nieszczęściem wiadomej żony jego choroby nękany, sam jako poeta imaginacji najżywiej pełen, nerwy mając rozterlikane [rozedrgane], osłabione i materią duchowi wystarczyć i podołać niemogący, czy przypadkiem – mówię – nie uległ i on pewnemu rodzajowi monomanii, wariacji kwalifikującej go bardziej do szpitala obłąkanych nędzarzy aniżeli na kapłana i opowiadacza nowej jakowejś politycznej wiary ugruntowanej na mistycyzmie, proroctwach i objawieniu. Już bowiem coraz głośniej o tym twierdzono, że się on bardziej do nadprzyrodzonego rzeczy położenia jak do wiadomości odebranych w zwykłych ludzkich drogach odwoływał. Rozeszły się nawet były wnet wyegzagerowane [przesadzone] wieści, iż nie tylko Mickiewicz, lecz nawet pułkownik Gorecki na głowę zachorował. Sięgano aż po Izydora Sobańskiego, trzeciego z rzędu apostołów przyjętej na się misji. Tu nie mogliśmy sobie w tym najszczególniejszego odgadnąć wypadku, jak to być może, aby trzech razem było do tego stopnia otumanionych, trzech razem, i to na chorobę umysłową jednego rodzaju zapadniętych"[44].

Ostrowski pilnie obserwował wydarzenia i po pewnym czasie ze zdziwieniem zauważył, że założyciele sekty wcale nie postradali zmysłów i znajdują się w całkiem dobrej kondycji psychicznej. Co więcej, w zaskakująco dobrej.

„(…) ani Mickiewicz, ani Gorecki nie chorują na obłąkanie – komentował – że z tej strony que [ich] lekarz egzaminował i po długim wpatrywaniu przekonał się, że są przy zdrowych zmysłach. A więc cóż onym być może? (…) Chyba że sami zwiedzeni, zmamieni drugich zwodzą i mamią, a co najszkodliwsze na pewnych tułaczów polskich wywierać poczęto wrażenie (…)".

Do sekty przystąpił początkowo także Juliusz Słowacki, co spotkało się z niechęcią części braci. Poetę uważano bowiem za „ducha brudnego", co było związane z jego umiejętnościami gry na giełdzie, gdzie osiągał znaczne sukcesy, które zapewniały mu niezły standard życia w Paryżu. Ponadto drażnił innych członków Koła swoimi wykwintnymi manierami i upodobaniami. Pił bowiem „wytworne wina, łykał ostrygi, zamiast jadać jak inni kartofle i kapuśniak". Kres przynależności Słowackiego do sekty przyniosła wreszcie potężna awantura z Mickiewiczem.

Także Gorecki nie wytrzymał zbyt długo wśród braci, gdyż zarzucił Towiańskiemu manipulację. Poszło o broszurę, której wydanie mistrz zapowiadał, a

podczas dyskusji na jej temat Mickiewicz uparł się, że należy ją zredagować. Wzburzyło to pułkownika, który uznał, że jeżeli mistrz faktycznie „ma misję od Boga, to to, co napisał, pierwej powinno pozostać i nie zmieniać podług żądania Mickiewicza, gdyż Pan Bóg się nie myli i nie poprawia". Według Goreckiego „Towiański misji od Boga nie ma i odstąpił od całej sprawy, o czym też wszystkim znajomym powiedział". Najwyraźniej znajomość gramatyki czy ortografii nie była mocną stroną litewskiego proroka, skoro nie potrafił poprawnie zanotować swoich widzeń czy wizji…

Powstanie sekty z niechęcią przyjęły władze francuskie. Towiańskiego podejrzewano o działalność agenturalną na rzecz Rosji – i były ku temu powody. Wyjechał przecież z kraju za zgodą władz carskich, zabierając ze sobą znaczne środki finansowe. W podróży towarzyszyła mu żona i dziecko, a niebawem bez problemów dołączyła do nich także szwagierka z mężem. W dodatku Towiański głosił ideologię panslawizmu bliską carskim politykom. Co prawda niebawem skonfiskowano jego litewskie majątki, ale mistrz specjalnie się tym nie przejął. Francuzi nie chcieli jednak ryzykować i w lipcu 1842 roku prorok został wydalony z kraju.

Andrzej Towiański osiadł początkowo w Brukseli, a potem przeniósł się do Szwajcarii. Jego zastępcą w Paryżu został Mickiewicz wprowadzający do życia sekty własne innowacje. Oskarżano go (nie bez powodu) o despotyzm i fanatyczne szerzenie kultu mistrza. Czasami nawet dawał do zrozumienia, że przywódca jest nowym Słowem Wcielonym! W korespondencji z prorokiem używał natomiast wyłącznie tytulatury „Mistrzu i Panie"…

Listy Towiańskiego odczytywano i komentowano na zebraniach Koła. A nie było to łatwe zadanie, bowiem mistrz pisał w sposób wyjątkowo mało komunikatywny. Oto próbka jego nauki:

„Gotowość do dzieła kapłana nowego przybytku na obudzenie życia ducha zależy. Jego liczba pięć. Cztery żywoty odbył – piąty ma odbyć – pobudź jego do takiego w części jęku dla Pana, jakie sam masz. Jest wyróżniony, niech pobudza ducha do służby"[45].

Takie przesłanie faktycznie mógł przyjąć tylko człowiek, który zbawiciela Polski nazwał „czterdzieści i cztery"…

Wygnanie mistrza

Zacytowana wypowiedź nie jest wyjątkiem – osoby chcące poznać doktrynę Towiańskiego poprzez lekturę jego pism czeka trudne zadanie. Styl proroka można uznać za wyjątkowo zawiły, ale bliższe prawdy będzie po prostu określenie, że Towiański pisał w sposób bełkotliwy. Dwa jego najważniejsze dzieła – *Biesiada* i *Wielki period* – mają chaotyczny układ, dominują w nich ciągłe powtórzenia, chwilami rażą też nieporadnością językową. Zdania złożone z reguły zadziwiają składnią, natomiast wiele zdań prostych sprawia wrażenie niedokończonych. Do tego Towiański stosuje dużo zapożyczeń ze staropolszczyzny, np. słowo „docisk" oznaczające wywieranie presji moralnej w celu złamania oporu drugiej osoby[46].

Nie brakowało też typowych dla terenów Wielkiego Księstwa Litewskiego rusycyzmów. Z tego powodu w pismach proroka pojawiały się słowa mało

zrozumiałe dla Polaków z innych stron kraju, takie jak: „wychód”, „wyzew” czy „zachylić”, a także „spółka” zamiast „współudziału” czy też „ton” mający oznaczać rodzaj wysiłku wewnętrznego.

Wyznawcy proroka zdawali sobie sprawę z kiepskiej jakości jego talentu pisarskiego i po śmierci przywódcy na nowo zredagowali *Biesiadę*. W poprawionej wersji stała się zdecydowanie przystępniejsza, co nie zmienia faktu, że tylko pod względem językowym. Nauka Towiańskiego nadal pozostawała bowiem bardzo trudna w odbiorze.

Nawet Mickiewicz będący przez dłuższy czas bezkrytyczny wobec mistrza zauważał jego brak oczytania czy wiedzy ogólnej. Twierdził jednak, że intelekt proroka i siła jego ducha całkowicie rekompensują te braki. Przy okazji zwracał także uwagę na inne cechy charakteru Towiańskiego, które powodowały, że osobiste z nim kontakty były dość trudne:

„Mistrz, mimo tak głębokiego o wszystkim pojęcia, nie rozumie żadnego dowcipu ani kalamburu; słuchałby i patrzył ze zdziwieniem na śmiejących się dowcipków”[47].

Ksawera Deybel

Specyficzną rolę w działalności sekty odgrywały kobiety, a żonę mistrza, Karolinę Towiańską, podejrzewano nawet o kierowanie ruchem. Zygmunt Krasiński zauważył, że pod jej nieobecność prorok „wracał do dawnego stanu mierności. Ile razy był z nią razem i mieszkał, odzyskiwał swoją potęgę”. Stwierdził nawet, że to właśnie „ona wszystko widzi, nie on”. Warto też pamiętać, że nie mniejszy wpływ na Sprawę wywierała siostra Karoliny – Anna Guttowa. Obie panie nieustannie knuły intrygi, wygrywając ambicje poszczególnych wyznawców. Niektórzy badacze podejrzewają nawet, że Słowacki sportretował Karolinę pod postacią Pychy w *Królu-Duchu*.

Natomiast u schyłku 1841 roku w Paryżu pojawiła się kolejna kobieta mająca odegrać ogromną rolę zarówno w sekcie, jak i w życiu najważniejszego wyznawcy Towiańskiego, Adama Mickiewicza. Była nią Ksawera Deybel. Biografowie poety zrobili wiele, by usunąć ją z jego życia – problemem nie była dla nich przynależność wieszcza do sekty, lecz fakt, że Mickiewicz przez całą dekadę mieszkał pod jednym dachem z żoną i kochanką, a do tego płodził im na zmianę dzieci. Żałować można tylko potomstwa poety (tego legalnego i z nieprawego łoża), które wychowywało się w rodzinie dysfunkcyjnej o wyraźnych cechach patologicznych.

Ksawera (właściwie Anna) Deybel urodziła się około 1818 roku w Wilnie, jej rodzice byli właścicielami pensji dla dziewcząt. W młodych latach zapewne widywała czasami Mickiewicza – jego przyjaciel, Tomasz Zan, pracował tam bowiem jako nauczyciel. Zresztą poeta niemal stale był obecny w życiu Ksawery, gdyż przez pewien czas uczyła też śpiewu dzieci Maryli Puttkamerowej, kochanki i wielkiej miłości Mickiewicza. Później znalazła się w Petersburgu, gdzie poznała Malewskich, i to zapewne oni polecili dziewczynę Celinie Mickiewiczowej poszukującej guwernantki dla swoich dzieci. Wyjazd do Paryża miał być dla Deybelówny również okazją do podniesienia kwalifikacji wokalnych.

Nad Sekwaną Ksawera stała się fanatyczną wyznawczynią nauki Towiańskiego. Zachwyt mistrza wzbudzały jej stany ekstatyczne, podczas których widywała „około

głowy Towiańskiego gwiazd dwanaście”. Zdecydowanie przodowała w tym wśród braci, albowiem Ferdynand Gutt widział gwiazd zaledwie „siedem, a Mickiewicz trzy czy podobno już tylko jedną”. Liczba gwiazd widzianych wokół głowy mistrza odgrywała ogromną rolę, znacznie większą niż popisy Gutta, który „miewał konwulsje na dwanaście tempów i polował na fruwającego ducha (…)”.

Zachowało się zdjęcie Ksawery Deybel – była kobietą o przeciętnej urodzie, nie dorównywała pod tym względem Celinie, a jej niski wzrost musiał od razu zwracać uwagę. Można tak wywnioskować z *Chóru duchów izraelskich* Juliusza Słowackiego (chociaż poeta także do wysokich nie należał):

„Panna Dejbelka
osoba niewielka!
ta chodzi
i zwodzi
bez węża,
gdy Pan Bóg spuści męża”.

Ksawera miała jednak to coś, czego zdjęcie sprzed półtora wieku nie mogło przekazać: bliżej nieokreśloną emanację kobiecości, seksapil, który powodował, że mężczyźni tracili dla niej rozsądek. Jedną z cech jej aparycji było nieprawdopodobne, przeszywające rozmówcę spojrzenie. Zofia Szymanowska (przyrodnia siostra Celiny) wspominała, że „wzrok tej kobiety, utkwiony (…) z siłą tak przenikającą” wzbudzał poważny niepokój. Podobno nawet sam mistrz nie mógł wytrzymać spojrzenia swojej wyznawczyni i polecił, by podczas audiencji zasłaniała oczy. Ale to, co jednych przerażało, innych (oczywiście mężczyzn) doprowadzało do zmysłowego szaleństwa. Każdy kontakt z dziewczyną miał podtekst erotyczny, gdyż panna Deybel emanowała aurą seksualnej dostępności. W zamkniętym środowisku zdominowanym przez samotnych mężczyzn miało to ogromne znaczenie…

Ksawera uchodziła za osobę o dużym temperamencie i niektórzy z towiańczyków zostali jej partnerami seksualnymi. Jej wiernym wielbicielem był Stefan Zan przez wiele lat bezskutecznie starający się o rękę kochanki. Jednak największą rolę w jej życiu intymnym odegrał „brat wieszcz”. Adam przecież „przepadał za plemieniem niewieścim” i nie zwykł przepuszczać podobnych okazji.

Związkowi poety i guwernantki patronował sam mistrz. W małżeństwie Mickiewiczów nie działo się wówczas najlepiej, a prorok uznał, że jego najważniejszy wyznawca powinien odczuwać komfort erotyczny. Nie na darmo zauważył (w rozmowie z Sewerynem Goszczyńskim), że „nikt tak nie gardzi Adamem jak Celina, bo go zna lepiej niż kto inny. Używa go tylko za narzędzie swojej dumy, swego górowania”. A Ksawera miała być w domu „brata wieszcza” zarówno kochanką, jak i agentką, kontrolerem oraz emisariuszem Sprawy.

Towiański głosił czasami oryginalne poglądy na temat wierności małżeńskiej – uważał bowiem, że dla dobra ruchu należy ignorować sprawy bez znaczenia. Ciekawą ilustracją przekonań mistrza jest wypowiedź jednej z adeptek ruchu – Zofii Komierowskiej:

„Mówiąc o małżeństwie moim, powiedział mi, że z powodu zbyt wielkiej różnicy wieku między nami [małżonkami] uwalnia mnie zupełnie od wierności małżeńskiej,

której zresztą ani Bóg, ani Kościół od nikogo nie wymaga [podkreślenie – S.K.]; mam tylko uważać, aby duch tego, który zajmie w moim sercu miejsce męża, był czysty i wolny; co powiedziawszy, zrobił znak krzyża świętego na moim czole (…) i gorący pocałunek na twarzy mojej składając (…)”[48].

Panna Deybel otrzymała medalik Koła trzy miesiące wcześniej niż Celina, a do tego zajmowała też wyższą pozycję w hierarchii sekty. Celinę uważano za „stary Izrael”, natomiast Ksawerę za „księżniczkę izraelską”. Warto zapamiętać te dwa określenia, a także „mebel”, jak zaraz po ślubie mąż określał Celinę w listach do przyjaciół.

W tym czasie Adam wygłaszał zastanawiające poglądy na temat rozwiązywania problemów małżeńskich. Czy wpływ na ich ewolucję miały konflikty z Celiną? Niewykluczone.

„Pułkownik Kamiński [Michał Kamieński – S.K.] dziwne miewał halucynacje, które sprowadzał natchnieniami umysłu swego, pobożnymi pieśniami. Miał zwyczaj, a raczej postanowił sobie, dwie godziny dnia każdego wyśpiewywać *Psalmy Dawida*, każąc żonie towarzyszyć sobie na fortepianie. Wyobraził sobie, że przód, nim był pułkownikiem Kamińskim, przepędził jedno życie na oborze i spełniał funkcje krowy. Toteż głos jego był tak ryczący, że żona wzbraniała się mu towarzyszyć fortepianem. Mąż sprowadził Mickiewicza, a mistrz powagą swoją wręczył Kamińskiemu laskę grubą, mówiąc: »Daję ci moc nieposłuszną żonę do uległości tym kijem przyprowadzić«. Były płacze w domu i aż krewny żony, p. Jakub Malinowski, musiał łagodnie pomiarkować męża”[49].

Ciekawe, czy podobne metody „brat wieszcz” stosował wobec własnej małżonki…

Początkowo Celina była zadowolona z zatrudnienia panny Deybel. Pisała do siostry, że „Xawera jest dla niej wielką pomocą”, i najwyraźniej nie dostrzegała romansu męża z guwernantką. Biorąc pod uwagę, że mieszkali w trójkę (plus dzieci) pod jednym dachem i obracali się w niewielkim środowisku towiańczyków, gdzie trudno było utrzymać coś w tajemnicy, wydaje się to bardzo dziwne.

Prawda może się okazać jednak o wiele bardziej szokująca: wydaje się, że Celina początkowo akceptowała romans męża z „księżniczką izraelską”. Była bowiem całkowicie podporządkowana Towiańskiemu, uważając, że zawdzięcza mu uzdrowienie. Skoro mistrz popierał romans „brata wieszcza” z siostrą Deybel, to wierna wyznawczyni Sprawy musiała się z tym pogodzić. Poza tym Celina wierzyła, że odepchnięcie jej przez proroka spowoduje natychmiastowy nawrót choroby.

Mimo niewielu zachowanych źródeł można domniemywać, że związek poety z Ksawerą nie przebiegał bezproblemowo. Dziewczynę adorowali (a właściwie napastowali) inni towiańczycy, sam mistrz ubolewał, że jego szwagier, zapominając o własnej żonie, „duchem u nóg jej leżał”. Czy jego zabiegi przyniosły efekty – nie wiadomo, ale Ksawera na pewno nie odrzuciła Seweryna Pilchowskiego (urodziła mu dziecko). Czy wówczas trwał również jej związek z wieszczem? Czy może Adam i Seweryn byli kochankami panny Deybel jednocześnie? Dokładnych faktów zapewne nigdy nie ustalimy, ale intymne życie „księżniczki izraelskiej” wpłynęło na fatalną opinię o towianizmie wśród współczesnych. Zapewne stąd brały się rewelacje o wspólnocie żon czy przydzielaniu braciom kobiet przez mistrza. W rzeczywistości chodziło bowiem o kilku mężczyzn rywalizujących o względy jednej kobiety. Ale

wśród tych mężczyzn był przecież „brat wieszcz” – najwybitniejszy polski poeta.

Problemy z Pilchowskim nie ograniczały się wyłącznie do rywalizacji o wdzięki siostry Deybel. Brat Seweryn postanowił zająć miejsce Mickiewicza w Kole i przekonał do tego wielu współwyznawców (nawet Stefana Zana). Wyzwał również poetę na pojedynek – najwierniejsi uczniowie proroka mieli rozwiązać konflikt w sposób właściwy dla polskiej szlachty: nie rywalizacją na klątwy czy uroki, tylko zwykłą, ręczną robotą. Zapewne nie chodziło w tym sporze wyłącznie o przewodnictwo religijne, gdyż na konflikt nałożyła się sprawa „księżniczki izraelskiej”. Mickiewicz wyzwanie przyjął, a Celina zażądała dla siebie roli sekundanta! Najwyraźniej okazywała już wówczas zazdrość o siostrę Deybel.

Było to chyba jedyne wyzwanie w życiu Adama, które zakończyło się pojedynkiem. Z enigmatycznych źródeł wynika, że w tym czasie Mickiewicz przechodził tajemniczą chorobę połączoną z krwawieniami (hemoroidy?). Mógł to być właśnie efekt rany odniesionej w walce z Pilchowskim, chociaż ostatecznej pewności nigdy mieć nie będziemy.

Przy osobie brata Seweryna warto się na chwilę zatrzymać. Dzielny ułan z powstania listopadowego (walczył na Wołyniu) uchodził w kraju za wielbiciela wesołej zabawy przy kielichu i kartach. Pozbawiony na emigracji ulubionych rozrywek i kompletnie zagubiony przystąpił do towiańczyków. Nie był to zresztą jedyny żołnierz w szeregach sekty. Michał Kamieński (wielbiciel katowania żony laską) za udział w powstaniu otrzymał złoty krzyż Virtuti Militari, a poeta Seweryn Goszczyński zasłynął udziałem w ataku na Belweder. Do sekty trafił także Karol Różycki, były żołnierz armii Księstwa Warszawskiego i dowódca Pułku Jazdy Wołyńskiej w powstaniu listopadowym. Teraz ich życie wypełniały problemy Koła Sprawy Bożej, dobre i złe duchy oraz identyfikacja poprzednich wcieleń.

Tymczasem Mickiewicz coraz bardziej radykalizował swoje poglądy. Podczas wykładów prowadzonych w Collège de France wygłaszał krytyczne uwagi pod adresem Kościoła. Atakował „prawie wszystkie punkty katolickiej religii (…) i traktował świętych jak swych kolegów”. W parlamencie francuskim rozgorzała dyskusja na temat „nowej Ewangelii” głoszonej za państwowe pieniądze – w efekcie poeta musiał poprosić o półroczny płatny urlop i już nigdy więcej nie powrócił do zajęć.

Ofensywą towianizmu niepokoili się nie tylko politycy. Gdy władze kościelne zakazały udzielania towiańczykom sakramentów, „brat wieszcz” znalazł rozwiązanie: skoro małżonkom Łąckim odmówiono ślubu kościelnego (mieli tylko cywilny), osobiście udzielił im sakramentu! Stąd już niedaleka droga do niezależnych od Kościoła (pomysł Mickiewicza) chrztów i pogrzebów. Ale jak mogło być inaczej, skoro niektórzy bracia głosili, że sam mistrz jest sakramentem!

Zdarzają się zresztą badacze, którzy twierdzą, że to właśnie Mickiewicz był najbardziej radykalny w swoich poglądach, a do tego jeszcze teatralizował życie sekty. Jak przystało na poetę (nawet w stanie spoczynku) i mistyka, potrzebował, by życie braci było jeszcze bardziej niezwykłe. Spotkania z kandydatami odbywały się w domu Mickiewiczów – reżyserował je, zanim dopuścił nowych wiernych przed oblicze Towiańskiego. To właśnie z inicjatywy Mickiewicza pojawiły się nowe obrzędy, na przykład ślub Nowego Zakonu z Kołem, post Nowego Zakonu, a także

publiczna spowiedź, podczas której każdy z członków sekty był zobowiązany wyznać swoje grzechy braciom. Do tego dochodziły jeszcze imieniny i urodziny mistrza oraz spotkania poświęcone jego osobie. Towiańczycy nosili także takie same stroje jak ich prorok, a nawet pierścienie, w które wtopiono jego włosy[50].

„Wieczór na cześć Mistrza – wspominał Seweryn Goszczyński – jako w wigilię jego imienin. Adam łamał i rozdawał chleb, za napój białe wino. Część chleba i wina będzie wysłana Mistrzowi”[51].

Naśladowanie mistrza nie było zresztą najłatwiejszą próbą. Mniejsza nawet o ubiór, chociaż – czego można się było spodziewać – Towiański nosił stroje przedziwnego kroju, które szyły mu żona i szwagierka. Gorzej, że w każdą najdrobniejszą życiową sprawę włączał siły nadprzyrodzone. Nawet gdy chciał kupić gwoździe, żarliwie się modlił, by wreszcie zrozumieć, „jakie kupić gwoździe, gdzie i za ile”[52].

„Nie masz szczegółu od obuwia aż do mieszkania Mistrza – potwierdzał Mickiewicz – który by nie był obrachowany, rozważony z punktu widzenia Sprawy. O wszystkim on pamięta, wszystko sam urządza. Jadąc (…) z kilkorgiem osób, często całą noc chodzi z rzeczami po miasteczku, nim znajdzie kwaterę odpowiednią pod każdym względem. Umawia się z gospodarzem, wytrzymuje sprzeczki, nie ustąpi w niczym, w najmniejszej rzeczy pilnuje tonu”[53].

Duchowa spółka

Życie członków sekty przypominało kiepski teatr z histerycznymi aktorami. Rywalizacja wewnątrz grupy, nadużycia moralne, przejawy kabotyństwa. Sceny objawień, ekstatyczne uniesienia i prorocze sny. Publiczne przykłady autokrytyki (niczym seanse samooskarżania się z czasów zebrań partii komunistycznych), obnażanie własnych problemów, oskarżenia rzucane pod adresem innych wyznawców. A wszystko to wygłaszane w specyficznym języku, dziwacznej nowomowie towiańczyków: „ataki złego”, „mąt”, „kopanie w korycie”. I chociaż członkowie Koła coraz bardziej izolowali się od reszty emigrantów, to jednak do Sprawy wciąż dołączali nowi adepci.

W samym środku tego zamieszania rozwijał się romans „brata wieszcza” z siostrą Deybel. Nie był to jednak prozaiczny związek pracodawcy z guwernantką – Adam uznał Ksawerę za osobę mu przeznaczoną, z którą zawarł swoistą „spółkę duchową”. Po raz pierwszy od lat (a może jedyny raz w życiu) odczuwał całkowite zespolenie z kobietą: fizyczne, intelektualne i religijne. Podobno oboje mieli wrażenie, że są połówkami tej samej duszy, a tym bardziej chyba ciała. Wbrew bowiem oficjalnym opiniom poety wątek erotyczny odgrywał ogromną rolę w ich związku. Władysław Bełza zauważył, że Adama „pociągało w Ksawerze coś jakby chorobliwego, co zakrawało na…”. No właśnie, na co? Na nimfomanię? A może po prostu „księżniczka izraelska” potrafiła dać Mickiewiczowi satysfakcję seksualną jak żadna inna kobieta wcześniej?

Deybelównie nie wystarczały zresztą już tylko spółka duchowa i więź erotyczna. Poeta Władysław Bełza opowiadał, że gdy „Adam wychodził z domu, (…) Ksawera zarzucała również szal na siebie i brała go na oczach żony pod rękę, i wychodzili

razem”. Co w ten sposób chciała osiągnąć? Udowodnić Celinie swoją uprzywilejowaną pozycję? Upokorzyć oficjalną żonę? Czy też publicznie pokazywać się na mieście ze swoim partnerem?

Celina przez pewien czas akceptowała sytuację, pisała, że czuła się wówczas wyłącznie „narzeczoną” Mickiewicza (rolę żony odgrywała – oczywiście – Ksawera). Na pewno decydował o tym wpływ mistrza, a także pozycja siostry Deybel w Kole. Analizując listy Celiny do Adama (pisane pięć lat po pojawieniu się Ksawery w ich domu), można jednak zauważyć rozpaczliwą walkę kobiety o odzyskanie męża, o zmianę swojej roli w rozpadającym się związku. Celina marzyła, by mieć takie znaczenie, jakie osiągnęła siostra Deybel, i wcale nie chodziło jej o sprawy czysto fizyczne. Pragnęła jedności duchowej z Adamem, wspólnoty mającej doprowadzić ją do pozycji „żony brata”, co w nowomowie towiańczyków oznaczało małżonkę:

„[Mistrz] mówił mi wiele o Tobie, o drogach naszych, które są tak powiązane i spojone jak pięć palcy u ręki, której jeden palec zbolały odbiera moc i władzę. Ja dotąd, mój drogi Adamie, byłam dla Ciebie tym palcem, wyznaję to z żalem i bólem, ale odtąd moim usiłowaniem i pracą chcę być dla Ciebie gwiazdą jasną i odsługiwać Ci za dwanaście lat Twoich ofiar i krzyża”[54].

Piękne słowa, które mogą wyjść wyłącznie spod pióra zakochanej kobiety. Ale Mickiewicz w tym czasie miał już odmienne poglądy na ich małżeństwo. W rozmowie z poetą Aleksandrem Chodźką wygłaszał zadziwiające teorie:

„Dziś celem małżeństwa musi być wzajemne zbawienie dusz, to jest, aby mąż i żona tym żyli, jak ją podnosić, uszlachetniać, zamienić to w chleb powszedni. Inaczej małżeństwo będzie piekłem. Z człowiekiem innych niż ty celów podróżować nie można, za kilkanaście godzin znudzi ciebie; a cóż dopiero z żoną, która by nie sympatyzowała z celami twoimi. Stąd to wszystkie klęski tak często dzisiaj narzekających małżeństw; na pozór dobrze, a wewnątrz piekło. Tam tylko doskonałe jest małżeństwo, gdzie jest ciągła obopólna duchowa praca.

Głównym obowiązkiem żony jest utrzymywać zawsze czysty ton prawdy. Jej organizacja fizyczna, ciaśniejszy krąg jej obowiązków, wszystko, co ją otacza, Bóg w miłosierdziu i mądrości swojej tak urządził, że kobiecie łatwiej w tym tonie utrzymywać się.

Mężczyzna roztarga się łatwiej, już to z natury swojej, już z natury działań, do których jest powołany. Wróciwszy do domu roztargniony, w jednym spojrzeniu żony, w kilku jej słowach, czasem w samym jej głosie ma znaleźć kamerton, który go wróci do prawdziwego tonu. Takie tylko małżeństwo jest małżeństwem w duchu, inna, prócz takiej, żona jest tylko nałożnicą”[55].

Poeta najwyraźniej uważał Celinę za nałożnicę, a Ksawerę za prawowitą małżonkę. W rozmowie ze swoim sekretarzem Armandem Lévym zauważył, że „prawdziwym małżeństwem jest to, które łączy połowy pary przeznaczonej dla siebie przez Opatrzność; ono jedno daje środki dopełnienia naszego powołania tu na padole. Wszystkie inne osłabiają nas”. Ale wbrew głoszonym teoriom Mickiewicz nie unikał środków „osłabiających”. Podczas związku męża z Ksawerą Celina Mickiewiczowa urodziła wieszczowi dwoje dzieci! A Ksawera w tym czasie również dwoje i jeszcze jedno Sewerynowi Pilchowskiemu. Jak na duchową spółkę to całkiem niezły wynik.

Panslawizm

Tło prywatnego życia poety stanowi historia towianizmu; jego zawirowań, zaburzeń i rozłamów. Panslawizm głoszony przez mistrza przechodził w rusofilstwo – pojawiła się doktryna o wyrównaniu wzajemnych grzechów Polski i Rosji. Do Paryża przyjechał były filareta Aleksander Chodźko, który był wówczas rosyjskim dyplomatą. Stał się zagorzałym zwolennikiem Sprawy, a kontakt z nim nasunął Towiańskiemu i Mickiewiczowi pomysł na pozyskanie dla sekty cara Mikołaja I!

Trzeba przyznać, że wyjaśnienia mistrza na temat pogodzenia Polaków z Rosjanami mogły szokować. Uznał bowiem, że państwo carów było narzędziem kary Bożej dla Polski za jej grzechy. Nie zmieniało to jednak faktu, że Rosja „zniżyła się" i „prędzej czy później miała odpowiedzieć przed Bogiem za zniżenie się swoje". Wszystko to było podane typowym dla mistrza mętnym językiem, a nawoływanie do miłości wobec wroga sąsiadowało z typowo utopijnymi hasłami:

„Kiedy oba te narody przyjmą chrześcijańskie powołanie swoje, (…) wówczas zawiąże się między nimi spółka i przyjaźń w Chrystusie, a w tej spółce wszystkie spory i zatargi polityczne rozstrzygną się łatwo w duchu chrześcijańskim, wedle samej prawdy i doskonałości"[56].

Do tego dochodziło jeszcze gorliwe propagowanie idei panslawizmu, gdyż Polska „jako znakomita część plemienia słowiańskiego" przechowała „w duszy skarb ognia Chrystusowego, skarb miłości, uczucia", co miało być „kamieniem węgielnym Sprawy Bożej" – i w efekcie nastąpiłoby pogodzenie Polaków z Rosjanami.

List Koła do cara przedstawiono braciom na jednym z cyklicznych spotkań. Po jego odczytaniu zapadła cisza – nawet ludzie ogarnięci obłędem mistycznym nie potrafili się pogodzić z uniżonością, jaką charakteryzowała się korespondencja zaadresowana do cara. Mickiewicz, ratując sytuację, oznajmił:

„»Bracia! Dziś ukazał mi się duch Aleksandra I, cesarza Rosji, i prosił, aby bracia zanieśli modły do Boga na jego intencję«. Juliusz S., a antagonista Mickiewicza, w którym odezwała się żyłka polska, podnosi głos po mistrzu: »A mnie, bracia, ukazał się duch Stefana Batorego i prosił, abym przestrzegł, iżby bracia za żadnym nie modlili się Moskalem!«. Mickiewicz na to porywa silnie za ramię Juliusza Słowackiego, przywodzi go do drzwi i wypędza słowami: »Poszoł won, durak!«"[57].

Juliusz Słowacki ostatecznie zerwał ze Sprawą, a Mickiewicz nie zrezygnował z wysłania listu do cara. Korespondencję miał zawieźć Seweryn Pilchowski, który zgłosił się na ochotnika. Gdy jednak otrzymał pieniądze zebrane na podróż, przypomniał sobie o dawnych upodobaniach.

„Pilchowski – notował z satysfakcją Zygmunt Krasiński – pierwszy chłop, co miał iść daleko na wędrówkę, pozostał w miejscu. Tylko 5000 franków, otrzymanych od Chodźki i innych na pielgrzymstwo, roztrwonił na wino szampańskie. Za to od Mistrza zdegradowany – panna Deybel też zdegradowana"[58].

Dlaczego Krasiński umieścił wiadomość o degradacji Pilchowskiego razem z informacją na temat „księżniczki izraelskiej"? Czyżby Ksawera brała udział w hulankach byłego ułana?

Siostra Deybel rzeczywiście popadła w niełaskę. Celina z radością donosiła Helenie Malewskiej: „Panny Deybel już u nas nie ma". Nie na długo jednak…

Rozłam w sekcie

Nie wiadomo, jak potoczyłyby się losy Koła Sprawy Bożej, gdyby Towiański ciągle przebywał w Paryżu. Jednak zmuszony do opuszczenia Francji przeniósł się do Brukseli, a następnie osiadł w Zurychu. Z wyznawcami komunikował się drogą korespondencyjną, czasami też wzywał do siebie poszczególnych wiernych. Zastępujący go Mickiewicz nie miał jednak jego umiejętności socjotechnicznych i chwilami zachowywał się, jakby chciał wyważyć otwarte drzwi. Poza tym nie wszyscy zgadzali się na jego prymat w sekcie.

W tym czasie Pilchowski zrozumiał, że ostatecznie przegrał z Mickiewiczem rywalizację o względy Ksawery i wystąpił z Koła Sprawy Bożej. Otrzymał carską amnestię, przeszedł na prawosławie i wrócił do kraju. Dziwnych pomysłów mistrza miał już dosyć także pułkownik Kamieński, który stwierdził, że przestał wierzyć w Towiańskiego, gdyż jego nauki są zbyt promoskiewskie i nie będzie wyznawał „idei mongolsko-słowiańskiej”.

Natomiast Ksawera ponownie związała się z Mickiewiczem. I kiedy Towiański przekazał władzę w Kole Karolowi Różyckiemu („bratu wodzowi”), stanęła po stronie Mickiewicza. Co ciekawe, Celina popierała jeszcze wówczas mistrza, nic zatem dziwnego, że panna Deybel „na jej widok wymachiwała rękami i strzykała śliną”. Konfliktu w Kole nie udało się już zażegnać, nie pomógł nawet pobyt Adama u mistrza w Szwajcarii w lutym i marcu 1846 roku. Wieszcza poddano wówczas ordynarnemu szantażowi psychicznemu, w którym celowała Karolina Towiańska. Oznajmiła poecie, że objawiła jej się jego zmarła matka, zapowiadając śmierć syna w ciągu trzech dni, jeśli ten nie ukorzy się przed mistrzem.

Mickiewicz potraktował z całą powagą rewelacje Towiańskiej. Zdania jednak nie zmienił, sporządził testament i czekał na śmierć. Gdy jednak minęły trzy dni, a koniec nie nadszedł, spakował się i wrócił do Paryża. Nie przejął się również groźbami mistrza Andrzeja, który sugerował mu wyjątkowo nikczemne kolejne wcielenie. Mickiewicz stanął na czele secesjonistów (dwadzieścia dwie osoby z Ksawerą na czele) i nadal prowadził działalność sekty. Ale już bez mistrza i jego wszechwładnych kobiet.

Wierni Towiańskiemu zarzucali Mickiewiczowi, że „wprowadził do Koła szatana”, ale wieszcz i jego zwolennicy nie zmienili zdania. Bardzo to przeżywał sam Towiański, który zdawał sobie sprawę, że ostatecznie stracił najważniejszego wyznawcę. W jednej z rozmów stwierdził, że Adam jest gorszy niż car Mikołaj, i zaoferował, iż „rękę swoją lewą chętnie odda na spalenie, byle tylko furie trapiły dziś Adama”. Secesja Mickiewicza rzeczywiście musiała zrobić na litewskim proroku ogromne wrażenie, skoro proponował na ofiarę własną rękę… W innym przypadku zadowoliłby się zapewne kończyną jednego ze swoich wyznawców.

Natomiast wieszcz niebawem przeszedł od słowa do czynu i podczas Wiosny Ludów rozpoczął organizację Legionu Polskiego we Włoszech. Sukcesów nie osiągnął, ale najwyraźniej uznał, że działalność misyjna powinna zejść na dalszy plan. Miało go to ostatecznie zaprowadzić w 1855 roku do Konstantynopola, gdzie z kolei organizował Legion Żydowski do walki z Rosją. Sytuacja wydawała się sprzyjająca, imperium carów ponosiło klęski w wojnie krymskiej prowadzonej przeciwko Anglii i

Francji – nie dało to jednak żadnych korzyści sprawie polskiej. Ale sam Mickiewicz już tego nie zobaczył, gdyż zmarł w Konstantynopolu w listopadzie 1855 roku. Nie wiadomo, czy przyczyną śmierci była cholera, czy trucizna. Wieszcz nie doczekał też kolejnego ogólnonarodowego powstania. I następnej klęski.

Udział w sekcie nie przyniósł też szczęścia Ksawerze Deybel. Jej związek z Mickiewiczem rozpadł się jeszcze na początku lat 50. XIX wieku. Wprawdzie potem wyszła za mąż za francuskiego policjanta Edmonda Mainarda, ale partner stracił pracę za sympatyzowanie z towiańczykami i zginął zasztyletowany pod jednym z paryskich mostów. Dwoje dzieci Ksawery zmarło w dzieciństwie, a zrozpaczona matka nie miała nawet pieniędzy na całun dla synka grzebanego w zbiorowej mogile.

Sama „diablica towianizmu" odeszła w kompletnej biedzie, opuszczona i zapomniana przez wszystkich – nie wiadomo nawet, gdzie została pochowana. Pragnęła być żoną „brata wieszcza", partnerką przywódcy religijnego ruchu odnowy moralnej, a pozostała po niej wątpliwa sława „wampa towianizmu". Rola, która zupełnie ją przerosła i zniszczyła.

Nowa epoka

Tymczasem historia Europy znacznie przyspieszyła, co stało się problemem dla Towiańskiego. Nadeszła Wiosna Ludów, następnie wojna krymska, a potem w kraju wybuchło powstanie styczniowe, które stanowiło zaprzeczenie głoszonych przez proroka teorii panslawizmu. Początkowo mistrz popierał manifestacje z roku 1861, gdyż uznał, że był to właściwy „ton". Śmierć pięciu manifestantów podczas demonstracji 27 lutego uznał za „błogosławieństwo" (!), bowiem „rodacy jego czynili Sprawę Bożą". Jednak masakrę z kwietnia określił jako zmarnowanie „łaski Miłosierdzia Bożego", gdyż potrzebna była miłość „pod przewodnictwem nieba" zamiast przemocy.

Jeszcze większe kontrowersje wzbudziło zachowanie Towiańskiego po wybuchu powstania. Uznał, że winni rozlewu krwi są Polacy, którzy chcieli „górować", co miało być oznaką pychy. Tego było za wiele nawet dla najwierniejszych – porzucali mistrza, by przyłączyć się do insurekcji. Należał do nich Karol Różycki, który doszedł do wniosku, że czas zakończyć tułaczkę i rozpocząć walkę zbrojną. Natomiast samego proroka bardziej interesowała akcja misyjna wśród powstańców niż przebieg zrywu. Chciał nawracać walczących na Sprawę Bożą, oczywiście za pomocą swoich uczniów, gdyż sam nie zamierzał się narażać. Nie zmienia to jednak faktu, że wśród bojowników rzeczywiście trafiali się zwolennicy mistrza – stąd też pochodzą późniejsze informacje o towiańczykach zesłanych na Syberię.

Po klęsce powstania, gdy na kraj spadły carskie represje, prorok zalecał rozwój duchowy, co miało zapewnić wybawienie Polski. Jednak w nowej sytuacji politycznej podobne poglądy były już tylko zużytym schematem, co sprawiło, że kolejni wierni opuścili sektę. Wychodzili bowiem z założenia, że być może mistrz głosił piękne wartości, ale nie przystawały one już do realiów otaczającego ich świata. Tym bardziej że panslawizm w dobie rosyjskiego terroru wyglądał na zdradę narodową.

Sekta chyliła się ku upadkowi, ale prorok nie mógł narzekać na swój los. Żył bowiem jeszcze wyjątkowo długo i zmarł w 1878 roku, mając prawie osiemdziesiąt

lat (w tym samym czasie zmarli jego żona, szwagier i szwagierka). Do końca życia mieszkał w Szwajcarii, utrzymując się z datków wiernych oraz pieniędzy przesyłanych przez dzieci pozostawione na Litwie. Ze swojej praktyki lekarskiej wspomagał go finansowo także Gutt, chociaż z reguły leczył on jednak za darmo.

Pod koniec życia prorok stał się podobno straszliwym łakomczuchem i nawet jeżdżąc na spacer, zabierał ze sobą w woreczkach przymocowanych do peleryny paczki cukierków i owoców kandyzowanych. Według jednej z relacji łakomstwo stało się przyczyną jego śmierci, albowiem miał umrzeć na skutek przejedzenia. Rzekomo (według tej samej relacji) na starość nocami napastował również służące w domu dziewczęta, wskutek czego kolejno opuszczały pracę. Ile w tym prawdy, tego zapewne nigdy nie ustalimy.

Warte uwagi są natomiast okoliczności zgonu i pogrzebu mistrza, który umierał jak prawowierny katolik. Dwa dni przed śmiercią, 11 maja 1878 roku, w rocznicę objawień z lat 1828 i 1839 wyspowiadał się i przyjął komunię. Pogrzeb miał charakter katolicki, a miejscowy proboszcz wygłosił mowę na cześć zmarłego. Potem przemawiał były powstaniec, historyk Słowiańszczyzny, Hieronim Bońkowski, który stwierdził, że gdy Polska odzyska niepodległość, „święte zwłoki" zostaną przeniesione do ojczyzny[59]. Nie nastąpiło to do dziś – Towiański wraz z żoną spoczywają na cmentarzu Sihlfeld w Zurychu, a tuż obok znajduje się grób Anny i Ferdynanda Guttów.

Włoscy towiańczycy

Sekta towiańczyków miała jednak przeżyć mistrza, a nowych wyznawców ruch znalazł głównie we Włoszech. Jako gmina kontemplacyjno-mistyczna skierowana na doskonalenie wewnętrzne i rozwijanie duchowych możliwości towianizm miał przetrwać jeszcze przez wiele lat.

Koło Sprawy Bożej w Turynie powstało bowiem przed wybuchem Wiosny Ludów. Towiański – jako doskonały socjotechnik – zdawał sobie sprawę z oczekiwań włoskich wyznawców i na ich potrzeby nieco zmodyfikował swoją doktrynę. Przestał głosić, że przyszłość świata miała zależeć od Izraela, Francji i Polski, a położył nacisk na Włochy. Najwyraźniej mimo upływu czasu doskonale orientował się w nastrojach na Starym Kontynencie i zdawał sobie sprawę z tęsknoty mieszkańców Italii do zjednoczenia kraju. Postanowił to wykorzystać, tym bardziej że na Półwyspie Apenińskim postać Napoleona była mocno niepopularna.

W tym czasie zanikały też najbardziej szokujące elementy jego doktryny. Przepadły gdzieś kolumny duchów dobrych i złych, codzienne ataki Złego na członków sekty, a jego wyznawcy coraz rzadziej wpadali w „mąt" czy „kopali w korycie". Niepostrzeżenie towiańczycy przeistaczali się w medytacyjną grupę katolicką, która wprawdzie zachowała mistyczny charakter, ale straciła cechy sekty. Oczywiście mistrz nadal był ich przywódcą i nauczycielem oraz najwyższym autorytetem.

W gronie włoskich wyznawców znaleźli się prominentni prawnicy, do których niebawem dołączył niejaki Attilio Begey. Gdy zainteresował się doktryną Towiańskiego, miał niewiele ponad dwadzieścia lat, ale zdążył już zaliczyć epizod

jako zwolennik Garibaldiego, po czym został chrześcijańskim mistykiem oraz wielkim zwolennikiem spirytyzmu. Razem tworzyło to prawdziwie wybuchową mieszankę, a wybawieniem okazała się nauka litewskiego proroka, która idealnie trafiła w jego potrzeby duchowe.

Begey musiał być bardzo zdesperowany, gdyż pierwszą podróż do mistrza odbył z Brescii pieszo (nie miał pieniędzy na powóz), co oznaczało, że przeszedł prawie czterysta kilometrów, a do tego przekroczył Alpy! Chociaż osobiście nie zetknął się wówczas z mistrzem, to jednak kontakty z braćmi spowodowały, że uznał, iż w końcu odnalazł społeczeństwo idealne.

Begey od dawna był zafascynowany Polską, co w pewnym sensie tłumaczyło jego zainteresowanie nauką litewskiego proroka. Śledził przebieg powstania styczniowego, pisał nawet artykuły do gazet w obronie sprawy polskiej i piętnował „obojętność, z jaką Europa przyglądała się temu męczeństwu Polski".

Po powrocie do Włoch osiadł w Turynie i zerwał ze spirytyzmem. Uznał, że „prawdę pełną" znalazł w słowach mistrza.

„W Towiańskim ujrzałem nauczyciela życia – wspominał po latach – od tego czasu wiele rzeczy poznałem, wielu doświadczyłem, a żadna nie wydała mi się większą i żadna nie zastąpi mi tamtej nauki"[60].

Od tej pory każdego roku podróżował do Zurychu. Podczas drugiego pobytu poznał wreszcie mistrza osobiście, co utwierdziło go w przekonaniu, że wybrał właściwą drogę. Co do tego nie miał zresztą wątpliwości jeszcze przed wyjazdem, gdyż „jakiś głos wewnętrzny powiedział mu, że Towiański jest prawdziwym posłańcem Bożym dla tej epoki". Przy okazji zachwycał się również faktem, że prorok zdecydowanie oddzielał Kościół od Zbawiciela:

„Nadmiar świateł jest wielką karą Bożą – tłumaczył Towiański. – Dla ludzi oświeconych chrześcijaństwo jest niczym. Nadmiar oświecenia zabija uczucie. Nie masz innej drogi prócz drogi Jezusa Chrystusa. Jezus Chrystus uczynił wszystko dla człowieka"[61].

Begey był wówczas osobnikiem mocno egzaltowanym. Przeżywał słowa Towiańskiego oraz z ekscytacją słuchał wagnerowskiej opery *Tannhäuser* i oratorium *Pory roku* Haydna. Poznawał polskich emigrantów, którzy przybywali do Szwajcarii po klęsce powstania styczniowego, podziwiał ich odwagę oraz oddanie. I marzył, by „tchnienie" Towiańskiego zanieść do Włoch.

„Trzeba ci, bracie – wyjaśniał prorok – troistej ofiary: ducha, ciała i czynu; ofiara troista jest wszystkim; gdybyś poznał tylko tę jedną prawdę, już by ci to wystarczyło… Trzeba dźwigać krzyż Jezusa Chrystusa… Zawsze potrzeba krzyża!"[62].

Z zachwytem obserwował próby Towiańskiego zainteresowania swoją nauką cesarza Napoleona III i papieża Grzegorza XVI. Tym razem jednak mistrz, pamiętając podróż do Rzymu w 1843 roku (nie dopuszczono go wówczas przed oblicze papieża i kazano opuścić Wieczne Miasto), poprzestał na wysłaniu listów przez posłańców. Podobno w Rzymie osiągnięto sukces, gdyż papież miał przychylnie się odnieść do poselstwa z Zurychu, ale wydaje się to tylko propagandą, a za triumf można uznać raczej fakt, że prorok i jego wyznawcy nie zostali ekskomunikowani.

Podobnie było w przypadku próby kontaktu z Napoleonem III, gdyż wysłannika proroka nie dopuszczono przed oblicze cesarza – ale list został przekazany. Przy okazji nie obyło się bez elementów nadprzyrodzonych, bowiem zanim posłańcy mistrza zdążyli nadać depesze o przekazaniu listów, Towiański oznajmił współwyznawcom, iż miał wizję o pozytywnym załatwieniu spraw.

Chociaż ani papież, ani cesarz nie raczyli odpowiedzieć, prorok uznał sam fakt doręczenia listów za zakończenie sprawy. Zrobił, co było w jego mocy, a reszta zależała już od innych. Nie przestawał jednak interesować się bieżącą polityką i gdy po wojnie francusko-pruskiej Włochy zajęły Rzym, kończąc zjednoczenie kraju, wystosował odpowiednie pismo do Wiktora Emanuela II. Przypomniał „ideały, które powinny mu przyświecać" po wkroczeniu jego wojsk do Wiecznego Miasta „jako władcy chrześcijańskiemu i katolickiemu".

Z drugiej jednak strony prorok powoli wycofywał się z osobistego kierowania sektą. Najwyraźniej czuł już brzemię lat i doszedł do wniosku, że skoro nie udało mu się podbić świata swoją nauką, należy zrobić wszystko, by jego imię nie zostało zapomniane. Od jesieni 1866 roku „przestał służyć wszystkim codziennie", natomiast skoncentrował się na „przeglądaniu pism swoich i ogromu pracy wykonanej w ciągu 25 lat".

Begey odwiedzał go regularnie, słuchał nauk i radził się we wszystkich możliwych sprawach. Prorok udzielał mu także wskazówek w kwestiach męsko-damskich, które jak zwykle u Towiańskiego były ubrane we wzniosłe słowa i mocno zagmatwane w treści:

„Niejedna kobieta, mająca dobre skłonności, będzie mogła przez twe zalety chrześcijańskie zwrócić ku tobie swego ducha i nieświadomie być pociągnięta przez sympatię, skłonność serca, a może także przez miłość: w tych wypadkach zdarza się często, że mężczyzna albo nie utrzymuje charakteru chrześcijańskiego i ulegnie słabości, albo broni się przeciw przeszkodzie, odpychając z twardą wyniosłością uczucie kobiety"[63].

Po każdorazowym wysłuchaniu tego typu nauk Begey „czuł się innym człowiekiem", ale warto pamiętać, że pod przykrywką mętnych sformułowań Towiański głosił w tych latach uniwersalne wartości, które mogły znaleźć uznanie w niemal każdym ruchu religijnym czy filozoficznym. Podstawą rozwoju miała być bowiem poczwórna wstrzemięźliwość: od alkoholu, tytoniu, hazardu i rozpusty, dzięki czemu wierni osiągaliby spokój ducha i doskonałość wewnętrzną. Teoretycznie nie było to nic nowego, ale warto pamiętać, że mistrz – mimo podeszłego wieku – nie stracił nic ze swojej charyzmy. Poza tym zapewne nie bez powodu nie dopuścił Begeya do siebie podczas pierwszej wizyty Włocha w Zurychu. Być może chciał wcześniej zebrać informacje na jego temat, by przygotować się do nawrócenia go na swoją naukę.

Nie zmienia to jednak faktu, że Towiański bardzo przeżył zmiany polityczne w Europie w latach 1870–1871. Wojna francusko-pruska, zjednoczenie Niemiec, upadek Państwa Kościelnego i przyłączenie Rzymu do Włoch świadczyły, że znany mu świat dobiegł końca. Rozpoczęła się nowa epoka – czas rozumu i techniki, w którym nie było już miejsca na mistycyzm w dawnym wydaniu. Ta świadomość miała „podkopać jego zdrowie".

Begey pozostał jednak wierny naukom Towiańskiego, podobnie jak grupka jego włoskich przyjaciół. Do końca życia starał się kierować wskazówkami mistrza i pozostał też konsekwentnym polonofilem. W 1879 roku wspierał organizowanie Akademii im. Adama Mickiewicza w Bolonii, był współwydawcą dzieł Towiańskiego oraz współpracował z tłumaczami polskiej literatury. W 1915 roku założył Turyński Komitet Pro Polonia, a po zakończeniu I wojny światowej mianowano go konsulem honorowym Polski. Wielokrotnie też odwiedzał nasz kraj i na prośbę profesora Stanisława Pigonia napisał wspomnienia o swoich kontaktach z Towiańskim.

Powszechnie uważano go za największego propagatora przyjaźni polsko-włoskiej i gdy zmarł w listopadzie 1928 roku, marszałek Sejmu Rzeczypospolitej Ignacy Daszyński w imieniu izby podkreślił zasługi zmarłego dla propagowania polskiej kultury w Italii. Zapewnił też o „niewygasłej wdzięczności, jaką naród polski odczuwa wobec trudu całego życia Attilia Begeya, który umiał być przyjacielem naszym w niedoli, wtedy kiedy Polska była w kajdanach”[64].

Odpowiedź rodziny Begeya wprawiła w osłupienie polskich parlamentarzystów. Córki prawnika wprawdzie potwierdziły miłość ojca do Polski, ale głównie podkreślały jego oddanie idei mesjanizmu, co w latach 20. nie było nad Wisłą najlepszą rekomendacją. Podobnie jak towianizm, który przede wszystkim kojarzył się ze skandalami z okresu paryskiego, a nie kontemplacją filozoficzną z czasów szwajcarskich:

„Zaiste, jego miłość do Polski była miłością idealną. (…) Pod wpływem uczucia, jakie żywił dla duszy polskiej, razem z wielkimi Polakami sobie współczesnymi przystąpił do idei mesjanistycznej i drogie mu było cierpienie z Wami w kajdanach, aby zasłużyć sobie na radowanie się Waszym zmartwychwstaniem”[65].

Towianizm jako ruch filozoficzny nie umarł jednak z ostatnimi członkami sekty. Wiele elementów doktryny litewskiego proroka można bowiem odnaleźć w koncepcjach Wincentego Lutosławskiego, założyciela stowarzyszenia religijno-filozoficznego Eleusis. Działalność tej grupy miała wpłynąć na oblicze ideowe polskiego harcerstwa, gdyż z grona wielbicieli Lutosławskiego wywodziło się kilku założycieli skautingu nad Wisłą. Może się to wydawać dość szokujące, ale Andrzej Towiański w pewnym sensie był ojcem duchowym polskiego harcerstwa. Oczywiście jednak nie chodziło o działalność religijną, lecz raczej o pewne założenia filozoficzne i wychowawcze z końcowego okresu działalności mistrza. Temat ten zresztą czeka dopiero na swojego badacza.

Inna sprawa, że niektórzy apologeci Towiańskiego (nie brakuje ich także dzisiaj) posuwają się w swoich rozważaniach zdecydowanie zbyt daleko. Sugerują, że skoro Lutosławski był nauczycielem Pigonia, a jego uczniem Karol Wojtyła, to w pewnym sensie także papież Polak pozostawał pod wpływem idei proroka z Litwy…

Makryna Mieczysławska

Rozdział 3

Makryna Mieczysławska – tajemnicza zakonnica z Kresów

We wrześniu 1845 roku pojawiła się w Paryżu sześćdziesięcioletnia kobieta przedstawiająca się jako Makryna Mieczysławska, ksieni klasztoru bazylianek w Mińsku. Drastyczną opowieścią o męczeństwie greckokatolickiego zakonu na dawnych Kresach Rzeczypospolitej zbulwersowała nie tylko polską emigrację, lecz także opinię publiczną na zachodzie Europy. Jej historia idealnie wpisywała się bowiem w ciąg rosyjskich represji po stłumieniu powstania listopadowego oraz umacniała obraz moskiewskich oprawców dążących do zniszczenia polskości i katolicyzmu na ziemiach imperium Romanowów.

Ofensywa prawosławia

Matka Makryna była dobrze przygotowana do wizyty w Paryżu. Nad Sekwanę dotarła przez Poznań, gdzie dostała list polecający od arcybiskupa Leona Przyłuskiego do księdza Aleksandra Jełowickiego ze zgromadzenia zmartwychwstańców. Hierarcha prosił, by umożliwić zakonnicy przedstawienie w Rzymie „świadectwa o nowej krwi polskiej za Wiarę wylanej”[66].

Papieżem był wówczas Grzegorz XVI, który piętnaście lat wcześniej potępił powstanie listopadowe, a po jego upadku, w 1832 roku wydał encyklikę *Cum primum*, żądając od polskich biskupów, by byli posłuszni władzy rosyjskiej i nakłaniali do tego wiernych. Oczywiście za wszystkim stała wielka polityka i papież ustępował pod naciskiem Petersburga, gdyż władze carskie doskonale zdawały sobie sprawę z siły polskiego katolicyzmu.

Ważniejsza od polityki okazała się jednak dbałość Grzegorza XVI o interesy Kościoła – ostro zaprotestował, gdy władze carskie podjęły działania mające na celu likwidację wspólnoty greckokatolickiej, która uznawała zwierzchnictwo Rzymu. Kościół unicki powstał bowiem jeszcze w 1596 roku w wyniku unii brzeskiej i zgodnie z planami władz Rzeczypospolitej miał zjednoczyć prawosławnych na terenach państwa polsko-litewskiego, którzy przy zachowaniu wielu odrębności liturgicznych akceptowali w zamian zwierzchnictwo Rzymu.

Wprawdzie nigdy nie udało się nakłonić do uznania unii wszystkich prawosławnych mieszkańców Rzeczypospolitej ani rozszerzyć ofensywy wyznaniowej na tereny podporządkowane Moskwie, ale w pierwszej połowie XIX

stulecia do Kościoła unickiego należało około półtora miliona wiernych, co stanowiło ponad dziesięć procent ludności kraju. Podobna sytuacja była nie do przyjęcia dla władz carskich, które uznawały, że może istnieć tylko jedno wyznanie prawosławne podporządkowane władzy świeckiej w Petersburgu. Oficjalnie zatem głoszono, że grekokatolicy zostali niegdyś siłą zmuszeni do porzucenia swojej religii i należy dołożyć starań, by powrócili do prawdziwego wyznania.

Oczywiście w wersji rosyjskiej tego rodzaju starania oznaczały represje i nawracanie pod przymusem, ale unici zyskali jeszcze nieco czasu bezpośrednio po upadku Rzeczypospolitej. Wojny napoleońskie opóźniły bowiem carskie represje, a rządy Aleksandra I odznaczały się pewną liberalizacją życia wewnętrznego. Dopiero nowy car, Mikołaj I, podjął działania mające zmusić unitów do konwersji na prawosławie, ale zdawał sobie sprawę, że brutalne represje mogą spowodować skutki odmienne od zamierzonych. Z tego też powodu opracowano plan uporządkowania Cerkwi unickiej poprzez usunięcie z liturgii wszystkich wpływów łacińskich. Uznano bowiem, że upodobnienie obrządku do prawosławia zakończy się naturalnym połączeniem obydwu Kościołów.

Sytuację ułatwiał fakt, że władze rosyjskie znalazły wykonawcę poleceń wewnątrz hierarchii greckokatolickiej. Był nim biskup mścisławski Józef Siemaszko, który – zafascynowany prawosławiem – uznał się za Rosjanina i osobiście przygotował szczegółowy plan likwidacji unii, który uzyskał carską aprobatę.

Zgodnie z jego projektem w 1828 roku dokonano rozdzielenia departamentów łacińskiego i unickiego Kolegium Duchownego, tworząc grecko-unickie Kolegium Duchowne z Jozafatem Bułhakiem na czele. Następnie przeprowadzono reformę podziału administracyjnego, tworząc archidiecezję białoruską z Bułhakiem jako biskupem i litewską, której zarząd objął Siemaszko.

Po stłumieniu powstania listopadowego proces likwidacji Cerkwi unickiej nabrał rozpędu – skasowano ponad połowę z prawie setki klasztorów greckokatolickich bazylianów i bazylianek, a przy okazji przekazano w ręce prawosławnych słynną Ławrę Poczajowską. Oficjalnie też zabroniono konwersji z obrządku unickiego na łaciński.

Przy okazji ruszyła kampania na rzecz przemian w Cerkwi greckokatolickiej. Unickie księgi liturgiczne zostały zastąpione wydawnictwami rosyjskimi, a ze świątyń usuwano obce prawosławnej tradycji ławki i organy oraz wizerunki katolickich świętych nieuznawanych w Rosyjskim Kościele Prawosławnym. Od 1837 roku całość spraw związanych z funkcjonowaniem Cerkwi unickiej pozostawała w gestii Świątobliwego Synodu Rządzącego Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego.

W 1839 roku zwołano synod w Połocku i wówczas Siemaszko wraz z dwoma innymi biskupami poprosili cara Mikołaja I o przyjęcie wraz z wiernymi w szeregi Kościoła prawosławnego. Była to głównie kwestia polityczna, gdyż władze carskie nie akceptowały podporządkowania Kościoła unickiego Rzymowi. Poza tym cała sprawa służyła procesowi rusyfikacji ziem Rzeczypospolitej zagarniętych przez Rosję.

Opowieść matki Makryny

Zanim Mieczysławska dotarła do papieża, jej opowieść została zrelacjonowana przez francuską prasę. Matka Makryna twierdziła, że urodziła się w 1784 roku w Stokliszkach w województwie trockim i pochodzi z rodziny szlacheckiej. W 1808 roku wstąpiła do zakonu bazylianek w Białej, a w 1823 roku została przełożoną klasztoru na Trojeckiej Górze w Mińsku[67].

W 1838 roku biskup Siemaszko zażądał od zakonnic, by przeszły na prawosławie, grożąc, że w przeciwnym razie zostaną zesłane na Syberię. Gdy odmówiły, hierarcha miał nazwać przeoryszę „psią krwią polską" i „jędzą piekielną", natomiast Makryna ponoć odpowiedziała, że jest „jędzą prawdy"[68].

Oporne zakonnice siłą usunięto z klasztoru, podczas brutalnej eksmisji jedna z nich zmarła. Pozostałe trzydzieści cztery bazylianki trafiły do zgromadzenia prawosławnego w Witebsku, gdzie posługiwały miejscowym mniszkom, a dwa razy w tygodniu miały być poddawane chłoście.

„W czasie tego smagania – relacjonowała Mieczysławska – zdawało nam się, że widzimy biczowanego Zbawiciela, a ten widok koił w nas ból wszelki, jedną tylko największą pozostawiając boleść, boleść niewieściego wstydu, gdyż smagano nas przed oczami wszystkich zupełnie nagie"[69].

Cztery z bazylianek nie wytrzymały prześladowania i zmarły, a kolejna została zamordowana przez prawosławne zakonnice. Biskup Siemaszko przybył do Witebska, mając nadzieję, że bazylianki zaprzestaną oporu i przejdą na prawosławie, ale wówczas Mieczysławska wyrwała z rąk cieśli siekierę i pokazując ją Siemaszce, krzyknęła, że skoro „był pasterzem", to teraz niech „będzie katem". W odpowiedzi biskup wybił jej dziewięć zębów.

W 1840 roku zakonnice przewieziono pod Połock, gdzie pomagały budować pałac dla Siemaszki. Kilkanaście z nich zginęło wtedy w wypadkach podczas pracy, a kilka zachłostano na śmierć. Pewnego dnia na polecenie Siemaszki na zakonnice rzucili się pijani klerycy cerkiewni, by je zgwałcić. Siemaszko miał bowiem przykazać służbie kościelnej, „że kto by z nich dokonał tej zbrodni, będzie wnet protopopem"[70]. Ponieważ bazylianki stawiały opór, odniosły liczne obrażenia. Oprawcy wyłupiali im oczy, obcinali uszy i nosy. Jedna z zakonnic zmarła od ran.

W 1844 roku mniszki przeniesiono do klasztoru w miejscowości Miadzioł. Tam popi zaszyli je w workach i przeciągali pod łodziami, grożąc, że jeżeli kobiety nie przyjmą ich wiary, „to jak szczenięta je potopią". Wodnej tortury nie przeżyły trzy kolejne bazylianki.

Makryna Mieczysławska opowiadała, że z różnych powodów zmarło tragicznie sześćdziesiąt jeden zakonnic, wymieniała je nawet po nazwisku. Twierdziła, że Downarówna Baptysta została spalona w piecu, Grotkowska Nepomucena „polanem zabita przez Ihumenę", Romanowska Augustyna utopiona, Reutówna Scholastyka „na śmierć rozszarpana", Hołyńska Bazylissa „skonała od rózeg", Tyzenhauzówna Elżbieta została „żywcem zagrzebana w glinie", a Kuleszanka Genowefa „zgruchotana murem"[71].

W 1845 roku pozostałe przy życiu bazylianki miały zostać wywiezione na Syberię, ale tylko czterem z nich, łącznie z Makryną Mieczysławską, pozwalał na to stan zdrowia. Nie doszło jednak do zsyłki, gdyż kobiety uciekły, korzystając z trzydniowej libacji prawosławnych duchownych. Mieczysławska błąkała się przez trzy miesiące,

zanim dotarła do granicy z Prusami, a potem trafiła do Poznania.

Środowisko polskiej emigracji w Paryżu szybko znalazło się pod ogromnym wrażeniem nie tylko opowieści o męczeństwie, lecz także samej Makryny Mieczysławskiej. Zygmunt Krasiński uważał, że jest „dziwnie urodziwa", jak również „błogosławiona, a prosta". Twierdził, że „w tej Makrynie jest coś wielkiego, a świętego", że jest w niej „wielka miłość"[72].

Równie entuzjastycznie reagował Juliusz Słowacki. Gdy z nią rozmawiał, miał wrażenie, że „duch jego padł przed nią na kolana i rozpłynął się w zachwycie nad rzeczywistością cudu". Męczeństwo zakonnic spopularyzował w *Rozmowie z matką Makryną Mieczysławską, bazylianką w Paryżu*.

Znalazłem w cichym siedzącą klasztorze U suchych, obcych ludzi na gościnie Prostą niewiastę: rzekłbyś gospodynię Siedzącą sobie na szlacheckim dworze. (…)Na twarzy jasne widziałem męczeństwo, Jakieś męczeństwo wielkie, Boże, złote, Które mnie z góry uderzyło w ciemię Jak Pan, gdy rzuca zbrodniarzem o ziemię[73].

Audiencja u Grzegorza XVI

Drastyczne rewelacje Makryny Mieczysławskiej mogły zmienić stosunek papieża do Polaków i władz rosyjskich. Ksiądz Aleksander Jełowicki, który uważał, że „wiele się po niej dla Polski spodziewać można", zawiózł więc bazyliankę do Rzymu, by wykorzystać jej świadectwo dla „świętej sprawy naszej u nóg Ojca Świętego". Makrynę poprzedzała już sława męczenniczki, a podczas podróży zakonnica dodatkowo opowiadała w kościołach w Lyonie i Awinionie o swoich przeżyciach.

Wzbudzała wielkie zainteresowanie, gdyż mówiła „z dziwną prostotą i namaszczeniem", czego nie osłabiał nawet fakt, że zakonnica nie znała francuskiego i funkcję tłumacza pełnił Jełowicki. Ogromne poruszenie budziła już sama postać zakonnicy, tak że „ledwo jej nie uduszono, taki był ścisk, aby ją dotknąć, welon jej rozerwano w drobne kawałeczki na pamiątkę". Ludzie prosili Makrynę o błogosławieństwo, o drobną pamiątkę czy wręcz obrazek z jej wizerunkiem. Jełowicki zauważył nawet, że „opisać zapał ludu i cześć oddawaną naszej Męczenniczce jest tak niepodobna, jak niepodobna opisać bitwy, trzeba ją widzieć, ażeby pojąć"[74].

W Rzymie Mieczysławska spotkała się z trzema kardynałami, w tym z sekretarzem stanu Luigim Lambruschinim. Na wszystkich zrobiła jak najlepsze wrażenie, a ksiądz Jełowicki zabiegał, by bazylianka została przyjęta przez papieża przed spodziewaną wizytą cesarza Mikołaja I. Zmartwychwstańcy prowadzili bowiem akcję informującą Stolicę Apostolską o położeniu Kościoła katolickiego w zaborze rosyjskim i Makryna idealnie nadawała się do tego, by przekazać wieści.

Papież Grzegorz XVI przyjął ksienię w listopadzie 1845 roku. Wstrząśnięty jej relacją miał wykrzyknąć, że męczeństwo zakonnic trwało aż siedem lat, a on nic o tym nie wiedział. Makryna poprosiła papieża, by wyznaczył „jubileusz za Polskę", gdyż „za kilka lat nie będzie już co dźwigać w biednym kraju naszym". Przekonywała nawet, że przemawia przez nią Duch Święty, ale Grzegorz XVI odmówił, twierdząc, że za Polskę modli się cały Kościół. Gdy zakonnica zauważyła, że nie widać skutków tych modlitw, a przez nią przemawia krew męczenniczek, papież wyjaśnił, iż

ogłoszenie jubileuszu mogłoby tylko rozwścieczyć Rosjan. Zaś na uwagę mniszki, że Polacy będą mieli wrażenie, iż Rzym o nich zapomniał, odparł, że postąpi tak, jak natchnie go Chrystus[75].

Grzegorz XVI polecił Makrynie spisać relację o męczeństwie, co też zrobiła z pomocą Jełowickiego. Wkrótce ukazała się broszura z opowieścią zakonnicy wydana po włosku, francusku, angielsku i polsku. Papież zgodził się jednak na rozpowszechnianie tylko wersji francuskiej, gdyż sprawa bazylianek i tak była już głośna nad Sekwaną. Miał się przy tym wyrazić, że „Polacy wszystko psują", gdyż „nie o religię im chodzi, tylko o politykę".

Car Mikołaj I u papieża

Mieczysławska skończyła spisywać swoją opowieść 6 grudnia 1845 roku, a tydzień później Grzegorz XVI przyjął Mikołaja I. Rosyjscy dyplomaci twierdzili, że atmosfera spotkania była serdeczna, natomiast według Jełowickiego, który powoływał się na anonimowego świadka – raczej chłodna. Papież mówił ponoć o prześladowaniu Kościoła w „biednej Polsce", na co miał świadka w osobie Makryny Mieczysławskiej. Car stwierdził, że o niczym nie wiedział i ukarze Siemaszkę, który nadużył jego zaufania[76].

Raczej trudno mówić o serdeczności podczas spotkania papieża z carem, ale z drugiej strony, według opublikowanej w późniejszych latach relacji, papież wcale nie wspomniał wówczas o męczeństwie bazylianek ani o Mieczysławskiej. Skrytykował natomiast „ukazy uwłaczające powadze Kościoła i ciemiężące sumienie wiernych", co uznał za przeciwne nakazom boskim[77]. Bez wątpienia chodziło także o zarządzenia likwidujące unię.

Mikołaj I odpowiedział, że uczyni wszystko, co będzie możliwe dla zrealizowania życzeń papieża, ale nie może się to odbyć „bez uszczerbku dla zasadniczych ustaw państwa i praw kościoła panującego, są bowiem rzeczy, przed którymi wola cesarska ugiąć się musi"[78]. Była to dyplomatyczna odmowa zmiany polityki państwa rosyjskiego wobec Kościoła katolickiego i Cerkwi unickiej.

Car wspomniał jednak o Mieczysławskiej i jej opowieści o męczeństwie bazylianek podczas spotkania z watykańskim sekretarzem stanu kardynałem Lambruschinim. Stwierdził, że jest to intryga księdza Jełowickiego powiązanego z księciem Adamem Czartoryskim. Kardynał zaprotestował, twierdząc, że Stolica Apostolska nie wie o żadnej intrydze ani nie bierze w niej udziału, natomiast udzielenie schronienia Mieczysławskiej wynika z nakazów miłości chrześcijańskiej[79].

W tej sytuacji ambasada rosyjska zażądała, by wydalić z Rzymu Jełowickiego jako głównego protektora Makryny Mieczysławskiej. Wprawdzie carscy urzędnicy otrzymali odpowiedź odmowną, lecz Grzegorz XVI obawiał się, że obecność zmartwychwstańca może zaszkodzić rokowaniom z Petersburgiem na temat konkordatu. Zapewne więc zmuszono księdza Hieronima Kajsiewicza, przełożonego zmartwychwstańców, by polecił Jełowickiemu opuszczenie z Rzymu[80].

Zmartwychwstańcy próbowali jeszcze walczyć o unitów i Kajsiewicz przedłożył następnemu papieżowi, Piusowi IX, memoriał o stanie Kościoła katolickiego w Rosji.

Postulował, by unitom „zdradą lub siłą przyciągniętym do schizmy” rząd carski pozwolił wrócić do Kościoła katolickiego[81].

Jednak zawarty w 1847 roku konkordat całkowicie pomijał sprawę wiernych greckokatolickich wcielonych do Kościoła prawosławnego. Podczas rokowań poprzedzających podpisanie porozumienia przedstawiciele rosyjscy stwierdzili, że ten temat pozostaje poza wszelką dyskusją, gdyż unici dobrowolnie przeszli na prawosławie.

Wbrew nadziejom polskiej emigracji i zmartwychwstańców opowieść o męczeństwie bazylianek nie została wykorzystana przez władze Państwa Kościelnego. Rzym zachowywał się w tej sprawie wyjątkowo asekuracyjnie – inna sprawa, że sprawę bazylianek uznano za zbyt drobną, by zadrażniać stosunki z Imperium Rosyjskim[82].

Sprawa księdza Semenenki

Pod koniec 1845 roku Mieczysławska wzięła udział w wewnętrznej rozgrywce zmartwychwstańców niezadowolonych z postępowania ich przełożonego generalnego, księdza Piotra Semenenki. Zarzucano mu bowiem, że nie wywiązuje się z obowiązków i obstaje „przy myśli widocznie niepodobnej” założenia zgromadzenia żeńskiego. Ostatecznie Semenenko zrezygnował ze stanowiska, a jako powód podał „chorobę piersiową”[83].

Przy okazji pojawiały się też podejrzenia, że przełożony miał romans z wdową Julią Bartoszewicz, w której widział kandydatkę na założycielkę zakonu zmartwychwstanek. Zarzuty były tak poważne, że gdy Semenenko dał list dla Bartoszewicz księdzu Alfredowi Bentkowskiemu, ten – wbrew życzeniu Semenenki – nie przekazał go adresatce, tylko za poradą Jełowieckiego wręczył Makrynie.

„A Matka dowiedziawszy się o liście zadrżała – relacjonował współbraciom Jełowicki – ale nim go przeczytała, radziła się Pana Boga przez dobę całą i otrzymała odpowiedź taką, żeby odczytała sama, jeśli dobry, żeby go nie oddawała, bo nie miały już być stosunki żadne; jeśli zły, odesłać wam, iżbyście nad biedną duszą czuwali; jeśli bardzo, a bardzo zły, spalić, iżby was nie zasmucać zbytecznie, iżbyście w smutku wielkim nie pokazali tego listu X. Piotrowi, co by go mogło do odebrania sobie życia doprowadzić”[84].

Wezwawszy Ducha Świętego, Makryna przeczytała list i… wrzuciła go do ognia. Dla wszystkich stało się jasne, że ksiądz Semenenko posunął się zbyt daleko w swoich relacjach z Julią Bartoszewicz.

Autorytet Makryny był tak wielki, iż nikt nie zwrócił wtedy uwagi na fakt, że gdyby rzeczywiście Bóg rozkazał jej przeczytać list, nie mówiłby do niej warunkowo – „jeśli dobry, żeby go nie oddawała, jeśli bardzo zły, żeby spaliła” – gdyż Pan Bóg powinien raczej znać treść tej korespondencji…[85]. Poza tym, paląc list, Makryna usuwała jedyny ewentualny dowód winy, gdyż nikt oprócz niej nie wiedział, co zawierało pismo. Potępiono Semenenkę, mimo że twierdził, iż jego „przyjaźń z panią Bartoszewicz była czystą”. W pewnym sensie padł ofiarą własnej nieostrożności.

„Uczęszczanie do pani Bartoszewicz – podsumowywał jednak po latach ksiądz Kajsiewicz – dały powód kilku nieprzyjaznym językom do rzucenia krzywdzących

podejrzeń na ks. Semenenkę, na które on długi czas nie zważał (bacząc li tylko na sumienie swoje i intencje), którym ludzie niektórzy wierzyli, bo chętniej złemu wierzą, i niestety mogli się czepić i niektórych pozorów, których nieroztropność ks. Semenenki dostarczyła”[86].

W 1873 roku Semenenko ponownie został generałem Zgromadzenia Zmartwychwstania Pana Naszego Jezusa Chrystusa i pełnił tę funkcję przez trzynaście lat, aż do śmierci.

Audiencja u Piusa IX

Nowy papież, Pius IX, niedługo po swoim wyborze w październiku 1846 roku odwiedził matkę Makrynę w klasztorze zgromadzenia sióstr Sacré Coeur przy rzymskim kościele Trinità dei Monti. W obecności innych zakonnic nazwał ją czcigodną męczennicą, aczkolwiek po latach miał przyznać, że „jej głowa była trochę dziwna”.

„Módl się za biedną Polskę – oznajmił jednak zakonnicy. – I ja się za nią gorąco modlę w nadziei, że Bóg odejmie od niej tę żelazną rękę, co ją tak ugniata. I że jej dawny byt powróci, jeżeli ona, idąc za głosem Bożym, wróci do dawnej pobożności swojej i zaprzestanie jawnych grzechów”[87].

Zmartwychwstańcy skorzystali z tego, że Makryna wywarła na papieżu dobre wrażenie, i doprowadzili do prywatnej audiencji. Zakonnica z płaczem opowiadała o prześladowaniach Kościoła katolickiego w Rosji, na co Pius IX, „nie wychodząc z błogiej spokojności”, odparł, że modli się i czyni, co może, a resztę należy pozostawić Bogu[88].

Przy okazji Makryna stwierdziła, że wszyscy powinni się modlić za namiestnika Bożego, gdyż nakazał jej to sam Jezus, objawiając, że wybrał papieża „według serca swego”.

„Gdy Pan Bóg wziął do siebie poprzednika twego – tłumaczyła papieżowi – jam się przed Panem Jezusem Ukrzyżowanym, co u mnie na schodach, po całych nocach modliła, ażeby dać nam raczył co prędzej dobrego Pasterza. To się pokusowi [szatanowi – T.S.] bardzo nie podobało. Targał mnie okrutnie i miotał mną po wszystkich schodach. A jam wołała: »Chrystus zwycięża!«. Aż na koniec, onej nocy, w której padł już wybór na papieża, około godziny 3-ciej po północy, wśród zwykłej modlitwy mojej mój Pan Jezus rozjaśnił się i przemówił do mnie: »Nie płacz już i nie proś, a dziękuj, bo już dałem Kościołowi Pasterza według serca mego. Nazywa się Pius IX«”[89].

Na zakończenie audiencji matka Makryna wręczyła papieżowi medalik z wyobrażeniem Serca Jezusowego, prosząc, by „raczył go przyjąć od nędznej grzesznicy Polki, która cię błaga, abyś pamiętał o Polsce”[90].

Pius IX wyraził zgodę, by Mieczysławska założyła w Rzymie klasztor bazylianek, gdyż skarżyła się, że jest zakonnicą, a nie żyje po zakonnemu. W tym celu zakupiono dawny kościół i klasztor redemptorystów San Giuliano ai Monti – transakcję sfinansowano z pieniędzy zebranych przez księdza Jełowickiego oraz z donacji przekazanej przez księżnę Zofię Odescalchi, z domu Branicką. Matka Makryna została ksienią, ale jej surowość wobec zakonnic spowodowała, że jednak usunięto ją

ze stanowiska[91].

Przepowiednie i cud

Mieczysławska wciąż pozostawała w centrum zainteresowania polskiej emigracji, na przykład Zygmunt Krasiński pisał do Delfiny Potockiej o „potędze Makryny nabytej zasługą męczeńską". Dodatkowo zakonnica była też wizjonerką – „dziwna ta kobieta zgadywała przyszłość", a jej twarz miała przybierać magnetyczny wyraz charakterystyczny dla jasnowidzących.

Oczywiście emigranci najchętniej słuchali przepowiedni dotyczących wskrzeszenia Polski, chcieli wierzyć w słowa Makryny, że „wszyscy muszą iść i głosić, że będzie, będzie Polska". Gdy pytano zakonnicę, czy uda się odzyskać niepodległość bez rozlewu krwi, mówiła, że „drzazgi lecą, gdzie rąbią drwa" – będzie „krwi potop" i dopiero ziemia „krwią wyprana pozostanie biała na wieki". Natomiast innym razem twierdziła, że jednak obejdzie się bez rzezi, a „Moskwa zostanie odrzucona do Azji nazad"[92]. Na tronie w zmartwychwstałej Polsce miał zasiąść książę Adam Jerzy Czartoryski – inna sprawa, że był to jedyny potencjalny kandydat na króla, zatem zakonnica nie okazała się specjalnie oryginalna.

Mieczysławska służyła ludziom także bardziej praktycznymi przepowiedniami. Księżnej Odescalchi radziła sprzedać papiery wartościowe, w których arystokratka ulokowała cały swój majątek. Ich kurs był wysoki, zatem książę długo opierał się żonie, a gdy wreszcie wyraził zgodę, było już za późno. Kurs zaczął gwałtownie spadać, a zakonnica miała to przewidzieć dzień wcześniej.

Sławę Makrynie Mieczysławskiej przyniosło uzdrowienie francuskiego misjonarza, księdza Blanpina, który stracił głos. Makryna obiecała, że będzie się za niego modlić do Matki Boskiej, która go uzdrowi. Odzyskał głos w listopadzie 1846 roku po nowennie odprawionej wspólnie z Makryną przed obrazem Madonny.

„Już ciemniało na korytarzu – relacjonowała Mieczysławska – aż tu twarz Matki Boskiej trzy razy zabłysła, a za każdym razem usłyszałam głos: »O co prosisz, to otrzymasz teraz!«. I zaraz on przyszedł i zaraz kazałam mu odmawiać głośno: *Zdrowaś Maryjo* i *Jezus, Maryja, Józef*. Odmówił głośno"[93].

W Rzymie matkę Makrynę poznał ksiądz Mieczysław Ledóchowski, późniejszy kardynał, arcybiskup gnieźnieński i poznański. Po latach opowiadał, że gdy płynął do Ameryki Południowej, rozszalał się sztorm i statkowi groziło zatonięcie. Zaczął się modlić i wówczas ujrzał także modlącą się Makrynę. Po powrocie do Rzymu dowiedział się, że w tamtej krytycznej chwili Mieczysławska zauważyła grożące mu niebezpieczeństwo i swoją modlitwą miała go ocalić. Ledóchowski szczerze wierzył we wstawiennictwo zakonnicy i „odwiedzał ją podczas każdej bytności w Rzymie"[94].

Jednak nie wszyscy byli entuzjastycznie nastawieni do widzeń bazylianki. Niektórzy wręcz uważali, że zakonnica czasami brała za objawienia własne sny i marzenia. Co więcej, liczba sceptyków powoli rosła…

Adam Mickiewicz i matka Makryna

Mieczysławska odegrała znaczącą rolę w próbie odciągnięcia Adama Mickiewicza od nauki Andrzeja Towiańskiego i pogodzenia wieszcza z Kościołem katolickim. Zmartwychwstańcy bowiem wiele zawdzięczali poecie, który jako pierwszy zasiał ideę założenia nowego zakonu. Właśnie za radą Mickiewicza przyszli zmartwychwstańcy w 1836 roku zamieszkali w jednym domu, co uznaje się za początek działalności zgromadzenia[95].

W rozmowie z Zygmuntem Krasińskim ksiądz Jełowicki określił Towiańskiego jako „potęgę piekielną", a poeta przyznał, że „rozkucie więzów Adama" może się odbyć tylko przez matkę Makrynę, która swoją potęgę nabyła „zasługą męczeńską"[96].

Faktycznie, spotkanie Mickiewicza z Makryną, do którego doszło w lutym 1848 roku, przyniosło pewne rezultaty, chociaż wieszcz nie podporządkował się zakonnicy całkowicie. Nie wiadomo, jaki był dokładny przebieg ich rozmowy, ale w pewnym momencie poeta „się z krzesła obalił", po czym „spłynął do nóg jej, płakać, szlochać zaczął okrutnie". Do tego wołał, że „wszystko uczyni, co ona każe", ale w zamian błagał, by zbawiła „duszę jego, bo bardziej skołatana i zmęczona niż ciało tułacze".

Następnie modlił się na kolanach i powtórzył za Mieczysławską, że wyrzeka się Towiańskiego. Natomiast Cyprianowi Kamilowi Norwidowi przyznał, iż odczuwał lęk przed zakonnicą, gdyż „spojrzeć tylko na nią to strach"[97].

Makryna nakłoniła poetę do spowiedzi u księdza Jełowickiego. Miała ona niecodzienny przebieg – Eliza Krasińska, która przebywała w sąsiednim pokoju, słyszała „jakby krzyki rozpaczy, jakby ryki krajanego nożem" Mickiewicza[98].

Przez pewien czas poeta widywał się z Mieczysławską, a nawet wraz z nią uczestniczył w mszy świętej. Zakonnica napominała go, że „porwał się jak lew, a upadnie jak mucha". Prorokowała, że „odtąd same upokorzenia zbierać będziesz i nic ci się nie uda, aż do Boga się nawrócisz"[99].

Sukces okazał się jednak połowiczny i chwilowy – wprawdzie „Makryna nim wstrząsnęła ogromnie", to jednak nauki Towiańskiego, z którym poeta był skłócony, nadal wywierały wpływ na Mickiewicza. Obawiano się, że niebawem wieszcz „wszystkich za łeb weźmie" i przyciągnie pod rządy mistrza. I nic nie pomoże fakt, że „Makryna, zacny duch, walczyła, jak mogła, przeciwko temu"[100].

Zakonnica wciąż cieszyła się szacunkiem papieża. Gdy ksiądz Jełowicki spotkał się z Piusem IX w sprawie Legionu Polskiego formowanego przez Mickiewicza, papież miał zapytać o opinię Mieczysławskiej na ten temat.

Wątpliwości

Wkrótce po pierwszych rewelacjach matki Makryny głos zabrały władze rosyjskie, zdając sobie sprawę, że opowieści o męczeństwie bazylianek na Kresach psują wizerunek imperium Romanowów. Oskarżyli Polaków o intrygę polityczną i podważali prawdziwość podawanych przez Mieczysławską informacji. W oficjalnym dementi nazwano je „niedorzecznymi i złośliwymi", stwierdzając, że żadnej bazylianki nigdy nie przenoszono z macierzystego klasztoru, a biskup Siemaszko nie miał jurysdykcji nad zgromadzeniami w Połocku i Witebsku. Europejska opinia publiczna nie dała jednak wiary rosyjskim wyjaśnieniom, uznając je za „nową

bezczelność dyplomacji petersburskiej”.

W kolejnej nocie podano, że ówczesna przełożona zakonnic nazywała się Prakseda Lewszecka oraz informowano, że klasztor bazylianek istniał w Mińsku do roku 1834, po czym zakonnice zostały przeniesione do Miadziołu (podczas gdy Mieczysławska twierdziła, że prześladowania w Mińsku rozpoczęły się w 1837 lub 1838 roku). Także to dementi nie zmieniło nastawienia opinii publicznej. W zachodniej Europie doskonale bowiem zdawano sobie sprawę z prześladowań katolików w Rosji, a sugestywne i szczegółowe relacje Mieczysławskiej były bardzo wiarygodne. Ponadto wspierała ją polska emigracja.

Wprawdzie także wśród naszych rodaków niekiedy „podawano w wątpliwość charakter jej zakonny, prawdziwość jej zeznań o prześladowaniach”, jednak przeważały głosy, że dowody zbyt silnie przemawiają w obronie Makryny. Po latach twierdzono nawet, że „niepodobnym by było, żeby tak długie lata grała komedię i w niczym się nie zdradziła”[101].

„Bądźcie spokojni – zapewniał ksiądz Maksymilian Ryłło, jezuita i duchowy opiekun przeoryszy – zachodziłem matkę ze wszystkich stron, ze dwieście różnych pytań jej zadałem, na wszystkie mi dokładnie odpowiedziała”[102].

Podejrzewano, że w najgorszym wypadku Makryna Mieczysławska nieco udramatyzowała swoją relację, gdyż „trudno się było oprzeć przekonaniu, że jednak na dnie całej historii musi być coś z prawdy”.

Z czasem podejrzenia w sprawie autentyczności opowieści matki Makryny zaczął wyrażać książę Adam Czartoryski, który początkowo był jej entuzjastą. Twierdził nawet, że przyjdzie „rzecz całą zamazać i przykryć zapomnieniem”[103].

Kim była naprawdę? Kto za nią stał?

Mieczysławska zmarła w Rzymie w lutym 1869 roku. Po zburzeniu budynku, w którym mieścił się jej klasztor, prochy zakonnicy zostały przeniesione na cmentarz Campo Verano.

Ostatnie lata życia nie były pomyślne dla Makryny i jej nimbu niemal świętości. Zarzucano, że z upływem czasu coraz bardziej interesowały ją intrygi i stawała się uciążliwa w kontaktach międzyludzkich. Pod koniec życia miała problemy z równowagą psychiczną, obawiając się o swoje zbawienie[104].

Legenda świątobliwej męczennicy utrzymywała się przez kilka dziesięcioleci, aż w 1904 roku w dodatku do „Gazety Lwowskiej” opublikowano artykuł o historii zakonu bazylianów na Litwie i Rusi. W jego treści zmieszczono rozmowę z ostatnią mieszkanką klasztoru w Mińsku, Antoniną Leśniewską. Zakonnica wymieniła wszystkie czternaście bazylianek, ale wśród nich nie było Mieczysławskiej… Autor artykułu, Edward Liwski, zapewne wiedział znacznie więcej niż to, co przedstawił na łamach gazety, gdyż zauważył, że „matka Leśniewska podawała jeszcze inne swoje domysły w kwestii Makryny Mieczysławskiej”[105].

W tym samym czasie powstawała książka *Czytania podlaskie* autorstwa księdza Jana Urbana, jezuity prowadzącego tajną misję wśród byłych unitów na Podlasiu (unia została tam zlikwidowana w 1875 roku). Wspomniał w niej o relacji Makryny Mieczysławskiej, ale ktoś po zapoznaniu się z rękopisem zwrócił autorowi uwagę, że

w tej sprawie istnieją poważne wątpliwości. Dlatego zasugerowano, by lepiej nie poruszać w książce kontrowersyjnej kwestii męczeństwa bazylianek. Ksiądz Urban stwierdził wówczas, że nie ma poważnych dowodów zaprzeczających relacji Mieczysławskiej – i zamieścił ich opis. Mimo to zaczął badać całą sprawę, a swoje ustalenia zawarł w wydanej w 1923 roku książce *Makryna Mieczysławska w świetle prawdy*. Nazwał w niej Makrynę „nadzwyczajną, niepospolitą wielką oszustką i samozwanką", która nie była ani ksienią, ani nawet zakonnicą bazylianką[106].

Urban ustalił, że klasztor bazylianek w Mińsku faktycznie został zlikwidowany, ale stało się to już w 1834 roku. Jako ostatnia funkcję ksieni pełniła Prakseda Lewszecka, a zakonnice rzeczywiście zostały przeniesione do Miadziołu. Ponieważ broniły się przed konwersją na prawosławie, były głodzone, bite i zamykane w podziemiach. Ostatecznie jednak pozwolono im opuścić klasztor i zamieszkać u bliskich.

Według informacji uzyskanych przez księdza Urbana rzekoma ksieni bazylianek, matka Makryna, była z pochodzenia Żydówką. Wcześniej wyszła za niejakiego Wińcza, kapitana wojsk rosyjskich, a nazwisko Mieczysławska miała przyjąć podczas chrztu. Nigdy nie należała do zgromadzenia bazylianek, a jej kontakty ze środowiskiem zakonnym ograniczały się jedynie do faktu, że pracowała jako kucharka lub szafarka u wileńskich bernardynek. Właśnie do tego klasztoru trafiły zakonnice z Miadziołu i zapewne wówczas usłyszała o ich losie[107].

„Wińczowa przy swojej ograniczonej inteligencji – podsumowywał ksiądz Urban – i niedostatecznych środkach nie byłaby sama w stanie przedostać się za granicę. Owszem, zdaje się, że taka myśl chyba jej do głowy przyjść nie mogła. Zadowoliłaby się skromniejszym, ale rodzimym polem eksploatacji. Musiał jej ktoś podsunąć myśl udania się do Rzymu, musiał jej ktoś przedostanie przez kordon ułatwić. Czy wspólnicy jej ucieczki za granicę byli świadomi oszustwa, czy też sami stali się ofiarami swojej łatwowierność i działali w dobrej wierze. I kim oni byli? Do zadowalającej odpowiedzi na te pytania nie posiadamy dostatecznych danych"[108].

Niewykluczone, że prawdą mogły być jednak podejrzenia biskupa Siemaszki, który uznał sprawę Makryny za skierowaną przeciwko niemu intrygę sprokurowaną przez „polskie panie". Miały one przygotować Wińczową do odegrania roli ofiary prześladowań, a uczono ją tego w jednym z żeńskich klasztorów[109].

Życiorys Mieczysławskiej w *Polskim słowniku biograficznym* zawiera lakoniczną informację, że wyjechała z Rosji „za namową i pomocą patriotów polskich". Zagadką pozostaje natomiast pytanie, kto właściwie stał za misją Makryny i czy osoby te faktycznie brały udział w fabrykowaniu legendy o męczeństwie bazylianek – nie wiadomo, czy zostały przez nią wprowadzone w błąd i działały w dobrej wierze, pomagając jej przedostać się za granicę. Niewykluczone też, że Makryna Mieczysławska „na skutek choroby sama wierzyła w to, co mówiła".

Pięć lat po jej śmierci, w 1874 roku, naprawdę doszło do męczeństwa unitów. W Drelowie i Pratulinie na Podlasiu rosyjskie wojsko dokonało masakry wiernych, którzy bronili swoich kościołów i nie chcieli przejść na prawosławie. W 1996 roku papież Jan Paweł II ogłosił błogosławionymi Wincentego Lewoniuka i dwunastu innych unitów, którzy ponieśli męczeńską śmierć w Pratulinie.

Kościół greckokatolicki przetrwał tylko na terenach dawnego zaboru

austriackiego. Obecnie liczy około 4,5 miliona wiernych skupionych głównie na zachodniej Ukrainie. W Polsce jego wyznawcami jest około 55 tysięcy osób pochodzących na ogół z mniejszości ukraińskiej. Na terenie Litwy oraz Białorusi rosyjskie represje przyniosły efekty – tamtejsi unici stali się wyznawcami prawosławia.

Julian Ochorowicz

Rozdział 4

Medium musiało być kobietą – Julian Ochorowicz

Gdy Stanisław Wokulski poznał Juliana Ochockiego, niedoszły teść kupca przedstawił go jako swojego kuzyna i „trochę oryginała”. Ochocki był bowiem naukowcem, a jemu podobnych w tamtych czasach uważano nad Wisłą za wyjątkową kategorię dziwaków. Sam zainteresowany przyznawał zresztą, że właściwie zajmował się wszystkim: fizyką, chemią i technologią, a do tego ulepszył mikroskop oraz zbudował nowy stos elektryczny.

Postać Ochockiego była w pewnym sensie wzorowana na Julianie Ochorowiczu, którego Prus miał okazję poznać w szkole w Lublinie i przyjaźnił się z nim w późniejszych latach. Naukowiec był od pisarza o trzy lata młodszy, urodził się w 1850 roku w Radzyminie i na studia trafił do Szkoły Głównej w Warszawie. Niestety, polska uczelnia została zlikwidowana po upadku powstania styczniowego i Ochorowicz uzyskał tytuł kandydata (doktorat) nauk przyrodniczych już na Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim. Kształcił się dalej i w Lipsku mianowano go doktorem filozofii, a podczas studiów zajmował się także psychologią. Następnie został docentem, szefem katedry psychologii i filozofii przyrody na Uniwersytecie Lwowskim (1875–1881), by po kilku latach odejść z uczelni.

Zadecydował o tym fakt, że Ochorowicz nie mógł się doczekać profesury. Podobno także padały zarzuty, iż nie przykładał się specjalnie do wykładów, które mimo to i tak były bardzo popularne wśród studentów. Starał się o stypendium Uniwersytetu Jagiellońskiego dla doktora filozofii na prowadzenie badań za granicą i był pewnym kandydatem do jego uzyskania. Gdy jednak poinformował, że poświęci się psychologii oraz hipnozie, świadczenie nie zostało mu przyznane.

Ochorowicz był jednak uparty i wyjechał do Paryża, gdzie kontynuował doświadczenia nad hipnozą. Skonstruował też przyrząd do badania podatności ludzi na nią (hipnoskop), który zaprezentował słynnemu neurologowi Jeanowi-Martinowi Charcotowi.

Prekursor telewizji

Hipnoskop nie był najważniejszym z wynalazków Ochorowicza. Naukowiec zapisał się w dziejach polskiej myśli technicznej, gdyż ulepszył mikrofon węglowy i zbudował telefon własnego pomysłu, który przez dwadzieścia lat (1885–1905) był

produkowany i używany w kilku krajach Europy. Skonstruował też nadajnik telegrafii bezprzewodowej zainstalowany na wieży Eiffla, co miało się przyczynić do jej przetrwania. Wielu bowiem Francuzów uważało, iż stalowa konstrukcja szpeci Paryż, i niewiele brakowało, by ją rozebrano.

Ochorowicz był wizjonerem i w 1878 roku w piśmie „Kosmos" wyłożył ideę telewizji. Stwierdził, że „po telefonie i telegrafie musimy wynaleźć telefoton albo telefotoskop", czyli urządzenie do przesyłania „obrazów optycznych" na dowolną odległość. Uczony twierdził, że w tym celu należy rozwiązać sposób zamiany światła na prąd elektryczny, i zauważał, że selen przepuszcza prąd w zależności od stopnia oświetlenia. Dowodził, iż można przesyłać prąd elektryczny, który „byłby równoważnikiem obrazu optycznego". Dodał również, że trzeba rozwiązać problem przesyłania prądu bez naruszenia jego układu[110].

Ochorowicz był także wybitnym psychologiem eksperymentalnym i głosił pogląd, że przyszli lekarze powinni się uczyć psychologii, a dodatkowo – że wiedza z tej dziedziny mogłaby być wykorzystana w kryminalistyce. Rozpoczął również badania nad psychologią nieświadomości i wniósł spory wkład w zastosowanie hipnozy dla celów leczniczych. Zdobył tak dużą renomę międzynarodową, że w 1889 roku zainicjował w Paryżu pierwszy kongres psychologów.

Zajmował się także magnetyzmem, który określał jako „działanie indukcyjne jednego organizmu na drugi, w którym główną rolę gra indywidualność działającego". Natomiast samo leczenie polegało na przykładaniu rąk do ciała pacjenta lub tak zwanych „pociągach", czyli „głaskach"[111]. Z tego powodu spotykał się z niechęcią środowiska medycznego, gdyż lekarze uważali takie metody za bezwartościowe. Bez wątpienia powodowała nimi także zazdrość, gdyż Ochorowicz miał wielu pacjentów.

Ale ta praktyka stanowiła dopiero wstęp do jego zaawansowanych wieloletnich badań nad fenomenem mediów, czyli osób wykazujących niewyjaśnione właściwości. Fascynowały one najwybitniejszych uczonych europejskich, między innymi astronoma Camille'a Flammariona, lekarza i fizjologa, profesora Sorbony, Charles'a Richeta, który w 1923 roku otrzymał Nagrodę Nobla, oraz państwa Curie. Piotr Curie konstruował nawet aparaty do kontroli mediów i badania zjawisk metapsychicznych, jednak pracę w tym zakresie przerwała jego nagła śmierć.

Maria Curie twierdziła, iż „fakty są takiej wagi, że warto poświęcić część swojego czasu do uzyskania pod tym względem niewzruszonej pewności". Dodawała, że chodzi o „nowe i piękne fakty doświadczalne"[112].

Seanse z Eusapią Palladino

Jesienią 1892 roku mieszkający w Rzymie znakomity malarz Henryk Siemiradzki poinformował Ochorowicza o seansach z Eusapią Palladino i zapewnił, że miały one miejsce w warunkach wykluczających wszelką możliwość oszustwa.

„Trzymamy Eusapię za ręce – relacjonował. – (…) Krzesła spacerują po pokoju, przenoszą się na stół, jedno z nich umieszcza się na głowie Prószyńskiego, fortepian gra pod dotknięciem niewidzialnej ręki, a następnie kiedym zażądał, żeby się na nim ujawniła obecność drugiej ręki, słyszymy jednoczesne uderzenia w basie i we

wiolinie, gdy druga ręka wybija takt i bębni po stole”[113].

To jednak nie wszystko, gdyż podczas seansów „tajemnicze ręce” dotykały twarzy zgromadzonych osób i ściskały im dłonie.

Ochorowicz był zdumiony i zafascynowany relacją Siemiradzkiego. Pojechał zatem do Rzymu, ale gdy przybył do willi malarza przy Via Gaeta, dowiedział się, że medium jest niedysponowane i seans przesunięto o kilka dni. Nie potrafił ukryć rozczarowania i zirytowany stwierdził, że „z tymi babami to zawsze tak”[114].

Eusapia Palladino miała wówczas 38 lat i była analfabetką z Neapolu. Dotychczas pracowała jako szwaczka i nie prezentowała się specjalnie atrakcyjnie.

„Rysy regularne – oceniał Ochorowicz – i w twarzy żadnych zboczeń. (…) Czoło inteligentne. Wyraz twarzy zwykły, nieco kwaśny, w uśmiechu zaś sympatyczny, trochę rubaszny. Głos niezbyt wdzięczny, basem zarywa”[115].

Włoszka nie zawiodła przybysza znad Wisły. Trzymając ją za ręce, patrzył, jak ciężkie pianino odsunęło się od ściany, „dojeżdża do naszych pleców i pcha nas na środek pokoju”. Na tym samym seansie krzesło zeskoczyło ze stołu, „podsunęło się pode niego, a niewidzialna ręka nacisnąwszy mi z lekka ramię z góry, skłoniła mnie do zabrania miejsca”[116].

Psycholog nie potrafił wytłumaczyć sobie istoty tych wydarzeń i był święcie przekonany, że Palladino nie jest „kuglarką”. Wykluczył również, by zahipnotyzowała zebranych.

„Wiesz co – powiedział na pożegnanie Siemiradzkiemu – ja chyba nie dojadę do Warszawy, tylko zatrzymam się w Tworkach, bo jak zacznę opowiadać, com widział, to i tak tam mnie odeślą”[117].

Naukowiec przyznawał, że powrócił z Rzymu jako wyznawca mediumizmu, lecz nie spirytyzmu (bardzo wówczas modnego). W duchy bowiem nie wierzył, a fenomen Eusapii tłumaczył sobie oddziaływaniem nieznanych sił i praw fizycznych. Zagadka zjawisk wywoływanych przez Włoszkę nie dawała mu spokoju i późną jesienią 1893 roku ściągnął ją do Warszawy. Chciał bowiem poznać i zrozumieć naukowo całą tę sprawę, gdyż był człowiekiem epoki pozytywizmu – uważał, że wszystko musi mieć racjonalne wytłumaczenie.

W seansach, które odbywały się w mieszkaniu uczonego, uczestniczyło grono znanych osób, a wśród nich: Bolesław Prus, Henryk Siemiradzki, krytyk literacki Ignacy Matuszewski, były prezydent Warszawy, generał Sokrates Starynkiewicz, oraz kilku lekarzy.

„Usiadłem koło Prusa – wspominał Matuszewski – który pragnąc mieć pewność, że nie podlegamy sugestii, położył na stół zegarek i co chwila spoglądał na wskazówkę, komunikując nam jej położenie”[118].

Panowało przekonanie, że popisom mediów sprzyja muzyka. Podczas jednego z seansów Ochorowicz zaczął zatem grać utwór Chopina, a wtedy stół ruszył w kierunku pianina, podobno popychany bezwiednymi ruchami rąk obecnych – głównie Eusapii – i „począł skakać z zadowolenia w takt muzyki”[119].

Potem zdarzyło się coś dziwnego: gdy Ochorowicz wstał od pianina – a medium było trzymane za dłonie – „niewidzialna ręka” uderzała palcem w klawisze, a inna grzmociła pięścią w stół do taktu.

Zaobserwowano także unoszenie się stołu na wysokość od trzydziestu do

sześćdziesięciu centymetrów, gdy uczestnicy przytrzymywali nogami stopy Eusapii, a jej ręce blokowali w swoich dłoniach. Ignacy Matuszewski stwierdził, iż stół unosił się w powietrzu „tak długo, że kilkakrotnie miał czas położyć się na ziemi, by sprawdzić, że wszystkie nogi znajdują się w powietrzu”[120].

Refleksje Bolesława Prusa

Matuszewski widział też, jak Bolesław Prus został złapany za rękę jakąś dużą dłonią, podczas gdy obie ręce Włoszki były widoczne[121]. Pisarz pozostał jednak sceptyczny, chociaż cała sytuacja wprawiła go w konsternację. Dopuszczał myśl, że Palladino może być oszustką, ale jeżeli tak, to genialną, a przy okazji także dobrą aktorką.

„Doszedłem do wniosku – komentował – że zjawiska mediumiczne wywoływane przez Eusapię nie polegają na złudzeniach zmysłowych ani na hipnozie. Wszystkie ruchy sprzętów, dźwięki instrumentów, światełka itd. – wszystko to były »fakty realne«. My zaś, ich świadkowie, byliśmy mimowolnymi spostrzegaczami nie zaś ofiarami obłąkania, opętania czy choćby tylko przywidzeń”[122].

Przyznawał jednak, że dotychczas obserwował ponad dwieście niewyjaśnionych zjawisk, z czego sto siedemdziesiąt uznał za wątpliwe, dwadzieścia za podejrzane, natomiast około dziesięciu mu zaimponowało. Nie umiał sobie wytłumaczyć lewitacji stołu przy świetle, gry harmonijki za kotarą, tajemniczych dotyków rąk, w sytuacji gdy dłonie Eusapii były widoczne.

Na dodatek Ochorowicz, by wykluczyć oszustwo, sprowadził na seans znanego magika Władysława Rybkę, który oświadczył, że sztuk Palladino nie potrafiłby wykonać żaden iluzjonista.

Prus pytany, czy wierzy w zjawiska mediumiczne, odpowiedział, że „jeszcze nie”, ale dodał, że nawet gdyby Palladino okazała się „kuglarką”, jego życzliwość i sympatia do Włoszki nie uległyby zmianie[123].

Objawów oszustwa nie zauważył także generał Sokrates Starynkiewicz, ale nie wyrobił sobie zdania na temat siły działającej za pośrednictwem medium. Oficer był bowiem człowiekiem myślącym bardzo racjonalnie, ale jednak nie mógł zaprzeczyć temu, co widział na własne oczy. Zatem wolał się szerzej nie wypowiadać na ten temat[124].

Uczestnicy warszawskich seansów sporządzili oświadczenie, w którym stwierdzili, że podejrzenie oszustwa nie wyjaśnia znacznej liczby faktów, a rzecz cała „bez względu na panujące uprzedzenia powinna stać się przedmiotem ściślejszego naukowego badania”[125].

Nie wszyscy jednak podpisali się pod tym dokumentem. Niektórzy uczestnicy wykazali bowiem krytycyzm i byli sceptyczni wobec osobliwych zjawisk prezentowanych przez Włoszkę. Ale jej pobyt nad Wisłą i tak wzbudził powszechne zainteresowanie oraz wielkie emocje.

„Po prostu wybuchła o nią wojna – podsumowywał krytyk literacki Cezary Jellenta – która podzieliła całą Warszawę na Greków i Trojańczyków (…). Cały namysł, wszystkie wątpliwości naszej inteligencji, jej dusza cała zmieniła się w kwestię: kuglarka czy nie kuglarka”[126].

Ochorowicz wierzył jednak bez zastrzeżeń w siły mediumiczne Eusapii i uważał,

że dołożył wszelkich starań, by wykluczyć oszustwo. Rzeczywiście wcale nie był człowiekiem łatwowiernym, gdyż niedługo później zdemaskował jako hochsztaplerkę panią Corner (Florence Cook) prezentującą podobne co Eusapia zdolności. Z drugiej jednak strony może właśnie ten fakt spowodował, że naukowiec utwierdził się w przekonaniu, iż Palladino nie jest „kuglarką".

„Twierdzenie, że Morselli, Bottazzi, Foa, Ochorowicz i ja – zaznaczał Charles Richet – wszyscyśmy mogli nie spostrzec, jak Eusapia rękę uwalnia, aby nią wykonywać zjawiska telekinetyczne, jest nieskończenie głupie"[127].

Niedługo po warszawskich seansach prasa angielska doniosła, że podczas pokazów w Cambrigde Palladino została zdemaskowana jako oszustka. Ochorowicz przyznawał zresztą, że czasami, gdy Włoszka nie miała siły i czuła zmęczenie, a zebrani oczekiwali od niej spektakularnych efektów, bezwiednie pomagała sobie pewnymi trikami. Nie wyjaśniały one jednak wszystkich osobliwości dokonywanych przez Eusapię. A poza tym uważał, że jeżeli oszukiwała, to wyłącznie dlatego, iż nie było nad nią ścisłej kontroli i w ten sposób pozwolono jej – być może celowo – na szalbierstwo, aby ją skompromitować. Zarzucał też brytyjskim badaczom fałszowanie protokołów.

Przy okazji Ochorowicz próbował być krytyczny wobec siebie samego i zastanawiał się, czy nie pozostawał pod zbyt wielkim wrażeniem Eusapii. Przyznawał, że zdarzały się „oszustwa automatyczne", ale były także takie, że „wątpić o nich było niepodobna". Denerwował się, iż podkreślenie tych nadużyć oraz kompletne dezawuowanie zjawisk mediumicznych jako „kuglarstwa" było w istocie wylewaniem dziecka z kąpielą.

Uczony uważał bowiem, że miał do czynienia z niezbadanymi siłami przyrody, i twierdził, że „człowiek nie kończy się na powierzchni ciała". Początkowo sądził, iż był to dowód na „transfer siły nerwowo-mięśniowej", aż wreszcie uznał, że przyczyną zadziwiających zjawisk wywoływanych przez media są „promienie sztywne" i promienie Xx – wysyłane przez palce i dłonie – oddziałujące na „eter" otaczający ludzi.

Doszedł też do wniosku, że organizm człowieka jest w rzeczywistości podwójny, gdyż z ciała fizycznego może się wyłonić ciało eteryczne. Uznał je za jeden ze stanów rozrzedzenia materii, zatem ciało eteryczne nie było czymś nadzmysłowym[128]. Właśnie w ten sposób argumentował fenomen poruszania sprzętami – według Ochorowicza robiła to bowiem ręka eteryczna, podczas gdy materialna pozostawała na widoku zebranych.

Stanisława Tomczykówna, telekineza i zjawa „Małej Stasi"

Następnym medium, z którym eksperymentował Julian Ochorowicz, była Stanisława Tomczykówna. Podczas rewolucji w 1905 roku uczestniczyła w demonstracji i gdy została zatrzymana, przeżyła wstrząs psychiczny, który ujawnił jej niezwykłe umiejętności. Tomczykówna materializowała bowiem zjawę dziewczynki o wzroście około sześćdziesięciu centymetrów, nazwaną „Małą Stasią".

Uczony – oczywiście – nie uwierzył, że jest ona duchem, tylko przyjął, iż była to emanacja myśli i wyobrażeń Tomczykówny o sobie jako dziecku. Uznał, że

promieniowanie emitowane przez kobietę oddziałuje na „eter”, a zmiany w jego gęstości powodują powstanie „widziadeł mediumicznych”. Badacz posunął się dość daleko w swoich hipotezach, gdyż dodatkowo stwierdził, że medium nie tylko daje widziadłom ciało eteryczne, lecz także „nadto ustępuje im jeden po drugim swoje atomy”[129].

Zapalony eksperymentator sfotografował zjawę „Małej Stasi”, a gdy profesor Napoleon Cybulski, fizjolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego, stwierdził, że zdjęcia są spreparowane, poprosił o opinię specjalną komisję. W jej skład wchodził między innymi Piotr Lebiedziński, chemik, producent materiałów światłoczułych i konstruktor aparatów fotograficznych. Komisja stwierdziła, że negatywy zdjęć w żaden sposób nie zostały wyretuszowane i podwójnie naświetlone, a uzyskane zdjęcia nie są wynikiem manipulacji z naświetlaniem.

Czy „Mała Stasia” i inne zjawy tworzone przez media były jedynie efektownymi trikami? Nie wszystkie jednak relacje z tamtych lat można uznać za efekt ulegania zręcznie fabrykowanym iluzjom, niedostrzeganym przez naiwnych obserwatorów. Zdarzały się bowiem media, którym nigdy nie udowodniono oszustwa, natomiast świadkowie ich popisów byli zbyt liczni i wiarygodni, by podać w wątpliwość ich relacje[130].

Sceptyk może powiedzieć, że fakt niewykrycia oszustwa wcale nie oznacza jego braku. Być może liczni i wiarygodni świadkowie nie byli w stanie przejrzeć tajemnicy genialnych iluzjonistów i ulegali zbiorowej sugestii.

Julian Ochorowicz przyznawał, że tak daleko zabrnął w hipotezy dotyczące zjawisk mediumicznych, iż nic już nie było mu w stanie zaszkodzić w oczach czytelników jego książek i artykułów prasowych. Zaszkodziło mu to jednak w środowisku naukowym i na pierwszym zjeździe polskich psychologów, psychiatrów i neurologów w 1909 roku wybuchł skandal, gdy Ochorowicz przedstawił swoją koncepcję mediumizmu, promieni sztywnych i Xx. Jak wspominał, spotkał się wówczas z bezpardonowym atakiem i szykanami, a jego wystąpienie zakończyło się skandalem[131].

Uczony mówił wówczas o promieniach sztywnych jako prądzie lub emanacji pochodzącej z palców medium zdolnej wywoływać skutki mechaniczne poza ciałem. Natomiast promienie Xx miały powodować zjawiska świetlne i przechodzić przez wszystkie znane ciała.

Profesor Władysław Heinrich, psycholog z Uniwersytetu Jagiellońskiego, oznajmił po odczycie, że w ogóle nie należy dyskutować nad wygłoszonymi tezami. Uznał je bowiem za kompletnie nienaukowe, ale wniosek przepadł i podjęto decyzję, by eksperymentami Ochorowicza zajęła się specjalna komisja. Jednak uczony się na to nie zgodził – uważał bowiem, że komisja będzie złożona z ludzi nastawionych niechętnie do badań, a w takich warunkach jego medium nie potrafi przedstawić w pełni swoich możliwości. W efekcie – nie doprowadziłoby to „nigdy do skonstatowania subtelniejszych objawów nie tylko mediumicznych, lecz także hipnotycznych”[132].

Ochorowicz nie prowadził eksperymentów wyłącznie u siebie w domu i tylko z zaufanymi osobami. W laboratorium warszawskiego Muzeum Przemysłu i Rolnictwa Stanisława Tomczykówna demonstrowała efekty telekinetyczne: poruszała na

odległość dzwonkiem, podnosiła szklaną buteleczkę, co zostało sfotografowane. Potrafiła też zdalnie zatrzymać zegar, a nawet sprawić, by kulka w ruletce wpadła do wcześniej określonej przegródki.

Lewitacja szklanego naczynia została powtórzona przez znanego iluzjonistę Williama S. Marriotta – by wykonać tę sztuczkę, magik posłużył się ukrytą nicią. Nie był to jednak dowód, że nici używała również Tomczykówna, natomiast zatrzymanie zegara czy zmuszenie kulki do działania zgodnie z wolą medium nadal pozostało niewyjaśnione.

W 1912 roku Julian Ochorowicz ubiegał się o pożyczkę z Kasy imienia Mianowskiego finansującej prace i publikacje naukowców, pragnął wydać książkę **Nowe formy energii**. Podanie zostało jednak odrzucone, co wymownie świadczy o ocenie jego eksperymentów i teorii. A Ochorowicz był przekonany, że „granice możliwego rozszerzają się ciągle". I niewątpliwie miał rację[133].

Głos zza grobu

Julian Ochorowicz nie uważał się za spirytystę, ale nie dlatego, że nie wierzył w nieśmiertelność duszy i oddziaływanie zmarłych na żyjących – po prostu nie spotkał się z przekonującym dowodem na życie pozagrobowe[134]. Nie wykluczał jednak takich kontaktów i gdyby pojawiły się poważne poszlaki, zapewne zająłby się również tym tematem.

Poglądy naukowca podzielali jego współpracownicy: lekarz Ksawery Watraszewski i Jadwiga Domańska. Była ona początkowo jego pacjentką, potem kolejnym medium, a na koniec asystentką. Uczony wynajmował jej w swoim warszawskim mieszkaniu dwa pokoje i tam też zmarł 1 maja 1917 roku.

Watraszewski, publikujący pod pseudonimem „dr Franciszek Habdank", wspominał, że bezpośrednio po śmierci Ochorowicza Domańska wzięła do ręki pióro i zaczęła pisać „dłuższe, poważne co do formy i treści elaboraty dotyczące psychologii i filozofii", a autorem tych komunikatów był ponoć nieżyjący uczony. Duch Ochorowicza miał wyrazić nadzieję, że przemawiając z zaświatów, ukończy publikację swoich prac naukowych i literackich.

Watraszewski przekonywał, że wykształcenie Domańskiej nie pozwalało jej pisać podobnych tekstów. Jego zdaniem noszą one wszelkie cechy stylu Ochorowicza[135]. Ponadto zapewniał, że wszystkie materiały i notatki zmarłego znalazły się w opieczętowanym pokoju, a Domańska nie mogła z nich korzystać.

„Prócz myśli bardzo trafnych spotykamy w traktatach rzekomo natchnionych przez ducha Ochorowicza – oceniał na gorąco rewelacje Domańskiej ksiądz Kazimierz Wais – rzeczy w najwyższym stopniu banalne, nadające się bardziej do **Sennika egipskiego** aniżeli do książki naukowej"[136].

Władysław Witwicki, profesor psychologii, stwierdził zaś, że tak zwane komunikaty Ochorowicza to „żart beletrystyczny". Przy okazji podkreślano, że naukowiec, który sam był przeciwnikiem spirytyzmu, po śmierci wpadł w ręce jego wyznawców.

„Zdziwiony niezmiernie tym, że żyję – miał relacjonować Domańskiej zmarły uczony – że trwam dalej poprzez wszystkie swoje rozumowania, postanowiłem

podzielić się z wami moimi wrażeniami, które znów stanowiłyby otuchę dla tych, którzy pozostali tam, na ziemi… Wiedziałem, iż tym więcej rewelacje moje mogą mieć ceny, iż pozytywizm mój życiowy wyłączał ewentualność jakichkolwiek złudzeń w tym kierunku”[137].

Jadwiga Domańska twierdziła, że ma także kontakt z duchami Adama Mickiewicza oraz Juliusza Słowackiego i prowadziła z nimi rozmowy. Poeci mieli jej dyktować nowe, zresztą dość udane, wiersze. Ale to już całkiem inna historia.

Natomiast gdyby duch Ochorowicza nadal komunikował się z żywymi, z pewnością wyraziłby zadowolenie, że w jego willi w Wiśle powstało Muzeum Magicznego Realizmu z ekspozycją dzieł sztuki odpowiadających nazwie placówki. Znajdują się tam również pamiątki po niezwykłym badaczu.

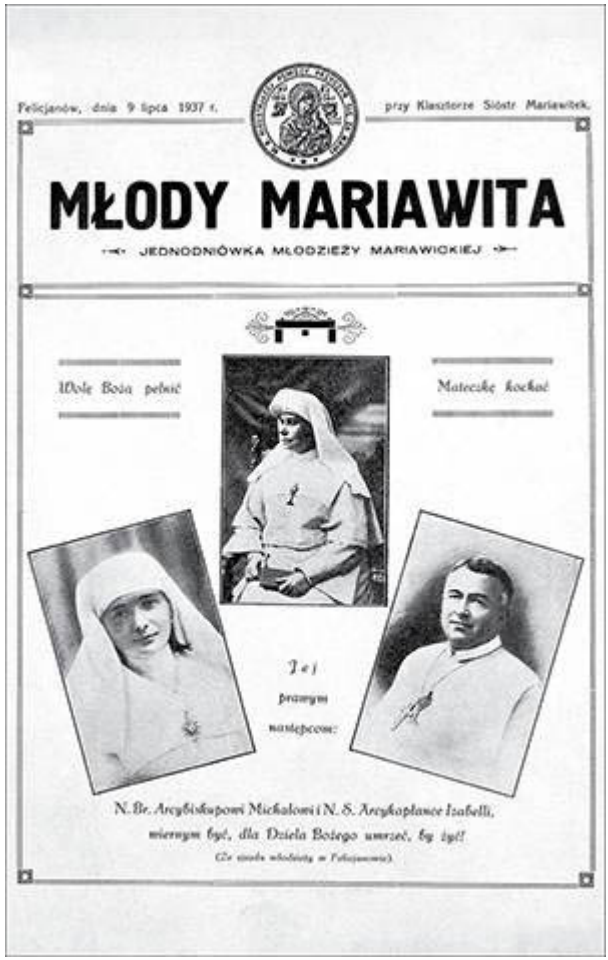

Maria Franciszka Kozłowska, Antonina Maria Izabela Wiłucka i Maria Michał Kowalski

Rozdział 5

Mariawici – Maria Franciszka Kozłowska i Maria Michał Kowalski

Objawienia Mateczki Kozłowskiej nigdy nie zostały uznane przez Stolicę Apostolską, mimo że wykazują dużą zbieżność z przesłaniem o Miłosierdziu Bożym głoszonym przez Świętą Faustynę Kowalską. Nie zmienia to jednak faktu, że na założycielce Kościoła mariawickiego przez cały czas ciąży imienna klątwa papieska, a dzieje tego wyznania wskazują, że ruch stawiający sobie za cel uzdrowienie moralne duchowieństwa oderwał się od Kościoła katolickiego i z jego punktu widzenia stał się heretycki.

Dzieło Wielkiego Miłosierdzia

Po upadku powstania styczniowego rząd rosyjski – w ramach represji za przychylność okazywaną zrywowi narodowemu – rozpoczął akcję wymierzoną przeciw zakonom katolickim na terenie Królestwa Polskiego. Z prawie dwustu żeńskich i męskich klasztorów do likwidacji przeznaczono ponad połowę, a część pozostałych planowano skasować w późniejszym terminie. Ponieważ obowiązywał zakaz przyjmowania nowicjuszy, klasztor podlegał likwidacji, gdy liczba braci spadała poniżej ośmiu.

W tej sytuacji kler katolicki zainicjował zakładanie tajnych zakonów, a kapucyn, ojciec Honorat Koźmiński tworzył ukryte zgromadzenie żeńskie oparte na regule trzeciego zakonu Świętego Franciszka. Do jednego z nich – Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek od Cierpiących – wstąpiła w 1883 roku w Warszawie 21-letnia Feliksa Magdalena Kozłowska pochodząca z niezamożnej rodziny szlacheckiej osiadłej w Wielicznej na Mazowszu. Jej ojciec pracował jako zarządca majątków i nadleśniczy, zginął jednak w powstaniu styczniowym, gdy dziewczynka miała niespełna rok.

„Wzrostu była średniego – pisał jeden z krytyków późniejszej Mateczki – blondynka, podlegała atakom nerwowym, na jedno oko zezowata, kłótliwa i mściwa”[138].

Cztery lata później Feliksa Magdalena (imię zakonne Maria Franciszka) za zgodą ojca Koźmińskiego założyła w Płocku Zgromadzenie Sióstr Ubogich Świętej Matki Klary. Zakon działał pod przykrywką pracowni krawieckiej, a Kozłowska pozostawała pod kierownictwem duchowym kapucyna.

Zapewne do podjęcia decyzji o zmianie zakonu skłoniła ją znajomość z młodym

księdzem Kazimierzem Przyjemskim, który zwierzył się jej, że pragnie stworzyć stowarzyszenie kapłańskie „celem wspierania się wzajemnego w życiu ascetycznym”[139].

2 sierpnia 1893 roku po mszy świętej i przyjęciu komunii Maria Franciszka przed obrazem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy doznała objawienia Dzieła Wielkiego Miłosierdzia Bożego. Miało to miejsce w płockim kościele seminaryjnym, gdzie „nagle została oderwana od zmysłów i stawiona przez Majestatem Bożym”.

W spisanej relacji twierdziła, że zobaczyła „sprawiedliwość Boską wymierzoną na ukaranie świata i Miłosierdzie dające ginącemu światu jako ostatni ratunek Cześć Przenajświętszego Sakramentu i Pomoc Maryi”[140].

Treścią objawienia była konstatacja upadku moralnego świata ze szczególnym uwzględnieniem duchowieństwa katolickiego. Maria Franciszka ponoć otrzymała wówczas polecenie założenia zgromadzenia księży mariawitów „na większą chwałę Bożą i cześć Przenajświętszej Marii Panny”. Stowarzyszenie miało się zająć odnową moralną kleru, a Kozłowska pełniłaby tam funkcję „mistrzyni i matki” sprawującej „władzę nad ich sercami i duszami”[141].

Objawienie wymieniało trzech kandydatów do ukrytego Zgromadzenia Kapłanów Mariawitów, a następnych Kozłowska zaczęła szukać wśród księży przejawiających wyjątkową gorliwość religijną. Odwiedzała ich w konfesjonałach, oświadczając, że według jej objawienia zostali powołani do grupy, która ma wpłynąć na odrodzenie duchowieństwa[142].

Kozłowska zastanawiała się, czy to właściwe, by kapłani słuchali kobiety. W kolejnym jednak objawieniu jej wątpliwości zostały rozwiane, gdyż tym razem ponoć usłyszała:

„Kiedy kapłani tak poniżyli godność swoją, że poddają się kobietom, z któremi grzeszą i ich słuchają, to dlaczego ma być niewłaściwym, żeby kapłan świątobliwy w sprawach dla Większej Chwały Bożej nie miał słuchać kobiety?”[143].

Kozłowska otrzymała ponadto polecenie szerzenia kultu Przenajświętszego Sakramentu i wzywania pomocy Matki Boskiej dla wyjednania Bożego Miłosierdzia.

Początkowo ojciec Koźmiński zaakceptował zgromadzenie księży mariawitów – i przystąpiło do niego kilkudziesięciu duchownych. Wybierała ich Kozłowska, a sam zakonnik miał po latach wypominać, że wówczas „z pociechą na ich gorliwość spoglądał”. Podobnie jak biskup płocki Michał Nowodworski, który „nawiedzał ich w mieszkaniach, radując się z tego wielkiego ubóstwa, jakie w nich spotykał”. Podpisał nawet „księdzu Przyjemskiemu regułę życia, jaką mieli przypisaną”.

Potem jednak doszło do kolejnych objawień Kozłowskiej, które „wszystko zatruły”, a mariawici zostali uznani przez władze kościelne za heretyków[144].

Mateczka duchowa

Maria Franciszka Kozłowska była bez wątpienia osobą charyzmatyczną. Późniejszy biskup mariawicki, Leon Andrzej Gołębiowski, wspominał pierwsze z nią spotkanie, gdy podeszła do jego konfesjonału, by się wyspowiadać i zaproponować przystąpienie do zgromadzenia. Nic nie zapamiętał z treści spowiedzi, gdyż dominujące było wrażenie, jakie wywarła Kozłowska, o której wcześniej nigdy nie

słyszał.

„Skoro tylko Mateczka przemówiła pierwsze słowo – relacjonował – wnet ogarnęło mnie nieopisane szczęście. Słowa Mateczki odbijały się w mej duszy jak jakaś przecudowna, przepiękna melodia, jak muzyka anielska; serce moje odczuwało nieziemską wonność świętości płynącą od Mateczki; całą moją istotę zalewała niepojęta radość i zdumienie”[145].

Księża mariawici uzyskiwali popularność tam, gdzie miejscowy kler nie wywiązywał się należycie ze swoich obowiązków duszpasterskich. Reprezentowali bowiem inny typ kapłaństwa: skromnego, poświęconego wiernym i dbającego o moralność parafian[146].

Nic zatem dziwnego, że do ich kościołów zaczęły przybywać tłumy, a „konfesjonały były oblężone”. Wierni się „umoralniali, ustawały kłótnie, kradzieże, pijaństwo i inne występki”, a w Niesułkowicach, gdzie proboszczem był ksiądz Jan Kowalski, późniejszy arcybiskup mariawicki, „prawie zupełnie zaniechano spraw sądowych”. W zamian „kościoły niedbałych księży świeciły pustkami”[147].

Ojciec Honorat Koźmiński przyznawał, że początkowo księża mariawici byli „kwiatem naszego kleru świeckiego”, ale w okresie późniejszym ostro ich krytykował za brak posłuszeństwa wobec przełożonych. Miał też pretensje o poglądy, gdyż – jak twierdził – nie odróżniali tego, co było obowiązkowe dla katolika, od tego, co mu się doradzało. Mariawici uważali bowiem, że nie można dostąpić zbawienia bez częstego przystępowania do komunii i adoracji Najświętszego Sakramentu. Natomiast Kościół tylko zalecał regularną komunię i adorację, ale nie uważano, że są one niezbędne do zbawienia. Dość oryginalną praktyką zalecaną przez mariawitów miało być także połykanie obrazków z wizerunkiem Matki Boskiej[148].

Kapucyn wytykał mariawitom, że w życiu małżeńskim propagują wstrzemięźliwość, „która nieraz doprowadza ludzi do obłędu”, a przecież – jak zauważał – Pismo Święte zalecało tylko powściągliwość jedynie od czasu do czasu[149].

Ojciec Koźmiński próbował namawiać księży mariawitów, by porzucili Mateczkę i sami wybrali sobie przełożonego, gdyż uznał, że Kozłowska odegrała już swoją rolę. Przekonywał ich nawet, że Mateczka wprowadziła znacznie ostrzejszy rygor, niż obowiązywał w jakimkolwiek innym zakonie.

„Nie możemy tego uczynić – replikował jeden z kapłanów mariawickich – bo wpływ Mateczki na nasze dusze jest bardzo zbawienny i wyrządzilibyśmy sobie wielką szkodę, porzucając Mateczkę. (…) Mateczka wyprowadziła nas z grzechu i ciemności ducha, nauczyła nas życia zakonnego i miłości dla Pana Jezusa, stała się dla nas prawdziwą Matką duchową i teraz my mamy Ją porzucić? Nigdy”[150].

Najwierniejszy uczeń

Wśród księży mariawitów szybko wybił się Jan Kowalski, absolwent warszawskiego Seminarium Metropolitarnego i petersburskiej Akademii Duchownej. Objął stanowisko wikariusza kościoła Kapucynów w Warszawie i tam poznał księdza Przyjemskiego, po czym został przyjęty do zgromadzenia jako Maria Michał. Przyjemski uważał, że Kowalski przewyższa innych księży gorliwością w życiu

zakonnym i kultem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. A do tego był fanatycznie oddany Mateczce.

„Ujrzałem na pozór zwyczajną – wspominał pierwsze spotkanie z Kozłowską – i skromniutko, choć po świecku ubraną, w średnim wieku panią, pełną prostoty i swobody, z bijącą z jej twarzy i oczu dobrocią i łagodnym uśmiechem. Spojrzałem uważnie na Mateczkę i zrozumiałem, że to jest jakby nic, ale to nic jest jakby tabernakulum, w którym Sam Bóg mieszka”[151].

Kowalski opowiadał, że od tego spotkania został przepełniony czcią do Mateczki. Jednak tak naprawdę połączyło ich znacznie więcej… Gdy bowiem był u Kozłowskiej w Płocku, „Jezus zbliżył go i zjednoczył z Mateczką już nie jako syna tylko, ale jako oblubieńca na podobieństwo zjednoczenia, jakie zjednoczyło pierwszych rodziców”[152].

Krytycy księdza uważali, że połączyła ich więź nie tylko duchowa i mistyczna, lecz także fizyczna.

„Widziałem go roznamiętnionego przy Kowalskiej – zeznawał były mariawita, ksiądz Ludwik Rytel – kiedy wszedł za Kozłowską do jej sypialnego pokoju. Wkrótce tam wszedłem i widziałem Kozłowską już rozebraną, oczywiście, że przy Kowalskim się rozbierała, Kowalski zaś był czerwony i roznamiętniony i na mój widok odskoczył w bok, a potem od łóżka”[153].

Życzliwy mariawitom historyk twierdził jednak, że o osobistym życiu moralnym Marii Franciszki Kozłowskiej „nie można nic stwierdzić zdrożnego, wbrew sensacyjnym opiniom”[154].

Mariawici w Watykanie

W lipcu 1903 roku Maria Franciszka Kozłowska wraz z kilkunastoma kapłanami (w tym księdzem Kowalskim) zaznajomiła trzech polskich biskupów z treścią objawień. Następnie grupa wyruszyła do Watykanu, by przedstawić tam wizje Mateczki i zwrócić się o zatwierdzenie zgromadzenia mariawitów. Ponieważ po drodze zastała ich wieść o śmierci Leona XIII, ksiądz Kowalski odprawił w monachijskiej katedrze mszę za zmarłego papieża. Wtedy to Maria Franciszka miała usłyszeć głos Jezusa, który mówił o księdzu: „Ten jest moim wikarym i prawym następcą na Stolicy Apostolskiej”. Z tego też powodu mariawici uznali, że wiersz Juliusza Słowackiego o słowiańskim papieżu traktuje właśnie o Janie Kowalskim[155].

Podczas pobytu w Rzymie został on wybrany na ministra generalnego Zgromadzenia Kapłanów Mariawitów, a delegację przyjął papież Pius X, któremu przekazano spisany przez Kozłowską tekst objawień. Kongregacja Inkwizycji Rzymskiej i Powszechnej rozpatrzyła sprawę i we wrześniu 1904 roku wydała dekret nakazujący odsunięcie Mateczki Kozłowskiej od kierowania księżmi. Odrzucono też jej objawienia i nakazano biskupowi płockiemu wyznaczenie spowiednika, który wyleczyłby Marię Franciszkę z halucynacji i urojeń. Dekret kasował zgromadzenie księży mariawitów i zakazywał kapłanom kontaktów z Mateczką.

Zarówno księża, jak i Kozłowska zaakceptowali tę decyzję – zgromadzenie faktycznie rozwiązano, a Maria Franciszka zrzekła się prymatu nad księżmi. Zobowiązała się też do unikania z nimi kontaktów i oficjalnie uznała swoje

objawienia za „naturalne urojenia i marzenia”[156].

Jej zwolennicy nie złożyli jednak broni. Na początku 1905 roku do Rzymu pojechał ksiądz Paweł Skolimowski, chcąc przekonać najwyższe władze kościelne o bezzasadności wydania dekretu. W poufnych rozmowach słyszał słowa uznania dla pracy księży mariawitów, ale dano mu jednak do zrozumienia, że watykańskich hierarchów razi fakt, iż reformy zapoczątkowała kobieta[157].

W połowie roku do Rzymu wybrała się więc grupa wiernych z parafii, gdzie posługę pełnili mariawici. Delegaci twierdzili, że reprezentują 120-tysięczną społeczność i narzekali na złych księży oddających się „grze w karty, pijaństwu i rozpuście”, a do tego „tyranizujących i obdzierających lud ubogi”. Co gorsza, ich zachowanie pozostawało bezkarne, gdyż mimo licznych „próśb zanoszonych do władzy duchownej” niemożliwe było pozbycie się ich z parafii. W zamian natomiast zabierano im kapłanów, „którzy prawdziwymi byli dla nich ojcami”[158].

Skarżono się również na prześladowania ze strony krajowych władz kościelnych. Arcybiskupi – warszawski, Wincenty Popiel, i płocki, Apolinary Wnukowski – zakazywali umieszczania w kościołach obrazu Najświętszej Marii Panny Nieustającej Pomocy i jej kultu. Księża mariawici mieli zakaz kontaktów między sobą, nie mogli też oddawać się pobożnym praktykom. W razie nieposłuszeństwa byli relegowani z parafii lub zawieszani w czynnościach kapłańskich.

W lutym 1906 roku w Watykanie pojawili się trzej mariawici, w tym minister generalny, ksiądz Jan Kowalski. Ponownie narzekali na prześladowania i oskarżali krajowe duchowieństwo o niemoralność. Zresztą już nieco wcześniej do Rzymu dotarł wykaz tysiąca księży, którzy „prowadzili życie rozpustne, oddane pijaństwu i wyzyskowi, gorszące i świętokradcze”[159].

Cel wizyty mariawitów był jednak znacznie ważniejszy. Kowalski ze współpracownikami zażądali bowiem uznania przez Stolicę Apostolską objawień i posłannictwa Mateczki Kozłowskiej oraz potwierdzenia, że Bóg złożył w jej ręce dzieło odnowy świata i Kościoła. Do tego dochodziła jeszcze zgoda na szerzenie czci Eucharystii i Matki Bożej Nieustającej Pomocy jako sposobów na walkę ze złem. Przy okazji zwrócili się też o zniesienie zawieszenia w czynnościach duchownych księży mariawitów.

Żądania Kowalskiego wprawiły władze kościelne w osłupienie i uznano je za niebywałe „zuchwalstwo wobec głowy Kościoła”. Nic zatem dziwnego, że całą grupę potraktowano jako osoby niezrównoważone psychicznie i groźnych maniaków religijnych[160].

Wojna o parafie

Delegacja powróciła z Rzymu z pustymi rękoma, zresztą nie czekając na ostateczną decyzję papieża, zdecydowano się wypowiedzieć posłuszeństwo biskupom. Na miejsce dotychczasowych parafii miały powstawać wspólnoty mariawickie – i faktycznie w ciągu kilku tygodni katolicyzm porzuciło od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu tysięcy osób. Czegoś podobnego nie widziano na ziemiach polskich od czasów reformacji, a skala zjawiska daje pewne wyobrażenie o niezadowoleniu wiernych z dotychczasowych proboszczów i o zaniedbywaniu obowiązków przez

księży. Na stronę mariawitów przeszło około czterech procent parafii i nie więcej niż dwa procent wiernych.

Tworzeniu nowych wspólnot wiosną 1906 roku towarzyszyły zamieszki przeradzające się czasami w krwawe rozruchy. Władze kościelne usiłowały bowiem wprowadzić do parafii własnych księży, ewentualnie mariawici próbowali opanować kościoły i ich zaplecza. Ksiądz Kowalski przebrał się ponoć za kobietę, by napaść w nocy na plebanię we wsi Skorzawa i wyrzucić tamtejszego proboszcza[161].

Z kolei katolicy ze Skoszew i Łodzi najechali na gospodę, w której przebywali mariawici. Napadnięci ratowali się ucieczką na dach, stamtąd padły strzały w stronę oblegających, zginęło pięciu agresorów. Pochowano ich w Skoszewach, a na grobie umieszczono napis, że spoczywają tam „męczennicy za wiarę katolicką zamordowani przez heretyków”[162].

Natomiast w Lesznie koło Błonia proboszcz sąsiedniej parafii wyprawił się zbrojnie, by odbić kościół z rąk mariawitów. Doszło do krwawych rozruchów, podczas których zginęło trzynaście osób, a dziewięćdziesiąt zostało rannych[163].

Hierarchia katolicka i znaczna część opinii publicznej widziała w ruchu mariawickim działalność antypolską i antykatolicką, która była na rękę władzom carskim. Faktycznie, mariawici poszukiwali wsparcia i obrony u Rosjan przed prześladowaniami ze strony katolików i doczekali się uznania ich jako sekty. Z drugiej jednak strony – nakazano im zwrot bezprawnie zagarniętych świątyń.

Nie zmienia to jednak faktu, że władze zaborcze z radością powitały rozłam w polskim katolicyzmie – być może dlatego niektórzy badacze uważają, że ruch mariawicki rzeczywiście próbowano wykorzystywać do walki z Kościołem. Obiektywnie trzeba jednak przyznać, że brakuje wiarygodnych informacji na ten temat[164][165].

Mariawitów oskarżano też, że składali zeznania obciążające inne ukryte zgromadzenia zakonne, których patronem był ojciec Koźmiński. Jeżeli nawet faktycznie tak było, to raczej nie zaszkodzono kapucynowi, gdyż prowadzący śledztwo urzędnik rosyjski stwierdził, że pozostałe wspólnoty ojca Honorata nie działały „na szkodę państwa pod względem politycznym”, a ich celem było nauczanie zasad religii katolickiej i opieka nad robotnicami[166].

Przy okazji zarzucano mariawitom obłudę, gdyż wprawdzie ich kapłani żyli w ubóstwie, czystości i ascezie, to na świecie było „wielu lutrów, jaroszów i wielu bezbożników, którzy mięsa nie jedli i wstrzemięźliwie żyli, i nigdy się nie upijali, a jednak pretensji do świętości z tego powodu nie wnosili”. Podnoszono, że przecież diabeł „nigdy nie jadał i ciężko pokutował, tylko nie umiał być pokornym i posłusznym”. Dlatego gdy mariawici zakładali żłobki, przedszkola, szkoły i tanie kuchnie dla ubogich oraz bezrobotnych, nie biorąc ofiar pieniężnych za posługi religijne, twierdzono, że rekompensują to sobie sprzedażą dewocjonaliów i zbieraniem składek. Do tego dochodziły jeszcze ofiary w „pieniądzu i zbożu”, dzięki czemu „postępowali jak Żydzi, co to opuszczą grosz na cenie, a skrzywdzą na miarze”[167].

Jeszcze podczas sporów o świątynie ksiądz Kowalski zaczął zapoznawać wiernych z objawieniami Mateczki – ogłosił, że jest „Małżonką Barankową i Najświętszą” podobną w świętości do Matki Boskiej, a modlitwa do niej była niezbędna, by

uzyskać łaskę i Boże Miłosierdzie[168]. Kościół Katolicki potraktował to jako jawną herezję.

Proces przeciwko dziennikarzowi

W 1906 roku Mateczka wytoczyła proces o zniesławienie Kazimierzowi Nawrockiemu, który zarzucił jej na łamach pisma „Niedziela", że „prowadziła do niedawna żywot awanturniczy". Podobno „mówiono o niej bardzo wiele bardzo złych rzeczy", a skoro „obrzydł jej ten proceder", to „obecnie stara się ascetyzmem naprawić dawne błędy"[169].

Do rozprawy doszło w maju 1906 roku, a przeciwko Mateczce zeznawał ksiądz Piotr Dzieniakowski. Stwierdził, że „z początku okazała mu się pobożną i duszą czystą, lecz w krótkim czasie zmysłowe jej żądze zdradzone zostały względem niego". Miała też przesłać mu list „nader wszetecznej treści", a jego alumni, Żebrowski i Przyjemski, „którzy od czasu, kiedy u Kozłowskiej bywać zaczęli, dostali wyglądu chłopców marnujących zdrowie".

Inny świadek oznajmił, że gdy księża mariawici się myli, to „tylko panienki posługiwały", natomiast kolejny – iż osobiście widział, jak w dwie różne strony uciekali spłoszeni przez niego mariawita i jakaś dziewczyna. Był też świadek opowiadający o niejakiej Kamili K., która miała wyznać, że „padła ofiarą nieszczęścia" z powodu Kowalskiego i znalazła się w szpitalu[170][171].

Postępowanie sądowe zakończyło się uniewinnieniem dziennikarza.

Ekskomunika

W kwietniu 1906 roku papież Pius X wydał encyklikę *Tribus circiter* na temat „mariawitów lub mistycznych kapłanów z Polski". Podtrzymała ona dekret w sprawie skasowania ich zgromadzenia, a przy okazji całkowicie odrzucono twierdzenie zwolenników Kozłowskiej, że Mateczka była uświęconą przez Boga Matką Miłosierdzia dla ludzkości.

„Nie zawahali się bowiem całkowicie oddać – dowodził papież – i na skinienie być posłusznymi pewnej kobiecie jako mistrzyni pobożności i sumienia, głosząc, że ona jest pełna świętości, łaskami niebieskimi w cudowny sposób wyposażona, wiele rzeczy wie z objawienia Bożego i dana została przez Boga na to, aby w tych ostatecznych czasach zbawić świat bliski już zagłady"[172].

Encyklika zarzucała mariawitom, że ulegli „mamidłom urojonych objawień", a do tego „nienależycie krzewili praktyki pobożnościowe". Szkalowali też kler wrogo nastawiony do ich ruchu i złamali postanowienia dekretu papieskiego z września 1904 roku. Nie przestrzegali również innych zaleceń Watykanu i wykazywali obłudę wobec władz kościelnych. Ich zgromadzenie miało zostać powtórnie i ostatecznie skasowane oraz potępione.

Ksiądz Kowalski zareagował na encyklikę oświadczeniem, że mariawici wierzą we wszystko, w co wierzy Kościół katolicki, jednak dowodził, iż Pan Bóg uczynił Marię Franciszkę najświętszą oraz dał jej te same łaski, co Matce Bożej – to właśnie w jej ręku znalazło się Miłosierdzie dla całego świata i nikt bez tej pomocy nie może dostąpić zbawienia[173].

Dekret Kongregacji Świętego Oficjum ogłoszono w grudniu 1906 roku i

Kozłowska wraz z Kowalskim zostali wyklęci. Prawdopodobnie była to pierwsza ekskomunika w dziejach Kościoła nałożona imiennie na kobietę, co uzasadniono faktem, że zwolennicy „sekty" uważali Kozłowską za równą Matce Bożej. I chociaż od kapłanów zażądano natychmiastowego odstąpienia od zgromadzenia, to jednak żaden z ponad trzydziestu księży tego nie zrobił.

W 1907 roku w kościołach mariawickich rozpoczęto wprowadzanie liturgii w języku polskim (miało to miejsce na ponad pół wieku przed podobną reformą w Kościele katolickim), natomiast w 1909 roku mariawitów przyjęto do Unii Kościołów Starokatolickich. Dzięki temu Kowalski został wyświęcony w Utrechcie na biskupa przez pięciu hierarchów starokatolickich z Holandii, Niemiec i Anglii. Następnie sam brał udział w konsekracji dwóch kolejnych polskich biskupów, a w 1911 roku ruszyła w Płocku budowa katedry i klasztoru.

Kościół mariawicki liczył w tym czasie około 160 tysięcy wiernych w pięćdziesięciu sześciu parafiach położonych głównie w guberniach warszawskiej i piotrkowskiej. Posługę pełniło trzech biskupów, trzydziestu księży i sto dwadzieścia sióstr. Ze składek wiernych zakupiono koło Płocka duży majątek ziemski (około pięciuset hektarów), nazwany Felicjanowem od jednego z imion Kozłowskiej. W 1918 roku Mateczka przeżyła kolejne objawienie – tym razem Jezus poświęcił Felicjanów, nazywając go „Świątynią Miłosierdzia i Miłości". Przy okazji przeznaczył dla Kozłowskiej dodatkowe łaski, przywileje i odpusty.

Mateczka i arcybiskup Michał

Biskup Kowalski najbardziej przyczynił się do rozwoju kultu Kozłowskiej, głosząc, że była „Oblubienicą i Małżonką Chrystusową". Odbierała cześć zbliżoną do Matki Boskiej, chociaż zawsze była wymieniana na drugim miejscu. Nie zmienia to jednak faktu, że hołd odbierany przez Mateczkę miał być „odbiciem i dopełnieniem" czci Najświętszej Maryi Panny[174]. Kozłowska podobno protestowała, ale pod koniec życia pogodziła się z kultem swojej osoby, przyznając, że taka była wola Boga.

W tym czasie chorowała już na nowotwór wątroby i żegnając się z siostrami zakonnymi, napominała je, by „zachowywały miłość, ale nie zmysłową, szczególnie względem tej czy innej siostry, bo miłość zmysłowa jest wstrętna i brzydzi się nią Pan Jezus".

Oficjalnie zrzekła się wówczas zwierzchnictwa nad mariawitami na rzecz Kowalskiego, zapisała biskupowi nieruchomość w Płocku z kościołem i klasztorem, a także folwark w Felicjanowie. Przed śmiercią wyraziła radość, że „umierała nieuznana, wyklęta", gdyż „nie chciałaby inaczej umierać".

Maria Franciszka Kozłowska zmarła 23 sierpnia 1921 roku w Płocku. Starokatolicki Kościół Mariawitów liczył wówczas trzech biskupów, trzydziestu kapłanów, pięćdziesięciu siedmiu braci zakonnych, dwieście czterdzieści cztery mniszki i około czterdziestu trzech tysięcy wiernych zgromadzonych w sześćdziesięciu siedmiu parafiach[175].

Po śmierci Mateczki przełożonym zgromadzenia został Kowalski, co było decyzją Kozłowskiej potwierdzoną przez objawienie. Według jego treści biskup stanowił wcielenie Archanioła Michała i jak jego poprzednik „walczył w obronie Boga, tak on

miał walczyć w obronie tego Dzieła”.

Ksiądz Filip Feldman twierdził natomiast (opierając się na wcześniejszej wizji Kozłowskiej), że Kowalski, który przyjął niebawem tytuł arcybiskupa, był „prawdziwym namiestnikiem, czyli Wikariuszem Chrystusowym na tym padole, jak to sam Pan Jezus objawił naszej Mateczce”[176].

Naturalną konsekwencją tego faktu miała być zmiana adresu Stolicy Apostolskiej, która od tej pory znajdowałaby się nie w Watykanie, lecz w Płocku. Natomiast za najważniejszą świątynię Chrystusa miał uchodzić tamtejszy kościół Miłosierdzia i Miłości[177].

Po śmierci Kozłowskiej jej następca w „niczym i przez nikogo niekrępowany rozpoczął daleko idący modernizm teologiczno-dogmatyczny, wszedł na drogę własnych »zrozumień«. Zmienił nawet piąte przykazanie kościelne na »Arcybiskupa mariawitów we wszystkim bez zastrzeżeń słuchać«”[178].

Zintensyfikował też kult Mateczki – nakazał, by jej wizerunek umieszczano na tabernakulum pod monstrancją[179], zaś tam, gdzie w modlitwach wymieniano Matkę Boską, zaraz potem miała być wspominana Kozłowska. W efekcie wierni wygłaszali słowa: „Święta Maryjo, Matko Boża i Małżonko Chrystusowa, módlcie się za nami”[180]. Małżonką Zbawiciela była – oczywiście – Kozłowska.

Wydaje się, że w pewnej chwili arcybiskup kompletnie stracił kontrolę nad tempem wprowadzanych zmian, gdyż ogłosił, że Duch Święty wcielił się w Mateczkę, podobnie jak Syn Boży w Chrystusa, a Ojciec Niebieski w Matkę Bożą[181].

Mistyczne małżeństwa księży z zakonnicami

Kowalski nie zamierzał się zadowolić dotychczasowymi zmianami i niebawem wprowadził komunię pod dwiema postaciami: chleba i wina. Natomiast w 1924 roku zniósł celibat i dopuścił małżeństwa księży z siostrami zakonnymi. Ujawnił to jednak wiernym dopiero dwa lata później, chociaż sam ożenił się jeszcze w 1922 roku z przełożoną Zgromadzenia Sióstr Mariawitek, Antoniną Marią Izabelą Wiłucką.

Małżeństwa miały być zawierane zgodnie z *Katechizmem życia zakonnego* autorstwa samego Kowalskiego. Związki następowały z „woli Bożej i objawienia Bożego”, a wskazana zakonnica mogła poślubić wyłącznie księdza lub diakona. Właściwego partnera wybierali dla niej „Ojciec Najprzewielebniejszy” i „Matka Najprzewielebniejsza”, czyli Kowalski z Wiłucką. Wprawdzie mniszka nie musiała się zgodzić na ślub ze wskazanym duchownym, ale w takiej sytuacji przypominano jej, że – jako osoba powołana przez Boga – nie uzyska odpowiednich łask.

Arcybiskup Kowalski uważał, że powstają w ten sposób związki mistyczne, a małżonkowie wprawdzie współżyją ze sobą, ale nie dochodzi do utraty dziewictwa przez kobietę. Chociaż bowiem mniszki rodziły dzieci, poczęcie miało następować bez naruszania czystości żony-zakonnicy[182].

Do dzieci zrodzonych z „mistycznych małżeństw” rodzice nie mieli żadnych praw, gdyż „nie z woli własnej, ale z woli Bożej je porodzili, dlatego dziatki te są bez grzechu poczęte i do Boga wyłącznie należą”. Na ziemi zaś należały do Klasztoru Sióstr Mariawitek przy Świątyni Miłosierdzia i Miłości, gdzie zapewniano im opiekę

i wychowanie. Kowalski i Wiłucka pod każdym względem kontrolowali życie małżonków – partnerzy musieli być im całkowicie posłuszni, bez ich zgody nie mogli razem mieszkać ani tym bardziej współżyć. Związki te zawierano wyłącznie „dla Chwały Bożej" i „myśleć lub mówić o nich po światowemu lub w sposób zmysłowy nie godziło się i było grzechem"[183].

Z powodu wprowadzenia „mistycznych małżeństw" kilku kapłanów opuściło kościół mariawicki, uznając, że arcybiskup Kowalski „utożsamiał z wolą Bożą swoje przewrotne i rozpustne zamiary, którym nieszczęsne ofiary się poddawały". Zarzucano mu również, że sprofanował płocką Świątynię Miłosierdzia i Miłości, urządzając tam przyjęcia weselne i noce poślubne.

„Zapytywałem ciebie – pisał do Kowalskiego jeden z jego krytyków, ksiądz Józef Pągowski – czy prawdą jest, że sypiasz w jednym łóżku z siostrami zakonnymi, odpowiedziałeś wymijająco. Dopiero po powołaniu na świadków przyznałeś się do tego. (…) Masz tę bezczelność, że wyśmiewasz się z tych sióstr, które w nieświadomości swojej ubolewały nad każdym pocałunkiem, sądząc, że przez to tracą dziewictwo"[184].

Unia Kościołów Starokatolickich zawiesiła kontakty z Kościołem mariawitów. Przyczyną tej decyzji nie było jednak wprowadzenie „mistycznych małżeństw", lecz przyjęcie dogmatu, że dzieci poczęte z tych związków nie są skażone grzechem pierworodnym.

Mandolinistki arcybiskupa Michała

W połowie września 1928 roku rozpoczął się w Płocku proces Kowalskiego oskarżonego o czyny lubieżne wobec trzech zakonnic mariawickich oraz trzech przebywających w klasztorze nieletnich wychowanek. Czyny te miały polegać na „wsuwaniu języka do ust wyżej wymienionych dziewczynek podczas pocałunków, chwytania ich za piersi i biodra, tzw. »macaniu«, a w stosunku do [zakonnicy] Badowskiej również na dotykaniu jej organów płciowych". W ten sam sposób Kowalski miał zachowywać się także wobec kilku mniszek[185].

Cała sprawa ujrzała światło dzienne dwa lata wcześniej, gdy niejaka Ewa Osinowa zgłosiła się do starosty płockiego z prośbą o umieszczenie jej dzieci w ochronce dla repatriantów, gdyż została zmuszona do zabrania ich z internatu przy klasztorze Mariawitek. Przyczyną tej decyzji miało być niemoralne zachowanie arcybiskupa wobec dziewcząt, które siostra Wiłucka przyprowadzała do hierarchy, by grały mu na mandolinach. Nastolatki (nie ukończyły wówczas jeszcze 16 lat) należały do zespołu artystycznego przy szkole powszechnej prowadzonej przez mariawitów. To właśnie podczas tych wizyt w sypialni arcybiskupa miało dochodzić do czynów lubieżnych, a Kowalski tłumaczył ofiarom, że przekazuje im „pocałunek Boży", przez co jednoczył je z Najwyższym.

Duchowny nie ograniczał się wyłącznie do całowania czy dotykania – zaproponował nawet jednej z mandolinistek, Tomasikównie, by została na noc. Dziewczyna jednak odrzuciła tę propozycję. Inaczej natomiast zachowała się jej koleżanka o nazwisku Zytek, która chwaliła się, że nocowała u hierarchy. Jednak podczas śledztwa Zytkówna (w czasie procesu była już zakonnicą) należała do

świadków obrony i zaprzeczała, że zostawała na noc u arcybiskupa. Twierdziła również, że wprawdzie bywała u Kowalskiego, ale zawsze w towarzystwie świadków i nigdy nie została z nim sam na sam. Podobnie miało być z koleżankami, ale sąd po konfrontacji z innymi poszkodowanymi nie dał wiary jej zeznaniom. Ponadto badanie lekarskie wykazało, że nie była dziewicą…

Molestowania doświadczyła także zakonnica Janina Badowska, która wystąpiła podczas procesu jako świadek. Kowalski z Wiłucką zabrali ją do łazienki, gdzie wszyscy się rozebrali, a „»Matka Najprzewielebniejsza« wzięła do ręki członek Kowalskiego i „wkładała świadkowi w organa płciowe". Badowska nie straciła jednak dziewictwa[186].

Zakonnica Zofia Prochówna zeznała natomiast, że Kowalski dwa razy miał z nią stosunek płciowy. Po pozbawieniu dziewictwa nazwał ją „swoją małżoneczką" i przyznał, że „nie spodziewał się, żeby Pan Jezus dał mu ją za małżonkę". Dodał też, że „Duch Święty wtedy na nią wstąpił", a on sam odczuwał „do niej miłość jak Jezus do Kozłowskiej"[187].

Prochówna nie zgodziła się zostać jego stałą kochanką, ale już po uprawomocnieniu wyroku odwołała swoje zeznania. Natomiast wśród świadków oskarżenia znaleźli się dwaj byli księża mariawici.

Sprawę kilkakrotnie rozpatrywały różne składy sędziowskie i ostatecznie Maria Michał Kowalski został skazany na dwa lata i osiem miesięcy więzienia. W Sądzie Apelacyjnym karę zmniejszono do dwóch lat przy zastosowaniu przepisów o amnestii. Wykonanie wyroku parę razy odkładano, wreszcie arcybiskup został osadzony więzieniu w Rawiczu. Miał tam oddzielną celę, zachował prawo do noszenia stroju duchownego i nie ogolono mu głowy. Na wolność wyszedł w styczniu 1938 roku.

Votum separatum sędziego Alchimowicza

Jak można było się spodziewać, procesowi arcybiskupa towarzyszyły liczne ataki prasowe. Dziennikarze z lubością relacjonowali najbardziej pikantne szczegóły, podając personalia ofiar i opisując mariawitów jako groźną, niemoralną sektę. Tymczasem większość wiernych tego wyznania uważała, że oskarżenia przeciwko ich zwierzchnikowi były sfingowane, a sam proces miał charakter tendencyjny. Na potwierdzenie podawano fakt, że dwaj kolejni prokuratorzy przy Sądzie Okręgowym w Płocku zrzekli się prowadzenia sprawy, uznając, iż przewód nie przebiegał w sposób obiektywny.

Z obserwacji rozprawy zrezygnowali także delegaci ministra sprawiedliwości, dając w ten sposób do zrozumienia, że postępowanie prowadzono wyjątkowo stronniczo i miało ono na celu wyłącznie zdyskredytowanie innowierców. *Votum separatum* od wyroku Sądu Apelacyjnego zgłosił także sędzia Wacław Alchimowicz, który uważał, że oskarżenie arcybiskupa Kowalskiego o czyny lubieżne przeistoczyło się w oskarżenie „całej sekty mariawitów"[188].

Alchimowicz wyrażał zdziwienie, że sąd brał pod uwagę zeznania Edwarda Zarębskiego i Marii Tołpyhowej. Ten pierwszy początkowo prowadził interesy z klasztorem mariawickim, ale zakończyły się one z powodu licznych nieporozumień.

Skład sędziowski uznał jednak jego zeznania za wiarygodne, chociaż tak naprawdę Zarębski niewiele wniósł do aktu oskarżenia, mimo że dobrze znał zarówno Kowalskiego, jak i całe jego otoczenie.

Natomiast Tołpyhowa początkowo była wielbicielką mariawitów, którzy przygarnęli ją wraz z mężem, ale poczuła się zawiedziona, gdyż nie objęła w klasztorze żadnej ważniejszej funkcji. Sędzia Alchimowicz podnosił, że z całą powagą traktowano zeznania dwóch osób poróżnionych ze wspólnotą[189].

Z kolei Osinówna znana była z zakłamania i drobnych kradzieży, a Tomasikówna, którą przyjęto do klasztoru ze względu na ubóstwo jej rodziców, w rzeczywistości wcale nie wywodziła się ze szczególnie biednej rodziny. Jej matka chodziła wystrojona i „wyróżowana", a córka przejęła po niej te skłonności. Poza tym zachowywała się niewłaściwie i „flirtowała z jedenastoletnim, ale dobrze rozwiniętym chłopcem" oraz „latała za braćmi zakonnymi". Natomiast mniszka Badowska, filar oskarżenia, była córką alkoholika samobójcy, zaś świadkowie określali ją „jako leniwą kłamczuchę", co w pewnym sensie sama potwierdziła na sali sądowej. Powiedziała bowiem, że „mówi prawdę, jeżeli się omyli". Alchimowicz przypomniał również, że Badowska „od dwunastego roku życia zdradzała skłonności erotyczne"[190].

Sędzia zauważył także, że dziewczęta ulegały wpływom zewnętrznym, a czasami spotykały się z ludźmi starszymi o zszarganej opinii, ale za to wrogo nastawionymi do mariawityzmu. Jednocześnie podlegały surowej klasztornej dyscyplinie, co skutkowało „rozbudzaniem w sobie skłonności erotycznych, a pobudliwość psychiczną doprowadziło do granic histerii". Dodatkowo dochodziła jeszcze naturalna dla tego wieku wyobraźnia podpowiadającą im „niezdrowe obrazy"[191].

Alchimowicz podkreślał, że zeznania nieletnich należy traktować z dużą dozą sceptycyzmu, szczególnie że czasami „czyny lubieżne bywają płodem chorobliwej wyobraźni i (…) mirażami własnych i obcych przeżyć i rojeń"[192].

Zwracał też uwagę, że niezdrową ciekawość nastolatek podsycały małżeństwa zawierane przez księży i zakonnice oraz podglądanie w klasztorze kąpiących się mężczyzn. W konkluzji *votum separatum* stwierdził, że oskarżenie biskupa Kowalskiego o czyny lubieżne „jest tyle warte, ile posiadają znaczenia opowiadania jego młodych oskarżycielek", a Kowalski nie przyznał się do zarzutów. Skoro zatem jego wina nie została udowodniona, należało go uniewinnić. Tym bardziej że świadkowie obrony zgodnie twierdzili, iż stosunek Kowalskiego do dzieci i dziewczynek był czysto ojcowski, bowiem całował je tylko w czoło[193].

„Przebieg śledztwa – podsumowywał jeden z badaczy mariawityzmu – specyficzni świadkowie i silne oddziaływanie medialne nie pozwalają na całkowicie pewne uznanie, że dochowane zostały zasady obiektywizmu i rzetelności. Nie sposób ustalić, ile było prawdy, a ile histerii w zarzutach postawionych arcybiskupowi Kowalskiemu. Były one szersze od określonych w wyroku skazującym, bowiem z części zarzutów arcybiskup Kowalski został uniewinniony"[194].

Nie zmienia to jednak faktu, że sprawa ta przyniosła wyznaniu ogromną szkodę, wywołując atmosferę plotek i domysłów, a co gorsza – skandalu obyczajowego na tle religijnym.

Polskie Królestwo Boże

Maria Michał Kowalski był nie tylko mistykiem, teologiem i reformatorem religijnym, lecz także spadkobiercą XIX-wiecznego dziedzictwa polskiej myśli mesjanistycznej, Przewidywał, że nasz kraj będzie miał do odegrania wielką dziejową rolę, i wyłożył te koncepcje w swoich *Głównych podstawach mariawityzmu*. Powoływał się na wieszczów: Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, filozofów – Cieszkowskiego i Hoene-Wrońskiego, a przy okazji cytował także Marię Konopnicką. W ich dziełach odnajdywał wątki mesjanistyczne i przedstawiał je jako zapowiedź Królestwa Bożego na ziemi.

„Bo tak jak z narodu żydowskiego – tłumaczył – wyjść musiała zapowiedź o przybliżeniu się Królestwa Bożego, tak oczywista z narodu polskiego wyjść musi zapowiedź, »dobra« nowina o nastaniu tegoż Królestwa Bożego na ziemi”[195].

Arcybiskup widział w Polsce „Nową Ziemię, Nowe Niebo, nowy na tej ziemi rodzaj ludzki”. Twierdził, że wreszcie zaczyna się spełniać wizja zapowiadana już przez romantycznych poetów. Był przekonany, iż nadejdzie chwila, gdy wszystkie narody stworzą jedną „Rzeczpospolitą natchnioną Duchem Świętym” i zapanuje Komunizm Białej Gołębicy (Ducha Świętego), który pokona czerwony komunizm bolszewicki i czarny komunizm papieski.

„A to Królestwo Boże mające powstać na ziemi – przepowiadał – ten nowy Kościół, nowe Państwo przepowiedziane w Apokalipsie, zapoczątkowane jest i założone przez Polki i Polaków w mariawityzmie, gdyż nasz naród najwięcej ucierpiał dla sprawiedliwości i pierwszy dostąpił Miłosierdzia”[196].

W Królestwie Bożym na ziemi zmieniłyby się także relacje małżeńskie, gdyż pożycie nie miało już być „regulowane namiętnościami i upodobaniami własnej zmysłowości, której w człowieku już nie będzie, ale pożądaniami i upodobaniami płynącymi z Ducha Świętego”[197].

Nad urzeczywistnieniem Królestwa Bożego pracowały już „dusze barankowe” zgromadzone w małym „Stadku Bożym”, czyli „trzódce mariawickiej”. Arcybiskup pragnął jednak, by owa trzódka stale się powiększała, i apelował do Polaków, by zerwali ze Stolicą Apostolską. Głosił, że papiestwo zawsze było wrogiem naszego kraju, a jedność ducha podtrzymywali „wielcy wieszcze naszego narodu”.

Zaatakował też samą instytucję papiestwa, twierdząc, że nauka Kościoła katolickiego przekreśliła Ewangelię oraz jej najważniejszy i podstawowy dogmat – miłość. Proponował usunięcie niemoralnych duchownych katolickich, a za takowych uważał większość reprezentantów kleru, i – jak zwykle – nawoływał do oddawania szczególnej czci Przenajświętszemu Sakramentowi.

W mesjanistycznej wizji Kowalskiego wysokie miejsce zajmowała Mateczka Kozłowska, której wprawdzie nie wymienił z nazwiska, ale wciąż porównywał do Matki Boskiej. Jeżeli bowiem przyjście na świat Najświętszej Marii Panny, która urodziła Jezusa, otworzyło przed ludźmi „Drugie Niebo”, to „Trzecie Niebo” nie mogło zaistnieć, zanim nie pojawiła się ta, „którą Bóg wybrał na »Oblubienicę i Małżonkę Barankową«”[198].

Kapłaństwo kobiet

W marcu 1929 roku u mariawitów wprowadzono kapłaństwo kobiet. Kowalski uzasadnił to, głosząc, że otrzymał polecenie od Boga, by „rodzaj niewieści miał być zrównany w godności kapłańskiej" – by „dopełniło się to, czego nie dostaje [rodzajowi] męskiemu"[199].

Dodawał również, że skoro Matka Boska po śmierci Jezusa była pierwszą kapłanką i „Mistrzynią Apostołów", to kolejną stała się Mateczka Kozłowska. Dlatego wyświęcił na kapłanki dwanaście mniszek (tyle, ilu było apostołów) na czele ze swoją „mistyczną żoną", Marią Izabelą Wiłucką. Otrzymała ona tytuł arcykapłanki, a Kowalski jeszcze w tym samym miesiącu wyświęcił na diakonki kolejne sześćdziesiąt dwie siostry.

Dopuszczenie kobiet do kapłaństwa spotkało się z gwałtownym potępieniem ze strony hierarchów i publicystów katolickich. Przy okazji podkreślano, że „cała ta bluźniercza komedia odbywała się według rytu rzymskiego w języku polskim". Szczególną uwagę zwracano na pewne elementy rytuału, które zostały uznane za parodiowanie obyczajów katolickich.

„Wiłuckiej zamiast mitry biskupiej włożono na głowę koronę z welonem – informowano na łamach »Dzwonu Niedzielnego«. – W pierwszy dzień Wielkanocy odbyły się prymicje »biskupie« Wiłuckiej. Komediantka przybrana w albę i ornat kroju rzymskiego, w fantazyjnie haftowanym i zawiązanym na głowie welonie, z pastorałem w ręku, otoczona czterema »dziewicami-kapłankami« oraz nieodłącznym Kowalskim parodiowała mszę świętą. Po »Wierzę« weszła na ambonę i wygłosiła kazanie będące takim samym stekiem nonsensów i bluźnierstw, jakie czytamy niejednokrotnie w pismach Kowalskiego"[200].

Początkowo kapłaństwo kobiet – chociaż szokujące dla chrześcijan (poza Stanami Zjednoczonymi) – zostało przychylnie przyjęte przez wiernych i kapłanów mariawickich. Z czasem jednak księża zaczęli wyrażać obawę o utratę swojej pozycji, co miało się stać jedną z przyczyn rozpadu jednolitej dotychczas wspólnoty mariawickiej.

Dramatyczny rozłam

W styczniu 1935 roku Kapituła Zgromadzenia Kapłanów Mariawitów, w tym wszyscy biskupi, złożyła z urzędu arcybiskupa Kowalskiego. Nie zaproszono go nawet na obrady, a oficjalny komunikat podawał jako przyczyny „przywłaszczenie przez niego nieomylności w życiu prywatnym i w rządzeniu Kościołem, co spowodowało wiele zła dla Kościoła i dla dusz w Zgromadzeniu Zakonnym"[201].

Krytycy twierdzili, że „na czele Kościoła mariawickiego po Mateczce stanęło kilka żądnych władzy i nieprzebierających w środkach bezideowych dziewcząt, które arcybiskup za bezkrytyczne uleganie mu wynosi na biskupstwo, kapłaństwo, probostwo i inne kierownicze urzędy"[202].

Zarzucano też arcybiskupowi, że „skaził dziecięce, proste, szczere, serdeczne obyczaje nie tyle braci, ile sióstr mariawitek". Zakonnice bardziej skoncentrowały się natomiast na krytyce Wiłuckiej, która jak „biblijna Jezabel wydała na zniszczenie winnicę Pańską". Siostry uznały arcykapłankę za osobę rozwiązłą i niemoralną, propagującą prostytucję sakralną. Przy okazji zarzucano też Kowalskiemu, że

faworyzował zakonnice ślepo mu posłuszne, a domy klasztorne jęczały „pod wariackimi wprost rządami ulubienic arcybiskupa, przeważnie niskich charakterów, ciemnych typów”[203].

Opozycjoniści przejawiali bardzo krytyczny stosunek do aranżowanych przez niego „małżeństw mistycznych”. Kowalskiemu zarzucano rozpustę („rasputinadę”) i niemoralne życie, a także tajne praktykowanie wielożeństwa[204].

Krytykowano bezgraniczny kult Mateczki zrównujący ją z Matką Boską. Biskup Feldman, który zajął miejsce Kowalskiego, mawiał, że należy drastycznie ograniczyć liczbę publikacji wysławiających Kozłowską, „cała Polska byłaby mariawicka, ale te artykuły przeszkadzają”[205].

„Oskarżacie mnie o rozpustę i nazywacie mnie współczesnym Rasputinem! – ripostował Kowalski. – Nie możecie uniknąć tu tego rogacza. Alboście wierzyli w boskie pochodzenie tych związków, albo nie. Jeżeli nie wierzyliście, że były od Boga i w takowe wstąpiliście, i mnie w nich utwierdzaliście, to byliście, powiem wam, pierwsze świnie. Jeżeli zaś wierzyliście przez dwanaście lat, że były one związki od Boga, a teraz je plugawicie i nazywacie rasputinadą, to jesteście ostatnie świnie. A to tym bardziej że w dalszym ciągu w tych związkach trwacie”[206].

Z dwunastu biskupek za Kowalskim opowiedziało się jednak dziewięć, ale prawie osiemdziesiąt procent kapłanów i sióstr zakonnych poparło nowe władze wspólnoty. W efekcie rozłamu aż jedna trzecia mariawitów w ogóle porzuciła wyznanie. Przy arcybiskupie trwało siedem tysięcy wiernych, a czterdzieści tysięcy przestało go uznawać za głowę swojego Kościoła[207][208].

Hierarcha został zmuszony do opuszczenia świątyni w Płocku i przeniósł się ze swoimi zwolennikami do majątku w Felicjanowie. W ten sposób powstały dwie odrębne wspólnoty: Starokatolicki Kościół Mariawitów i Kościół Katolicki Mariawitów. Na czele tego drugiego stanął Kowalski, który jeszcze w tym samym roku ogłosił Kozłowską „Zbawicielką Świata”, podobną w świętości do Matki Boskiej. Wprowadził też powszechne kapłaństwo ludowe[209].

Natomiast Starokatolicki Kościół Mariawitów znacznie ograniczył kult Mateczki. W 1938 roku zniesiono też kapłaństwo kobiet, uznając je tylko za instytucję prywatną w zgromadzeniu sióstr mariawitek, chociaż pozostawiono im możliwość udzielania komunii, gdy brakowało kapłana. Utrzymano także małżeństwa księży, ale nie mogli już żenić się z zakonnicami.

Mariawityzm wczoraj i dziś

W styczniu 1940 roku arcybiskup Kowalski został aresztowany przez Niemców. Powodem miał być list wysłany do Adolfa Hitlera, w którym arcybiskup potępiał przelew krwi i wzywał *Führera*, by nawrócił się do Boga oraz uznał objawienia Dzieła Wielkiego Miłosierdzia. Natomiast według oficjalnej biografii arcybiskupa przyczyną aresztowania miały być jego artykuły publikowane przed wojną: *Gdańsk i Prusy Wschodnie powinny powrócić do Polski* oraz *Lucyfer*. W tym drugim stwierdził, że współczesnymi obliczami diabła są Hitler, Stalin i Mussolini[210] [211].

Po pobycie w więzieniu w Płocku arcybiskup został przewieziony do obozu koncentracyjnego w Dachau. Przebywał na jednym bloku z polskimi księżmi

katolickimi. Był tam również biskup Michał Kozal, który starał się go nakłonić do pojednania z Kościołem rzymskokatolickim – bez skutku. Kowalski zginął jako mariawita w komorze gazowej w maju 1942 roku w Hartheim koło Linzu. Jego wierni uznali go za świętego męczennika.

Nie przeżył obozu także biskup Kozal, który pół roku później zapadł na tyfus i został dobity zastrzykiem z fenolu w styczniu 1943 roku. Prawie pięćdziesiąt lat później został beatyfikowany.

Hitlerowcy aresztowali też Wiłucką – trafiła do obozu koncentracyjnego w Działdowie, a potem przeniesiono ją do Pomiechówka. Ostatecznie została jednak zwolniona i przejęła kierownictwo nad Kościołem Katolickim Mariawitów. Po wojnie wróciła do zniszczonego Felicjanowa, gdzie zmarła w listopadzie 1946 roku. Wierni uznali ją za świętą.

Obecnie Kościół Starokatolicki Mariawitów liczy około dwudziestu pięciu tysięcy wyznawców. Opiera się na Piśmie Świętym, postanowieniach siedmiu pierwszych soborów powszechnych oraz na objawieniach Marii Franciszki Kozłowskiej. W podstawowych zasadach wiary nie ma jednak mowy o kulcie Mateczki, chociaż uznawana jest tam za świętą. Kapłanami są wyłącznie mężczyźni, a celibat nie jest obowiązkowy[212].

Natomiast Kościół Katolicki Mariawitów liczy obecnie niespełna dwa tysiące wiernych, a większość jego duchownych stanowią kobiety. Wspólnota ma swoją zwierzchniczkę – przysługuje jej tytuł arcykapłanki, natomiast dla mężczyzn zarezerwowano tytuł arcybiskupa. Kult Mateczki, uznawanej właściwie za osobę boską, odgrywa tam znacznie większą rolę niż w Kościele starokatolickim, a jej wizerunki umieszcza się w ołtarzach obok obrazów Matki Boskiej.

Pisma Kozłowskiej, zawierające treść objawień przedstawionych papieżowi i odrzuconych przez Stolicę Apostolską, stały się w 2006 roku przedmiotem analizy rzymskokatolickiego księdza Wojciecha Różyka. Doszedł on do wniosku, że zawarta w nich idea Bożego Miłosierdzia była zgodna z ortodoksją katolicką, a objawienia Kozłowskiej nie zostały potępione jako heretyckie, lecz uznano je za nieautentyczne[213].

Ksiądz Różyk zauważył podobieństwo objawienia Dzieła Wielkiego Miłosierdzia Kozłowskiej do przesłania Świętej Faustyny Kowalskiej o Bożym Miłosierdziu. Zauważył również, że obecnie Kościół katolicki właśnie rozwija kult Bożego Miłosierdzia.

Zgodne z ortodoksją miało być również wzywanie pomocy Matki Boskiej oraz typ pobożności praktykowany przez Mateczkę. Różyk uznał, że pisma Kozłowskiej stanowiły poważną propozycję uzdrowienia stanu moralnego duchowieństwa, aczkolwiek krytyka była przesadna i daleka od obiektywizmu[214].

Trudno oprzeć się wrażeniu, że Mateczka Kozłowska trafiła na niewłaściwy czas. Gdyby przyszła na świat później, jak Faustyna Kowalska, być może inaczej potoczyłyby się jej losy. W *belle époque* królował jednak mizoginizm – także w sprawach wyznaniowych. Być może Stolica Apostolska zaakceptowałaby objawienia, gdyby ideę reformy wysunął ksiądz, a nie zakonnica…

Franek Kluski

Rozdział 6

Dziennikarz i zjawy. Przypadek Franka Kluskiego

Nigdy nie został przyłapany na próbie „oszukańczego podrabiania zjawisk”, chociaż seanse z jego udziałem odbywały się nie tylko w domach prywatnych, lecz także w paryskim Instytucie Metapsychicznym. Brali w nich udział uznani naukowcy, a wśród nich laureat Nagrody Nobla. Franek Kluski materializował duchy ludzi i zwierząt (np. wielką włochatą małpę, która nieco zdemolowała salon medium), przenosił przedmioty i przekazywał wiadomości z zaświatów. Zjawy znikały, ale wcześniej zanurzały dłonie w ciekłej parafinie, pozostawiając dokładne odlewy.

Epoka okultyzmu

We wrześniu 1923 roku na Uniwersytecie Warszawskim odbył się II Międzynarodowy Kongres Badań Psychicznych. Głównym tematem konferencji były próby naukowego wyjaśnienia zjawisk niewyjaśnionych. Prelegentom towarzyszyły damy oraz dżentelmeni o zaskakujących umiejętnościach, na katedrze stały słoje z ektoplazmą, a sporym zainteresowaniem cieszyły się wymyślne przyrządy naukowe oraz fotografie astralne. W kongresie uczestniczyli także przedstawiciele polskiego rządu poważnie zainteresowani poruszanym zagadnieniem.

Kongres Badań Psychicznych odbył się w apogeum trwającej od połowy XIX wieku mody na wirujące (a właściwie lewitujące) stoliki i materializację duchów. Seanse spirytystyczne stały się główną rozrywką na salonach Europy i Ameryki, najsłynniejsze media królowały w prasie na równi z gwiazdami filmu i sceny, a naukowcy głowili się nad racjonalnym wyjaśnieniem tych zjawisk. Powstawały rozmaite stowarzyszenia, których członkowie spędzali wieczory, dyskutując o mediumizmie, spirytyzmie i okultyzmie oraz dokumentując na kliszach fotograficznych swoje zjawy.

W Polsce pionierem w badaniach nad mediumizmem i hipnozą był opisywany w jednym z poprzednich rozdziałów Julian Ochorowicz, a jego badania kontynuowało założone w 1920 roku Towarzystwo Badań Psychicznych oraz powstałe rok później Warszawskie Towarzystwo Psycho-Fizyczne. Ponadto w miastach i miasteczkach całej Polski zakładano towarzystwa meta- i parapsychiczne. Pojawiła się stała prasa branżowa o intrygujących tytułach (*Światło Zagrodowe*, *Świt – Wiedza Tajemna*, *Kurier Metapsychiczny*). W jednym z kwartalników w kolegium redakcyjnym

zasiadał nawet Władysław Reymont, który w młodości był wziętym medium (!), a także wspomniany tu już Ksawery Watraszewski (Franciszek Habdank) – lekarz naczelny Szpitala Ujazdowskiego w Warszawie.

W seansach spirytystycznych brali udział nawet tak zdroworozsądkowi ludzie, jak Józef Piłsudski czy Tadeusz Boy-Żeleński. I niezależnie od siebie przyznawali, że istnieją sprawy, których nigdy nie udało się wyjaśnić naukowcom. Większość mediów uznawano jednak za sprytnych oszustów czy iluzjonistów.

Jerzy Bujalski (lekarz, minister zdrowia w drugim rządzie Witosa) przyczynił się do zdemaskowania jednej z gwiazd spirytystycznych. Wspólnie ze swoim znajomym, Stefanem Rzewuskim, kontrolował seanse Janusza Fronczka (za jego zgodą) – jasnowidz był rozbierany, przeszukiwany, używano fluoroscencyjnych znaczników na jego ubraniu i przedmiotach mogących lewitować. Przez dłuższy czas nie osiągnięto wyników: fosforyzująca farba blakła, a magnezja niezbędna do wykonywania zdjęć podczas seansów prowadzonych w ciemności zamokła.

Wreszcie na przełomie lipca i sierpnia 1924 roku zdobyto niepodważalne dowody oszustwa. Na jednej z fotografii dało się bowiem zauważyć, że medium trzyma w ręce lewitujący stolik, a na innej „górny koniec jednej z nóżek stolika tkwił w jego zębach". Fronczek okazał się jedynie świetnym iluzjonistą, który na dodatek używał sztucznej ektoplazmy – pojawiała się na jego brzuchu tylko na tych pokazach, podczas których nie był przeszukiwany. Gdy Rzewuski wreszcie ją pochwycił, okazało się, że była to „delikatna i przejrzysta materia jedwabna (…) uwiązana na zwykłej białej nitce".

Zdemaskowanie oszusta bardzo jednak zmartwiło Bujalskiego i Rzewuskiego. Obaj panowie mieli bowiem nadzieję, że znajdą niepodważalne dowody na istnienie duchów…

W latach 30. w całej Europie moda na okultyzm powoli przemijała, co w pewnym sensie wiązało się z wielkim kryzysem i coraz gorszą sytuacją polityczną. Nadal jednak organizowano seanse spirytystyczne, a po śmierci Józefa Piłsudskiego, podczas wieczoru u marszałka Śmigłego-Rydza, usiłowano wywołać ducha Komendanta. Próba zakończyła się sukcesem:

„Rzeczą charakterystyczną jest – wspominał seans minister Witold Grabowski – że pewność co do osobistego zjawienia się ducha Marszałka wynikła u uczestników z faktu, że ów duch w sposób bardzo nieparlamentarny wymyślał marszałkowi Śmigłemu, zresztą przedstawiając jego rolę i w związku z tym przyszłość Polski, w bardzo czarnych barwach"[215].

Teofil Modrzejewski

Zanim jednak zainteresowanie okultyzmem przeminęło, ogromną sławę zdobył Franek Kluski, właściwie Teofil Modrzejewski. Na co dzień był dziennikarzem i literatem, a pseudonim przybrał, gdyż – jak twierdził – chciał dzieciom pozostawić uczciwe nazwisko. Nigdy nie pisał o swoich niezwykłych zdolnościach ani też ich nie tłumaczył, przyznawał zresztą, że nie umie wyjaśnić istoty zjawisk dziejących się z jego udziałem. Niechęć do wypowiadania się tłumaczył tym, że wiedział, iż nigdy nie przekona wszystkich, że nie jest oszustem. Więc gdy zadawano mu pytania,

odpowiadał niechętnie, a czasami zbywał sprawę żartem.

Seanse wyczerpywały go psychicznie i fizycznie, dlatego starał się odmawiać, często jednak ulegał prośbom. Jako głęboko wierzący katolik przeżywał rozterki, właściwie nie wiedząc, czy powinien zajmować się produkowaniem zjaw. Skłaniał się ku teorii spirytystycznej uznającej istnienie duchów (dusz). Ale z drugiej strony – „pomimo niezwykłej wrażliwości Kluski zapatrywał się na świat trzeźwo i życiowo i nie robił wrażenia zbyt często wpadającego w mistycyzm”[216].

Nie szukał rozgłosu i nie zarabiał na seansach, dlatego też nie zgodził się na tournée po Stanach Zjednoczonych. Na co dzień był zatrudniony w banku Rotwanda i w warszawskim „Kurierze Porannym”, a przed I wojną światową współpracował z kabaretem Momus, dla którego pisał skecze i teksty piosenek.

Jako człowiek z poczuciem humoru lubił opowiadać dowcipy, także te bardziej pieprzne. Nie stronił też od wódki. Gdy znajoma zastała kiedyś Modrzejewskiego przy kieliszku, zwróciła uwagę, że przecież lekarze zabronili mu spożywania alkoholu. Dziennikarz przyznał jej rację, dodając jednak, że skoro w zamian zalecili konsumpcję warzyw, to on „zamiast pakować w siebie kartofliska, woli uprościć sobie tym właśnie koncentratem”[217].

Uznawano go za jedno z najsilniejszych mediów, jakie kiedykolwiek się pojawiły. Stawiano go w jednym rzędzie z Eusapią Palladino, która zachwyciła Prusa i Ochorowicza. Podkreślano też różnorodność fenomenów, jakie działy się za jego udziałem – wśród nich były „telekineza, materializacja, zjawiska świetlne, odlewy w parafinie etc.”[218].

Zmarli w królestwie „kreta”

Fenomen Teofila Modrzejewskiego mógł mieć coś wspólnego z genami, gdyż jego ojciec miał „zdolności medialne”, zaś stryj telepatyczne, a do tego był także jasnowidzem.

O swojej wyjątkowości przyszły Kluski przekonał się już w dzieciństwie. Pewnego dnia postanowił zobaczyć „kreta”. W tym celu z krzeseł i kapy zrobił namiot, po czym zaprosił tam inne dzieci.

„Jakkolwiek pokój nurzał się w ciemności – opisywał publicysta Ludwik Szczepański – wnętrze namiotu było rozświetlone błękitnawym światłem – i dzieci ujrzały nagle ku swemu wielkiemu zdziwieniu swego zmarłego braciszka i siostrę również umarłą; zrozumiały, że zbliżają się do królestwa »kreta«, ujawniając zresztą więcej zdziwienia niż trwogi. Postacie zmarłych dzieci nikły i rozwiały się niebawem wniwecz. Dzieci prosiły chłopczyka, aby prowadził je dalej ku »kretowi«, ale on powiedział, że to niemożliwe. Pokazał im natomiast świetlistą szparę i kazał się im dobrze w nią wpatrywać. Przed oczami dzieci przesuwały się dziwne obrazy. Dzieci ujrzały amfiladę pokojów i korytarzy oświetlonych rzęsistym światłem. W pokojach unosiły się w powietrzu postacie ludzkie, przezroczyste i świetlane. Dzieci patrzały zachwyconymi oczami i każde pytało się: »Czy jestem tu po raz pierwszy?«”[219].

W młodzieńczych latach Modrzejewski zakochał się w dziewczynie, która później zmarła. Widywał ją w bardzo nieprzyjemnych wizjach – leżącą w trumnie. Pomiędzy dwudziestym a czterdziestym piątym rokiem życia „medialność Franka była utajona”,

bowiem zajęty pracą zawodową i życiem rodzinnym nie zwracał uwagi na swoje zdolności[220].

W 1918 roku wziął udział w seansie razem ze słynnym wówczas medium Janem Guzikiem, którego przyjmowano nawet na carskim dworze. Czasami jednak zjawy produkowane przez Guzika zachowywały się obcesowo, będąc „usposobione zgoła niepoważnie i figlarno-lubieżnie: zalecając się w niedwuznaczny wcale sposób do obecnych pań”[221]. Po seansie z Guzikiem przyjaciele Modrzejewskiego zastanawiali się, czy podobne fenomeny można wyprodukować bez medium – wówczas „ku wielkiemu zdumieniu zjawiska świetlne wystąpiły w pobliżu Franka”[222].

Przyjaciel Modrzejewskiego, lekarz psychiatra Tadeusz Sokołowski, namówił go na wiele seansów, które opisał pułkownik Norbert Okołowicz. W ciągu kilku lat wzięło w nich udział łącznie ponad trzysta osób, a wśród nich tak znane osobistości jak: generał Józef Haller, pułkownik Bolesław Wieniawa-Długoszowski, książę Zdzisław Lubomirski, aktor Juliusz Osterwa, reżyser Leon Schiller, śpiewaczka Jadwiga Mrozowska-Toeplitz, a do tego jeszcze lekarze, dyplomaci, wyżsi urzędnicy i przemysłowcy. Elita społeczeństwa nie bała się ośmieszenia z powodu udziału w seansach z medium Kluskim. To faktycznie była epoka okultyzmu.

30 sierpnia 1919 roku piętnaście minut po północy odbył się pierwszy z protokołowanych seansów. Wtedy też przybyła zjawa: „Twór wielkości ludzkiej, pokryty szeleszczącą skórą, bardzo silnie owłosiony, z bujną czupryną i brodą, przypominający wyglądem człowieka pierwotnego. Zamiast mówić wydawał mlaskanie, bełkotanie i kłapanie zębami, chcąc porozumieć się z obecnymi”[223].

Tym razem stwór zachowywał się względnie grzecznie, natomiast wcześniej wykazywał pewną dozę „dzikości”, gdyż najwyraźniej nie był jeszcze oswojony z obecnością uczestników wieczoru. Jednak nieco nachalnie oblizywał ich po twarzach i rękach, co spotykało się z protestami, gdyż było to wyjątkowo niemiłe odczucie[224].

Na kolejnej sesji zjawa również odnosiła się przyjaźnie wobec ludzi, ale „w stosunku do suczki zachowywała się złośliwie, skubiąc ją za sierść i uszy”. Podczas seansu udało się wykonać zdjęcie, na którym można dostrzec, że stwór był owinięty w biały przezroczysty całun. Natomiast na głowie Kluskiego siedział wielki ptak z rozłożonymi skrzydłami.

Widma poległych bohaterów

Podczas jednego z kolejnych wieczorów, w maju 1923 roku, pojawiła się zjawa oficera polskiego w mundurze legionowym i maciejówce. Widmo pragnęło porozumieć się z uczestnikami seansu. Jedna z osób zaczęła więc wymawiać litery alfabetu, a odpowiedzią było stukanie. Reakcja nastąpiła przy literach K oraz T i wówczas jeden z obecnych doszedł do wniosku, że być może odwiedziło ich widmo Kisielnickiego-Topora, którego kiedyś znał osobiście. W tym samym momencie rozległo się trzykrotne stukanie na znak potwierdzenia.

Porucznik Jerzy Topór-Kisielnicki poległ w słynnej szarży kawalerii legionowej pod Rokitną w czerwcu 1915 roku, a teraz dawni towarzysze walki, generał Mariusz Zaruski i pułkownik Norbert Okołowicz, rozpoznali go w widmowym kształcie. Gdy ten ostatni nazwał go kolegą, zjawa stuknęła obcasami i zasalutowała[225].

Pojawił się również inny bohater wojenny – ulubieniec Piłsudskiego, słynny pułkownik Leopold Lis-Kula. Nic zatem dziwnego, że w jednym z kolejnych seansów wziął udział sam Marszałek, ale nie dostrzegł widma znanej mu osoby.

Twierdził natomiast, że kiedyś pokazał mu się duch poległego. Nie mogąc przybyć na święto pułkowe, obiecał, że gdy oficerowie będą w kasynie, o dziesiątej wieczorem wypije kieliszek wina na cześć pułku. Zapomniał jednak o przyrzeczeniu. Wówczas w drzwiach jego sypialni w Belwederze stanął znany mu rotmistrz Z., „a właściwie jego zjawa", który służył w tym pułku i poległ podczas wojny z bolszewikami. Po chwili zniknął, a Komendant przypomniał sobie o złożonej obietnicy i wychylił toast[226].

Publicysta Wojciech Stpiczyński wspominał, że pewnego razu zmaterializowało się widmo rosyjskiego generała i zaczęło się wpatrywać w Zaruskiego. Ten zapytał po rosyjsku, czy ma do czynienia z generałem Komarowem, a wówczas „twarz pytanego jak gdyby rozpogodziła się nagle, cała postać wyprostowała się nieco ku czapce, oddając pytającemu parokrotnie ukłon wojskowy"[227].

Chociaż Stpiczyński podchodził ze sceptycyzmem do tego, co obserwował, to jednak chwilami nie potrafił ukryć zaskoczenia. Wprawdzie był „opancerzony niewiarą, pewny realizmu wrażeń wzrokowych", to jednak widział „najdokładniej młodą, śmiejącą się twarz oficera-zjawy, pochyloną nad (…) sąsiadem generałem i słyszał potwierdzenie jej obecności przez uczestników seansu"[228].

Wielokrotnie też pojawiało się widmo Włocha, Cesarego Battistiego, bohatera narodowego Italii, powieszonego przez Austriaków w lipcu 1916 roku. Jego fotografię Kluski miał w swoim mieszkaniu, co być może wyjaśniało częstą obecność Battistiego na seansach. Gdy zebrani wznosili okrzyki „eviva Italia!", odpowiadał „oklaskami i życzliwym klepaniem niektórych osób po ramieniu". Natomiast na pytanie, czy jest szczęśliwy, po chwili wahania odparł: „*Trento est libero*" [Trydent jest wolny – T.S.][229].

Przed I wojną światową jego rodzinne miasto znajdowało się bowiem w granicach Austrii i właśnie Battisti był organizatorem powstania przeciwko władzy Habsburgów. Chociaż rebelia została stłumiona, a jej przywódca stracony, to w 1918 roku Trydent przyłączono do Włoch. Gdy któryś z uczestników seansu zapytał żartobliwie, w jaki sposób Battisti znalazł się w Warszawie i czy może przyjechał koleją, został skarcony mocnym uderzeniem pięścią w kark[230].

Widmo akompaniowało gwizdaniem, gdy uczestnicy seansu śpiewali włoskie piosenki. Obecny na jednym z wieczorów Tadeusz Boy-Żeleński wyrecytował fragment wierszyka po włosku, a wówczas usłyszał wypowiedziane szeptem: „*Bravo*".

Pewnego wieczoru konsternację zebranych wzbudziło pojawienie się widma brodatego mężczyzny, który był ubrany w burnus i odpowiadał na migi. Okazało się, że dwieście pięćdziesiąt lat wcześniej został wzięty do niewoli (zapewne podczas wojny Rzeczypospolitej z Turcją) i wówczas ucięto mu język, a zrobił to przodek jednej z osób uczestniczących w seansie. Zjawa pokazała się w pełnym świetle, jedną ręką wyjęła z pochwy pałasz wiszący na ścianie, uczyniła kilka cięć w powietrzu, ale potomkowi okrutnika nie stała się krzywda[231].

Tadeusz Boy-Żeleński, redakcyjny kolega Teofila Modrzejewskiego, twierdził, że

– mimo całego swojego krytycyzmu popartego wykształceniem medycznym – nie potrafi wyjaśnić, co właściwie działo się na seansach. Podejrzewał jednak, że było to niezbadaną jeszcze przez naukę siłą, tak jak do niedawna elektryczność czy promieniowanie.

„Krążek świetlny podnosi się i lekko buja po powietrzu – relacjonował Boy – podobny do małego księżyca. To unosi się pod sufit, to krąży nad naszymi głowami. Ktoś mówi, że widzi zjawę, poznaje ją; zjawa to porucznik, który już pojawiał się na różnych seansach. Za chwilę krążek zbliża się do mnie powietrzem, oświecając wyraźnie głowę męską w czapce z daszkiem wojskowym. Głowę widzę zupełnie plastycznie, porusza się, widzę ją wprost, to znów z profilu bryłowego. (…) Mówią mi, abym czegoś zażądał od zjawy. Mówię: »Pogłaskaj mnie po głowie«. Głaszcze. »Pocałuj mnie«. Całuje. Czuję najrealniej pocałunek w twarz. Mam wrażenie, że w powietrzu jest lekki zapach alkoholu. Mówię: »Porucznika coś czuć wódeczką«. Kilkakrotny łomot, co znaczy, że zjawa chce mówić. Prowadzący seans wymawia litery, zjawa wskazuje je pukaniem. Wypukuje: »Tadeusz cuchnie wódką«. Ręka zjawy lekko mnie bierze za głowę i pochyla mnie do mego sąsiada, nachylając jednocześnie jego głowę ku mojej. Sąsiad mój ma na imię Tadeusz, jest to znany lekarz, doświadczony badacz mediumizmu. Śmieje się i mówi: »Istotnie, to ja piłem dziś dwa kieliszki wódki przy kolacji«. Zjawa najwyraźniej obraziła się o niesłuszne posądzenie”[232].

Zmarła narzeczona i średniowieczni medycy

Stanisław Ignacy Witkiewicz poszukiwał na seansach spirytystycznych kontaktu ze swoją narzeczoną, Jadwigą Janczewską, która w 1914 roku w Zakopanem popełniła samobójstwo. Dręczyły go z tego powodu wyrzuty sumienia, gdyż czuł się winny tej śmierci – być może chciał od zjawy uzyskać przebaczenie.

„Raptem w pobliżu uczestnika nr 3 [Witkacy – T.S.] – relacjonował Okołowicz – pojawiła się w świetle ekranu postać jakby młodej i wysokiej kobiety z przykrytą głową i widocznymi puklami jasnych włosów wysuwających się spod zasłony. (…) Twarzy nie zdołano zaobserwować, gdyż tylko przez chwilę była widoczną i ukazywała się jedynie uczestnikowi nr 3”[233].

Później przychodziły jeszcze inne postacie, ale po chwili Witkacym ponownie zainteresowała się poprzednia zjawa. Tym razem jednak nie zamierzała stanąć w świetle ekranu, lecz w odblasku własnych dłoni, które sprawiały wrażenie „natartych jakąś świetlaną masą”.

„Uczestnik nr 3 – kontynuował Okołowicz – po kilkakrotnym ukazaniu się tej postaci zapytuje: »Jadwiga?«. Wtedy światła nikną, a uczestnik ten oświadcza, że ktoś ściska i obejmuje go serdecznie. Zjawa ta, jakkolwiek oświetlała się silnym światłem, czyniła to tak szybko i jakby nerwowo, że trudno było określić wygląd jej postaci. Zrobiła na ogół wrażenie starszej i smukłej osoby”[234].

Choć zjawa nie odpowiedziała na pytanie, Witkiewicz był przeświadczony, że stanęła przed nim właśnie Janczewska. Jest to tym bardziej interesujące, iż opowiadając później o przebiegu seansu żonie, twierdził, że widział zmarłą narzeczoną zupełnie wyraźnie i „jakaś młoda kobieca rączka ciągle go dotykała”[235].

Przy okazji jednego z kolejnych wieczorów pojawił się duch brodatego starca określanego jako „lekarz średniowieczny”. Zaczął badać zebranych, a gdy podszedł do adwokata Bronisława Wałukiewicza, rozpiął mu marynarkę i kamizelkę, dotykał brzucha oraz klatki piersiowej po prawej stronie, po czym stwierdził, że adwokat nie powinien pić alkoholu z powodu złego stanu wątroby. Natomiast jego żonie zwrócił uwagę, że ma „za dużo sadełka”, oraz zalecił więcej ruchu i dietę pozbawioną mącznych potraw[236].

Gdy jedna z uczestniczek seansu zemdlała, ujrzawszy ducha swojego zmarłego synka, pojawiła się zjawa Hindusa, który nacierał jej czoło wodą kolońską. Następnie postawił kobiecie diagnozę niezgodną z tym, co dotychczas twierdzili lekarze, a która później okazała się trafna[237].

Ukazywały się również duchy przypominające wyglądem przybyszy z bardziej odległej przeszłości, nazywane „kapłanem chaldejskim” i „arcykapłanem asyryjskim”, oraz szlachcic włoski z epoki *cinquecenta* (XVI wieku). Najczęściej jednak widywano postacie z czasów współczesnych, na przykład zjawę siostry hrabiego Juliusza Potockiego, która zmarła trzy lata wcześniej.

„Czuję lekką rękę kobiecą – opowiadał Potocki – która robi krzyżyk z kółkiem na moim czole, gdy się ze mną żegnała. Poznaję dobrze jej rękę oświetloną brzegiem ekranu leżącego na stole przede mną. Ręka jej przesuwa się po moich oczach i coraz lepiej ją poznaję. Ściska mnie za rękę, klepie po twarzy, pieszcząc ją. Teraz już nie mam wątpliwości, że to jej ręka. Nieco potem tworzy się koło mej twarzy kula ognista i z radością poznaję rysy mojej siostry, która śmieje się jak żywa. Wydawała się jednak o wiele młodsza, jakby miała 25 lat (umarła, mając 54). Głowę owiniętą miała mglistym szalem. Ukazanie się twarzy trwało bardzo krótko, zaledwie miałem czas krzyknąć: »To ona«”[238].

Z reguły zjawy miały martwe twarze i sprawiały wrażenie ożywionych trupów, ale zdarzało się też, że ich oblicza wyglądały jak u żywych ludzi. Od 1923 roku na seansach z Kluskim zaczęły się pojawiać postacie, których „doskonałość materializacji nie odróżniała ich niczym (w pewnych chwilach) od osób żywych”. Łącznie ukazały się dwieście czterdzieści trzy postacie rozpoznane oraz sto siedemdziesiąt nieznanych. W sumie zjawy ukazywały się około tysiąca razy.

Zjawy i ich odlewy

Przybyłe z zaświatów postacie wkładały ręce, nogi, a nawet usta do roztopionej parafiny, tworząc foremki, z których następnie wykonywano odlewy gipsowe. Nikt nie potrafił wytłumaczyć tego zjawiska – gdyby dochodziło bowiem do mistyfikacji, poszczególne części ciała oszusta zostałyby po prostu poparzone. Doktor Gustave Géley, który w Paryżu dokonywał eksperymentów z Kluskim, miał prawdziwe utrapienie z życzeniami ich świadków, którzy nagminnie żądali, by zjawy pozostawiały w parafinie ślady kończyn. Wreszcie poirytowany zapytał, czy może być odlew „tylnej części ciała”. Kilka sekund później „dał się słyszeć wielki plusk w parafinie, która opryskała uczestników. I w parafinie odtworzyła się foremka pośladków, foremka jednak tak krucha i drobna, że nie można było sporządzić odlewu gipsowego”[239].

Usiłowano skompromitować polskie medium, twierdząc, że odlew tylnej części ciała sporządził sam Kluski – po prostu ściągnął spodnie i zanurzył w parafinie własne pośladki.

Géley stwierdził, że odlewy nie mogły być zrobione wcześniej, gdyż w ostatniej chwili, już podczas seansu, wraz z profesorem fizjologii, noblistą Charles'em Richetem, dodali do parafiny niewielką ilość specjalnego barwnika. Po dokonaniu odlewów zbadali parafinę i wykryli farbę, zatem wykluczyli możliwość, że Kluski wykorzystał własny materiał i jakimś iluzjonistycznym sposobem zanurzył w nim odlew ręki, który przyniósł ze sobą. Tym bardziej że naczynie było dodatkowo zabezpieczone siatką, a kontrolujący trzymali Kluskiego za dłonie[240].

Wprawdzie słynny iluzjonista Harry Houdini udowodnił, że jednak można niepostrzeżenie oswobodzić ręce, ale niczego to nie dowodziło. Nawet jeżeli Kluski potrafił uwolnić dłonie tak, by kontrolujący go bezwiednie trzymali się za własne ręce, to jednak podczas seansu byli też obecni inni obserwatorzy.

Charles Gabrielli, ekspert w dziedzinie form odlewniczych, wykazał w raporcie, że odciski dłoni w parafinie nie zostały uzyskane poprzez zastosowanie sztucznej ręki lub w inny sposób. Dłoń musiała należeć do osoby żywej, gdyż wskazywały na to detale anatomiczne, jak napięte mięśnie, fałdy skóry, bruzdy. I choć obecnie w internecie można znaleźć instrukcje, jak uzyskać odlewy rąk z foremek bez ich zniszczenia, to jednak nie wyjaśniono natury odlewów rąk dzieci, które nie brały przecież udziału w seansach Kluskiego.

Niewyjaśnionym fenomenem było również samoczynne działanie maszyny do pisania oddalonej od medium o kilka metrów. Na jednym z seansów na kartce pojawiły się słowa: „Ja jestem uśmiechem równowagi, mój poemat miłości i życia przetrwał epoki". Czasami na maszynie pisały też zjawy, a jedna z nich wystukała: „Dziecko wyciągające rękę do księżyca jest bliższe celu niż wy".

Natomiast zdanie napisane na maszynie w Warszawie („Słuchajcie, dzwony przestały bić") stało się zrozumiałe dopiero po kilku dniach, gdy wypowiedział je francuski pisarz, który właśnie przyjechał do naszej stolicy. Co najważniejsze, podobno z nikim nie podzielił się wcześniej informacją, co zmierza powiedzieć. Zresztą do odczytu przygotowywał się w hotelowym pokoju.

Gdy podczas jednego z seansów uczestnicy chcieli się dowiedzieć, jaka jest natura zjaw i czy są one tworami wyobraźni uczestników, widmo, z którym akurat rozmawiano, zaprzeczyło. Po czym potwierdziło, że zjawy to „ciała astralne"[241].

Duchy czy materializacja myśli?

Ze spirytystycznego punktu widzenia po śmierci człowieka jego ciało opuszcza dusza składająca się z części niematerialnej (dusza właściwa) i półmaterialnej (ciało astralne), stanowiącej otoczkę i zawierającej myśli oraz osobowość człowieka. Spirytyści uważali, że jest to „niejako odlew, w który materia może się wprowadzić, by dać życie ciału". Materię oraz energię dusza miała zapożyczać od medium podczas seansu, tworząc w ten sposób widziane przez jego uczestników zjawy[242].

„Objawy te zrobiły na mnie wrażenie bardzo silne – stwierdził jeden z uczestników seansów, jasnowidz Stefan Ossowiecki – głęboko przekonały mnie, że

osobowość trwa poza śmiercią ciała i w trwaniu »Ja« świadomego po śmierci. Uwierzyłem w nieśmiertelność duszy i reinkarnację”[243].

Zwolennicy mediumizmu, którzy uważali, że zjawy nie są manifestacją dusz osób zmarłych, także operowali terminem „ciało astralne”. Przypisywali mu jednak materialną treść, podobnie jak Ochorowicz, który twierdził, że wyobrażenia i myśli mogą się przekształcić w widmowe obrazy. Byłyby to zjawiska metapsychiczne. Z kolei Charles Richet, obecny podczas doświadczeń zarówno z Kluskim, jak i Ossowieckim, twierdził, że osobliwości te należy badać, gdyż „albo zna się wszystkie siły natury, albo się ich nie zna”. A skoro „pierwsze z tych przypuszczeń jest niedorzeczne, trzeba przyjąć drugie”[244].

Zwolennicy teorii o zjawach jako manifestacjach metapsychicznych, a nie duchach osób zmarłych, uważali natomiast, że ich przybywanie jest wynikiem kontaktów pomiędzy żywymi, Nadświadomym a Nieświadomym. Według nich zjawy pojawiały się jako „eksterioryzacja ektoplazmy” z ciała medium, która miała być substancją organiczną.

Uczestnicy seansów z Kluskim widzieli też kuliste, eliptyczne i trójkątne mglistozielone światła unoszące się w powietrzu na podobieństwo baniek mydlanych. Emanacjom świetlnym towarzyszyły różne wonie: potu, brudnej odzieży, czasem czosnku. Zdarzały się jednak znacznie przyjemniejsze: kwiatów, pomarańczy i kościelnego kadzidła. Wonie miały się wydobywać z piersi, głowy, dłoni, a nawet spod pach pojawiających się postaci.

Wieczory, gdy Kluski wpadał w trans, oznaczały dla niego wielki wysiłek fizyczny. Czasami po zakończeniu seansu miał zadrapania czy nawet krwawiące i ropiejące rany. Zdarzały się też oparzenia na dłoniach, nogach i twarzy. Niekiedy Kluski sprawiał wręcz wrażenie poturbowanego szaleńca. Oczy miał „wpółbłędne, twarz obrzękłą”, a gdy kasłał, na chustce było „pełno krwi”. Po kilku dniach obrażenia znikały jednak bez śladu.

Uczestnicy seansów, którzy znali go bliżej, wspominali, że czasami nocą w swoich mieszkaniach widywali na krótko „mglistą postać medium”, która niczym nie różniła się od żyjącego człowieka. Telefonowali wówczas do Modrzejewskiego i okazywało się, że właśnie wyrwali go ze snu…

„Trudno mi jest wyliczyć – komentował Norbert Okołowicz – ile osób skutkiem tylko samego uczestnictwa w seansach odzyskało równowagę życiową zachwianą ciężkimi przejściami. Ile ciężkich i brzemiennych łez zostało otartych w chwilach zetknięcia się z tymi dziwami. Ile osób uwierzyło w ciągłość ewolucji i w wieczność ewolucji, i wieczność istnienia psyche ludzkiej. Ile wiary odzyskano”[245].

Właśnie to było największą zasługą Teofila Modrzejewskiego – niezależnie od tego, czy uważano go za genialnego oszusta, czy za człowieka obdarzonego fenomenalnymi zdolnościami, jakich nikt już później nie prezentował.

W połowie lat 20. Kluski zaprzestał organizacji publicznych seansów, ale w odosobnieniu wciąż wywoływał zjawy i eksperymentował z pismem automatycznym. W 1936 roku wydał książkę *Wyrazy, które umarły i które umierają* – zebrał w niej słownictwo języka polskiego wychodzące z użycia. Gdy wybuchła II wojna światowa podobno poszedł do spowiedzi, a ksiądz zakazał mu praktykowania i korzystania ze swoich niezwykłych zdolności.

Teofil Modrzejewski, czyli Franek Kluski, zmarł na gruźlicę w Warszawie w styczniu 1943 roku, mając siedemdziesiąt lat. Zapewne do rozwoju choroby przyczyniły się nie tylko trudne warunki okupacyjne, lecz także wyczerpanie organizmu seansami organizowanymi w latach dwudziestych XX wieku. Jego fenomenu nigdy nie wyjaśniono.

Wanda Dynowska

Rozdział 7

Teozofia i masoni. Wanda Dynowska i Michał Tokarzewski-Karaszewicz

Gdy w 2008 roku po raz kolejny przybył do Polski Dalajlama, podczas wystąpienia w Gdańsku przypomniał, że dużą rolę w jego życiu odegrała dwójka Polaków osiadłych w Indiach: Wanda Dynowska i Maurycy Frydman. Szczególne znaczenie dla Tybetańczyka miały pierwsze miesiące po aneksji jego kraju przez Chiny, kiedy to właśnie „ta kobieta, była dla niego jak przybrana matka". A przyjaźnić się mieli do końca jej życia.

Bliskie związki z Dalajlamą nie były czymś szczególnie wyjątkowym w biografii Wandy Dynowskiej, która utrzymywała zażyłe kontakty z wieloma wybitnymi postaciami ze świata polityki, religii i kultury. W pierwszych dekadach XX stulecia blisko współpracowała z marszałkiem Piłsudskim, później była znajomą Mahatmy Gandhiego, a w ostatnich latach życia korespondowała z Karolem Wojtyłą.

Natomiast wkrótce po odzyskaniu przez nasz kraj niepodległości została współzałożycielką Polskiego Towarzystwa Teozoficznego propagującego fuzję tradycji chrześcijańskiej z hinduizmem i buddyzmem. Była też współorganizatorką polskiej loży masońskiej Le Droit Humain (Prawa człowieka), która jako jedyna organizacja wolnomularska miała charakter mieszany, co oznaczało, że przyjmowano do niej zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Warto też zaznaczyć, że teozofów uznaje się dzisiaj za poprzedników i duchowych przodków ruchu New Age.

Helena Bławatska i teozofowie

Druga połowa XIX wieku była epoką nie tylko okultyzmu, lecz także poszukiwań światopoglądowych i synkretyzmu religijnego. Eksplorowano różne systemy filozoficzne i wyznaniowe, próbując stworzyć względnie spójną wizję otaczającego świata, dzięki czemu uzyskano by zadowalające odpowiedzi na najważniejsze pytania dotyczące istnienia. Jedną z bardziej intrygujących prób był ruch teozoficzny, który łączył elementy zachodniego chrześcijaństwa z tradycjami kultury i religii Indii. Zapewne jednak teozofowie nigdy nie zdobyliby większego znaczenia, ewentualnie przyjęliby inne formy działalności, gdyby nie Helena Bławatska.

Przyszła na świat w sierpniu 1831 roku w Jekatierinosławiu (dzisiejszy ukraiński

Dniepropietrowsk) w niemiecko–rosyjskiej rodzinie von Hahn-Rottenstein i wcześnie osierocona przez matkę wyszła za mąż jeszcze przed ukończeniem siedemnastego roku życia. Jej wybrankiem był starszy o prawie ćwierć wieku gubernator armeńskiego Erywania, generał Nikifor Bławatski; ale małżeństwo ułożyło się fatalnie.

Związek w ogóle nie został skonsumowany, a dziewczyna po trzech miesiącach uciekła od męża. Musiała jednak dysponować znacznymi środkami finansowymi (jej dziadkowie ze strony matki byli zamożnymi ziemianami), gdyż przez kolejne dziesięć lat podróżowała po świecie. Odwiedziła: Francję, Anglię, Amerykę Południową, Meksyk, Stany Zjednoczone oraz Kanadę, a ponadto przez dwa lata zgłębiała wiedzę tajemną w Tybecie, co wywarło ogromny wpływ na jej światopogląd.

Przez pewien czas była związana z włoskim śpiewakiem operowym, basem Agardim Metrovitchem. Urodziła mu syna i niespecjalnie przejmowała się faktem, że partner był żonaty. Oficjalnie utrzymywała, iż łączy ich tylko przyjaźń – do końca życia twierdziła nawet, że na zawsze pozostała dziewicą. Praktycznie jednak nie rozstawali się ze sobą i na dłużej osiedli się w Egipcie, gdzie Metrovitch śpiewał w kairskiej operze. W 1872 roku Agardi zginął w katastrofie na Morzu Śródziemnym. Jego śmierć oraz przedwczesny zgon dziecka spowodowały, że Bławatska zerwała z chrześcijaństwem. Aby zgłębiać zagadnienia okultystyczne, założyła nad Nilem Towarzystwo Duchowe – niektórzy uznali, że w ten sposób poszukiwała kontaktów z najbliższymi zmarłymi.

Rok później wyjechała do Nowego Jorku, gdzie po raz pierwszy zaprezentowała swoje nieprzeciętne umiejętności metapsychiczne. Według świadków posiadała zdolności do lewitacji, telepatii i materializowania przedmiotów, a do tego przepowiadała jeszcze przyszłość. Co jednak najważniejsze – bardziej interesowało ją wyjaśnienie swoich umiejętności niż publiczne pokazy.

Przy okazji zadbała jednak o amerykański paszport, gdyż dotychczas posiadała tylko rosyjski. Dwa lata po przybyciu do Nowego Jorku wyszła za mąż za Michaela Betanelly'ego, ale również ten związek okazał się białym małżeństwem. Rozstali się po kilku miesiącach, zaś trzy lata później orzeczono rozwód. Jednak dzięki małżeństwu Bławatska otrzymała upragnione amerykańskie obywatelstwo.

Dla jej rozwoju duchowego najważniejsze okazało się spotkanie z dziennikarzem, pułkownikiem Henrym Steelem Olcottem. Był on zainteresowany spirytyzmem i w 1875 roku wspólnie założyli Towarzystwo Teozoficzne. Celem jego działalności było poszukiwanie prawdy w dotychczasowych systemach religijnych przy odrzuceniu form i rytuałów. Ich naczelne hasło brzmiało: „Nie ma religii wyższej niż prawda". Przy okazji głosili również, że wszelkie ponadnaturalne zdolności psychiczne można wyjaśnić naukowo, a co za tym idzie – poddać je kontroli.

Prezesem został Olcott, gdyż ówczesne prawo amerykańskie nie zezwalało, by na czele stowarzyszenia stanęła kobieta. Bławatska zadowoliła się stanowiskiem sekretarza, co nie zmienia sytuacji, że uważano ją za *spiritus movens* całego ruchu. Tym bardziej że cztery lata później wraz z Olcottem wyruszyła do Indii, gdzie w Adyarze koło Madrasu założyli główną siedzibę stowarzyszenia. Przy okazji oboje przeszli na buddyzm – Olcott jako pierwszy Amerykanin, natomiast Bławatska jako pierwsza Europejka.

Helena nie pozostała jednak w Indiach na stałe i po kilku latach przeniosła się do Anglii. Tam w 1890 roku stworzyła wewnętrzny krąg dwunastu duchowych uczniów, co stanowiło czytelne nawiązanie do liczby apostołów Chrystusa. Była już wtedy poważnie chora i by znaleźć ulgę w dotkliwych cierpieniach, namiętnie paliła skręty z konopi indyjskich, co pozwala stwierdzić, że uzależniła się od marihuany. Zmarła w maju 1891 roku, jej ciało zostało skremowane, a prochy podzielono na trzy części: jedną pozostawiono na miejscu, drugą wysłano do Stanów Zjednoczonych, a ostatnią do Indii. Dzień jej śmierci obchodzony jest przez teozofów jako Święto Białego Lotosu.

Bławatska nie zamierzała tworzyć nowej religii. Teozofowie mieli być ruchem światopoglądowym o charakterze panteistycznym, co umożliwiłoby fuzję chrześcijaństwa, buddyzmu i hinduizmu. Miał to być system myślowy, którego zwolennicy wierzą w bezosobowy Absolut, reinkarnację i odpowiedzialność każdego za własne postępki (karma). Według teozofów człowiek posiada siedem form istnienia, z czego intelekt, jaźń i duch tworzą nieśmiertelną duszę, a po jej śmierci miało nastąpić zjednoczenie z Absolutem. Aby tak się stało, adepci teozofii powinni studiować radża jogę (królewską), gdyż właśnie jej nauki miały umożliwić poznanie mądrości joginów[246].

Trzeba przyznać, że pod względem społecznym członkowie Towarzystwa Teozoficznego głosili bardzo postępowe idee. Celem ich działalności miało być utworzenie zalążka braterstwa wszystkich ludzi bez względu na rasę, wyznanie czy pochodzenie, a jednocześnie rozwijanie porównawczych studiów nad religią, filozofią i nauką, by dotrzeć do „tradycji pierwotnej". Nie zapominano też o badaniach nad nieznanymi dotychczas prawami natury i ukrytymi możliwościami ludzi. Nawet bowiem tak nowatorscy pod wieloma względami teozofowie pozostali nieodrodnymi dziećmi swojej epoki.

Olcott zmarł w 1907 roku, a prezesem Towarzystwa została Annie Besant, jedna z duchowych uczennic Bławatskiej. Rządziła organizacją aż do 1933 roku, a lata te są uważane za złoty okres ruchu teozoficznego. Towarzystwo nabrało bowiem międzynarodowego charakteru, zaś światopogląd jego członków zainspirował wielu wybitnych uczonych i twórców kultury. Teozofami lub sympatykami ruchu byli między innymi: Thomas Edison, Nikola Tesla, Wassily Kandinsky, Paul Klee, Gustav Mahler, Aleksandr Skriabin, William Butler Yeats i Maurice Maeterlinck.

Towarzystwo Teozoficzne i koncepcje jego założycielki wywarły duży wpływ na wolnomularstwo, a szczególnie na polską lożę Le Droit Humain – teozofami byli również członkowie polskiego Kościoła liberalnokatolickiego z Wandą Dynowską i generałem Michałem Tokarzewskim-Karaszewiczem na czele. Ten ostatni był nawet kapłanem i zwierzchnikiem wyznania, dlatego nazywano go biskupem teozofów.

Wanda Dynowska

Idee Bławatskiej i Besant zagościły nad Wisłą i Niemnem w pierwszych latach XX stulecia, ale potrzebna była polska odpowiedniczka obu liderek, by ruch uzyskał zorganizowane formy. Okazała się nią ziemianka z Inflant, która łączyła wysoką inteligencję z entuzjazmem i zdolnościami organizacyjnymi. Wyróżniała się też

wielką charyzmą i nieprzeciętną urodą, co bywa przydatne dla liderów ruchów światopoglądowych. Podobnie jak biegła znajomość kilku języków, która umożliwiała osobiste tłumaczenie pism ideologów stowarzyszenia.

Wanda Dynowska przyszła na świat latem 1888 roku w Petersburgu, ale młodość spędziła w Istalsno, rodzinnym majątku matki koło Lucyna na polskich Inflantach. Małżeństwo jej rodziców powszechnie uznawano za mezalians – matka pochodziła bowiem z zamożnej ziemiańskiej rodziny Sokołowskich, natomiast Eustachy Dynowski był prawnikiem. Połączyła ich wielka miłość, która jednak szybko się wypaliła, gdyż – według opinii obserwatorów – „stadło nie było specjalnie zgodne”[247].

Faktycznie, Eustachy i Helena widywali się dość rzadko, dlatego to właśnie matka wywarła największy wpływ na późniejszą postawę życiową Wandy. Uchodziła za osobę utalentowaną pod względem metapsychicznym i chociaż była gorliwą katoliczką, miała skłonności do mistycyzmu, a czasami widywała też anioły, elfy i duchy. Była jednak osobą bardzo tolerancyjną i pozostawiła córce całkowitą swobodę pod względem religijnym. Jednocześnie w rodzinnym domu Dynowskiej kultywowano tradycje patriotyczne i niepodległościowe, co w przyszłości miało odegrać znaczącą rolę w życiu Wandy.

Helena Dynowska uchodziła za wyjątkowo piękną kobietę, po której córka odziedziczyła urodę. Patrząc na zachowane wizerunki Wandy z lat młodości i znając opinie jej współczesnych, aż trudno uwierzyć, że matka przewyższała ją pod tym względem. Sugerują to jednak wspomnienia Bolesława Limanowskiego, który miał okazję widywać panią Helenę w Zakopanem, gdy miała około czterdziestu pięciu lat, co w tamtych czasach uchodziło za dość zaawansowany wiek dla kobiety.

„W pierwszy dzień świąt – relacjonował – poszedłem złożyć do niej powinszowanie. Zastałem ją kończącą jeszcze toaletę. Zdaje się była jeszcze Wanda i jej przyjaciółka Raabe. Złożywszy powinszowanie, chciałem odejść z tym, że przyjdę później, lecz mnie zatrzymała. Dynowska wcale jeszcze młodo wyglądała i nawet bardziej ponętniejsza od córki, jakby kwiat dobrze rozwinięty w porównaniu do kwiatuszka polnego”[248].

Złośliwi twierdzili nawet, że Helena „stroi się jak wielka elegantka, a córka ubiera się nader skromnie”. Było w tym dużo racji, gdyż faktycznie Wanda nie przywiązywała większej wagi do modnej odzieży i raczej unikała ostentacyjnej elegancji. Dobrze bowiem wiedziała, że jej największym atutem jest inteligencja, a swojej urody nie potrzebowała podkreślać.

Helena Dynowska prowadziła ożywione życie towarzyskie i na lato zapraszała do Istalsna ówczesną elitę polskiego życia kulturalnego – w majątku bywali rzeźbiarze Henryk Kuna i Konstanty Laszczka, a także Witkacy. Natomiast zimę matka z córką spędzały w Zakopanem lub odwiedzały Szwajcarię, Włochy i Krym.

W życiu dziewczyny dużą rolę odegrali jej prywatni nauczyciele, a szczególnie poeta i pisarz, Tadeusz Miciński – jeden z pierwszych teozofów na ziemiach polskich. Przy okazji był też zafascynowany magią i okultyzmem, co prawdopodobnie zbliżało go do matki swojej uczennicy.

Inna sprawa, że Helena miała też pewne ambicje literackie i starała się je realizować. Pod pseudonimem Halszka Sokół wydała przekład *Anatemy* rosyjskiego

dramaturga i powieściopisarza, Leonida Andriejewa, natomiast w 1912 roku w zbiorowym tomie *Z okolic Dźwiny* ukazało się jej opowiadanie *Bajka*. To ostatnie zostało też ozdobione portretem Heleny autorstwa jej córki[249].

Na temat swojej późniejszej edukacji Wanda podawała sprzeczne informacje. Wiadomo, że cierpiała na gruźlicę, co miało być jedną z przyczyn nauki domowej, chociaż tego rodzaju rozwiązanie stosowano także w przypadku całkowicie zdrowych panien z polskich dworów. Podróże do uzdrowisk, w których leczono i wzmacniano układ oddechowy, także nie należały do rzadkości w zamożnych rodzinach.

Bardziej zagadkowa wydaje się natomiast sprawa studiów Wandy, które odbywała ponoć w Lozannie i Krakowie. Pierwsze miały ją przygotować do zarządzania inflanckim majątkiem, natomiast nauka na Uniwersytecie Jagiellońskim miała być wstępem do pracy literackiej. Niestety, brak jakiegokolwiek dowodu, że Wanda ukończyła studia na tych uczelniach, a nawet że w ogóle się tam uczyła.

Mocno niepewne są również informacje o życiu osobistym Dynowskiej. Najwyraźniej nie miała zbyt dobrych stosunków z ojcem, co można wywnioskować z lektury jej wspomnień. Relacje z matką też nie zawsze układały się dobrze, bowiem panie miały chyba zbyt podobne charaktery…

Tajemnica okrywa także jej związki z mężczyznami. Wanda była bardzo dyskretna, a jej apologeci zrobili wiele, by wykazać, że jedynym poważnym uczuciem dziewczyna darzyła w młodości syna sąsiadów, co jednak nie zakończyło się *happy endem*. Potem miała się już poświęcić wyłącznie sprawom duchowym. Cała historia nie wytrzymuje jednak konfrontacji z faktami.

Kilkanaście lat wcześniej, w 1905 roku, poznała bowiem w Zakopanem Mieczysława Limanowskiego, syna słynnego pozytywisty i działacza niepodległościowego, Bolesława. Limanowski prowadził pod Giewontem wykłady, które zrobiły duże wrażenie na młodszej o dwanaście lat słuchaczce. Wzajemne zainteresowanie przeszło w fascynację i niebawem ich otoczenie było przekonane, że planują ślub, a być może nawet już potajemnie go zawarli.

„Nigdy nie byłam żoną M.L. – zaprzeczała Dynowska pół wieku później – nie braliśmy żadnego ślubu; byłam przez 10 miesięcy jego narzeczoną (styczeń 1910 do października 1910), ale że wygłaszaliśmy oboje wiele światoburczych poglądów, między innymi, że wszelkie śluby są zupełnie niepotrzebne, więc zarówno ojciec pan Bolesław, jak i brat Zygmunt i wiele znajomych przypuszczali, że jesteśmy małżeństwem”[250].

Gdy w 1908 roku Bolesław Limanowski poznał Dynowską osobiście, dziewczyna zrobiła na nim tak wielkie wrażenie, że namawiał syna na małżeństwo. Razem jeździli też na Inflanty, a zakochany Mieczysław kompletnie ignorował zalecenia ojca, by odwiedzać tam jego brata. Młodość i miłość miały swoje prawa, a najwyraźniej Mieczysławowi szkoda było rezygnować z czasu, który mógł spędzić w towarzystwie narzeczonej.

Związek ten jednak się rozpadł, a chociaż pan Bolesław wspominał coś o nieporozumieniach finansowych, to jednak można podejrzewać, że prawdziwa przyczyna tkwiła gdzie indziej: jest bowiem dość prawdopodobne, że Wanda uznała narzeczonego za osobnika zbyt mało interesującego, by spędzić z nim życie. Ocena ta musi zaskakiwać, gdyż Limanowski uchodził za człowieka o bardzo skomplikowanej

osobowości, a zapisy z dziennika Wandy z tego okresu jednoznacznie wskazują, że prezentowali zbliżony światopogląd. Nie zmienia to jednak faktu, że porzucony Limanowski usiłował popełnić samobójstwo.

„Czy wolno za cenę własnej prawdy – zadawała sobie Wanda po latach pytanie – ratować kogokolwiek? Zresztą czyż Mieczysława uratowałam? Czy zdołałam przekazać mu choćby skrawek prostej, czystej drogi i wzbudzić do niej tęsknotę, a przez kontrast odrazę do tego, w czym dotychczas żył? Czyż uchwycenie się mnie aż do rozpaczy, aż do głupiego samobójstwa, gdy się oddalałam, nie jest dowodem jego słabości i pustki?”[251].

Chociaż Wanda wciąż podobała się niedoszłemu teściowi, przyjął rozpad narzeczeństwa z filozoficznym spokojem. Nie wiadomo, czy wiedział o próbie samobójczej syna, ale raczej niekoniecznie, gdyż bardziej niepokoił go fakt, że Mieczysław porzucił geologię i zajął się pisaniem powieści. Z czasem miał się związać z Juliuszem Osterwą i wraz z nim założyć słynny teatr Reduta. Powrócił także do wyuczonego zawodu i został nawet wykładowcą na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie.

Jego życie osobiste w późniejszych latach obfitowało w skandale obyczajowe, o czym bez ogródek informował ówczesny wiceminister wyznań religijnych i oświecenia publicznego, ksiądz Bronisław Żongołłowicz. Jako profesor prawa kanonicznego Uniwersytetu Wileńskiego był osobą dobrze zorientowaną w obyczajach panujących wśród kadry naukowej i o Limanowskim zanotował, że zaraził się syfilisem „od dziewki ulicznej”, po czym przekazał schorzenie małżonce. Syfilis nie wpłynął jednak na temperaturę jego uczuć do dawczyni choroby, a protestującą żonę „naszedł w klinice i zbił ją tam, pokrwawił”. Następnie kochankę „wprowadził do domu swego” i „nadal żył z uliczną dziewką”. Biorąc to wszystko pod uwagę, można uznać, że Dynowska podjęła słuszną decyzję, rozstając się swego czasu z geologiem[252].

Tym bardziej że kilka lat później w jej życiu pojawił się kolejny mężczyzna, z którym pragnęła związać swój los. Przekazy na ten temat są jednak – delikatnie mówiąc – mocno niewiarygodne, chociaż biografowie teozofki traktują sprawę z całą powagą. Inna sprawa, że winna temu była sama Dynowska, która po wielu latach upiększała wydarzenia, a być może sama już uwierzyła, że właśnie taki miały przebieg.

Wybrankiem Wandy był Szczęsny Brzostowski, student Uniwersytetu w Dorpacie i syn właściciela pobliskiego majątku ziemskiego. Ponoć oświadczył się jej po wybuchu rewolucji bolszewickiej, gdy przebywali w Jałcie na Krymie. Rodzina Brzostowskiego nie była jednak tym faktem specjalnie zachwycona, gdyż majątek Heleny Dynowskiej został kompletnie zniszczony podczas działań wojennych, a sama Wanda była dużo starsza od Szczęsnego.

Podobno Brzostowski miał za sobą wyjątkowo traumatyczne przeżycia, gdyż musiał patrzeć na śmierć własnego ojca, który zastrzelił się po podpaleniu jego dworu przez bandy rewolucyjne. Ale gdy kilka dni później oddział wojskowy przyprowadził podpalaczy do identyfikacji, nie chciał skorzystać z okazji do zemsty.

Ostatecznie nie poślubił jednak Dynowskiej, a ich ostatnie spotkanie miało miejsce podczas jego krótkiego urlopu w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Nie doszli do

porozumienia w sprawie ślubu, a Brzostowski niebawem zginął pod Baranowiczami. Dynowska miała wówczas 32 lata, zatem trudno było mówić o młodzieńczej miłości, co jednak nie zmienia faktu, że nigdy już nie związała się z żadnym mężczyzną.

Teozofia nad Wisłą

Pierwsza krajowa organizacja powstała około 1905 roku w Warszawie, chociaż już wcześniej polskie nazwiska pojawiały się w wykazie członków stowarzyszenia prowadzonego w Adyarze. Mimo że figurowały przy nich warszawskie adresy, to jednak przypisano je do włoskiego oddziału Towarzystwa Teozoficznego. Powód był dość prozaiczny: wielu zamożnych mieszkańców stolicy spędzało zimowe miesiące w Italii, gdzie mieli okazję zapoznać się z teoriami głoszonymi przez Bławatską i Olcotta.

Warszawskie Towarzystwo Teozoficzne początkowo było związane z sekcją rosyjską stowarzyszenia, a jego liderami zostali plastycy Julia i Kazimierz Stabrowscy. Dużą rolę odgrywał również wspomniany Tadeusz Miciński, chociaż był przeciwny formalizowaniu działalności rodzimych teozofów. Tym bardziej że nad Wisłą wciąż dużą popularnością cieszyły się romantyczne tradycje mesjanistyczne, co mogło gwarantować szeroki odzew wśród elity intelektualnej. Jednak wszelkie nowe formy zorganizowanej działalności społeczeństwa były traktowane z dużą podejrzliwością przez władze carskie, które wszędzie wietrzyły spiski niepodległościowe. Nie zmienia to faktu, że Polacy wydawali się wręcz stworzeni do propagowania światopoglądu z Adyar.

„Zasady teozoficzne – tłumaczył Stabrowski – tkwią w narodzie naszym bardzo głęboko. Od czasu Towiańskiego, Mickiewicza i Słowackiego idee teozoficzne były i żyją, dając doskonałe podłoże dla wspaniałego rozwinięcia się Stowarzyszenia Teozoficznego. Lecz właściwa loża istnieje dopiero od paru lat i liczy w swoim gronie kilkanaście zaledwie członków”[253].

Liczba sympatyków szybko się jednak powiększała, pojawiły się tłumaczenia dzieł ideologów ruchu i planowano nawet wydawanie miesięcznika propagującego wiedzę ezoteryczną. W gronie nowych sympatyków nie brakowało zresztą znanych nazwisk, takich jak: Maria Rodziewiczówna, Laura Pytlińska (aktorka, córka Marii Konopnickiej) czy Ignacy Kozielewski, późniejszy współzałożyciel Związku Harcerstwa Polskiego.

W 1913 roku pojawiło się tłumaczenie *Głosu milczenia* Bławatskiej, ale dalszy rozwój polskich struktur został zahamowany przez wybuch pierwszej wojny światowej. Zresztą już wcześniej nie brakowało problemów, bowiem polscy adepci ezoteryki nie chcieli być częścią organizacji rosyjskiej i podkreślali własną odrębność. Przy okazji nie deklarowali też przynależności do żadnej z lóż teozoficznych powstających na ziemiach polskich (było ich osiem), gdyż preferowali swobodny związek ze strukturami Towarzystwa.

Świat, który wynurzył się z odmętów wojennych, w niczym nie przypominał otoczenia znanego z ostatnich lat *belle époque*. Upadły trzy europejskie cesarstwa, a na mapie kontynentu pojawiły się państwa narodowe z Rzeczpospolitą na czele. Kobiety uzyskały prawa, o które walczyły sufrażystki, zmieniły się moda i styl życia.

Na gruncie teozoficznym oznaczało to, że wreszcie może powstać samodzielna polska sekcja stowarzyszenia, a płeć piękna będzie tam odgrywała znaczącą rolę.

Polskie Towarzystwo Teozoficzne

Dynowska zawsze podkreślała wpływ, jaki wywarła na nią lektura tekstów Andrzeja Towiańskiego, a podczas jednego z pobytów w Italii – zafascynowana mistyczną wizją dziejów Polski – zainteresowała się teozofami. Jeszcze w latach pierwszej wojny światowej zaczęła tłumaczyć na Krymie książkę hinduskiego filozofa Jiddu Krishnamurtiego *U stóp mistrza*, która ostatecznie ukazała się nad Wisłą w 1919 roku. Była to zapowiedź powstania niezależnej polskiej sekcji Towarzystwa Teozoficznego. Jeszcze w tym samym roku Dynowska pojechała do Paryża, by osobiście zobaczyć się z hinduskim myślicielem. Spotkanie wywarło na niej ogromne wrażenie i przywiozła do kraju kolejne jego dzieła.

Szybko zgromadziła wokół siebie kilkanaścioro entuzjastów, wśród których znajdowała się również jej matka. Helena została bowiem ostatecznie pozbawiona swojego inflanckiego majątku (odmówiła przyjęcia obywatelstwa łotewskiego) i przeniosła się do Warszawy, a w teoriach teozofów odnalazła odpowiedź na własne rozterki duchowe. Chociaż pozostała katoliczką, burzliwe wydarzenia ostatnich lat, a szczególnie rewolucja i wojna domowa w Rosji, zachwiały jej dotychczasowym światopoglądem. Warto też zauważyć, że w grupie skupionej wokół Dynowskiej dominowały kobiety, czego nie można wytłumaczyć wyłącznie stratami wojennymi i trwającym konfliktem z bolszewikami.

Informowana na bieżąco Annie Besant wystosowała w listopadzie 1919 roku do Warszawy list, w którym z radością witała polskich zwolenników światopoglądu teozoficznego:

„Do braci Polaków! Pozdrowienie wszystkim miłującym Odwieczną Mądrość, którzy wpośród zgiełku świata szukają serca pokoju i wśród jego przemian usiłują odnaleźć przybytek Wiecznego. Jako służebnik Białego Braterstwa naszych Starszych Braci ślę Wam ich wieść pokoju i wszechogarniającej miłości”[254].

Besant nie poprzestała wyłącznie na liście, ale wydelegowała też do Warszawy swoją zaufaną współpracowniczkę, Dorothy Arnold, z zadaniem założenia szkoły ezoterycznej. Placówka miała mieć charakter niejawny i „pozostać w milczeniu” obok działalności głównego nurtu teozoficznego nad Wisłą. Jednak nawet obecność wysłanniczki liderki ruchu niewiele przyczyniłoby się do jego sukcesu, gdyby nie osobowość Dynowskiej.

Wanda zachowywała się jak prawdziwy trybun teozofii lub natchniony kaznodzieja, a jej wystąpienia na spotkaniach z potencjalnymi adeptami ruchu idealnie wpisywały się w panujące wówczas nastroje. Odradzała się bowiem Rzeczpospolita, rozpadły się dotychczasowe struktury państwowe, a kształt kraju i społeczeństwa miał zależeć wyłącznie od samych Polaków. Inna sprawa, że polscy teozofowie prowadzili dość skuteczną propagandę – wysyłali nawet imienne zaproszenia na swoje spotkania do domów osób, które wypożyczały w bibliotekach książki o tematyce ezoterycznej.

Wreszcie w styczniu 1920 roku oficjalnie powstało Polskie Towarzystwo

Teozoficzne, którego sekretarzem głównym (prezesem) została właśnie Dynowska. Statut uchwalono jednak dopiero ponad rok później, a w czerwcu 1921 roku organizacja trafiła do rejestru stowarzyszeń w Polsce. Liczbę jego członków określano wówczas na sto dwadzieścia osób.

Kilka tygodni później w Paryżu odbył się międzynarodowy kongres teozoficzny, na którym pojawili się także polscy przedstawiciele. Było to pierwsze tego typu spotkanie w dziejach ruchu – planowano podsumować dotychczasowe osiągnięcia i wyznaczyć kierunki działania na przyszłość.

„Sprawozdanie z naszej osiemnastomiesięcznej pracy w Polsce – wspominała Dynowska – zostało przyjęte długimi oklaskami z gorącą i serdeczną sympatią. Następnie wielu członków ze wszystkich końców świata zapoznawało się z nami, specjalnie wyrażając zainteresowanie i życzenie serdeczne dla naszej sekcji”[255].

Pod koniec września 1921 roku odbył się w Krakowie pierwszy zjazd Polskiego Towarzystwa Teozoficznego. W tym samym roku wystartował kwartalnik stowarzyszenia, jednak w kolejnych latach nie udało się utrzymać ciągłości wydawniczej i tytuł wychodził bardzo nieregularnie. Na łamach pisma poruszano zagadnienia światopoglądowe, drukowano fragmenty dzieł ideologów ruchu, ale podkreślano również jego wielowyznaniowość. Głoszono bowiem, „że można więc być teozofem, a zarazem dobrym chrześcijaninem, buddystą lub mahometaninem”. Natomiast jeżeli ktoś nie należał do żadnego z tych wyznań, również nie było przeciwwskazań do czynnego uczestnictwa.

Niebawem zlikwidowano zresztą loże – jako zbytnio kojarzące się z masonerią – i zastąpiono je ogniskami. Co ważniejsze, każde z ognisk było inaczej ukierunkowane, chociaż ich działalność mieściła się w głównym nurcie teozoficznym. Nie zmienia to jednak faktu, że członkowie polskiej sekcji znacznie różnili się od swoich braci z zachodniej Europy – zdecydowanie bardziej podkreślali własny patriotyzm i przywiązanie do ideałów narodowych.

O przyjęciu w szeregi Towarzystwa decydowała osobiście Dynowska, która często kierowała się intuicją. Tak właśnie było w przypadku dwudziestoletniego Władysława Bocheńskiego, który zafascynowany filozofią i zagadnieniami życia wewnętrznego przypadkowo trafił na wydawnictwa ezoteryczne. Podczas pobytu u rodziny w Warszawie przeczytał również kilka numerów „Przeglądu Teozoficznego” i niebawem udał się do siedziby Towarzystwa z prośbą o przyjęcie w szeregi organizacji. Jego propozycja wzbudziła jednak konsternację obecnych w biurze dwóch członkiń stowarzyszenia.

„Otrzymałem odpowiedź – wspominał Bocheński – że przecież mnie nie znają, a musi być dwóch członków wprowadzających. (…) Poradziły, abym zwrócił się z moją prośbą do Wandy Dynowskiej (nie znałem wtedy tego nazwiska), która w najbliższych dniach ma wyjechać na leczenie do Włoch. Udałem się zaraz pod wskazany adres i w pokoju, do którego mnie wprowadzono, zastałem młodą, trzydziestokilkuletnią kobietę, o drobnej, niemal dziewczęcej twarzy, ogromnych, pięknych, szarozielonych oczach i promiennym uśmiechu. Po rozmowie, która pozostawiła na mnie głębokie wrażenie, zostałem przyjęty do Towarzystwa”[256].

W ten sposób w szeregi teozofów trafił późniejszy wybitny działacz stowarzyszenia, mason i namiestnik Federacji Polskiej Le Droit Humain.

Pomiędzy masonerią a ezoteryką

Nie można rozpatrywać działalności polskich teozofów w oderwaniu od wolnomularstwa. Przynależność do masonerii była dość popularna wśród polskich elit na przełomie wieków XIX i XX, gdyż nieznane i tajemnicze zawsze przyciągało. Ponadto uważano, że praca nad odbudową ojczyzny powinna się odbywać w ramach tajnej organizacji, a nic nie mogło być lepiej zakonspirowane niż rytuały masońskie. I nie miało znaczenia, że członkowie lóż zachodnioeuropejskich chcieli zmieniać świat drogą pokojową, natomiast polscy masoni szykowali się do walki o wolność. Z tego też powodu w gronie rodzimych wolnomularzy nie mogło zabraknąć bojowników skupionych wokół Józefa Piłsudskiego, chociaż sam Komendant zachowywał dystans wobec masonerii.

Kilka lat przed wybuchem pierwszej wojny światowej doszło nawet do swoistej symbiozy wolnomularzy z piłsudczykami, a już podczas trwania konfliktu polscy masoni podejmowali inicjatywy na rzecz niepodległości zarówno w krajach ententy, jak i na terenie państw centralnych. Po zakończeniu wojny wielu z nich, nie porzucając wolnomularskich fascynacji, płynnie przeszła do budowy państwa polskiego. W tym gronie znalazł się jeden z ulubieńców Piłsudskiego, generał Michał Tokarzewski-Karaszewicz, który swoją przynależność do sekcji wileńskiej Wielkiej Loży Narodowej Polski dzielił z innym wybitnym wojskowym, późniejszym szefem Policji Państwowej, Kordianem Zamorskim.

Niebawem zresztą Tokarzewski uległ fascynacji teozofią i wraz z Dynowską przystąpił do tworzenia polskiej loży mieszanej Le Droit Humain. Oczywiście nie mogło się to odbyć bez aprobaty Piłsudskiego.

„Pytałam – wspominała Dynowska – czy nie będzie miał nic przeciwko temu, by do Wolnomularstwa Zjednoczonego wstępowali wojskowi, co przy członkostwie wówczas pułkownika Tokarzewskiego może być bardzo łatwe. Odpowiedź była: »Będę rad, jeśli moralny i idealistyczny wpływ dosięgnie i oficerów, których poziom nie zawsze odpowiada moim życzeniom«”[257].

Podobno zresztą to właśnie Piłsudski nalegał wcześniej na powołanie samodzielnego Towarzystwa Teozoficznego, gdyż obawiał się angielskich wpływów wśród jego członków. Jako doświadczony konspirator wiedział bowiem, że infiltracja wywiadowcza odbywa się najczęściej poprzez organizacje, które nie mają nic wspólnego z działalnością szpiegowską. Komendant miał na tym punkcie prawdziwą obsesję i starał się ograniczyć do minimum możliwość ich działania wśród polskich elit. Nic zatem dziwnego, że chciał, by na czele polskiej masonerii stanęli ludzie, do których miał zaufanie, czyli Tokarzewski, który służył w Pierwszej Brygadzie, i Dynowska, którą znał od 1905 roku.

Polski odłam Le Droit Humain powstał w 1924 roku, a w jego trzyosobowym komitecie założycielskim byli Dynowska i Tokarzewski. Wkrótce komórkę przekształcono w lożę matkę Orzeł Biały, a przewodniczącą została Wanda – nosiła tytuł „Brata Najczcigodniejszego”. W 1930 roku loża skupiała już około trzystu osób.

Jednocześnie Dynowska wstąpiła do polskiej filii hinduskiego Związku Służebników mającego przygotować przybycie Mistrza Świata. Wprawdzie reguła tego quasi-klasztornego zgromadzenia była bardzo surowa i zakładała rezygnację z

własności osobistej oraz celibat, ale Wanda podjęła decyzję, że polscy służebnicy początkowo będą tylko członkami wspierającymi. Dzięki temu mieli przejść swoisty nowicjat w formie próby i nie zostali zobligowani do przestrzegania pełnej reguły. Liczba adeptów zgromadzenia sięgnęła dwudziestu pięciu osób[258].

Członkowie Związku Służebników mieli odegrać pewną rolę podczas zamachu majowego w 1926 roku. Byli bowiem, podobnie jak Dynowska, zagorzałymi zwolennikami Józefa Piłsudskiego i w chwili przewrotu bez wahania stanęli po jego stronie. Mężczyźni brali bezpośredni udział w walkach, natomiast kobiety pełniły funkcje pomocnicze.

„W majowe wypadki – potwierdzała bliska współpracownica generała Tokarzewskiego, Ewelina Karasiówna – już uprzednio z członków Towarzystwa Teozoficznego utworzona grupa Służebników Polskich stanęła całym sercem przy Komendancie i czynnie mu służyła, spełniając w Warszawie i najbliższej okolicy drobne zadania”[259].

Kościół liberalnokatolicki

Mimo zaangażowania w działalność Polskiego Towarzystwa Teozoficznego i loży Orzeł Biały Dynowska i Tokarzewski prawdopodobnie odczuwali brak zinstytucjonalizowanej religii, której dogmaty byłyby zgodne z ich przekonaniami. Tylko bowiem w ten sposób można wytłumaczyć ideę powołania w Polsce Liberalnego Kościoła Katolickiego, którego doktryna umożliwiała pogodzenie wartości chrześcijańskich (katolickich) z nauką teozofów.

Szczególne znaczenie miało to dla Tokarzewskiego, który był człowiekiem głęboko wierzącym i nie mógł się pogodzić z faktem, że jako mason został pozbawiony praktyk religijnych. Zgodnie bowiem z zaleceniami papiestwa wolnomularze nie mogli uzyskać rozgrzeszenia i nic w tej kwestii nie zmieniało przestrzeganie obowiązków religijnych czy zaangażowanie generała w działalność charytatywną. Dla Kościoła katolickiego pozostawał grzesznikiem skazanym na wieczyste potępienie.

Zamysł pogodzenia teozofii i masonerii z katolicyzmem nie był nowym projektem – narodził się w środowiskach anglikańskich w Wielkiej Brytanii. W latach pierwszej wojny światowej powołano tam bowiem Kościół liberalnokatolicki, który następnie wszedł w skład Unii Kościołów Starokatolickich (podobnie jak Kościół mariawicki). Warto też podkreślić, że dla wiernych należących do unii słowo „katolicki” pozostawało w opozycji do rzymskiej wersji katolicyzmu uznającej supremację Watykanu. Przy okazji starokatolicy odrzucali też dogmaty o Niepokalanym Poczęciu i nieomylności papieża oraz wykluczali ingerencję hierarchii kościelnej w sprawy typowo świeckie.

Natomiast w przypadku liberalnych katolików dochodziły jeszcze bliskie związki z teozofią, tak jak obecność w modlitwach Nauczycieli Świata, wątki ezoteryczne oraz wiara w reinkarnację. Wprowadzono też zwyczaj okadzania chleba i wina dymem z czarki ze wschodnimi wonnościami, chociaż liturgia nie odbiegała specjalnie od rzymskiej. Jednak liberalni katolicy nie uznawali indywidualnej spowiedzi, a Eucharystię mogli otrzymać wszyscy uczestnicy nabożeństwa

niezależnie od przynależności kościelnej. W liturgii używano również języków narodowych zamiast łaciny.

Pierwszych trzech kapłanów polskiego Kościoła liberalnokatolickiego wyświęcono w Warszawie jesienią 1926 roku; był wśród nich także Tokarzewski. Natomiast rok później święcenia przyjął Władysław Bocheński, którego pięć lat wcześniej Dynowska wprowadzała w szeregi teozofów. Duchowni tego wyznania byli zobowiązani do rezygnacji ze spożywania mięsa i alkoholu, ale w zamian zostali zwolnieni z celibatu. Z czasem wprowadzono także kapłaństwo kobiet oraz kościelne rozwody.

Początkowo nabożeństwa odprawiano w warszawskich mieszkaniach Dynowskiej i Henryka Müncha, później rolę kaplicy przejęło mieszkanie hrabiny Kazimiery Broel-Plater przy ulicy Moniuszki (tam też odbywały się spotkania teozofów). Później doszły kolejne dwie kaplice – na Podwalu i przy Mokotowskiej – a w nabożeństwach brało udział kilkadziesiąt osób. W lokalu przy Mokotowskiej obok ołtarza został ustawiony obraz przedstawiający Najświętszą Marię Pannę, Królową Korony Polskiej, co było dowodem na żywy kult maryjny wśród polskich liberalnych katolików. Natomiast w ołtarzu umieszczono portret Chrystusa, jednak przedstawionego w sposób niestandardowy, gdyż w wieku młodzieńczym i bez brody.

Trudno jednoznacznie ocenić liczbę wiernych tego wyznania w naszym kraju. Tym bardziej że część osób uczestniczących w obrzędach oficjalnie nie zrywała swoich związków z rzymskim katolicyzmem – być może było to powodem, że nowy Kościół nigdy nie został oficjalnie zalegalizowany w Drugiej Rzeczypospolitej. Nie przeszkadzało to wcale Tokarzewskiemu, który we wszystkich ankietach podawał swoją nową przynależność wyznaniową. Przy okazji wprowadzał tym w osłupienie przełożonych i kolegów z armii.

Gdy generał przebywał w Warszawie, zawsze osobiście sprawował nabożeństwo, co było dla niego „wielkim przeżyciem”. Napisał też modlitwę, którą wierni intonowali na początku uroczystości:

„Do Ciebie, Duchu Dziejów państwowości polskiej, i do Ciebie, narodu polskiego Królu Duchu, zwracamy się. Chcemy, by naród nasz urastał i doskonalił się w słowo Prawdy o Was i w czynie urzeczywistniania Waszej Prawdy o Polsce, naszej Rzeczypospolitej. Potęgą swej Mocy usilcie nas na służbę Wam, kierujcie nami Mądrości Waszej światłem i niech promieniuje poprzez nas na Polskę całą Światło Waszej nieustającej, wszechogarniającej Miłości. Wszystkiemu pokój, entuzjazm współtworzenia w służbie narodów zbratania. Amen. Amen. Amen”[260].

Podobno Duch Dziejów państwowości polskiej miał być obecny na Wawelu, a Król Duch narodu polskiego – przy Czarnym Stawie nad Morskim Okiem[261].

Generał teozof z bliska

Tokarzewski był bohaterem jednej z najbardziej błyskotliwych karier w polskiej armii. Legionista, dowódca pułku podczas pierwszej wojny światowej, został pułkownikiem w wieku dwudziestu ośmiu lat. Dowodził odsieczą Lwowa w listopadzie 1918 roku, która zadecydowała o utrzymaniu miasta, a generalskie szlify

osiągnął, mając zaledwie trzydzieści dwa lata.

„Inteligentny, wykształcony, przystojny, zgrabny, wysmukły – opisywał Tokarzewskiego jego przełożony, generał Leon Berbecki – robił na wszystkich dobre wrażenie. Był szczerym idealistą, pracowicie i usilnie szukał »absolutnej prawdy«”[262].

Karaszewicz był mężczyzną o urodzie amanta filmowego i podobno w garnizonach, w których służył, stanowił poważny problem dla oficerów mających urodziwe żony. Elokwentny i bardzo przystojny cieszył się tak wielkim powodzeniem wśród kobiet, że „baby leciały na niego jak szafy na trzech nogach”[263].

Dziennikarz Wiesław Wohnout wspominał, że w latach 20. był świadkiem pożegnania Tokarzewskiego na dworcu w Poznaniu. Otaczało go grono wielbicielek, generał miał „stać na stopniach wagonu, a te wszystkie baby obcałowywały go po rękach!”[264].

Inna sprawa, że nawet dla przypadkowych obserwatorów Karaszewicz w niczym nie przypominał tradycyjnego generała polskiej armii. Wyróżniał go nie tylko wiek, lecz także niekonwencjonalne zachowanie.

„Często w rodzinne strony zaglądał generał Tokarzewski – wspominał syn właściciela uzdrowiska w Truskawcu, Stanisław Bogusz – szczególnie w okresie dowodzenia Korpusem we Lwowie w latach 1936–1938. (…) Bardzo mnie dziwił widok generała biegającego w krótkich spodenkach na partię tenisa w towarzystwie młodych pań. To mi jakoś nie pasowało w porównaniu z dystyngowanymi, zapiętymi pod szyję generałami Sosnkowskim i Fabrycym”[265].

Trudno się zatem dziwić, że małżeństwo ulubieńca płci pięknej rozpadło się w latach 20., i generał pozostawał z żoną w separacji. Antonina Tokarzewska uważała bowiem teozoficzne fascynacje męża za „szkodliwe dziwactwo”, chociaż prawda była znacznie bardziej prozaiczna: generał nie ograniczał swoich znajomości z paniami z kręgów masońskich i teozoficznych wyłącznie do spraw duchowych…

Po latach pani generałowa przyznawała, że podstawowym problemem ich związku była „rozwiązłość erotyczna jej męża”. Zarzucała mu nawet, że „robił wszystko”, by ją i córkę „w tej kloace, w której się obracał całym swoim jestestwem – z wielkimi hasłami na ustach – utopić”[266].

Faktycznie, Tokarzewski, studiując filozofię Wschodu, doszedł do wniosku, że wierność małżeńska nie jest najważniejszą cnotą, a znacznie większą wagę posiada rytuał zbliżenia obu płci. Uznał to za aprobatę filozoficzną dla swoich upodobań seksualnych i realizował je w praktyce. Nie miał z tym żadnego problemu, bowiem faktycznie w nieprawdopodobny wręcz sposób oddziaływał na swoje partnerki. Chociaż każda z nich wiedziała, że dzieli go z innymi kochankami, w pełni to jednak akceptowały, a jedyną, która nie zgadzała się na takie rozwiązanie, była właśnie małżonka generała. Jak godził to w swoim sumieniu z obowiązkami kapłana Kościoła liberalnokatolickiego, pozostawało jego tajemnicą.

Azyl w Mężeninie

Latem 1924 roku Dynowska wpadła na pomysł założenia szkoły wakacyjnej, gdzie mogliby spędzać urlopy zarówno członkowie Towarzystwa, jak i ich znajomi. Jak

zwykle w przypadku pani Wandy od pomysłu do realizacji nie upłynęło wiele czasu i szybko znaleziono odpowiednią lokalizację – dwór w Mężeninie nad Bugiem należący do sympatyzującej z ruchem Kazimiery Broel-Plater.

W posiadłości brakowało wszelkich udogodnień cywilizacyjnych. Budynek nie był nawet zelektryfikowany, goście docierali tam tylko konno lub bryczką, gdyż leżał w znacznej odległości od linii kolejowej. Gwarantowało to jednak spokój i możliwość rozwoju duchowego, o co zadbali sami organizatorzy, wprowadzając dość rygorystyczne porządki.

„Anda Bargiełowska gotuje z pomocą dyżurnych – wspominała jedna z uczestniczek pierwszego turnusu. – Jest już regulamin, milczenie do chwili gongu na śniadanie i od chwili wieczornego skupienia. Mieszkamy w dużej sali, osiemnaście czy mniej sienników rozłożono na podłodze i na nich śpimy. Milczenie poranne krępuje nas trochę w ciągu paru dni, a potem daje cudne uczucie bezpieczeństwa płynące z pewności, że nikt nas nie zagadnie i że w dużej gromadzie możemy cieszyć się samotnością”[267].

Pierwsze lato spędzało w Mężeninie osiemnaście osób, ale projekt szybko nabierał rozmachu. Liczba krajowych sympatyków teozofii rosła, a poza tym prawdziwym strzałem w dziesiątkę okazała się organizacja kolonii letnich dla dzieci. W tej sytuacji Dynowska zaprosiła do współpracy Janusza Korczaka (członka loży Le Droit Humain), co również okazało się znakomitym posunięciem. Liczba dzieci przebywających latem w Mężeninie sięgnęła kilkudziesięciu, także dorośli z coraz większym zapałem odwiedzali dwór.

W tej sytuacji problemem stało się znalezienie miejsca w pałacu dla wszystkich chętnych i z tego powodu część gości wybierała nocleg pod gołym niebem. Jednak ze względu na kapryśną pogodę kończyło się to czasem w mało przyjemnych okolicznościach. Znaleziono zatem rozwiązanie, które okazało się remedium na problemy lokalowe.

„Już w 1925 roku – wspominał Władysław Bocheński – zaczęliśmy stawiać maleńkie jednoosobowe chatki z topornie skleconych żerdzi z pryczami. Chatki te to cztery wkopane w ziemię grube żerdzie i bardzo prosta konstrukcja dachu pokrytego słomą. Trzy »ściany« były zrobione z przeplecionych gałęzi, a czwartą, wejściową, zawieszano kocem. Z czasem cztery ściany wykonywano ze słomy, a w dwóch wstawiano drzwi i okno. (…) Z myciem i kąpielą nie było kłopotów, gdyż Bug oddalony był od dworu jakieś 500 metrów, umożliwiał je ludziom młodym – a członkowie Towarzystwa byli przeważnie młodzi”[268].

Czas letników został dokładnie zaplanowany. Pobudka następowała o szóstej rano, potem toaleta (najczęściej w rzece), rytmika oddechowa systemem Burtoa (koordynowanie ruchu z oddechem), po czym indywidualna medytacja. Dwie godziny po pobudce – śniadanie, którego pory ściśle przestrzegano, a później wykłady i dyskusje. Krótki czas wolny przed obiadem wypełniały najczęściej kąpiele w rzece i plażowanie. Następnie uczestnicy znów mieli czas do swojej dyspozycji, który najczęściej wykorzystywali na zajęcia sportowe. Po kolacji odbywały się spotkania towarzyskie zakończone ogniskiem. Wtedy też chętnie śpiewano, ale zdarzały się również wieczory, gdy uczestnicy siedzieli przy ogniu w milczeniu. Cisza nocna obowiązywała od godziny dwudziestej drugiej.

„Mężenin – relacjonował jeden z uczestników kolonii dla dzieci – (…) jak owad w bursztynie tkwił w XIX wieku. Słomiane strzechy, studzienne żurawie, brak przejezdnych dróg. Nie dotarły tu żadne telefony i aparaty radiowe ani gwizd kolei parowej. Nie dostrzegałem nawet takich wynalazków, jak tara i wyżymaczka do prania. (…) Ten swoisty powrót do odległej przeszłości, spokój, piękno otaczającej przyrody mogły stanowić dobre tło dla twórczości literackiej i umysłowej”[269].

W Mężeninie obowiązywał jadłospis jarski oparty głównie na jarzynach, miodzie, mleku, jajkach i różnego rodzaju surówkach. Dla niektórych takie wyrzeczenie stanowiło poważny problem, zatem zamawiali we wsi pieczone kurczaki. Oficjalnie jedzenie mięsa nie było zakazane, ale podobne zachowanie traktowano jednak „jako pewnego rodzaju sprzeniewierzenie się miejscowym obyczajom”. Dlatego też wielbiciele drobiu spożywali swoją zdobycz w ukryciu, poza terenem dworu. Nawet jednak wówczas zdarzały się przypadki kontestacji.

„Kiedy przyjechałam z koleżanką zaraz po maturze – wspominała Aniela Uziembło – (…) sprowadzonego ze wsi kurczaka uczciłyśmy należycie, sfotografowałyśmy i odtańczyłyśmy wokół talerza dziki taniec. Naturalnie tak, by nikt wokół nie widział i nie słyszał”[270].

Specyficznego kolorytu dodawał Pan Doktor, czyli Janusz Korczak. Był znacznie starszy od innych letników, zawsze zajmował dwa pokoje na piętrze dworu, a do tego ubierał się w charakterystyczny sposób – mimo lata zawsze nosił czarną odzież „z lichego materiału i szytą chyba przez lichego krawca”, a pod nią zakładał ciepły podkoszulek i kalesony. Nie narzekał na brak zainteresowania ze strony młodzieży, organizował pogadanki i czytał fragmenty swoich nowych utworów. Miało to specyficzną oprawę, która wywierała na słuchaczach niezapomniane wrażenie.

„Pisał w popularnych wtedy czarnych ceratowych brulionach w kratkę fioletowym atramentem – relacjonował Janusz Brzozowski. – Na każdej stronie zostawiał mały ołówkowy margines, na którym nanosił, również ołówkiem, nasze uwagi.

Janusz Korczak jakoś promieniował. Siadał na trawie, obejmował rękoma kolana i mówił. Jako lekarz nie udzielał się. Od leczenia byli inni goście”[271].

Często wybierał się z dziećmi na spacery, pokazując im Bug i okoliczne rozlewiska. Zwracał uwagę na piękno przyrody i nie potrafił pojąć, że są ludzie, którzy wolą polować na ptactwo, zamiast je podziwiać. Powtarzał przy tym, że tego rodzaju ludzie nie są myśliwymi, tylko zabójcami.

Niektórzy do Mężenina przyjeżdżali tylko raz, po czym znudzeni panującą tam atmosferą więcej się nie pokazywali. Częściej zdarzały się jednak regularne powroty, a niektórzy poznawali tam nawet swoich przyszłych małżonków. Natomiast w niedziele dwór odwiedzali okoliczni letnicy z powodów religijnych.

„Na nabożeństwa Kościoła liberalnokatolickiego – kontynuowała Uziembło – chodziło bardzo wielu wczasowiczów. Część z nich była wyznawcami tego zgromadzenia, część katolików rzymskich uważała, że do kościoła daleko, lepiej więc pójść na mszę tu, niż w ogóle nie iść”[272].

Kaplica miała charakter prowizoryczny, co jednak nikomu nie przeszkadzało. Nabożeństwa odprawiano po polsku, a wszyscy szybko przyzwyczaili się do faktu, że kapłan chodził po cywilnemu i miał żonę oraz dzieci.

W gronie osób odwiedzających Mężenin była też Wanda Wasilewska, matka

późniejszej ulubienicy Stalina. Nad Bugiem pojawiała się jako teozofka i bliska znajoma generała Tokarzewskiego – jej obecność tam była zatem naturalna. Bardziej natomiast dziwił fakt, że pod koniec lat 30. pojawiała się w Mężeninie także jej córka, która właśnie tam pisała *Ziemię w jarzmie*. Wprawdzie niektórzy badacze utrzymywali, że Wasilewska nie miewała kontaktów z bywalcami dworu, ale zachowały się wspomnienia jednoznacznie potwierdzające, iż drugi mąż towarzyszki Wandy, Marian Bogatko, bawił się z dziećmi z kolonii nad Bugiem. Zbudował dla nich nawet trampolinę, z której wraz z młodzieżą skakał do rzeki.

Wasilewską odwiedzał też w Mężeninie Włodzimierz Sokorski, który tradycyjnie musiał wysłuchać reprymendy na temat swojego niemoralnego życia. Jego żona przebywała wówczas na kursie bibliotekarskim w Wilnie, zatem pod bokiem Wasilewskiej uwiódł jej przyjaciółkę, Janinę Zawistowską.

„W atmosferze lasów – wspominał po latach – wody, jarskiej kuchni, drzemiących namiotów ponownie zaczęliśmy się z Jaśką kochać. Miłość była gwałtowna, nie na miarę dotychczasowych zbliżeń. Jaśka po urodzeniu dziecka rozkwitła, stała się bardziej dojrzała. Chwilami wydawało mi się, że kocham ją do tego stopnia, iż byłbym gotów rozwieść się z Maryną”[273].

Partnerka okazała się jednak bardziej rozsądna i potraktowała ich romans wyłącznie jako wakacyjną przygodę. Uznała, że nie ma powodu, by rozbijać dwa małżeństwa, stwierdziła, że „miesiąc wystarczy”, a później czasami też mogą się spotkać – nie było zatem konieczności dalszego komplikowania sobie życia.

Wszystko to z niechęcią obserwowała Wasilewska. Wprawdzie Zawistowska tłumaczyła jej, że w każdym „dobrym małżeństwie potrzebne są chwile wytchnienia”, a „lenistwo męża winno być ukarane”, to jednak pozamałżeński seks był dla towarzyszki Wandy trudny do zaakceptowania. Całą sprawę miała zapamiętać na długo…

Inna sprawa, że z upływem lat wokół Mężenina narastała atmosfera niedomówień z podtekstami seksualnymi. Bez wątpienia pewien wpływ miały opinie, jakie krążyły na temat Tokarzewskiego, a także fakt, że wszyscy letnicy (poza Korczakiem) nosili bardzo swobodne stroje jak na obyczaje epoki. Mężczyźni „często chodzili tylko w szortach”, chociaż do posiłków zakładali koszule, natomiast panie preferowały „stroje gimnastyczne, szlafroczki, piżamy”.

Nic zatem dziwnego, że endecka prasa pisała o Mężeninie jako kolonii nudystów. Zresztą nie to było najważniejszym zarzutem – w ośrodku przeważały bowiem samotne kobiety, a mężczyźni byli w mniejszości, co wywoływało permanentny stan napięcia erotycznego. Do tego dwa pokoje na piętrze zajmował idol wszystkich pań, generał Tokarzewski, który – mimo swojego kapłańskiego stanu – nigdy nie pozbył się wrażliwości na płeć piękną.

Nic zatem dziwnego, że w krzywym zwierciadle przedstawił Mężenin Tadeusz Dołęga-Mostowicz. Tym bardziej że wiele osób patrzyło na teozofów z przymrużeniem oka, uważając ich obrzędy za zabawę dla znudzonych osób z wyższych sfer. Nie wiedziano zbyt wiele o ich praktykach, zatem padły podejrzenia, że cykliczne spotkania członków Polskiego Towarzystwa Teozoficznego w Mężeninie stanowią jedynie przykrywkę dla orgii seksualno-narkotykowych.

W efekcie opis obrzędów Loży Gwiazdy Trzypromiennej w *Karierze Nikodema*

Dyzmy odbierano jako relację z obrzędów teozofów. Czy pisarz uważał Tokarzewskiego za „wielkiego trzynastego”? Niewykluczone, chociaż pozostaje to kwestią otwartą. Inna sprawa, że autor sugerował udział sił nadprzyrodzonych, a wszystko to wzbogacił elementami orientalnymi (rytualne okadzanie kadzidłami) oraz spożywaniem wina z dodatkiem modnego wówczas peyotlu [narkotyk pozyskiwany z niektórych gatunków kaktusa – red.].

„Stojąca obok panna Czarska usiadła na poręczy fotela i musnąwszy ustami ucho Nikodema, powiedziała rozmarzonym głosem:

– Boska trucizna peyotlu, boska… Czy czujesz war w żyłach, mój panie?… Prawda? I taki cudny śpiew, i takie kolorowe… Prawda?

– Prawda – stwierdził i wychylił kieliszek do dna. Czuł, że dzieje się z nim coś niezwykłego. Opanowała go nagła radość, wszystko stało się piękne, barwne, nawet przysadkowata panna Stella była powabna i kusząca.

Zresztą nastrój wszystkich zmienił się nie do poznania. Otoczyły Nikodema roześmianą grupą, napełniły pokój gwarem wesołych okrzyków, melodiami frywolnych piosenek.

Jedna z rozmachem trzasnęła kieliszkiem o ścianę i zawoławszy: – *Evoe*! – Jednym ruchem zrzuciła z siebie szlafrok. Zaczęła tańczyć.

– Brawo! Brawo! – zawołały inne.

Po chwili dywan pokrył się białymi plamami jedwabiu… Do wciąż napełnianych kieliszków z małego flakonu spływały jasnozielone krople czarodziejskiego płynu.

Przez kogoś potrącony wywrócił się świecznik i pokój zaległa ciemność, parna, krwista ciemność, pełna namiętnych szeptów i spazmatycznego, oszalałego śmiechu”[274].

Dołęga-Mostowicz jako powieściopisarz miał prawo do dowolnego przekształcania usłyszanych plotek i trudno mu się dziwić, skoro w niesprawdzone pogłoski wierzyli znacznie poważniejsi publicyści. Na przykład Stanisław Cat-Mackiewicz twierdził, że Tokarzewski był biskupem teozofów i organizował mocno podejrzane spotkania ze swoimi wielbicielkami, natomiast Bolesław Limanowski – że w tych latach Dynowska zaczęła wierzyć w „Boga widzialnego lub niewidzialnego”.

Dwór w Mężeninie początkowo był wynajmowany, a w 1925 roku Towarzystwo Teozoficzne odkupiło część dawnego folwarku na własne potrzeby. Powstała wtedy Spółdzielnia Uroczyska Mężenin, która pozostała w rękach teozofów aż do 1949 roku. Jednak Tokarzewskiego ani Dynowskiej od lat nie było już wówczas w Polsce.

Pożegnanie z krajem

Wprawdzie Wanda oficjalnie przystąpiła do nowego Kościoła i podawała się za liberalną katoliczkę, ale w rzeczywistości uważała się za osobę bezwyznaniową. Jej fascynacja kulturą i filozofią Indii zaszła tak daleko, że nie potrafiła tego pogodzić w obrębie doktryny chrześcijańskiej. Wreszcie uznała, że wyjazd na dłuższy czas nad Ganges stał się koniecznością, tym bardziej że sytuacja polityczna w Polsce nie napawała optymizmem. Zmarł marszałek Piłsudski, a jego następcy rozpoczęli walkę o władzę. W tej sytuacji jesienią 1935 roku Dynowska wyruszyła do Indii – planowała tam pozostać przez kilka miesięcy, ale los zadecydował inaczej.

Pani Wanda miała chyba pewne przeczucia, gdyż żegnała się z Polską w sposób dość szczególny. Najpierw odwiedziła Wawel z grobem Piłsudskiego, weszła na kopiec Kościuszki, po czym ruszyła w Tatry. Nie zachowały się informacje, gdzie konkretnie przebywała, ale bardzo prawdopodobne, że trafiła nad Czarny Staw – do miejsca, gdzie miał przebywać Król-Duch narodu polskiego. Potem wyjechała do Adyaru na kongres teozoficzny, ale po przybyciu do aśramy (szkoła) Ramany Maharishiego uznała, że musi pozostać w Indiach dłużej.

„Nieraz w przeciągu tych lat – wspominała – chciałam powrócić do Polski, a przecie wciąż coś mnie silnie zatrzymywało… Dziś wiem, dlaczego zostałam. Biblioteka Polsko-Indyjska musiała się urodzić. 35 książek dla Polski musiało być wydanych, a w Polsce nigdy by mi się nie udało tego dokonać. Ale wówczas jeszcze o tym nie wiedziałam, był tylko wewnętrzny nakaz – zostać!”[275].

Biblioteka Polsko-Indyjska stanowiła jednak dopiero melodię odległej przyszłości, a Dynowska nie koncentrowała się wyłącznie na medytacjach i rozwoju duchowym. Jako Polka, której ojczyzna niedawno odzyskała niepodległość, szybko zorientowała się, że Hindusi także walczą o wolność. Być może wobec Anglików nie stosowali przemocy, ale pod wodzą Mahatmy Gandhiego preferowali bierny opór i strategię małych kroków.

Dynowska poznała Gandhiego i szybko znalazła z nim wspólny język. Odwiedzała go w Maganwadi-Wardha, gdzie polityk głównie przebywał, i włączyła się w ruch na rzecz niepodległości Indii. Chcąc poznać kraj, dużo podróżowała i zawsze wybierała wagony trzeciej klasy, gdyż uznała, że tylko w ten sposób będzie mogła wyrobić sobie właściwą opinię o Indiach i ich mieszkańcach. Brała udział w dziesiątkach spotkań z ludnością, przemawiała na odczytach miejscowych literatów. Wreszcie doszło do tego, że Gandhi uznał ją za „jedną z nas”, czyli Hinduskę walczącą o niepodległość kraju. Nadał jej też nowe imię: Umadevi (Świetlista Dusza), co symbolizowało zaliczenie Dynowskiej w poczet jego bliskich współpracowników.

Wanda zaczęła pisać wiersze o Indiach i problemach ich mieszkańców – zarówno duchowych, jak i bardziej przyziemnych. Coraz głębiej wnikała w hinduizm, praktykowała jogę i poznała wybitnych jej przedstawicieli. Zaprzyjaźniła się też z Maurycym Frydmanem, polskim Żydem osiadłym w Indiach i zafascynowanym tamtejszą kulturą. To właśnie Frydman, mieszkając w aśramie Gandhiego, tak udoskonalił słynny kołowrotek, że stał się on podstawą do walki Hindusów z angielskim monopolem na tkaniny. Symbol kołowrotka trafił zresztą na flagę Indyjskiego Kongresu Narodowego.

Dynowska była już całkowicie zaangażowana w sprawy swojej nowej ojczyzny, gdy z Europy dotarły informacje o niemieckiej agresji na Polskę. W tej sytuacji uznała, że musi natychmiast powrócić nad Wisłę, i faktycznie wyjechała do Europy. Nie na długo jednak.

Teozof konspirator

Tymczasem Tokarzewski wspinał się po szczeblach kariery wojskowej, w czym nie przeszkadzało jego zaangażowanie w masonerię ani Kościół liberalnokatolicki. Pod tym względem był wyjątkiem wśród elity piłsudczykowskiej, gdyż Marszałek po

przewrocie majowym polecił oficerom wystąpić z masonerii, a samym lożom „dać się uśpić”, uważając, że Polacy „są już dość silni, by nie podlegać obcym wpływom”. Tymczasem Tokarzewski nie wykonał polecenia – i wcale nie zaszkodziło to jego karierze. W 1937 roku otrzymał nawet najwyższe wtajemniczenie obrządku szkockiego, zaś nieco wcześniej został dowódcą Okręgu Korpusu we Lwowie, a potem w Toruniu. Na tym stanowisku zastał go wybuch wojny.

Podczas walk we wrześniu dowodził grupą operacyjną i brał udział w bitwie nad Bzurą. Następnie przedarł się do Warszawy i tuż przed kapitulacją miasta otrzymał nominację na szefa tworzącej się właśnie konspiracji. Do stolicy dotarł bowiem wysłannik marszałka Śmigłego-Rydza, przekazując rozkaz, że na czele podziemia stanął najwyższy stopniem oficer pochodzący z Legionów, który przebywa w stolicy. Chodziło właśnie o Karaszewicza.

Inna sprawa, że od razu został zdekonspirowany, gdyż dowódca Armii Warszawa, generał Juliusz Rómmel, wskazując Tokarzewskiego na dowódcę powstającej Służby Zwycięstwu Polsce, zachował się w sposób urągający wszelkim zasadom konspiracji – zrobił to przy swoim sztabie. Co więcej, gdy w szerszym gronie rozważano sprawę dalszych losów stołecznych oficerów, otwarcie mówił, że mogą się oddać do niewoli albo „meldować się u generała Tokarzewskiego”.

Inna sprawa, że „Torwid” (taki pseudonim przybrał Karaszewicz) nie był w stolicy osobą anonimową, chociaż bowiem od dawna nie pełnił tam funkcji wojskowych, to jego zdjęcie portretowe przez kilka lat wisiało na wystawie jednego z zakładów fotograficznych w centrum miasta. Ponadto doskonale znali go dostawcy i rzemieślnicy pracujący na potrzeby korpusu oficerskiego. Gdy zatem wysłał jednego z oficerów do znanego zakładu szewskiego z zamówieniem na nowe buty, szybko doszło do kolejnej dekonspiracji. Szewc wprawdzie nie znał osobiście wysłannika, ale zamówienie wydało mu się całkiem znajome.

„Podał mistrzowi wymiary – wspominał kapitan Emil Kumor – no i przedwojenne wymagania: u góry paski, obcisłe, podbicie wysokie itp. Gdy skończył wyliczać, znany wśród oficerów polskiej armii mistrz szewski, nic nie mówiąc, otworzył swą alfabetyczną książkę zamówień pod literą T i zapytał: »To generał Tokarzewski nie poszedł do niewoli?«”[276].

„Torwid” chciał oprzeć swoją działalność na zawodowych oficerach, okazało się jednak, że większość z nich wolała obóz jeniecki czy powrót do domu niż służbę w podziemiu. Oficerowie nie wyobrażali sobie bowiem dalszej walki bez munduru i kolejno odmawiali współpracy.

„Jak diabeł święconej wody bali się konspiracji – narzekał Tokarzewski. – (…) Każdego człowieka, który chciał pracować i miał trochę odwagi cywilnej, aby to robić, nie siedząc w mieszkaniu i nie wysuwając nosa poza drzwi – ceniliśmy na wagę złota”[277].

W pierwszych dniach dochodziło też do absurdalnych sytuacji, gdy zaprzysiężeni już oficerowie zmieniali zdanie i szli do niewoli, po czym z niej uciekali, by na nowo przyłączyć się do Tokarzewskiego. Być może jednak podobny zamęt przynależy do początków działalności każdej konspiracji…

Większe sukcesy generał osiągnął wśród zaufanych przedstawicielek płci pięknej. Bez większych zastrzeżeń składały przysięgę jego bliższe i dalsze znajome z kręgów

masońskich i teozoficznych. Zajmowały też ważne stanowiska: Janina Karasiówna została kierowniczką biura, natomiast Halina Krzyżanowska skarbniczką organizacji. I tak miało pozostać do końca: Służba Zwycięstwu Polsce była jedyną wojskową organizacją podziemną, w której kobiety odgrywały tak znaczącą rolę. Inna sprawa, że były to panie dobrze znające Tokarzewskiego, a generał zawsze przecież cenił i szanował płeć piękną.

Z perspektywy późniejszych lat konspiracja spod znaku SZP czasami wyglądała na zupełną amatorszczyznę. Podczas okupacji popełniano wręcz nieprawdopodobne błędy, nie stosowano odpowiednich zabezpieczeń – aż dziwne, że cały sztab nie został aresztowany już w październiku 1939 roku. Jedynym wyjaśnieniem takiego stanu może być fakt, że hitlerowcy dopiero uczyli się zwalczania polskiego podziemia. Zapewne gdyby Tokarzewski i jego współpracownicy działali pod okupacją sowiecką, po kilku dniach w komplecie trafiliby do kazamat NKWD.

Tym bardziej że generał i jego sztab gremialnie nie przestrzegali elementarnych zasad bezpieczeństwa. Wprawdzie dostali dokumenty na fikcyjne nazwiska (generał nazywał się Michał Karacz) i zamieszkali pod nowymi adresami, jednak często zachowywali się jak harcerze na podchodach.

„Sztabowy lokal generała Tokarzewskiego – narzekał były wojewoda wołyński i łódzki, Henryk Józewski – było to najdoskonalsze i najbardziej irytujące zaprzeczenie konspiracji. (…) Robił wrażenie gwarnego, rozgadanego biura. W poszczególnych pokojach odbywały się rozmowy i konferencje. Przewalały się gromady interesantów”[278].

Inne wspomnienia również potwierdzają relację Józewskiego – faktycznie, na budynku brakowało tylko tabliczki informującej, że właśnie tutaj mieści się sztab SZP. Najwyraźniej zbyt dosłownie przekładano doświadczenia konspiracji z okresu pierwszej wojny światowej na czasy o dwadzieścia lat późniejsze.

Tokarzewski sprawiał jednak wrażenie człowieka kompletnie odpornego na wszelkie sugestie. Gdy pewnego dnia pojawił się w domu jednej ze swoich współpracowniczek, korzystając ze spóźnienia gospodyni, wdał się w rozmowę z jej córką. Dziewczyna niedawno zrobiła maturę, zatem „Torwid” wypytywał ją o sprawy szkolne. Przyznał się, że jego córka chodziła do tego samego liceum co rozmówczyni, a potem dodał, że też kończyła tę samą pensję. Nic zatem dziwnego, że gdy wreszcie pojawiła się matka, dziewczyna powiedziała jej w drzwiach, iż czeka na nią „ojciec Irki Tokarzewskiej”…

„W pierwszych tygodniach okupacji – wspominał wiceprezydent Warszawy, Henryk Pawłowicz – generał często odwiedzał mnie w ratuszu. Pewnego dnia wchodzi do mnie zastępująca w tym dniu moją sekretarkę pani Alina Godlewska, eks-żona oficera ze stacjonującego we Lwowie 14 Pułku Ułanów, i z szelmowskim uśmiechem na ustach mówi: »Przyszedł generał Tokarzewski i kazał powiedzieć, że chce z panem mówić Michał Karacz!«”[279].

W listopadzie Tokarzewski przeniósł się do majątku Haliny Królikowskiej w Olszynach koło Wiązowny pod Warszawą. Czuł się tam dobrze, tym bardziej że z właścicielką dworku połączył go romans. Było to chyba coś więcej niż tylko przelotna przygoda, bowiem nawet po latach wypowiadali się na swój temat bardzo ciepło.

Chociaż niektóre z jego kochanek trafiły do SZP, trudno jednak określić, czy generał wciąż utrzymywał z nimi stosunki intymne. Wojna i okupacja raczej nie sprzyjały prowadzeniu bujnego życia prywatnego czy spotkaniom o tematyce teozoficznej, poza tym Tokarzewski naprawdę był wówczas człowiekiem bardzo zajętym. Dlatego idealnym rozwiązaniem okazał się romans z Królikowską, która także pozostawała w separacji z mężem. Generał mieszkał u niej przez dwa miesiące, niemal do chwili opuszczenia Warszawy.

Związek ten okazał się ważny z jeszcze jednego powodu: kochanka generała była bowiem cioteczną siostrą jego zastępcy, pułkownika Stefana Roweckiego (późniejszego „Grota"). Cała sprawa zbliżyła do siebie obu mężczyzn, spędzili nawet wspólnie święta Bożego Narodzenia. Zajmowali się wówczas publicystyką polityczną: „Torwid" pisał broszurę *Co na dzisiaj*, a Rowecki kończył pracę *Czy wrzesień 1939 roku okrył niesławą naród polski?*

Ofiara własnej lojalności

O losach Służby Zwycięstwu Polsce zadecydował przypadek, a właściwie zamiłowanie Tokarzewskiego do porządku i legalności. W pierwszych dniach października zredagował i wysłał swój pierwszy meldunek do Naczelnego Wodza. Nie mając żadnej informacji o zmianie na tym stanowisku, zaadresował go do Śmigłego-Rydza, a raport zabrał ze sobą jeden z dyplomatów węgierskich wyjeżdżających z Warszawy. „Torwid" postąpił jak najbardziej słusznie – marszałek, mimo internowania w Rumunii, wciąż był najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych. Zmiana nastąpiła dopiero miesiąc później, Władysław Sikorski objął to stanowisko 7 listopada 1939 roku, ponad miesiąc po nominacji na premiera.

Śmigły też zachował się logicznie: gdy dotarły do niego informacje o objęciu przez Sikorskiego jego funkcji, odesłał mu raport. Wszystko zatem odbyło się zgodnie z procedurami, ale w rzeczywistości oznaczało to poważne kłopoty dla Tokarzewskiego. Sikorski już wcześniej uważał go bowiem za człowieka Śmigłego, a sprawa z raportem tylko utwierdziła go w tym przekonaniu.

Faktycznie Tokarzewski był zagorzałym piłsudczykiem, ale niełatwo odwołać dowódcę konspiracji działającego o tysiące kilometrów od siedziby rządu. Zdecydowano się zatem na wybieg, by pod pozorem zreformowania konspiracji odsunąć Tokarzewskiego od wpływów. Przy okazji zaplanowano skłócenie ze sobą „Torwida" i „Grota", oferując temu drugiemu znaczny awans funkcyjny.

Sikorski działał szybko – sześć dni po nominacji na Naczelnego Wodza na miejsce SZP powołał Związek Walki Zbrojnej. Na jego czele stanął generał Kazimierz Sosnkowski, który dowodziłby konspiracją z terenu Francji (!). Kraj podzielono na sześć równorzędnych obszarów, wyznaczając ich dowódców. Najważniejszym obszarem, warszawskim, miał dowodzić Rowecki, natomiast dla Tokarzewskiego przeznaczono Lwów. Rowecki koordynowałby całą działalność na terenie okupacji niemieckiej, zaś Tokarzewski – na ziemiach okupowanych przez Sowietów.

Był tylko jeden problem: wysłanie „Torwida" do Lwowa oznaczało dla niego wyrok śmierci. Jego twarz „znał tam każdy ulicznik" i po przyjeździe nad Pełtew zostałby natychmiast zdekonspirowany. Dla Sikorskiego i Sosnkowskiego nie

stanowiło to problemu – trwała przecież wojna, podwładni mieli wykonywać rozkazy, a nie zajmować się osobistym bezpieczeństwem…

Emisariusz z Zachodu, porucznik Jerzy Szymański („Konarski”), dotarł do Warszawy w grudniu 1939 roku. Przez pewien czas obserwował sytuację w mieście, wreszcie w sylwestra zaczął działać. Nie zdecydował się jednak na rozmowę z Tokarzewskim, lecz od razu spotkał się z Roweckim.

Pułkownik okazał się lojalnym oficerem i nie wierząc własnym uszom, kazał sobie dwukrotnie powtórzyć treść instrukcji. Gdy natomiast usłyszał, że jego szef jest poplecznikiem sanacji, żachnął się i zapytał: „Czy to w Paryżu odgrywa decydującą rolę?”. Nie mógł też uwierzyć, że jednym rozkazem wydanym z dalekiej Francji przekreślono trzymiesięczną działalność SZP, by na jej gruzach stworzyć zupełnie nową organizację.

„Rowecki wyszedł z rozmowy z kurierem zmieszany i wstrząśnięty (…) – wspominała Janina Karasiówna. – W kilku słowach zorientował mnie w sytuacji, polecił natychmiast przystąpić wraz z »Konarskim« do rozszyfrowywania rozkazów. (…) Powiedział mi wtedy, że dowództwa przyjąć nie może, że wyjazd generała Tokarzewskiego do Lwowa jest niemożliwy”[280].

Trudno się dziwić wzburzeniu Roweckiego, wprawdzie był oficerem i musiał wypełniać rozkazy, ale polecenia z Paryża wydały mu się absurdalne. Na domiar złego wysłannik Sikorskiego poinformował go, że Tokarzewski ma wyjechać do Lwowa w ciągu trzech (!) dni.

Gdy następnego dnia „Grot” dostał do ręki rozszyfrowane dokumenty, „oświadczył »Konarskiemu«, że nie przyjmuje rozkazu i nie obejmie funkcji, zanim nie otrzyma rozkazu od Tokarzewskiego. On bowiem jest jego dowódcą i u niego kurier musi się meldować”[281].

Przy okazji nocna praca nad deszyfrażem rozkazów spowodowała wzajemną niechęć między „Konarskim” a lojalną wobec Tokarzewskiego Karasiówną. Szefowa sekretariatu „Torwida” zapłonęła do kuriera „dziką nienawiścią”, ten natomiast miał później określać ją mianem „głównej dyrygentki »teozoficznych mandolinistek«”. Warto przy tym pamiętać, że uchodziło to wówczas za wyjątkowo obraźliwy epitet i kojarzyło się z orgiami seksualnymi. Wystarczy przypomnieć sprawę mandolinistek mariawickiego arcybiskupa Kowalskiego…

Emisariusz Sikorskiego spotkał się z Tokarzewskim następnego dnia. Generał osłupiał, wydawało mu się, że otrzymane rozkazy nie mogą być prawdziwe. W chwili, gdy organizacja, którą stworzył z niczego, „stała już silnie na nogach” i rozwijała się w całym niemal kraju, miał wszystko przekazać Roweckiemu i ruszyć na wschód. Dodatkowo polecenie wyjazdu do Lwowa dostał na „malutkiej karteczce” zawierającej właściwie tylko pseudonimy Sikorskiego i Sosnkowskiego.

„Torwid” uznał, że rozkaz, by w trzy dni wyruszył do Lwowa, jest nierealny, i odmówił jego wykonania. Przez „Konarskiego” zaproponował, że podporządkuje się „Grotowi”, pozostając na terenie okupacji niemieckiej. Oczekując na ostateczną decyzję, przekazał Roweckiemu władzę nad okręgiem warszawskim, zachowując dowództwo nad całością operacji SZP. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że Sikorski i jego otoczenie chcieli za wszelką cenę wyeliminować go z konspiracji.

„Torwid” ostatecznie skapitulował na początku lutego. Uznał, że musi wypełnić

rozkazy, oddał więc wszystkie sprawy Roweckiemu i pod koniec miesiąca ruszył na wschód. Nie podróżował samotnie, towarzyszyły mu trzy panie: Ewelina Karasiówna (starsza siostra Janiny), Maria Trojanowska i Antonina Płońska. „Torwid" i Karasiówna legitymowali się fałszywymi papierami (występowali jako rodzeństwo), natomiast ich towarzyszki używały prawdziwych dokumentów. Wyprawa szybko zakończyła się katastrofą – w pierwszych dniach marca cała ekipa została aresztowana przez Sowietów podczas przekraczania zielonej granicy na Sanie.

Generał miał szczęście, bo Sowieci nie poznali jego prawdziwej tożsamości i po kilkumiesięcznym śledztwie skazali na pięć lat łagru. Tokarzewski przebywał w obozach w okolicach Archangielska – tam po kilku miesiącach został jednak rozpoznany przez NKWD, które wiedziało, że w drodze do Lwowa przepadł polski generał wyznaczony na dowódcę miejscowej konspiracji. Ale Tokarzewskiemu ponownie dopisało szczęście: został zidentyfikowany już w innej sytuacji politycznej, gdy po klęsce Francji Stalin szykował się do wojny z Hitlerem. Dlatego też „Torwid" nie podzielił losu polskich oficerów wymordowanych w Katyniu, tylko trafił na Łubiankę, gdzie – jak na sowieckie obyczaje – był traktowany w dość przyzwoity sposób.

Zwolniony na mocy układu Sikorski-Majski dotarł do armii Andersa i został mianowany dowódcą 6 Dywizji Piechoty, a w marcu 1943 roku – zastępcą dowódcy Armii Polskiej na Wschodzie. Podobno generał Sikorski podczas swojej ostatniej podróży inspekcyjnej na Bliski Wschód rozważał jego odwołanie, niebawem jednak zginął w katastrofie gibraltarskiej, a Tokarzewski objął dowództwo III Korpusu.

Sowiecka niewola ani trochę nie zmieniła jego upodobań – nadal otaczał się kobietami i wywierał na nie wręcz hipnotyczny wpływ. Zachowały się informacje, że podczas służby w armii polskiej w ZSRS dzielił kwaterę z dwiema partnerkami: Antoniną Płońską (współtowarzyszką nieudanej eskapady do Lwowa) i Stefanią Łomnicką. Obie panie nie tylko akceptowały ten układ, ale nawet się zaprzyjaźniły. Inna sprawa, że podobne zachowania nie były niczym wyjątkowym w armii Andersa – wśród tamtejszej wyższej kadry oficerskiej panowały wręcz „haremowe obyczaje", a przykład dawał sam dowódca. Natomiast Tokarzewski z czasem nieco się ustatkował i jego towarzyszką życia została Płońska.

Po wojnie i demobilizacji podzielił los wielu polskich emigrantów na Zachodzie – pracował fizycznie, działając jednocześnie w kręgach uchodźców. Od 1954 roku był ministrem spraw wojskowych i Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych w polskim rządzie na uchodźstwie. Chociaż nasilała się u niego choroba serca, kontynuował działalność w angielskiej masonerii. Został członkiem Suwerennego Sanktuarium The Egiptian Rite of Ancient Mysteries (gałąź mistycznej formuły masonerii), aktywnie działał też w Zakonie „Prawo Człowieka", jednak ogłosił swoje uśpienie w związku z objęciem funkcji Generalnego Inspektora. Cały czas interesował się teozofią i jeszcze w 1960 roku korespondował z Wandą Dynowską o sprawach sprzed lat, gdyż nosił się z zamiarem napisania pracy historycznej.

W 1964 roku w celu podreperowania zdrowia wyjechał do Maroka i tam zmarł. Antonina Płońska w towarzystwie kilku osób przyjechała po ciało. Spoczął w Londynie, a po upadku komunizmu jego prochy trafiły do Polski.

W poszukiwaniu własnej drogi

Dynowskiej nie było dane dotrzeć do walczącego kraju, utknęła na granicy rumuńskiej. Dalsza droga była niemożliwa, Niemcy i Sowieci dokonali podziału trupa Rzeczypospolitej. Wanda znalazła się w bardzo trudnej sytuacji, gdyż żadne z państw europejskich nie zamierzało jej wydać wizy pobytowej.

„(…) Kiedy odbierałam wizę wyjazdową w Bombaju – wspominała po latach – sekretarz rządu powiedział mi, że powinnam wziąć wizę powrotną do Indii. Nie miałam wtedy zamiaru wracać, zatem wzbraniałam się. Sekretarz jednak tak usilnie namawiał, bym tę wizę wzięła, że ostatecznie zgodziłam się. I to mnie uratowało. Bo w dziewięciu krajach Europy nikt nie dawał mi wizy pobytowej. Objechałam więc Rumunię, Bułgarię, Włochy, Jugosławię, Turcję, żadne państwo mnie nie chciało”[282].

Chociaż nie miała zbyt wysokich wymagań, z czegoś jednak musiała żyć – przecież nawet taki asceta jak Gandhi czasami bywał dość kosztowny w swoim ubóstwie. Dlatego Dynowska znalazła zatrudnienie w konsulacie polskim w dziale propagandy. Niebawem jednak tamtejsi urzędnicy zaczęli przeklinać ten pomysł i nową pracownicę.

„Nie można sobie wyobrazić dowcipniejszej kombinacji – wspominała późniejsza asystentka Dynowskiej, Irena Hradyska – z jednej strony panowie w bez zarzutu skrojonych tropikalnych garniturach, (…) pedantyczni, dobrze ułożeni, owijający wszystko w dyplomatyczną bawełnę, traktujący Indusów z pobłażliwą wyższością, zupełnie nieinteresujący się kulturą i religią tego kraju, z drugiej strony kobieta depcząca konwenanse bosą stopą w sandałach, odziana w ręcznie tkane samodziały, z czerwoną kropką wymalowaną między brwiami na znak praktykowania hinduizmu, niedająca się nagiąć do urzędowych godzin, wprowadzająca chaos do szufladek i kartotek, mówiąca wszystko, co na myśli i sercu, bez ogródek”[283].

Chociaż Polska była sojusznikiem Wielkiej Brytanii, Dynowska nie ukrywała, że uważa Anglików za okupantów wyzyskujących Hindusów. Ale pani Wanda zajmowała się także polskimi uchodźcami, którym udało się wyrwać ze Związku Sowieckiego. Z tego powodu na kilka lat musiała zapomnieć o medytacjach w aśramach – wszak tysiące rodaków oczekiwało na pomoc. Przy okazji propagowała też sprawę polską nad Gangesem, gdy jako referentka prasowo-kulturalna jeździła z odczytami po całym subkontynencie.

Bardzo też pragnęła, by rodacy przebywający w Indiach poznawali ten kraj i jego problemy. Wskazywała na podobieństwo losów obu narodów i tłumaczyła, że jeżeli polscy emigranci zechcą pozostać w Indiach, nie mogą naśladować Brytyjczyków zamykających się we własnym gronie. Szczególną wagę przykładała do zachowania młodzieży i wraz z grupą kilkudziesięciu dziewcząt oraz chłopców ruszyła w podróż po kraju.

„Objechali spory szmat Indii – wspominała jedna z jej znajomych – od Maharasztry, w której położony był obóz, po Cape Comorin, tańcząc i śpiewając w strojach narodowych, zbierając z przedstawień pieniądze wystarczające na przeżycie od postoju do postoju. Pomyśleć tylko, jaką energię miała ta już wtedy blisko sześćdziesięcioletnia kobieta”[284].

Dla Polaków mających styczność z Dynowską ważne było jej podejście do tradycji i kultury Indii. Nagle okazywało się, że Umadevi potrafi doskonale się przystosować do życia w tym kraju, nie narzeka na brak wołowiny (od dawna była wegetarianką), a przede wszystkim wysoko ceni dorobek swojej nowej ojczyzny. I nie przejmowała się, gdy Polacy nie mogli zrozumieć, dlaczego odrzuciła tradycję chrześcijańską.

„Najgorsze było przeświadczenie – wspominała Wiesława Kleszko, która poznała Dynowską w Indiach – że Hindusi są poganami. To wina naszego wychowania w Polsce, gdzie wedle pojęć głoszonych na lekcjach religii wszyscy niechrześcijanie (a w niektórych wypadkach mówiono, że niekatolicy) są poganami, stąd też poszło potępienie Wandy Dynowskiej praktykującej hinduizm”[285].

Umadevi była osobą tolerancyjną, nikogo nie przekonywała do swoich poglądów. Musieli ją tolerować także polscy urzędnicy, gdyż nawiązała zbyt dużo ważnych znajomości w kręgu miejscowych elit – i to właśnie dzięki nim wielu chorych otrzymywało pomoc medyczną. Do tego była najlepszym ambasadorem sprawy polskiej: tłumaczyła Hindusom tragedię Powstania Warszawskiego i już wówczas przekładała miejscową literaturę. Przy tym zachowywała właściwy dla siebie synkretyzm religijny – gdy bowiem prezentowała swoje tłumaczenia, goście siedzieli w kucki na matach i otaczały ich posągi bóstw hinduistycznych, wśród których znajdował się także obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej.

Biblioteka Polsko-Indyjska

Schyłek drugiej wojny światowej i lata po jej zakończeniu były dla Dynowskiej bardzo ciężkim okresem. Z jednej strony Polska stała się sowieckim wasalem, a chociaż rzekomo należała do zwycięskiej koalicji, została podporządkowana władzy Kremla. Bardzo źle działo się również w nowej ojczyźnie Umadevi – wprawdzie Indie odzyskały niepodległość, ale natychmiast doszło do walk pomiędzy muzułmanami a hinduistami. Ostatecznie państwo rozpadło się na Indie i Pakistan, a w ostatnich dniach stycznia 1948 roku z ręki islamskiego fundamentalisty zginął Gandhi.

Dynowska nie potrafiła zrozumieć tego wszystkiego i poświęciła się wówczas zadaniu, które zaczęła realizować jeszcze w ostatnim okresie wojny. Jej celem stała się wzajemna popularyzacja hinduskiej i polskiej kultury, religii, literatury. Planowała to osiągnąć, tłumacząc i publikując najważniejsze dzieła obojga narodów. Miała się tym zajmować razem z Frydmanem i nie przeszkadzało jej, że poza zapałem i uporem właściwie nie posiadają żadnych środków umożliwiających działalność wydawniczą. Jedynym plusem całej sytuacji był fakt, że Umadevi miała fantastyczne umiejętności lingwistyczne – opanowała nie tylko hindi, bengalski i tamilski, lecz także sanskryt, gudżarati i marathi. I to w stopniu umożliwiającym swobodne tłumaczenie.

„Konsulat był w Bombaju – wspominała – ja mieszkałam w służbowym pokoiku przy urzędzie. Tak było przez trzy lata. Potem zamknięto konsulat, uchodźcy polscy wyjechali, a ja udałam się na południe i zabrałam się solidnie do tłumaczeń. (…) Tłumaczenia to piętnaście lat siedzenia po 8–16 godzin dziennie; tak jakbym zamknęła się przed światem i robiła tylko to. Dlatego mogłam tyle wydać. Kapitał zakładowy – to najpierw była moja odprawa, trzy tysiące rupii, potem Frydman

trochę pomógł. I taki był początek. Następnie zaczęliśmy prosić o pomoc różnych patriotów hinduskich. (…) Potem doradzono mi zwrócić się do ministerstwa oświaty Indii z prośbą o subsydium. I odtąd przez dwanaście lat otrzymywałam z ministerstwa trzy tysiące rupii rocznie”[286].

Było to mniej więcej 15 tysięcy dzisiejszych dolarów, co trudno uznać za wygórowaną kwotę w stosunku do ambitnych planów wydawniczych. W efekcie Dynowska była jednocześnie: tłumaczem, redaktorem, korektorem, pakowaczem, dostawcą, handlowcem i magazynierem. Ale nie narzekała, a jako pierwsze wydała tłumaczenie anglojęzycznej książki poświęconej wojnie polskiej z 1939 roku. Następnie przyszła pora na przekłady polskiej poezji oraz hinduskich dzieł teozoficznych i literackich.

Z czasem zaczęło się pojawiać coraz więcej pozycji poświęconych Tybetowi i lamaizmowi. Umadevi znalazła nowy cel: wraz z Frydmanem namawiali premiera Indii, Jawaharlala Nehru, do przyjęcia uchodźców tybetańskich po aneksji ich kraju przez Chiny. Tak też się stało i dwójka Polaków wzięła udział w organizacji szkolnictwa dla emigrantów. Nie przerwali jednak działalności Biblioteki Polsko-Indyjskiej – we dwoje wydali około setki (!) tytułów.

Umadevi z czasem przeszła na tybetańską wersję buddyzmu, ale nigdy nie porzuciła tradycji hinduistycznej. Nie zapominała też o swojej pierwszej ojczyźnie. Czasami odwiedzała polską emigrację w Londynie, a dwukrotnie udało jej się nawet dotrzeć nad Wisłę. Podobno wlała do Morskiego Oka wodę z Gangesu i nakłoniła Hindusów do zainteresowania się słynnym wawelskim czakramem. Natomiast w prezencie dla Dalajlamy przywiozła skałę z polskich Tatr.

Jako posiadaczka indyjskiego paszportu stała się – oczywiście – obiektem zainteresowania Służby Bezpieczeństwa. Podobno PRL-owscy funkcjonariusze podejrzewali, że była agentką francuskiego wywiadu. Dlaczego akurat miała pracować dla służb znad Sekwany, pozostanie tajemnicą specjalistów z Rakowieckiej.

„Gdy przyjechała do Polski – wspominał indolog, Leon Cyboran – chciała działać, wywrzeć jakiś wpływ, przekazać coś z duchowej kultury Indii, ale zaraz po przyjeździe została otoczona przez służby »panów w garniturach o bladoniebieskich oczach«. (…) Rozeszły się słuchy, że Dynowska kradnie. Co kradnie? Srebro, złoto i dolary! Aby to wyjaśnić, uciąć te oszczerstwa, wziąłem ze sobą kolegę na świadka i pojechałem wyjaśnić zajście. W wyniku przeprowadzonych rozmów okazało się: że podczas przyjęcia, na którym była obecna Dynowska, zginęła srebrna łyżeczka”[287].

Inna sprawa, że w pewnych swoich podejrzeniach esbecy nie byli odosobnieni, gdyż już przed zamachem majowym prasa endecka posądzała Dynowską o agenturalną działalność na rzecz wywiadu angielskiego. Miała ją prowadzić wspólnie z generałem Tokarzewskim – w rzeczywistości chodziło o sprawy związane z teozofią i Kościołem liberalnokatolickim. Endecy nie zwracali jednak uwagi na takie drobiazgi, tym bardziej że oboje należeli do masonerii, a – jak wiadomo – każdy wolnomularz to szpieg i agent obcych sił.

Umadevi przebywała w Polsce dwukrotnie i za każdym razem były to wielotygodniowe wizyty. Z upływem lat podupadała jednak coraz bardziej na zdrowiu i ostatecznie przeniosła się do rzymskokatolickiego klasztoru w indyjskim Mysore, wraz z nią zamieszkały jej tybetańskie wychowanki. Odwiedzali ją lamowie,

ale również duchowni katoliccy z Polakiem, księdzem Marianem Batogowskim na czele. Umadevi bardzo go polubiła, rozmawiali w rodzimym języku o polskiej literaturze.

Na początku 1971 roku stan Dynowskiej tak się pogorszył, że podjęła decyzję o odejściu. Odstawiła wszelkie lekarstwa i poświęciła się wyłącznie medytacji. O jej ostatnich chwilach krążą sprzeczne relacje: według księdza Batogowskiego wyspowiadała się i uczestniczyła we mszy świętej odprawionej w jej pokoju, a według innych – pozostała wierna swoim wschodnim fascynacjom.

Wiadomo, że gdy zmarła pod koniec marca, po jej ciało przybyli lamowie. Zgodnie z jej ostatnią wolą w pobliskiej kolonii tybetańskiej odbyły się uroczystości pogrzebowe połączone z kremacją ciała, a nad jej prochami wzniesiono kapliczkę nazwaną Tenzin Chodon (Pani Lampa). Tak bowiem brzmiało jej tybetańskie imię.

Wbrew pozorom informacje dotyczące jej ostatnich chwil wcale nie musiały być sprzeczne. Dynowska uważała się bowiem za chrześcijankę, hinduistkę oraz buddystkę – i harmonijnie łączyła to w swoim światopoglądzie. Być może pomagały jej ideały teozofii, którym zawsze była wierna.

Maurycy Frydman przeżył ją o sześć lat. Jednak Biblioteka Polsko-Indyjska przestała istnieć wraz ze śmiercią Umadevi. Zabrakło ludzi, którzy chcieliby się podjąć ciężkiej pracy za niewielkie pieniądze.

Stefan Ossowiecki

Rozdział 8

Najsłynniejszy polski jasnowidz – Stefan Ossowiecki

Przepowiadanie przyszłości jest równie stare jak ludzkość, praktyki tego rodzaju można odnaleźć w każdej epoce historycznej i w każdej kulturze. Nieważne, czy zajmowali się tym magowie, czarownicy czy kapłani – przewidywanie tego, co jeszcze nie nastąpiło, zawsze było fascynujące. Czasami przybierało to charakter zinstytucjonalizowany, jak w przypadku antycznych wyroczni, a czasami miało charakter bardziej prywatny. Jedno nie ulega wątpliwości: wróżki i jasnowidze istnieli od zawsze i właściwie do dzisiaj nic się w tej kwestii nie zmieniło.

Jednym z najsłynniejszych polskich jasnowidzów był Stefan Ossowiecki – najbardziej zagadkowa postać okresu międzywojennego, człowiek, którego umiejętności traktowano z całą powagą, uważając, że sięgnął wyżyn „paranormalnego poznania". Nigdy też w zadowalający sposób nie wyjaśniono jego fenomenu[288].

Moskiewski rozdział

Rodzina Ossowieckich pochodziła z Mohylewszczyzny na dalekich Kresach dawnej Rzeczypospolitej. Ojciec przyszłego jasnowidza, Jan Ossowiecki, był absolwentem petersburskiego Instytutu Technologicznego i przez pewien czas pracował jako asystent słynnego chemika, Dmitrija Mendelejewa. Jednak przedłożył interesy ponad pracę naukową i ostatecznie został współwłaścicielem fabryki farb i lakierów, co przyniosło mu wielki majątek.

W wieku 14 lat Stefan rozpoczął naukę w moskiewskim korpusie kadetów i wówczas po raz pierwszy ujawniły się jego zdolności telepatyczne. Gdy podczas egzaminów kadeci otrzymywali pytania w zaklejonych kopertach, Ossowiecki udzielał odpowiedzi bez konieczności ich otwierania[289].

Nie był zresztą pierwszą osobą w rodzinie, która przejawiała niezwykłe cechy. Zdolności telepatyczne miały także jego matka i babka, a w mniejszym stopniu również jeden z braci. Natomiast u Stefana niebawem ujawnił się ogromny talent do telekinezy, który wprawiał w osłupienie jego kolegów ze studiów w petersburskim Instytucie Technologicznym. Nie został bowiem zawodowym wojskowym, jak początkowo planowano, tylko poszedł w ślady ojca.

„Związywano mnie sznurami – opisywał jedno z doświadczeń – i nakładano długą koszulę z długimi rękawami, które były wiązane z tyłu. Leżałem na ziemi, nie mogąc się ruszać, gdyż nogi w kostkach były także związane mocno, i w takim stanie

skrępowany mogłem poruszać najcięższe przedmioty. Zrywałem ubrania, przesuwałem figury marmurowe lub inne ciężkie przedmioty, zdejmowałem obrazy ze ścian. Wszystkie te przedmioty mogłem poruszać bardzo szybko, bo w ciągu jednej minuty od chwili natężenia woli już przyciągałem je ku sobie" – opisywał Ossowiecki tego rodzaju eksperymenty[290].

Tłumaczył te zjawiska względnie racjonalnie, uważając, że modlitwa oraz „ekstatyczne zapatrzenie w tajemnice wiary" mogą wyzwolić z człowieka ogromną ilość energii. Uważał jednak, że to nie ona poruszała przedmioty zgodnie z jego wolą, lecz energia kosmiczna, która zapewniała mu możliwości telekinetyczne. Posiadał je przez ponad dwadzieścia lat, a potem miały zaniknąć. Być może jednak nie chciał ich demonstrować, gdyż twierdził, że tego rodzaju doświadczenia „wymagają absolutnej wstrzemięźliwości od uciech tego świata", a jasnowidz raczej ich nie unikał[291].
W latach 30. dał się jednak namówić jednemu ze znajomych na indywidualny pokaz. Zapadł w sen, a następnie „tańcząc z nogi na nogę jak baletnica", spowodował, że duże biurko uniosło się i zaczęło przesuwać w jego stronę. To samo działo się z „taboretem, na którym leżała dość ciężka walizka".

Tajemniczy Żyd z Homla

Ogromną rolę w życiu Ossowieckiego odegrało spotkanie w Homlu, gdzie trafił jako student podczas praktyk w papierni w nieodległym Dobruszu. Poznał wówczas starego Żyda – wróżbitę o nazwisku Worobiej, który miał wiele lat spędzić w Indiach (przyszły jasnowidz nazywał go nawet joginem). Podstawę jego wiedzy stanowiła jednak hebrajska kabała, a po latach Ossowiecki uważał: być może „zmarnowałbym swój dar, gdyby nie on".

Worobiej uznał, że młody Polak posiada nadprzyrodzone zdolności i przy odpowiednim treningu będzie mógł nawet widzieć „aurę", chociaż Ossowiecki nie znał jeszcze wówczas znaczenia tego słowa. Jednak poddał się ćwiczeniom na koncentrację myśli i woli, co stało się podstawą rozwoju jego metapsychicznego talentu. Efekty miały zaskoczyć zarówno nauczyciela, jak i ucznia[292].

Żydowski wróżbita opowiedział mu jego przeszłość, a przy okazji – także przyszłość. Nie rysowała się ona w szczególnie jasnych barwach, gdyż zgodnie z przepowiednią miał ponoć trafić do więzienia i stracić rodzinny majątek. Przy okazji Worobiej ujawnił też przed Ossowieckim imię jego przyszłej żony oraz oznajmił, że czeka go wielka sława. Po latach jasnowidz mógł z pełnym przekonaniem stwierdzić, że wszystko się sprawdziło[293].

Bolszewicki przewrót w listopadzie 1917 roku zastał go w Moskwie. Od samego początku był negatywnie ustosunkowany do nowych władz, uważając komunizm za ruch pogański zwalczający chrześcijaństwo, a samego Lenina – za wysłannika Antychrysta[294]. Inna sprawa, że bolszewicy szybko się postarali, by Ossowiecki nie pałał do nich zbytnią sympatią. Znacjonalizowali bowiem odziedziczoną fabrykę, a następnie aresztowali go pod zarzutem szpiegostwa na rzecz francuskiej misji wojskowej. Nie wiadomo, czy oskarżenia były prawdziwe, ale Francuzi faktycznie wynajmowali pomieszczenia w moskiewskim pałacyku Ossowieckich.

Być może jednak powodem uwięzienia była działalność w polskich organizacjach

w Rosji – pełnił bowiem funkcję wiceprezesa Związku Wojskowych Polaków i był członkiem zarządu Naczpolu (Naczelny Polski Komitet Wojskowy), a dodatkowo czekiści wiedzieli też o jego bliskich kontaktach z członkami rodziny cesarskiej. Ossowiecki został skazany na najwyższy wymiar kary. Z niewiadomych przyczyn egzekucję odkładano jednak przez pół roku, co wystarczyło, by oczekujący na śmierć inżynier kompletnie osiwiał[295].

Nie skończył jednak z kulą w głowie, co więcej – odzyskał wolność i przedostał się do Warszawy. Nie wiadomo, w jakich okolicznościach to nastąpiło, gdyż osobiście nigdy nie poruszał tego tematu. Według jednej z wersji interweniował w jego sprawie znany adwokat Aleksander Lednicki – nieoficjalny przedstawiciel warszawskiej Rady Regencyjnej przy władzach Rosji sowieckiej. Miał on wyjednać zwolnienie Ossowieckiego u wpływowego bolszewika Karola Radka (polskiego Żyda). Chociaż można też odnaleźć relację, że ocalił go pewien wysoko postawiony czekista, który przed laty był jego szkolnym kolegą[296][297].

Eksperymenty z Piłsudskim

Na biurku Ossowieckiego stała fotografia Marszałka z jego odręczną dedykacją przypominającą wspólne rozmowy prowadzone w celu „zrozumienia tego, czego nie ma, a co jest". Faktycznie, ci dwaj panowie nie mogli się nie poznać. Inicjatywa wyszła zresztą nie od inżyniera, lecz od Piłsudskiego, który interesował się zjawiskami paranormalnymi. Pamiętał dobrze, że jako młody chłopak, przebywając na syberyjskim zesłaniu, usłyszał od wróżki „*cariom budiesz*" – i w pewnym sensie ta przepowiednia się spełniła. Natomiast gdy był internowany w twierdzy magdeburskiej, pewnej nocy dotarły do niego krzyki i płacz niemowlęcia. Dokładnie w tym samym czasie w Warszawie przyszła na świat jego córka.

Nic dziwnego, że Marszałek był zaintrygowany Ossowieckim. Przyjaciel Komendanta, generał Kazimierz Sosnkowski, przyniósł jasnowidzowi zapieczętowaną kopertę, w której znajdowała się kartka napisana przez Piłsudskiego. Jasnowidz miał ją odczytać – i faktycznie, powiedział Sosnkowskiemu, że widzi konkretne cyfry i litery. Towarzyszący generałowi adiutant Marszałka natychmiast zadzwonił do Belwederu i przekazał wynik eksperymentu. Piłsudski potwierdził, że podane przez Ossowieckiego cyfry i litery są zgodne z tymi, które zapisał. Była to formułka debiutu, czyli wyjścia szachowego – ale napisana z błędem. Okazało się bowiem, że Piłsudski popełnił omyłkę!

„Wziąłem do rąk list Marszałka – tłumaczył jasnowidz. – Po krótkiej chwili przeniosłem się do Belwederu. Zobaczyłem tam Marszałka, był oparty o jakiś sprzęt. Przy oknie ujrzałem stojącego wojskowego. Jak się potem okazało, był to właśnie generał Sosnkowski. Marszałek pisał liczby pochylony nad blatem. Musiałem z całym napięciem woli skupić swoją energię, aby ujrzeć dokładnie, jakie pisał liczby"[298].

Mimo że Ossowiecki nigdy nie był w Belwederze, precyzyjnie scharakteryzował tamtejsze meble, łącznie ze stołem – czy też blatem – przy którym Piłsudski sporządził liścik z formułą szachową. Odtąd spotykał się z Komendantem i rozmawiał z nim o „sprawach metapsychicznych".

Umówili się też na przeprowadzenie eksperymentu, który miał polegać na tym, że o północy Ossowiecki wypowie w swoim domu pewne zdanie z intencją, by Marszałek usłyszał je w Belwederze. Następnie role miały się odwrócić – Piłsudski byłby nadajnikiem, a Ossowiecki odbiornikiem.

Eksperyment został jednak zakłócony, bowiem o północy do gabinetu, w którym Ossowiecki „zaczął widzieć telepatycznie Marszałka", wkroczyła żona jasnowidza. Uznała bowiem, że jest to dobra pora, by wyłuszczyć mężowi pretensje, iż ponownie oddaje się eksperymentom i w dodatku zużywa zbyt wiele drogiego prądu. Inżynier w odpowiedzi zaczął narzekać na ból ręki, co połowica podsumowała, że jeżeli nadal będą mieszkać w tej „norze", oboje stracą zdrowie.

Ossowiecki był niepocieszony – uznał, że eksperyment się nie powiódł. Wytrącony z równowagi nie potrafił się też skupić nad odebraniem zdania wypowiedzianego przez Piłsudskiego. Jednak następnego dnia okazało się, że Marszałek słyszał wszystko na temat bólu ręki, a także „odpowiedź innej osoby i wyraz »nora«"[299].

Innym razem zaprosił jasnowidza do Belwederu i zaproponował, by odgadł tekst zamknięty w grubej kopercie. Ossowiecki położył na niej dłoń „i bezbłędnie odczytał treść kartki z ulubionym zwrotem Piłsudskiego: »Pocałuj mnie…, tam a tam«"[300].

W grudniu 1928 roku Piłsudski poprosił inżyniera o spotkanie w związku z zastrzeleniem żandarma Franciszka Koryzmy pełniącego straż przy pałacu belwederskim. Jego zabójstwo było zapewne rezultatem intrygi, która miała skompromitować osoby odpowiedzialne za ochronę Marszałka. Chociaż zdarzały się też opinie, że być może sam Piłsudski pracujący do późna w pokoju na piętrze zauważył jakiś cień i strzelił, kładąc żandarma trupem. Podejrzenia te jednak nie wytrzymały konfrontacji z faktami, tym bardziej że szyba w gabinecie Komendanta była nienaruszona, a trudno podejrzewać, by Marszałek siedział zimą przy otwartym oknie. Zresztą sam Piłsudski nie wpływał na przebieg śledztwa, a jego jedyna ingerencja polegała na zaproszeniu Ossowieckiego, by przyjrzał się miejscu zbrodni.

Jasnowidz wskazał drzewo, pod którym zginął Koryzma, i oświadczył, że pod pałac skradało się kilka osób. Żandarm miał ich zauważyć i wówczas został śmiertelnie postrzelony, a zamachowcy zbiegli do dorożki oczekującej na nich przy ulicy Belwederskiej. Ossowiecki nie widział jednak, dokąd pojechali, a poza tym prosił o dyskrecję, gdyż „obawiał się zemsty złoczyńców". Mieszkał bowiem przy ulicy Polnej, która nie była zbytnio uczęszczana, i „nieraz wracał późnym wieczorem", a zatem „bał się, że może być napadnięty"[301].

Sprawy nigdy nie wyjaśniono, a jeden z głównych podejrzanych, policyjny konfident Franciszek Sieczka, zginął w strzelaninie mającej charakter porachunków gangsterskich. Niewykluczone jednak, że w ten sposób usunięto niewygodnego świadka, a faktyczni mocodawcy pozostali bezkarni.

Nie wiadomo natomiast, czy z umiejętności Ossowieckiego korzystała Aleksandra Piłsudska. Z pewnością jednak chciałaby się dowiedzieć, jakiego rodzaju relacje łączyły jej męża z lekarką Eugenią Lewicką, którą Marszałek poznał podczas wypoczynku i kuracji w Druskienikach. Z kolei sama lekarka często odwiedzała Ossowieckiego, gdyż pragnęła poznać swoją przyszłość, i podobno ciągle prosiła jasnowidza „o rady i przeczucia"[302].

Nie jest to wykluczone, bo chociaż Lewicka uchodziła za osobę energiczną i zdecydowaną, na pewno przeżywała poważne wahania nastrojów związane ze znajomością z Piłsudskim. W dodatku spotykała ją całkowicie zrozumiała niechęć żony Marszałka oraz większości jego otoczenia. Tym bardziej że – jak miał zdradzić Ossowiecki jednemu ze znajomych – Komendant „koniecznie chciał się z Lewicką żenić".

Być może zatem jasnowidz ostrzegał lekarkę, że jej znajomość z Piłsudskim zakończy się bardzo źle – zresztą wiele razy trafnie przepowiadał ludziom ich przyszłość. Najwyraźniej jednak Lewicka go nie posłuchała i nie zaprzestała spotkań z Komendantem, gdyż pojechała z nim nawet na Maderę w charakterze jego prywatnej lekarki. Tam znajomość się zakończyła i w czerwcu 1931 roku Lewicka popełniła samobójstwo prawdopodobnie zaszczuta przez ludzi z otoczenia Piłsudskiego.

Zaginięcie generała Zagórskiego

Ossowiecki chętnie pomagał także tym, którzy stracili kontakt z bliskimi, więc bez wahania podjął się ustalenia losów zaginionych w Rosji synów niejakiej pani Lewickiej (zbieżność nazwisk przypadkowa, nie chodzi o Eugenię). Ponieważ potrzebował przedmiotów, które do nich należały, matka przekazała mu czapki i odzież zaginionych. Jak sam jasnowidz wspominał, dzięki temu „przeniósł się bardzo szybko i widział śmierć starszego", który zmarł na tyfus. Natomiast drugi miał „być już w podróży powrotnej do Polski"[303].

Jasnowidz wyliczył nawet, ile czasu powinna mu zająć droga do domu – i rzeczywiście, syn Lewickiej pojawił się w wyznaczonym terminie. Nie był to wyjątek, gdyż Ossowiecki przechowywał wiele listów z podziękowaniami od osób, którym trafnie wyjaśnił, co stało się z ich najbliższymi. Nikomu zresztą nie odmawiał pomocy, nawet jeśli chodziło o tak przyziemne sprawy, jak zagubiona broszka, papierośnica czy pies. Ale rozwiązywał także zagadki kryminalne, chociaż starał się tego unikać.

Jego najsłynniejsza sprawa związana z zaginięciem dotyczyła generała Włodzimierza Zagórskiego. Był to zajadły przeciwnik Piłsudskiego, a wzajemna niechęć obu panów sięgała jeszcze czasów Legionów. Podczas przewrotu majowego generał aktywnie działał po stronie rządowej, a po klęsce lojalistów został aresztowany i osadzony w więzieniu wojskowym w Wilnie. Piłsudczycy oskarżali go o defraudację i działalność na szkodę państwa, jakiej miał się dopuścić, będąc udziałowcem spółki Francopol, która pośredniczyła w zakupach sprzętu lotniczego za granicą. Nic mu jednak nie udowodniono, więc w sierpniu 1927 roku został zwolniony z aresztu i przewieziony do Warszawy.

Na dworcu kolejowym w stolicy otrzymał polecenie, by następnego dnia zameldować się u Marszałka. Jednak nigdy nie pojawił się w Belwederze i słuch o nim zaginął. Przeciwnicy sanacji twierdzili, że został zamordowany, gdyż posiadał dokumenty świadczące o współpracy Komendanta z wywiadem austriackim przed pierwszą wojną światową, a co gorsza – potwierdzające odbiór pieniędzy przez Piłsudskiego i jego współpracowników. Natomiast zwolennicy Marszałka głosili, że

Zagórski uciekł za granicę przed grożącymi mu zarzutami karnymi, a poza tym był płatnym agentem francuskim.

O wyjaśnienie sprawy prosiły Ossowieckiego różne osoby, w tym także „czynniki oficjalne" oraz dziennikarze „Expressu Porannego". Od rodziny i znajomych jasnowidz otrzymał rzeczy zaginionego, dzięki czemu „wywołał w pamięci obraz generała Zagórskiego w okolicznościach, wśród których generał Zagórski znajduje się w obecnej chwili". Jednak nie chciał powiedzieć nic więcej poza tym, że zaginiony żyje i przebywa za granicą. Dokładny opis swojej wizji – a więc zapewne także szczegóły dotyczące aktualnego miejsca pobytu generała – zawarł w notatce, która została włożona do koperty, a kopertę zaklejono. Nigdy nie ujawniono jej treści, zaś sam dokument zaginął[304].

Nie wiemy zatem, co tak naprawę ujrzał jasnowidz. Poszlaki wskazują, że generał został zamordowany przez fanatycznych piłsudczyków, chociaż prawdopodobnie bez wiedzy Marszałka. Nie można też wykluczyć, że chociaż Ossowiecki wiedział o tragicznym losie zaginionego, to jednak z różnych powodów (na przykład obawy o siebie) poinformował dziennikarzy, że Zagórski żyje.

Tymczasem jest bardzo mało prawdopodobne, by generał uciekł z kraju, gdyż nigdy nie pojawił się żaden ślad jego obecności za granicą. Nie zmienia to jednak faktu, że trafiają się historycy, którzy nawet dzisiaj z całą powagą twierdzą, iż zapewne dożył swoich lat w dostatku na Tahiti lub innej tropikalnej wyspie należącej do Francji.

Sprawa Lody Halamy

Inną głośną sprawą, w którą zaangażował się Ossowiecki, było zaginięcie jednej z największych gwiazd ówczesnej polskiej estrady, Lody Halamy. Na początku lat 30. tancerka wdała się w romans z aktorem Aleksandrem Żabczyńskim, który bardzo poważnie rozpatrywał porzucenie dla niej żony. W sierpniu 1933 roku doszło jednak do zerwania, a miało to miejsce po premierze programu *Warszawa-Chicago* na scenie kabaretu Rex.

„Program ten upamiętnił się małą sensacją – wspominał Ludwik Sempoliński – która szerokim echem odbiła się w kołach teatromanów. Mianowicie w »Kurierze Warszawskim« ukazała się 13 sierpnia wzmianka, że od paru dni zginęła Loda Halama i zastępują ją Żelichowska i Szymańska. W »Expressie« rozpętała się burza na tle tej sensacji, na skutek czego kawiarnie wrzały od plotek. Wreszcie po kilku dniach Loda się znalazła. I wszystko nagle ucichło, nawet w »Expresiaku« nie było wyjaśnień. Okazało się, że tło tej historii było wybitnie romantyczne. Zakochana nieprzytomnie w Żabczyńskim, po zerwaniu z nim, nikomu nic nie mówiąc, wyjechała do Częstochowy i przesiedziała kilka dni na Jasnej Górze. Mimo zainteresowania, jakie wzbudziła, sprawa nie miała wpływu jednak na frekwencję"[305].

Nie wiadomo, jak długo trwał ten romans. Loda w swoich pamiętnikach nie podawała bliższych informacji, jednak analizując jej relację, można odnieść wrażenie, że spotykała się z Żabczyńskim przez kilka miesięcy. I to właśnie ona, widząc, że ukochany nie może się zdecydować na rozstanie z żoną, zadecydowała o zakończeniu

związku. Tym bardziej że sama była mężatką.

„Usiadłam przed lustrem – wspominała Halama – i chociaż było jeszcze trochę czasu, zaczęłam bezmyślnie charakteryzować się. W głowie miałam pustkę, lodowatymi rękami nakładałam szminkę. Nagle zrozumiałam bezsens tego, co robię. (…) Zrozumiałam, że nie ma takiej siły, która zmusiłaby mnie dzisiaj do wyjścia na scenę”[306].

Halama opuściła budynek teatru i ruszyła bez celu przed siebie. Oprzytomniała dopiero pod Dworcem Głównym, kupiła bilet i „wsiadła do pierwszego pociągu, który odjeżdżał”. Przypadkowo był to skład do Częstochowy, a w przedziale poznała parę staruszków, którzy zaproponowali jej nocleg.

Tymczasem w stolicy wrzało – wszyscy poszukiwali Lody, zaś dziennikarze umiejętnie podgrzewali atmosferę.

„Dnia 10 bieżącego miesiąca do XI komisariatu miasta stołecznego Warszawy – informował »Ilustrowany Kurier Codzienny« – zgłosił się mąż Lody Halamy, Andrzej hrabia Dembiński, i oficjalnie złożył doniesienie, że żona jego wyszła z domu przy ulicy Pięknej 11, udając się na przedstawienie do Rexa. Z teatru wybiegła przed spektaklem, już ucharakteryzowana, w ręku trzymając płaszcz. Artystka miała przy sobie 90 złotych, z czego wynika, że daleko zajechać nie mogła”[307].

Dalej następowały bardziej sensacyjne szczegóły – reporter sugerował wręcz, że pogrążona w depresji artystka mogła popełnić samobójstwo:

„Loda Halama od dłuższego czasu zdradzała na tle przeżyć zawodowych i osobistych silną depresję psychiczną. Mówiła, że jest tak zdenerwowana, że nie może myśleć o tańcu. Na dwa dni przed zaginięciem Loda Halama płakała ciągle w garderobie. Jedna z koleżanek zaczęła ją pocieszać, a wówczas Halama odpowiedziała: »Nie warto żyć«”[308].

Podobno ktoś widział tancerkę „biegnącą ulicą Karową w stronę Wisły”, z „rozwianymi włosami i kapeluszem trzymanym w ręce”, a dodatkowe emocje przyniósł seans Ossowieckiego, który na życzenie dziennikarzy wziął do ręki ołówek należący do Halamy i oznajmił:

„Widzę Lodę Halamę. Było to w czwartek wieczorem. Jest strasznie podenerwowana. Wpadła na chwilę do teatru… za kulisy, przed początkiem jakiegoś przedstawienia. Zapytała o kogoś. Chciała tego dnia wystąpić, ale mus wewnętrzny jej na to nie pozwalał. Była zbyt podniecona i podenerwowana”[309].

Potem jednak Ossowieckiego poniosła fantazja. Według jego relacji Loda miała wrócić do domu, rozmawiać ze swoją służącą („osobą niską i tęgą”), po czym rozczarowana życiem „błąkała się po ulicach Warszawy bądź piechotą, bądź taksówką”. Z całego seansu zgadzało się tylko jedno: służąca Halamy faktycznie była niska i tęga.

W tym czasie Loda leczyła już na Jasnej Górze złamane serce. Mieszkała u poznanych w pociągu staruszków, przystąpiła do spowiedzi, świat jednak brutalnie przypomniał jej o swoim istnieniu:

„Trzeciego dnia w kiosku z gazetami ze zgrozą zobaczyłam na pierwszej stronie moją fotografię z podpisem: »Warszawa poszukuje Lody Halamy«. Dopiero teraz zorientowałam się, co zrobiłam. Moje zniknięcie z teatru i milczenie przez trzy dni stworzyły okropną sytuację; policja poszukiwała mnie nawet nocami, myśląc, że

może się utopiłam. Biedny Al. Był indagowany na tę okoliczność, czy nie przyczynił się do mojego zniknięcia, matka i mąż, naturalnie, w rozpaczy i w poszukiwaniach. Ocuciło mnie to wszystko i owszem”[310].

Wizje dalekiej przeszłości

Ossowiecki twierdził, że najłatwiejsze było dla niego przenoszenie się na odległość w czasie rzeczywistym lub w niedaleką przeszłość. Trzymając jednak w ręku artefakty sprzed wieków, opowiadał, skąd pochodzą, jaka jest historia miejsc i budowli z nimi związanych. Informacje te zgadzały się na ogół z wiedzą, jaką o tych przedmiotach mieli ludzie dostarczający je do eksperymentów, a jasnowidz nazywał je „cieniami materialnymi”.

W 1926 roku Ossowiecki został zaproszony przez Prospera Szmurłę, prezesa Polskiego Towarzystwa Metapsychicznego, do odwiedzenia dotychczas zamurowanego lochu na Zamku Królewskim w Warszawie. Dotykając murów, jasnowidz stwierdził, że mieściło się tu więzienie i widzi strażników oraz przetrzymywanych ludzi.

„Oczyszczono z piasku i gliny stwardniałą część ściany – relacjonował Szmurło – i rzeczywiście na wysokości wzrostu człowieka w niektórych miejscach dostrzegliśmy mniej lub więcej wydrapane, prawdopodobnie gwoździem lub ułamkiem kamienia jakieś znaki. Przy zbliżeniu lampki elektrycznej, gdyż było zupełnie ciemno, zauważyliśmy herby, litery, szubienice, ślady pobytu dawnych mieszkańców lochu”[311].

Być może jednak kolejność zdarzeń była odwrotna, gdyż zachowała się relacja, że na początek odkryto znaki, a dopiero potem Ossowiecki snuł swoje wizje. Niemniej jednak Kazimierz Skórewicz, historyk architektury i konserwator zajmujący się rewaloryzacją Zamku Królewskiego, stwierdził, że jasnowidz opisał zamek tak, jak wyglądał on w XIV wieku. Większości współczesnych zabudowań jeszcze nie było, a loch znajdował się pod Wieżą Grodzką, gdzie przetrzymywano aresztowanych szlachciców skazanych na karę wieży.

Pomocy u Ossowieckiego poszukiwał także Jeremi Wasiutyński, gdy pisał książkę o Koperniku. Brakowało mu wielu szczegółów z życia astronoma i prosił, by jasnowidz – mając do dyspozycji tablice astronomiczne używane przez Kopernika – zobaczył i opowiedział treść swoich wizji.

„Niewielkiego wzrostu chudziutki chłopczyk – snuł opowieść jasnowidz. – Matka chuda szalenie, sympatyczna… a ojciec – mruk, przychodził tylko na obiad. (…) Był pies – Kopernik wybiegał z nim, nie lubił bawić się z innymi dziećmi, tylko z małą dziewczynką, blondyneczką, z domu obok”[312].

W wizjach Ossowieckiego o Koperniku i jego rodzinie pojawiały się informacje mające wszelkie cechy prawdopodobieństwa, ale nie brakowało także błędów. Jasnowidz zresztą przyznawał się, że czasami się mylił, ewentualnie nie potrafił wprowadzić się w trans, który umożliwiłby mu spojrzenie w przeszłość.

Czaszka generała Sowińskiego

W 1938 roku z jasnowidzem skontaktował się pułkownik Leon Dunin-Wolski, członek komitetu powołanego do upamiętnienia wojny polsko-rosyjskiej z lat 1830–1831. Oficer zwrócił się do Ossowieckiego z prośbą o pomoc w odnalezieniu szczątków generała Józefa Sowińskiego poległego podczas obrony warszawskiej Woli.

Pan Stefan wyraził zgodę, uznał bowiem, że „będzie to eksperyment wybitnie narodowy, a przy tym bardzo ciekawy". Z Muzeum Wojska Polskiego otrzymał list generała napisany niedługo przed śmiercią oraz drewnianą protezę nogi, co miało mu umożliwić odtworzenie okoliczności śmierci Sowińskiego.

Wizje Ossowieckiego przyniosły zaskakujące rezultaty. Stwierdził, że generał zginął w innym miejscu, niż dotychczas uważano, i poległ nie od kuli, lecz został zakłuty bagnetami przez Rosjan. Konającego przeniesiono wraz z dwoma innymi żołnierzami do pobliskiego kościoła, a następnie cała trójka została pochowana pod głównym ołtarzem. Świątynię zamieniono później na cerkiew, by nie stała się celem patriotycznych pielgrzymek. Wersję Ossowieckiego potwierdził – na podstawie pamiętnika dziadka – wnuk uczestnika walk na Woli. Do tego, wkrótce po odzyskaniu niepodległości, podczas przebudowy kościoła faktycznie znaleziono pod ołtarzem trzy szkielety. Nie było jednak żadnych dowodów, że wśród nich są szczątki właśnie generała Sowińskiego, i pochowano je we wspólnym grobie.

„Jakaś siła ciągnęła mnie poza obręb kościoła – relacjonował dziennikarzom jasnowidz – ku małemu kopczykowi, na którym stoi drewniany krzyż kryjący we wspólnym grobie zwłoki żołnierzy padłych w obronie Woli"[313].

Ekshumacja zbiorowej mogiły dokonana w czerwcu 1938 roku ujawniła szkielety dwudziestu czterech osób. Jasnowidz ukląkł wśród nich, „skupił się i zaczął kolejno dotykać czaszek". W pewnej chwili „drgnął, podniósł jedną czaszkę" i stwierdził, że znalazł szczątki generała Sowińskiego. Porównano kształt wskazanej czaszki z kształtem głowy generała z portretów. Badania antropometryczne potwierdziły, iż podobne były: owal twarzy, wysokie czoło, rozstawienie oczodołów i zarys podbródka[314].

Jeden ze świadków biorących udział we wcześniejszym odkryciu szkieletów pod ołtarzem przekonywał, że rozpoznał czaszkę wskazaną przez jasnowidza, gdyż miała charakterystyczny kształt oraz nietypowe uszkodzenie kości ciemieniowej. Ponadto Ossowiecki twierdził, że generał w chwili śmierci miał na sobie zielony mundur, a gdy pierwszy raz odkryto szczątki, znajdowały się przy nich kawałki zielonej materii[315].

Oficjalny komunikat był jednak dość wstrzemięźliwy. Ogłoszono bowiem, że „wykopanie czaszki będącej według najgłębszego przekonania jasnowidza inżyniera Stefana Ossowieckiego czaszką generała Sowińskiego stanowi dalszy etap pracy poszukiwań, co nie wyklucza prowadzenia uzupełniających badań w tym kierunku".

Na Ossowieckiego spadła lawina krytyki. Dziennikarze pisali o bardziej niż wątpliwym odkryciu – nie dowierzano, że czaszka, którą wskazał, należała właśnie do poległego generała. Twierdzili również, że tak naprawdę jasnowidz wykorzystał całą sytuację, by zrobić sobie darmową reklamę. Ossowiecki oświadczył, iż uczciwie potraktował eksperyment, a poza tym nie zamierzał nikomu narzucać swoich poglądów. Dodał również, że „pozostały badania naukowe oparte na faktach

historycznych, przed którymi chylił czoło, wierząc, że potwierdzą jego wskazówki”.

Czaszkę uroczyście złożono w kościele Świętego Stanisława, a później prawdopodobnie trafiła do Muzeum Wojska Polskiego.

Złowieszcza aura

Jeszcze w czasach moskiewskich jasnowidz widywał białe aury (poświaty) otaczające głowy ludzi. Uznał, że przyczyną tego jest choroba oczu, i udał się do znanego moskiewskiego okulisty. Lekarz zdiagnozował poważne schorzenie grożące utratą wzroku – zalecił zakrapianie atropiny i przebywanie w ciemnych pomieszczeniach.

Ossowiecki jednak szybko doszedł do wniosku, że okulista się pomylił. Gdy bowiem „zobaczył wyłaniającą się z kogoś białą aurę, to w ten sam dzień, najpóźniej nazajutrz, człowiek ten umierał”. Jasnowidz miał okazję wielokrotnie się o tym przekonać.

Uważał, że biała aura jest wyjściem „ciała eterycznego”, które poprzedza opuszczenie ciała astralnego w momencie śmierci. Gdy zatem w styczniu 1919 roku spotkał margrabiego Zygmunta Wielopolskiego i zobaczył wokół niego białą aurę, uznał, że arystokrata niebawem umrze. Wprawdzie Wielopolski prezentował się jak okaz zdrowia, ale Ossowiecki „jednym rzutem oka wyczytał w nim jego los”. Ponieważ margrabia miał zostać posłem Rzeczypospolitej w Londynie, jasnowidz poprosił o audiencję u premiera Ignacego Jana Paderewskiego. Poinformował szefa rządu, że wysłanie Wielopolskiego na placówkę będzie absurdem, „przecież on tam nie zdoła dojechać”, a „jego dni były policzone”[316].

W czerwcu Ossowiecki ponownie spotkał Wielopolskiego, który był „w pełnym rozkwicie lat i dobrym humorze”. Jednak wciąż widział wokół niego białą aurę, o czym jeszcze tego samego dnia poinformował kilka osób. Dodał też, że margrabia „rozstanie się z tym światem w pełni sił i zdrowia”. Faktycznie – następnego dnia w prasie ukazała się informacja, że Wielopolski nagle zmarł. Spowodowało to zamieszanie wśród znajomych jasnowidza, niektórzy zaczęli go unikać, obawiając się, że „może i w nich zobaczyć coś niespodziewanego, jak on tak wszystko widzi!”[317].

Ossowiecki miał też przeczucie o śmierci profesora Gustave’a Géleya, dyrektora paryskiego Instytutu Metapsychicznego. Latem 1924 roku przeprowadzał on w Warszawie eksperymenty z dziedziny kryptoskopii, czyli odczytywania tekstów, rysunków, obrazów bez bezpośredniego z nimi kontaktu. Wiele tych doświadczeń było niezwykle udanych – Ossowiecki z dużym przybliżeniem pisał i szkicował te same słowa i symbole, które znajdowały się w zamkniętych kopertach lub ołowianej tubie. Natomiast szczególną formą eksperymentu było także opisywanie obrazów utrwalonych na niewywołanej kliszy fotograficznej.

Ossowiecki wprawdzie nie widział wokół głowy Géleya białej aury, ale był przekonany o jego bliskiej śmierci. Bezpośrednio z Warszawy Francuz leciał do Londynu na konferencję poświęconą zagadnieniom metapsychicznym i jasnowidz, odprowadzając go na lotnisko, przekonywał, by odłożył podróż. Géley nie zamierzał zmienić decyzji, ale pilot odmówił startu z naukowcem na pokładzie. Dowiedział się bowiem, że profesor ma ze sobą gipsowe odlewy części ciał zjaw, które

materializowały się podczas seansu z badanym przez niego Frankiem Kluskim.

Chociaż Ossowiecki protestował, Géley wsiadł jednak do innego samolotu, który wkrótce po starcie z lotniska na Polu Mokotowskim spadł na przedmieściu Warszawy. Pilot i naukowiec ponieśli śmierć na miejscu, a profesor do końca trzymał w ręku walizkę, w której wiózł odlewy rąk widm.

Natomiast rok wcześniej Ossowiecki uratował kilka osób od utonięcia. Pewnego dnia ujrzał bowiem scenkę z niedalekiej przyszłości – ludzi topiących się w Wiśle przy moście Poniatowskiego. Natychmiast pojechał dorożką nad brzeg rzeki, wskoczył do łódki i nakazał płynąć w stronę kąpiących się osób. Zanim dotarł na miejsce, czworo plażowiczów zaczęło tonąć. Interwencja inżyniera uratowała życie trzem osobom. Kilku świadków tej sytuacji opisało ją później w protokole.

Śmierć Gustawa Géleya nie była jedynym wypadkiem lotniczym związanym z osobą inżyniera. W listopadzie 1937 roku zaginął samolot PLL „Lot" lecący z Salonik do Bukaresztu. Rodzina pilota Tadeusza Dmoszyńskiego poprosiła Ossowieckiego, by wyjaśnił losy douglasa DC-2. Jego wizja była przerażająca: maszyna miała się rozbić w gęstej mgle na jednym ze szczytów górskich. Jasnowidz przepowiedział to na dzień przed odkryciem szczątków samolotu w bułgarskich górach Piryn. Dokładnie zgadzały się też wysokość feralnego szczytu Mozgowiszki (2600 metrów) oraz odległość od Sofii. Ossowiecki oznajmił, że dwie osoby przeżyły katastrofę, chociaż ekipa poszukiwawcza nie odnalazła nikogo żywego. Jednak na twarzach dwóch ofiar stwierdzono „ślady dłuższej agonii"[318].

Dar bilokacji

Ossowiecki wspominał, że pewnego dnia stanął przed poważnym problemem: sprawy biznesowe zatrzymały go w Warszawie, podczas gdy w Wiedniu trwała interesująca go konferencja. Rozwiązał jednak sprawę w sposób godny człowieka o nadnaturalnych zdolnościach – przeniósł nad Dunaj swoje cało astralne.

Opowieści jasnowidza o „ukazywaniu się w astralu" wzbudziły na jednym ze spotkań towarzyskich niedowierzanie znanej aktorki Heleny Sulimy. Stwierdziła kategorycznie, że bilokacja jest niemożliwa, a opowieści Ossowieckiego to bajeczki dla grzecznych dzieci. Doszło zatem do zakładu o dwanaście butelek szampana i zaplanowano eksperyment z udziałem aktorki oraz grupy świadków. Miał się odbyć o pierwszej w nocy: Sulima ze swoimi znajomymi przebywałaby we własnym mieszkaniu przy ulicy Hożej, natomiast Ossowiecki z kilkorgiem innych osób – w gabinecie restauracji hotelu Bristol.

Przed rozpoczęciem eksperymentu jasnowidz poprosił, żeby go nie dotykać, gdy straci kontakt z otoczeniem. Po czym położył się i wpadł w trans.

„Stawał się coraz bledszy – relacjonował jeden z uczestników. – Gdzieś wybiła godzina pierwsza. Ossowiecki jakby zesztywniał. Wyglądał na śpiącego. Wtem cera Ossowieckiego nabrała koloru szarego. To zaniepokoiło doktora. Cicho stąpając po dywanie, podszedł i dotknął ręki inżyniera. Był przerażony. Wyszeptał: – Proszę państwa, on nie żyje! Nie ma tętna"[319].

W tym czasie osoby zebrane w mieszkaniu Sulimy dostrzegły za oknem „jakiś daleki, nikły, a potem coraz intensywniejszy świetlny punkt o zielonkawym

zabarwieniu”. Światło było coraz większe, zaczęło fosforyzować, aż wreszcie wypełniło połowę okna.

„Stopniowo zaczęła wyłaniać się – wspominał pułkownik Aureliusz Passelli – jakby wyrzeźbiona przezroczysta, ale wyraźna uśmiechnięta twarz Ossowieckiego. Pozdrowił nas ręką i posłał całusa. Powoli widmo zaczęło blednąć, gasnąć, aż zupełnie rozpłynęło się w ciemnościach nocy. Oszołomieni w milczeniu patrzyliśmy to na siebie, to na okno”[320].

Wszystko trwało około czterech minut, a gdy jasnowidz odzyskał przytomność, miał wielkie pretensje do lekarza, że ten dotykał go podczas eksperymentu. Stwierdził, że wszystko zakończyło się szczęśliwie tylko dlatego, iż medyk zaczął go badać, gdy wrócił z ulicy Hożej – inaczej „byłoby już po nim”.

Nie był to jedyny udany przypadek bilokacji Ossowieckiego. Kolejny tego rodzaju pokaz odbył się na życzenie innej sceptycznej aktorki, Anny Leszczyńskiej. Jasnowidz wprosił się do jej mieszkania, by jak najlepiej zapamiętać jego wygląd i atmosferę. Powróciwszy do domu, usiadł w fotelu i zaczął „sugestionować swoją świadomość”, wpatrując się w kryształową kulę. Po czym przeniósł się do aktorki.

„Nagle (później zobaczyłam, że było po pierwszej w nocy) – relacjonowała Leszczyńska – obudziło mnie coś, niesamowite uczucie, obecność kogoś i jakby blask w oknie, a noc była bezksiężycowa; zwróciłam głowę ku oknu i z przerażeniem zobaczyłam Ossowieckiego siedzącego jakby w fotelu, głowa naturalnej wielkości, patrzącego ku mnie w natężeniu”.

Twarz jasnowidza miała bolesny wyraz, a nawet malował się na niej lęk, co było zbieżne z odczuciami samego zainteresowanego. Odnosił bowiem wrażenie, „jak gdyby płynął w powietrzu, nie czując rąk ani nóg”. Nie mógł też przemówić nawet słowa i ogarnął go „strach śmierci”, gdyż nie wiedział, „jak powróci i czy w ogóle powróci”[321][322].

Bilokacja bardzo wyczerpywała jasnowidza, po eksperymencie z Leszczyńską chorował przez dwa tygodnie. Skarżył się na problemy z sercem, bóle głowy, stawów i kości.

Smakosz życia

Adam Grzymała-Siedlecki, literat i dziennikarz, określił Ossowieckiego jako osobnika o atletycznej, nieco tęgiej posturze, który odznaczał się naturalnym sposobem bycia i klasyczną elegancją.

„Twarz okrągła, otwarta – opisywał Grzymała – w radosny uśmiech ozdobiona i jasnych oczu wejrzenie dziecka, ufnego wszystkiemu i wszystkim – całość postaci dla nieznających go: obraz boksera, triumfatora sportów, wreszcie człowieka wszelakich możliwych powołań, tylko nie superuduchowiony fenomen”[323].

Ossowiecki nigdy nie pobierał opłat od ludzi, którym pomagał odnaleźć bliskich czy zagubione przedmioty. Twierdził bowiem, że na chleb powszedni zarabia jako inżynier i nie może żądać pieniędzy za dar, który otrzymał za darmo. Pracował na wysokich stanowiskach w tak dużych firmach, jak Towarzystwo Akcyjne Zakładów Żyrardowskich czy Widzewska Manufaktura, pełnił też funkcję członka zarządu Huty Szkła „Janina” i wiceprezesa rady nadzorczej Banku Handlu Zagranicznego. Do tego

był jeszcze współwłaścicielem firmy zajmującej się dezynfekcją słuchawek telefonicznych oraz przedstawicielem krotoszyńskiej fabryki klinkieru.

W interesach nie korzystał jednak ze swoich niezwykłych umiejętności – najwyraźniej w tym wypadku nic nie potrafił przewidzieć. Był też osobnikiem niezwykle roztargnionym i często gubił różne rzeczy, których nie mógł odnaleźć. Co dziwniejsze, nie miał takich problemów wówczas, gdy chodziło o własność innych osób. Dlatego też twierdził, że „siła, którą otrzymał, działająca bez jego woli, była darem, którym nie mógł się posługiwać dowolnie”[324][325].

Ossowiecki był niewątpliwie człowiekiem zamożnym, chociaż łatwo i dużo wydawał. Nie żałował też pieniędzy potrzebującym i czasami padał ofiarą oszustów. Nic zatem dziwnego, że mawiano, iż „wszystko, co miał, wycyganiono od niego”.

Nie reklamował swoich nadzwyczajnych uzdolnień i nie był megalomanem. Wprawdzie jego możliwości i umiejętności napawały go dumą, ale podczas eksperymentów nigdy nie stwarzał atmosfery tajemnicy czy cudowności. Nie lubił zresztą, gdy nazywano go jasnowidzem – wydawało mu się, że to słowo bardziej pasuje do medium czy nawet magika lub iluzjonisty.

Osoby, które dobrze znały Ossowieckiego, wspominały go jako uroczego, szarmanckiego i czarującego mężczyznę – dżentelmena w każdym calu, który lubił życie i nie odmawiał sobie przyjemności. Był wyjątkowej kategorii smakoszem, nigdy też nie brakowało mu apetytu i czasami musiał się odchudzać po „kulinarnych orgiach”.

„Podstawową cechą jego usposobienia – zauważał Grzymała-Siedlecki – był optymizm, który za sobą wiódł nieprawdopodobną wiarę w ludzi. On, który przez swoje władze metapsychiczne więcej niż ktokolwiek inny mógł wiedzieć o gałgaństwach, podstępach, okropności intencji i skrytego zła – on właśnie żył w nieustannym kredycie moralnym, jakiego udzielał bliźnim swoim”[326].

Był wielkim admiratorem kobiet i one także były mu z reguły przychylne. Dlatego Ossowieckiego nazywano Don Stephanio (aluzja do Don Juana), gdyż zawsze otaczały go „te jego adoratorki, klientki, interesantki, petentki, penitentki”.

Podobno w Rosji kilka razy żenił się i rozwodził. Odbywało się to „niejako poza jego wolą, po prostu każda następna żona wypychała swoją poprzedniczkę, sprawa załatwiała się między jedną a drugą; Don Stephanio przychodził – jak to się mówi – »na gotowe«”[327].

Natomiast w czasach niepodległej Polski był dwukrotnie żonaty. W 1922 roku poślubił Aliettę (Annę) de la Carrière. Małżeństwo przetrwało osiem lat. Podobno partnerka była niezadowolona z rozrzutności męża, tym bardziej że z jego gestu korzystali głównie inni. Być może Ossowiecki zajęty pracą i eksperymentami metapsychicznymi poświęcał Alietcie zbyt mało czasu, a do tego nadal nie odrzucał uwielbienia innych pań… Z drugą żoną, Zofią ze Skibińskich Świdową, ożenił się w 1939 roku.

Śledztwo przeciwko jasnowidzowi

Pod koniec lutego 1932 roku całą Polskę obiegła sensacyjna wiadomość o rewizji w mieszkaniu Ossowieckiego. Przeszukanie trwało aż sześć godzin, a jego przyczyną

były podejrzenia o korupcję związane ze sprawą podpoznańskiego majątku Ławica, będącego własnością Mateusza Foksowicza. Wkrótce po przewrocie majowym, w 1927 roku, armia zajęła posiadłość na swoje potrzeby, a prawa właściciela zostały sądownie ograniczone na trzy lata. W połowie 1929 roku Ławica została jednak zwrócona i właścicielowi przyznano 400 tysięcy złotych (około 6,3 miliona euro) odszkodowania. Jednak przez kolejne dwa lata na jego konto przelano tylko około jedną czwartą tej sumy, gdyż władze wojskowe odmówiły zapłacenia większej kwoty.

Foksowicz chciał sprzedać majątek, a później go rozparcelować, ale urząd ziemski odrzucił jego pretensje do dalszej części odszkodowania. W związku z tym Foksowicz skontaktował się przez pośredników z Ossowieckim, który miał rozległe znajomości w sferach rządowych. Niektórzy bowiem twierdzili, że „zajmował się od lat pośrednictwem między osobami prywatnymi a instytucjami państwowymi i podejmował się interwencji w tych sprawach". Miał za to pobierać wysokie prowizje[328].

Foksowiczowi podobno pomógł uzyskać pełne odszkodowanie i zgodę na parcelację. Miał za to zainkasować 100 tysięcy złotych, z czego jedna czwarta byłaby przeznaczona na łapówki dla odpowiednich urzędników. Panowie jednak się pokłócili i właściciel Ławicy nie zamierzał zapłacić Ossowieckiemu uzgodnionej kwoty. Sąd polubowny przyznał jasnowidzowi 50 tysięcy złotych, ale Foksowicz uznał to za oszustwo i wniósł oskarżenie przeciwko Ossowieckiemu o próbę wyłudzenia. Natomiast według innej relacji rewizji w mieszkaniu jasnowidza zażądały miejscowe władze, które zainteresowały się machinacjami wokół Ławicy[329].

„Oświadczam stanowczo i kategorycznie – pisał jasnowidz w listach do prasy – że zaszła tu denuncjacja, która spowodowała przykre nieporozumienie, które w krótkim czasie powinno być całkowicie i wszechstronnie wyjaśnione. Udziału w żadnych tyczących się wojskowości sprawach, które by uwłaczały mojej godności i nazwisku, nie przyjmowałem, jakichkolwiek zysków z tego tytułu nie miałem i nikogo do czynów nielegalnych nie nakłaniałem"[330].

Sprawą zajęła się prokuratura, ale na początku kwietnia 1933 roku umorzono śledztwo przeciw Ossowieckiemu. Jednak inżynier nie wyszedł z tej opresji całkowicie obronną ręką. Powodem umorzenia był bowiem brak dostatecznych dowodów winy, co oznaczało, że materiał dowodowy był niewystarczający do postawienia zarzutów. Tym bardziej że prokuratura stwierdziła, iż Foksowicz z Ossowieckim umawiali się kilka lat wcześniej, zatem „zachodzi trudność do stwierdzenia, czy pan Foksowicz dobrze zapamiętał słowa pana Ossowieckiego, za dowód winy pana Ossowieckiego"[331].

W sprawę miał być zamieszany także referent Dowództwa Okręgu Korpusu w Warszawie, który zeznał, że otrzymał od jasnowidza łapówkę. W śledztwie zarzut ten nie znalazł jednak potwierdzenia, a Ossowiecki powtarzał, że nigdy nie proponował referentowi pieniędzy.

Akurat to nie powinno specjalnie dziwić, gdyż rządzący wówczas Polską oficerowie Piłsudskiego nie życzyli sobie, by armia została wplątana w aferę łapówkarską. Być może pewną rolę odegrał tu fakt, że urzędnik ów nosił nazwisko Skrzetuski, tak jak bohater powieści Sienkiewicza…

Cała sprawa stanowiła jednak potwierdzenie, że Ossowiecki nie potrafi

przewidzieć czegokolwiek, co dotyczy jego osoby.

Po 1989 roku spadkobiercy Foksowicza starali się odzyskać Ławicę znacjonalizowaną na mocy dekretu PKWN o reformie rolnej – ale to już zupełnie inna historia.

Światopogląd jasnowidza

Współcześni Ossowieckiemu specjaliści od zjawisk metapsychicznych uznawali, że jego umiejętności mają „charakter etyczny i religijny", dzięki czemu pozytywnie wyróżnia się na tle „innych mediów charakteru przeważnie mechanicznego"[332]. Faktycznie, jasnowidz był głęboko wierzącym katolikiem, chociaż jego światopogląd był daleki od ortodoksji.

„Wszystko, cokolwiek dzieje się w przyrodzie – tłumaczył – ma swoje przyczyny w Wielkim Duchu. On jest alfą i omegą wszystkiego, (…) jest wiekuisty, samostworzony, nieśmiertelny, wszechmocny, niepodlegający ograniczeniom czasu i przestrzeni"[333].

Swoje zdolności metapsychiczne łączył z istnieniem Ducha Jedynego i uważał za rezultat przełamania przez duszę bariery między świadomością a nadświadomością opisywaną jako świadomość Ducha Jedynego, która stanowiła źródło wszelkiej mądrości idącej od Boga. Barierę tę byli w stanie przełamać ludzie genialni, w tym twórcy, mężowie opatrznościowi narodów oraz jasnowidze. Ossowiecki bardzo skromnie, gdyż jedynie „w pewnym stopniu", zaliczył się do tej ostatniej kategorii.

Szczególną rolę w dziejach przypisywał „wtajemniczonym": Orfeuszowi, Krisznie, Buddzie, Mojżeszowi, Mahometowi oraz „największemu wtajemniczonemu" – Chrystusowi – jako Bogu-człowiekowi i Oświecicielowi. Nie głosił jednak wyższości chrześcijaństwa, uważał bowiem, że każda religia jest bramą, przez którą wiedzie droga do „świątyni Ducha Jedynego – Świątyni Chrystusowej".

Dzieje ludzkości podzielił na cztery epoki: stworzeń wodnych, czworonogich ludzi-zwierząt, „człowieka promienistego" oraz Ducha – w tej epoce ludzkość miała osiągnąć pełnię rozwoju psychicznego. Życie w świadomości Ducha doprowadziłoby do całkowitego z nim zjednoczenia.

„W obecnej chwili zło opanowało świat – pesymistycznie oceniał własną epokę Ossowiecki – ono bowiem gnieździ się na najniższych płaszczyznach astralu, a działanie jego na człowieka jest bardzo potężne. Nie ma już dziś prawie wcale skupienia duchowego i siły odpornej. Człowiek podlega wpływom, osłabł na duchu, żywiołowe siły porywają go, a larwy i niższe istoty żyjące wokół nas wnoszą w nasze życie tyle skłóceń, nienawiści, że człowiek od tego wstrząsu czuje się w wielkiej rozterce z otoczeniem i samym sobą"[334].

Jasnowidz zauważał, że ludzkość została opanowana manią wielkości z powodu sporadycznych triumfów nad naturą, oszołomiona potęgą techniki, ale zarazem postawiona wobec pustki duchowej i braku ładu wewnętrznego. Uznając, że cywilizacja trwa w głębokim kryzysie, twierdził, iż „krzyż Chrystusa musi być wyniesiony na czoło w nadchodzącym programie ogólnej naprawy", gdyż jest to symbol wiary i zbratania się ludów.

Wizją Ossowieckiego było „królestwo pokoju", czyli świat bez wojen i

nacjonalizmu, zjednoczenie powszechne wszystkich narodów, w którym zapanuje miłość do bliźniego i pojawi się „Wódz-Król Duch słoneczny zjednoczonej Europy". Chciał obudzić ludzi z „ospałości duchowej", sam będąc „skromnym człowiekiem i sługą tych wszystkich, którzy szukają pojednania oraz wspólnej platformy dla ludzkich serc i umysłów".

Nadchodząca wojna

Znajomość z Marszałkiem i elitą piłsudczyków spowodowała, że Ossowiecki otrzymał propozycję pracy w berlińskim poselstwie Rzeczypospolitej. Zapewne zamierzano tam wykorzystać jego dar jasnowidzenia, co na tak ważnej placówce byłoby ogromnym atutem. Inżynier jednak stanowczo odmówił – uważał, że „przecież kontrwywiad niemiecki od razu by go wykończył".

Natomiast Stefan Ołpiński, postać dość dwuznaczna, znany jako specjalista od zakulisowych rozgrywek politycznych i wywiadowczych, twierdził, że po dojściu Hitlera do władzy zaprosił jasnowidza do Berlina.

„Okazałem mu pewne dokumenty – wspominał – oraz przedstawiłem mu pewne osobistości niemieckie, które – będąc w opozycji do Hitlera i Göringa – oświadczyły wręcz, że oni przygotowują wojnę z Czechosłowacją, a później z Polską"[335].

Po powrocie do Warszawy Ossowiecki miał ponoć przekazać te informacje Piłsudskiemu i Śmigłemu-Rydzowi. Jest to jednak relacja niewiarygodna, gdyż wprawdzie Hitler planował już wówczas oderwanie Sudetów od Czechosłowacji, ale aż do początku 1939 roku miał nadzieję na antysowiecki sojusz z Polską i wspólną wyprawę na Moskwę.

Marszałek Śmigły grywał w tym czasie w brydżowej parze z Ossowieckim, a także spotykał się z innymi jasnowidzącymi: Walerią Sikorzyną i Fullą (Stefanią) Horak. Sikorzyna miała wyjawić Śmigłemu kierunki niemieckiego ataku na Polskę, natomiast Horak – na uwagę marszałka o Polsce od morza do morza – stwierdziła, że będzie to możliwe, ale „od morza krwi do morza łez". Horak wspominała też, że Ossowiecki, który był obecny podczas tej rozmowy, bardzo ostrożnie zauważył, iż „miecz będzie dobyty do połowy pochwy, ale do walki nie dojdzie"[336].

W 1938 roku na łamach prasy ukazała się prognoza Stefana Ossowieckiego na kolejny rok. Nie przewidywał wojny, co później przytaczano jako dowód, że jasnowidzowi zdarzały się jednak poważne pomyłki. Czy rzeczywiście? Latem 1939 roku podczas spotkania towarzyskiego Ossowiecki zapytany, czy wybuchnie wojna, zaprzeczył. Potem jednak, zwierzył się w prywatnej rozmowie: „Jesteśmy w przededniu wojny, już tylko dzielą nas od niej dni". Przyznał również, że „dał słowo honoru marszałkowi Śmigłemu i miał zakaz publicznego wypowiadania się o wybuchu wojny"[337].

Jeżeli Ossowiecki naprawdę przewidział światowy konflikt, to jednak fatalnie się pomylił, mówiąc, że po jego zakończeniu Polska – choć za straszną cenę – „będzie jeszcze większa niż teraz". Dodawał też, że on tej wojny nie przeżyje i nawet nie będzie miał grobu…

Lata okupacji

Zaraz po niemieckiej agresji znajomi proponowali Ossowieckiemu pomoc w

wyjeździe za granicę. Oddano mu nawet do dyspozycji samochód, ale jasnowidz odmówił opuszczenia kraju. Oświadczył, że może być potrzebny warszawiakom, i zdania nie zmienił.

24 września 1939 roku, na kilka dni przed kapitulacją Warszawy, odwiedziła go żona generała Mikołaja Bołtucia. Niepokoiła się o męża, który był dowódcą Grupy Operacyjnej „Wschód" wycofującej się w kierunku stolicy po bitwie nad Bzurą. Niestety, jasnowidz nie miał dla niej dobrych wiadomości.

„O brzasku mąż mój idzie z dużym oddziałem – relacjonowała generałowa. – Koło niego widzi [Ossowiecki – T.S.] oficerów, których szczegółowo i tak charakterystycznie opisywał, że mogłam ich poznać z sylwet, jak kapitana Kwiatkowskiego i majora Kuntze, i innych. Widział Ossowiecki, jak mój mąż trafiony w szyję pada do rowu, jak stara się podnieść, ale krew upływa z wielką szybkością"[338].

Inżynier narysował plan sytuacyjny okolicy Łomianek, gdzie doszło do opisanych wydarzeń, ale zaznaczył, że stan generała był beznadziejny. Maria Bołtuciowa, idąc za tymi wskazówkami, odnalazła grób męża, a obok niego mogiły oficerów, którzy mu towarzyszyli.

Nie był to jedyny przypadek związany z podwarszawskim pobojowiskiem. Na prośbę rodziny podchorążego Janusza Olewińskiego Ossowiecki odnalazł zbiorowy grób, w którym wskazał poległego żołnierza, a najbliżsi zidentyfikowali ciało.

Jesienią 1939 roku do Ossowieckiego zaczęli się zgłaszać bliscy osób zaginionych podczas kampanii wrześniowej i mieszkanie jasnowidza czasami „robiło wrażenie dworca kolejowego". Odwiedzali go bowiem ludzie z całej Polski poszukujący informacji o losach swoich rodzin, a inżynier wszystkich przyjmował, chociaż jego żona uważała, że zbyt się przemęcza i ryzykuje, gdyż jest pod obserwacją Gestapo. Jasnowidz twierdził jednak, że nie potrafi odmawiać[339].

„Podczas okupacji – wspominała jedna ze znajomych jasnowidza – schody do jego mieszkania od rana były zapełnione matkami, żonami, córkami tych uwięzionych i zaginionych. Ossowieckiego męczyło to bezgranicznie. Był z gruntu dobrym człowiekiem, nieraz, gdy widział coś ostatecznego, bronił się niemożnością jasnowidzenia z powodu swojej niedyspozycji"[340].

Czasami jednak przepowiadał ludziom tragiczną przyszłość. Właśnie tak było w przypadku znanego stołecznego dziennikarza, Stefana Kwaśniewskiego „Quasa". W ostatnich dniach powstania zwierzył się koledze: „Ten słynny wróżbita Ossowiecki powiedział, że nie przetrzymam wojny". Zauważył jednak, że udało mu się przeżyć całe powstanie, chociaż Warszawa została zniszczona. Nie uszedł jednak przeznaczeniu – gdy bowiem pod wieczór następnego dnia (już po oficjalnym zawieszeniu broni) poszedł posłuchać wiadomości radiowych z Londynu, w dom trafił pocisk i dziennikarz zginął[341].

Podobno jasnowidz posiadał zaświadczenie od niemieckiego oficera, któremu przed wojną pomógł odnaleźć mordercę córki. Ten specyficzny glejt został nawet podpisany przez Hitlera, dzięki czemu Ossowiecki mógł wydostawać ludzi z łapanek i zapobiegać aresztowaniom[342].

Podczas wojny utrzymywał się z pośrednictwa w handlu, prowadził też sklep z artykułami metalowymi przy ulicy Miedzianej, a jego żona sklep spożywczy przy

Śniadeckich oraz była współwłaścicielką baru kawowego Gryf przy ulicy Brackiej. W swoim mieszkaniu przy Marszałkowskiej Ossowieccy organizowali koncerty, podczas których grano wyłącznie zakazane przez Niemców utwory Chopina. Była to forma pomocy dla pianistów[343][344].

O sobie wolę nie mówić

Na początku 1944 roku Ossowiecki spotkał swojego przedwojennego klienta biznesowego, któremu wyznał, że „dymy zasłonią ruiny Warszawy", a po jej ulicach będą płynąć „potoki krwi". Miasto miało zostać kompletnie zniszczone, a potem odbudowane. Ale będzie „to już inna Warszawa".

Był jednak przekonany, że nie zobaczy już nowej stolicy, prosił nawet, by go unikać, bowiem może ściągnąć nieszczęście na innych. Po raz pierwszy – i chyba jedyny – trafnie przewidział własną przyszłość: zginął bowiem w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego (3 lub 5 sierpnia 1944 roku). Podobno wraz z innymi lokatorami kamienicy, w której mieszkał, został usunięty z budynku i zmuszony do wejścia do piwnicy domu na rogu Marszałkowskiej i Oleandrów. Następnie Niemcy wrzucili pomiędzy ludzi granaty.

Inna wersja śmierci jasnowidza mówi o rozstrzelaniu go na terenie ogródka jordanowskiego przy ulicy Bagatela.

„3 sierpnia Gestapo zabrało matkę i ojczyma – opowiadał Marian Świda, pasierb jasnowidza – z plebanii kościoła Zbawiciela, gdzie schronili się po wyrzuceniu ich z domu Marszałkowska 17. Na Szucha (mieściła się tam siedziba Gestapo) rozdzielono ojczyma z matką. (…) Są świadkowie, którzy go widzieli w grupie mężczyzn przeznaczonych na rozstrzelanie"[345].

Ossowiecki zabrał z mieszkania walizeczkę, zapewne miał w niej rękopis swojej pracy *Nieśmiertelność* i pamiętnik. W grupie kobiet zauważył znajomą. Podszedł do niej, by przekazać walizeczkę. Uspokoił kobietę, mówiąc, że przeżyje, a gdy ona zapytała, co będzie z nim, odparł, iż „o sobie woli nie mówić". Niemcy zauważyli, że Ossowiecki odłączył się od mężczyzn przeznaczonych do rozstrzelania, i nakazali mu wrócić do grupy. Wtedy, „trzymając kurczowo walizeczkę, powlókł się chwiejnym krokiem".

Miejscem egzekucji był teren przed gmachem Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych na rogu Alej Ujazdowskich i Bagateli, który do dzisiaj pozostał niezabudowany. Hitlerowcy zamordowali tam kilkuset Polaków.

Tak jak przepowiedział Ossowiecki, jego ciało nie zostało odnalezione. Zwłoki rozstrzelanych spalono, po wojnie ekshumowano je i przeniesiono na cmentarz Wolski do zbiorowej mogiły. Symboliczne miejsce pochówku jasnowidza znajduje się na Starych Powązkach w grobowcu jego szwagra, generała Jana Jacyny.

Nigdy później nie pojawił się w Polsce człowiek obdarzony takim talentem do jasnowidzenia ani telepatii. O bilokacji już nie wspominając.

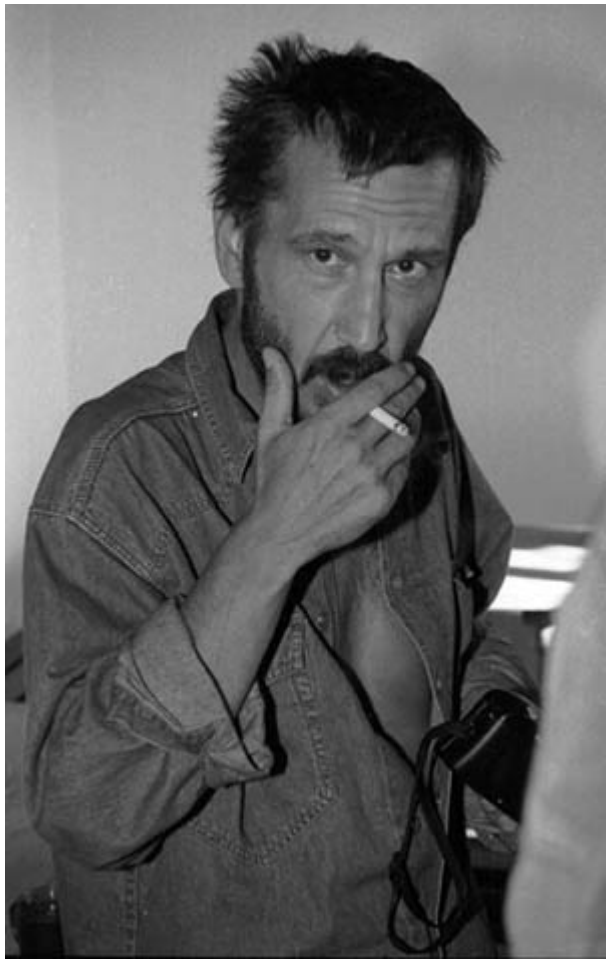

Bogdan Kacmajor

Rozdział 9

Sekta Niebo. Bogdan Kacmajor

W czasach PRL-u poruszanie tematyki dotyczącej zjawisk paranormalnych było zakazane. Wszechwładna cenzura nałożyła blokadę na wiadomości o cudach, uzdrowicielach i jasnowidzach, albowiem były to kwestie sprzeczne z racjonalistyczną ideologią socjalistyczną. Dopiero upadek komunizmu spowodował, że media zainteresowały się tego rodzaju osobliwościami, a jednym z najgorętszych tematów stała się działalność sekt.

Faktycznie, właśnie w latach 90. nastąpiła ofensywa alternatywnych ruchów religijnych, co było wynikiem kryzysu światopoglądowego po upadku najlepszego z ustrojów. Najgłośniejszą sektą tamtych lat był Zbór Leczenia Duchem Świętym „Niebo" założony przez Bogdana Kacmajora, chociaż po latach trudno zrekonstruować jego działalność. Relacje medialne koncentrowały się bowiem niemal wyłącznie na sensacji i epatowaniu makabrą, a do tego nie tylko nie przestrzegano chronologii wydarzeń, lecz także mylono fakty oraz imiona i nazwiska.

Uzdrowiciel znad Zalewu Wiślanego

Bogdan Kacmajor przyszedł na świat w Elblągu w 1954 roku. Wcześnie osierocony przez ojca nie dokończył edukacji licealnej, gdyż przerwał naukę w czwartej klasie. W zamian rozpoczął pracę w galerii sztuki i podobno przejawiał znaczny talent artystyczny. Porzucenie szkoły miało jednak fatalne następstwa, gdyż zgodnie z obowiązującym wówczas prawem dostał powołanie do odbycia zasadniczej służby wojskowej.

Kacmajor uważał się za pacyfistę i po wcieleniu do jednostki kategorycznie odmawiał wykonywania rozkazów. W tej sytuacji skierowano go na badania psychiatryczne, co wiązało się z odroczeniem służby na dwa lata. Został jednak uznany za w pełni poczytalnego i ponownie powołano go do wojska, ale odmówił stawienia się we wskazanej jednostce.

Dostał za to dwa lata więzienia, a wyrok odbywał w zakładach penitencjarnych w Elblągu oraz Sztumie i raczej nie mógł narzekać na warunki. Przetrzymywano go bowiem w pojedynczej celi, bez kontaktu z miejscowymi recydywistami. W zamian miał dużo czasu dla siebie, pisał i malował, a do tego cieszył się sympatią personelu więziennego, gdyż dokształcającym się strażnikom pisał prace z języka polskiego.

Po wyjściu na wolność zatrudnił się w teatrze dla dzieci, a w 1982 roku doznał pierwszego widzenia. Podobno ujrzał własnego sobowtóra, który miał go przekonać,

że posiada moc uzdrawiania. Specjalnie go to nie zdziwiło, gdyż już wcześniej zaobserwował u siebie nietypowe umiejętności, a Elbląg był w tamtym okresie dobrym miejscem dla wszelkiej maści uzdrowicieli.

Od wczesnych lat 60. w klasztorze przy kościele Świętego Pawła Apostoła przebywał bowiem franciszkanin Andrzej Klimuszko. Był zielarzem, jasnowidzem i bioenergoterapeutą, który za swoją misję uważał leczenie bliźnich. Zdobył ogromną popularność, a gdy zmarł w sierpniu 1980 roku, w mieście pojawili się następcy zakonnika. Jednym z nich był właśnie Bogdan Kacmajor.

Jego pierwszą pacjentką była własna ciotka, którą miał uleczyć, nakładając jej ręce na czoło. Musiał być rzeczywiście zdolnym bioenergoterapeutą, gdyż szybko zdobył uznanie – na jego wizyty zapisywano się z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. Odwiedzał pacjentów w domach, a rosnąca popularność spowodowała, że musiał zatrudnić sekretarkę i wynająć na stałe taksówkarza.

„Nie leczę ciał tych ludzi, leczę ich etykę – tłumaczył w jednym z wywiadów. – Wszyscy ludzie, którzy ode mnie wychodzą, są uleczeni do końca ze wszystkich chorób. Cierpimy za grzechy z poprzednich wcieleń, ale jeżeli w tym wcieleniu będziemy dobrzy, nie będziemy chorować. Kiedy nakładam chorym ręce, czuję w sobie ich choroby. Ja mogę chorobę odjąć, ale także mogę ją na człowieka włożyć”[346].

Niebawem przeniósł się do wsi Kruszewnia pod Morągiem, gdzie kontynuował działalność uzdrowicielską. Przyjeżdżały tam wycieczki autokarowe chorych, a Kacmajor pracował od rana do nocy. Osiągnął też znaczny sukces finansowy, gdyż chętnych było tak wielu, że spotkania z nim organizowano nawet w salach katechetycznych i kościołach. Księża traktowali go przychylnie, gdyż twierdził, że leczy Duchem Świętym w imieniu Jezusa Chrystusa.

„To był taki typowy prosty facet – wspominała jedna z mieszkanek Morąga. – Nosił dżinsy, modne koszule, skórę i okulary, dbał o swój wygląd. Lubił wypić, palił dużo papierosów i klął. (…) Nigdy nie widziałam w nim nic boskiego, wręcz przeciwnie, był takim zwyczajnym człowiekiem. Ale widziałam te tłumy, które do niego przyjeżdżały. Ja nie wierzyłam w jego cuda, choć na początku zastanawiałam się nad tym, bo moja ciotka została wyleczona z bólów kręgosłupa. Po roku te bóle jej wróciły”[347].

Niebawem Kacmajor doszedł jednak do wniosku, że pora założyć własny związek wyznaniowy. Miała o tym zadecydować kolejna wizja – uznał się po niej za człowieka, którego przeznaczeniem będzie kierowanie życiem duchowym innych. Postanowił zerwać z Kościołem i wraz z wybraną grupą wiernych prowadzić życie godne apostołów. Rozwiódł się z żoną, po czym nabył trzydzieści hektarów ziemi w Majdanie Kozłowieckim w pobliżu Lubartowa na Lubelszczyźnie. Doskonale bowiem zdawał sobie sprawę, że zachodzące w kraju przemiany polityczne wywołały poważny kryzys światopoglądowy i wielu sfrustrowanych Polaków będzie podatnych na nauki charyzmatycznego lidera religijnego.

Sekty i kapitalizm

Upadek komunizmu nad Wisłą oznaczał prawdziwe trzęsienie ziemi dla milionów

Polaków. Wprawdzie zniknął totalitarny reżim, który przez prawie pół wieku dławił wolność, ale kapitalizm pokazał swoje drapieżne oblicze. Bankrutowały kolejne firmy, likwidowano potężne państwowe gospodarstwa rolne – z dnia na dzień tysiące Polaków trafiało na bezrobocie. Wprawdzie puste do niedawna półki sklepowe zapełniły się zachodnimi towarami, ale niewielu było stać na ich zakup. Szalała inflacja, ceny rosły w ekspresowym tempie i niebawem znaczna część społeczeństwa zatęskniła za obalonym ustrojem. Uznano bowiem, że chociaż nie było wówczas wolności, a sklepy świeciły pustkami, to żyło się lepiej i sprawiedliwiej.

Frustrację pogłębiał fakt, że rzekomo przegrani komuniści przeżywali okres największej prosperity finansowej. Nie zostali rozliczeni za przeszłość, a w zamian wzięli aktywny udział w dzikiej prywatyzacji. Za bezcen przejmowali państwowe mienie i bez większych problemów zagwarantowali sobie dochody finansowe, o jakich nigdy wcześniej nie marzyli. Wprawdzie na razie nie dążyli do władzy, ale było pewne, że przefarbowani na socjaldemokratów niebawem staną się znaczącą siłą polityczną.

Dużym rozczarowaniem okazało się natomiast postępowanie liderów dawnego obozu opozycyjnego. Niemal od chwili upadku komunizmu rozpoczęli bezpardonową walkę o władzę i jednolita do niedawna grupa postsolidarnościowa podzieliła się na wiele frakcji. Powstawały i upadały partie polityczne, których programy były mało zrozumiałe dla przeciętnego obywatela, dawne autorytety traciły na znaczeniu, a zubożałe społeczeństwo nie chciało już słuchać zapowiedzi, że kiedyś będzie lepiej.

Oddzielnym problemem była polityka Kościoła katolickiego. Dotychczas cieszył się on ogromnym szacunkiem i nawet ludzie niebędący zbyt gorliwymi katolikami doceniali jego zasługi w walce z komunizmem. Teraz, po zmianie ustroju, hierarchia kościelna wydawała się interesować wyłącznie odzyskiwaniem dawnych majątków, ustawą antyaborcyjną i wprowadzeniem religii do szkół. Potrzeby wiernych zeszły na plan dalszy, a szczególnie niezręczne okazało się zderzenie przepychu nowo budowanych plebanii z biedą przeciętnego parafianina. Na domiar złego władze kościelne nie wykazały się wyczuciem sytuacji i natrętna propaganda religijna przynosiła skutki odwrotne do zamierzonych. Hierarchowie katoliccy ignorowali bowiem całkowicie fakt, że ich postępowanie daleko odbiega od nauk Chrystusa i jego uczniów.

W tej sytuacji wielu Polaków przeżywało wówczas poważny kryzys światopoglądowy. Wyczekiwany kapitalizm nie spełnił pokładanych w nim nadziei, liderzy opozycji okazali się marnymi politykami, a kler interesował się niemal wyłącznie finansami i narzucaniem wiernym ograniczeń zgodnych z katolicką wizją świata.

Nową religią stało się bezpardonowe dążenie do sukcesu, co nie wszystkim odpowiadało. Znaczna część społeczeństwa była bowiem przyzwyczajona do państwa opiekuńczego (nawet w wydaniu komunistycznym), gdzie praktycznie wszyscy mieli zagwarantowaną pracę i minimum egzystencji, nawet jeżeli oznaczało to kilometrowe kolejki w sklepach. Wprawdzie na własne mieszkanie spółdzielcze czekano latami, ale w zamian płaciło się tylko niewielką część ich rzeczywistej wartości. Upadek PRL-u zmienił jednak wszystko i większość Polaków nie potrafiła się odnaleźć w nowych realiach.

Sytuacja sprzyjała powstawaniu sekt, których liderzy oferowali rozwiązanie większości problemów. Potencjalnym adeptom ukazywano nowy cel w życiu, ścieżkę kariery w obrębie wspólnoty, a do tego – poczucie bezpieczeństwa i zaufania. Ogromne znaczenie miała także pomoc w walce z nałogami i odpuszczenie wcześniejszych postępków. W zamian charyzmatyczni liderzy oczekiwali całkowitego podporządkowania się swojej woli, co wśród sierot po PRL-u mogło uchodzić za całkiem niezły interes.

Liderzy sekt doskonale wyczuwali koniunkturę, a Kacmajor był na uprzywilejowanej pozycji, gdyż kierował swoje przesłanie do własnych pacjentów. Z tego też powodu postanowił osiąść w Majdanie Kozłowieckim, gdyż wiedział, że z okolic Lubartowa pochodzi wielu jego ozdrowieńców, a tych uznawał za dobry materiał na przyszłych członków sekty.

Majdan Kozłowiecki

Wieś, w której osiedlił się Kacmajor, liczyła około setki mieszkańców. Samozwańczy prorok zaplanował tam wzniesienie rezydencji – miał w niej uzdrawiać i nauczać, a w bezpośrednim sąsiedztwie powstałaby kolonia domków dla jego wyznawców. Skończyło się jednak wyłącznie na budowie domu dla Kacmajora. Był on jednak tak obszerny (około czterystu metrów kwadratowych powierzchni użytkowej), że zamieszkało tam ponad pięćdziesiąt osób. Z inwestycją nie było żadnych problemów – miejscowi urzędnicy załatwili przydział materiałów budowlanych i wszystkie konieczne zezwolenia, a w zamian Kacmajor leczył ich poprzez nakładanie rąk. Pomagał też najbogatszy miejscowy przedsiębiorca, a zastępca komendanta policji z Lubartowa nieomal został członkiem sekty.

Dobrze ułożyły się też kontakty z mieszkańcami Majdanu. Członkowie Nieba kupowali od nich produkty rolne, a prorok uzdrawiał chętnych. Niektórzy zachowywali jednak pewną rezerwę, uważając wizyty u Kacmajora za rodzaj mody, która opanowała okolice. Wielu jednak szczerze uwierzyło prorokowi.

„Sam do niego się zapisałem – wspominał jeden z pacjentów – bo miałem chore stawy. Jak nałożył na mnie ręce, to poczułem dziwne prądy i zawroty głowy. Później nie miałem już żadnych problemów ze zdrowiem”[348].

Kacmajor zawsze twierdził, że nakładając ręce w celu uzdrowienia, odczuwał bóle swojego pacjenta. Czasami nawet nie musiał go dotykać, gdyż wystarczyło, że znalazł się w pobliżu chorej osoby. Przyznawał, że powodowało to znaczny dyskomfort, gdyż dziennie przyjmował wielu chętnych i wieczorem miał już ochotę krzyczeć z bólu. Czasami w swoich opowieściach posuwał się jednak zbyt daleko – z całą powagą mówił na przykład, że po wizycie pewnej pacjentki bolały go jajniki i odczuwał pieczenie lewej ścianki pochwy…

Samozwańczy guru nie ograniczał swojej praktyki leczniczej wyłącznie do okolic Lubartowa. Sporo podróżował po Polsce, bywał także w Niemczech i w Ukrainie. Za zachodnią granicą zwracał uwagę na miejscowych Polaków, a szczególnie na osoby zagubione i schorowane oraz uzależnione od narkotyków czy alkoholu.

„Wyciągnął mnie z nałogu – wspominał Paweł K. – Choroby. Pytałem się, jak mam się modlić. Klękać? Składać ręce? Bogdan powiedział: »Stań, podnieś ręce do

góry i mów krótko, bo Bóg i tak wie wszystko«. Zawsze wiedziałem, że jest Bóg, ale nie pasował mi Chrystus pokazywany jako zwłoki na krzyżu. Dzięki Bogdanowi zrozumiałem, że Bóg jest wszystkim”[349].

Podstawą działalności sekty była praktyka uzdrowicielska jej lidera i w 1991 roku Kacmajor zarejestrował działalność gospodarczą. Wprawdzie nie były to jeszcze czasy kas fiskalnych, ale prorok osiągał znaczne dochody i musiał płacić podatki. Dlatego założył spółkę cywilną Leczenie Ludzi przez Nakładanie Rąk, którą rok później przekształcono w Leczenie Duchem Bożym w Imieniu Jezusa Chrystusa przez Nakładanie Rąk. Natomiast wspólnota religijna uzyskała nazwę Zbór Leczenia Duchem Świętym „Niebo”, chociaż wyznawcy określali ją jako Państwo Jutrzenki Pomocy Nieustającej lub bardziej przyziemnie – Państwo Hotelowe.

Ideologia i praktyka

Wprawdzie lider sekty powtarzał, że nigdy nie miał ambicji, by zostać guru, ale jednocześnie twierdził, że Bóg wybrał go na swoje narzędzie, gdyż „był fajnym facetem”. Takie sformułowanie było dość charakterystyczne dla Kacmajora – często bowiem posługiwał się kolokwialnym, a wręcz prostackim językiem, nie unikając nawet wulgaryzmów, co jednak nie zrażało do niego wyznawców.

„Kazania walił – wspominał jeden z członków sekty – że czad odchodził. Stosował język adekwatny do tych czasów (nawet od chujów wyzywał). Uważał, iż Chrystus, mówiąc np. »plemię żmijowe!«, też szokował w podobnym stylu. Bogdan Kacmajor podnosił więc ręce, z jednej szło ciepło, z drugiej zimno. »Niech idzie duch – grzmiał. – Tylko trzy kurwy odrzućcie: kapitalizm, socjalizm i Kościół«”[350].

Prorok oficjalnie zerwał z Kościołem, tworząc własny system religijny oparty na autorskiej interpretacji Biblii. Uznał się za wcielenia Eliasza, najczęściej cytowanego proroka w Nowym Testamencie. Według ewangelistów życie Jana Chrzciciela miało być odwzorowaniem posłannictwa Eliasza, ale główne cechy proroka dało się odnaleźć w osobie Chrystusa. Kacmajor faktycznie mierzył bardzo wysoko, co zresztą potwierdzały przydomki, którymi się podpisywał. Poza Eliaszem używał także imion: Mąż Boży, Apostoł czy Drzewo Żywota.

Kacmajor dowolnie dobierał wątki biblijne, mieszając je z fragmentami Nowego Testamentu. Jednak najważniejszym elementem jego nauki była wizja końca świata, który miał nastąpić w 2000 roku. Przy życiu pozostałoby 144 tysiące wiernych, co stanowiło czytelną aluzję zarówno do dwunastu plemion Izraela, jak i liczby apostołów. Taką właśnie liczebność miała osiągnąć sekta Niebo, a ukoronowaniem procesu byłoby ponowne pojawienie się Zbawiciela, który zamieszkałby razem z wiernymi Kacmajora w Majdanie Kozłowieckim. Miało tam powstać Państwo Tysiącletnie Chrystusa, którego członków nie dotknęłyby szalejące na świecie wojny, głód i zarazy. W Majdanie miały zniknąć wszelkie nałogi, żądze i namiętności, a wybrańców Kacmajora czekało szczęśliwe życie w pokoju i dostatku.

Prorok wykorzystał odwieczny lęk chrześcijan przed okrągłymi datami. Europejczycy przygotowywali się już na koniec świata w roku tysięcznym, podobnie zresztą jak pięćset lat później. Wprawdzie w ostatnich latach XX wieku podobny lęk mógł się wydawać całkowicie irracjonalny, ale skoro Kacmajora uznawano za wcielenie Eliasza, to dlaczego nie mógłby przewidzieć końca świata?

„Nietrudno było dostrzec – wspominał członek sekty, Sebastian Keller – że w

doktrynie naszego guru prym wiedzie niechęć, wręcz nienawiść do Kościoła katolickiego. Szczególnie źle mówił o kulcie Matki Boskiej. Twierdził, że była ona oczywiście bardzo ważną kobietą w dziejach ludzkości, urodziła Chrystusa, lecz wcale nie jest święta i nie należy jej czcić. W związku z tym śmiał się z różańca, z Jasnej Góry, z modlitw do Maryi”[351].

Inna sprawa, że prorok miał ogromne ambicje. Opowiadał swoim wyznawcom, że za kilka lat będzie podróżował wraz z nimi prywatnym odrzutowcem, by leczyć ludzi na całym świecie. Zapowiadał również, iż niebawem zajmie się wskrzeszaniem zmarłych, co przyciągnie do sekty miliony wiernych, a w niemal każdej krzyżówce zamieszczanej w światowej prasie znajdzie się pytanie „jakie imię nosi najstarszy syn Kacmajora?”. Póki co zaczął się uważać za „świętego Bożego”.

Zbigniew Sajnóg

Samozwańczy prorok przyjmował do sekty niemal wszystkich chętnych. Specjalnie nie wybrzydzał i w Majdanie pojawiali się zarówno nastolatkowie, którzy uciekli z domu, jak i ludzie w wieku przedemerytalnym. Jednak najcenniejszą zdobyczą okazał się trójmiejski poeta i performer, Zbigniew Sajnóg. Był młodszy od Kacmajora o cztery lata, a w kwietniu 1986 roku założył Tranzytoryjną Formację Totart specjalizującą się w skandalizujących happeningach, które przekraczały granice oficjalnie uznawanej sztuki. Wymagało to szczególnej odwagi, gdyż lata 80. nie były najlepszym okresem dla awangardowych poszukiwań. Dla rządzących Polską komunistów działalność Totartu stanowiła przykład sztuki zdegenerowanej, inspirowanej imperialistycznymi wzorami.

„To był fantastyczny facet – oceniał Sajnoga jego współpracownik, poeta Paweł »Konjo« Konnak. – Po pierwsze, sam miał wielki talent, po drugie – wyzwalał w nas potencjał, po trzecie wreszcie, bo trzeba to powiedzieć wprost, miał mieszkanie, gdzie mogliśmy przychodzić i robić te wszystkie wariackie akcje artystyczne”[352].

Sajnóg imponował już samym wyglądem – na tle szarości lat 80. sprawiał wrażenie „emanacji odmienności estetycznej”. Miał „długie czarne włosy rozwiane jak u demiurga z pogańskich mitologii”, a przy tym chętnie zakładał „gumowy płaszcz z francuskiego demobilu”. Zawsze też przewieszał przez ramię torbę, w której „nosił swoje wiersze” oraz bagnet, za pomocą którego „opędzał się od przedstawicieli polskiego społeczeństwa, którym nie pasowali na ulicach miast osobnicy (…) nieprzypominający brygadzistów w stoczni”[353].

Oprócz Sajnoga i Konnaka główne role w Totarcie odgrywali: Tymon Tymański, Paweł Mazur i Wojciech Stamm. Grupa nie miała zresztą stałego charakteru, jej skład ewoluował, a w działalność było zaangażowanych kilkadziesiąt osób. Z tego powodu Sajnóg po latach używał określenia „ruch artystyczny, a trochę polityczny”. Happeningi Totartu nawet dzisiaj wzbudzałyby skrajne emocje, a ich twórcy mieliby zapewne problemy z prawem. I to bynajmniej wcale nie z powodów politycznych.

„Tymański chodził z pomalowaną twarzą – relacjonował jeden z dziennikarzy – i krzyczał: »Europa! Papież wali konia«. Później Sajnóg przez 20 minut czytał w ciszy *Manifest o końcu świata*, a potem Konnak pląsał w rajstopach do muzyki, którą grał Tymon z kolegami, Kudłaty czytał wiersze i golił nogi, Sajnóg wyciągał serdelki z

rozporka i dawał mu do zjedzenia. Na ścianie jak zwykle wyświetlano pornola. I wtedy Konnak zrobił kupę na tackę, a Tymon nasikał na niego. Na koniec Sajnóg wysmarował Konnaka sztucznym gównem”[354].

Sajnóg był człowiekiem o wielu zainteresowaniach, ale chyba najbardziej pociągała go poezja. Do historii polskiej literatury przeszedł jako autor wiersza *Flupy z pizdy*, którego publikacja na łamach „BruLionu” wywołała w 1991 roku gorące polemiki. Z jednej strony protestowano przeciwko wulgaryzmowi w literaturze, uznając wiersz za przykład zdziczenia młodego pokolenia twórców, ale jednocześnie niemal natychmiast zyskał status kultowego. Numer „BruLionu”, w którym go opublikowano, został zapamiętany właśnie dzięki Sajnogowi, a nie utworom Marcina Świetlickiego i Jacka Podsiadły, które mu towarzyszyły. Inna sprawa, że wiersz lidera Totartu stał się inspiracją dla twórców nurtu prowokacyjnego w literaturze.

Sajnóg mógł uchodzić za jednego z najzdolniejszych poetów swojego pokolenia, ale od lat nie potrafił dać sobie rady z własną psychiką. Miał skłonności do mistycyzmu, nosił nawet przydomek Mesjago i coraz bardziej oddalał się od zinstytucjonalizowanej religii. Gdy szedł do kościoła, by się pomodlić, to „uciekały przed nim ptaki”, a „psy na niego się rzucały”. Prześladowały go niepokojące wizje, słyszał różne głosy, widywał wieszcze znaki. To wszystko wprawiało go w stan przerażenia.

„Zobaczyłem obraz – opowiadał – który trwał przez kilkanaście minut. Taka gra duchów na niebie, układających się w różne formy, trójkąty, światła Ducha Świętego, teraz to wiem, wtedy nie wiedziałem. Nie tylko ja to widziałem, widziała to moja matka, paru sąsiadów. Niedługo potem spotkałem się z Niebo. Po prostu znajomy mnie tam zawiózł. To był dla mnie, teraz tak to widzę, początek tego wszystkiego, co się wydarzyło, czego wtedy nie rozumiałem”[355].

Sajnóg miał też problemy ze zdrowiem fizycznym, a lekarze nie potrafili postawić skutecznej diagnozy. Zdarzało się, że całymi tygodniami nie opuszczał domu, by potem krążyć po Polsce, poszukując porad u kolejnych uzdrowicieli. Nie przynosiło to jednak efektów, wracał na Wybrzeże załamany, a na wszystko nałożył się jeszcze kryzys wiary. Sajnóg zaczął bowiem opowiadać, że w kościele zamiast Boga spotyka diabła…[356]

Na domiar złego Totart zaczął się rozsypywać, gdyż jego główni animatorzy skupili uwagę na własnych sprawach: Tymański zdecydował się na karierę rockmana, Stamm wyjechał do Niemiec, Mazur rozpoczął pracę jako dziennikarz, a Konnak uznał, że czas spoważnieć i zarabiać pieniądze. Do Berlina wyjechała też długoletnia narzeczona Sajnoga, co dodatkowo przybiło poetę. Czuł się odrzucony, tym bardziej że na początku lat 90. w Polsce nie byli już potrzebni niezależni artyści awangardowi, bowiem sztuką zaczęła rządzić komercja.

Poeta poznał Kacmajora już wcześniej, gdyż leczył się u niego pod Morągiem. Uzdrowiciel wywarł na nim ogromne wrażenie i nie dotyczyło to wyłącznie jego możliwości w zakresie bioenergoterapii.

„Powiedział publicznie wobec wszystkich – wspominał poeta po latach – że w Ameryce Południowej spadnie na ludzi góra. I mniej więcej tydzień później usłyszałem komunikat, że bodajże w Wenezueli zeszła lawina błotna na jakąś miejscowość i tam pogrzebała chyba 25 tysięcy ludzi. Byłem tym po prostu tak

wstrząśnięty i poruszony, bowiem pomyślałem, że do tej pory różne rzeczy widziałem i słyszałem, a tutaj facet po prostu wiedział”[357].

Faktycznie, w listopadzie 1985 roku na miasteczko Armero w Kolumbii (nie Wenezueli) zeszła lawina błotna wywołana przez erupcję wulkanu. Zginęło około 20 tysięcy mieszkańców, co stanowiło ponad dwie trzecie populacji. Trudno się zatem dziwić, że przepowiednia Kacmajora wywołała konsternację u Sajnoga. Uzdrowiciel spod Morąga rzeczywiście sprawiał wrażenie jasnowidza.

W kolejnych latach stan psychiczny i fizyczny gdańskiego artysty ulegał dalszemu pogorszeniu, więc coraz częściej szukał pomocy u lubelskiego proroka. Wreszcie uznał, że tylko Kacmajor może mu przynieść wybawienie i poprosił go o przyjazd.

„Wsiadłem w samochód i pojechałem – potwierdzał guru. – Zastałem degenerata, opętanego szaleńca, którego lubiłem zresztą, bo przedtem miałem z nim jakiś tam kontakt kilkakrotny i rozmawialiśmy sobie, i widziałem w nim fajność, jakiej się w innych ludziach nie widziało, jakiś sposób myślenia, reagowania, czucia. (…) Moja żona miała też do niego dobry stosunek. Jak już przyjechał do nas, to bardzo się ucieszyła, bo widziała w nim podporę, taki filar w domu, który też będzie prowadził, nie tylko siedział sobie tam, ale budował to wszystko, razem ze mną i z innymi”[358].

Z Sajnogiem faktycznie musiało być nie najlepiej, gdyż kilka lat później twierdził, że w tym czasie na głowie rosły mu guzy kostne. Uznawał je za rogi, co wprawiało go w przerażenie. Jednak po przeprowadzce poety do Majdanu Kozłowieckiego guzy zniknęły i nie była potrzebna interwencja chirurgiczna.

Otoczenie przywykło już do dziwnego zachowania Sajnoga, tak więc nie zwracano uwagi na fakt, iż znikał z Gdańska coraz częściej. Nawet gdy podjął radykalne decyzje.

„Zbyszek razem z kolegami przenosił graty – wspominała jego siostra. – Dziś wiem, że to byli już ludzie z sekty. Wszyscy mieli na imię Piotr. Wtedy to wydało nam się zabawne, w końcu wśród jego znajomych wszystko było możliwe”[359].

Sajnóg nie zawiódł Kacmajora i z miejsca stał się jego zaufanym współpracownikiem. Problemy zdrowotne i psychiczne powoli ustępowały, a poeta nie zamierzał wracać do poprzedniego życia. Z czasem okazał się też jednym z bardziej wiernych wyznawców Kacmajora – nie odstąpił go właściwie do samego końca.

Poeta nie był wyjątkiem, u większości adeptów sekty po przenosinach do Majdanu następowała stopniowa poprawa stanu zdrowia. Kacmajor faktycznie był utalentowanym bioenergoterapeutą, co potwierdzali nawet ci, którzy zdecydowali się odejść ze wspólnoty.

„Dolegliwość, z której Bogdan mnie wyleczył – przyznawał Sebastian Keller – po trzech latach od opuszczenia sekty wróciła i to w znacznie gorszej postaci. A więc wyzdrowiałem tylko na pewien czas”[360].

O Kacmajorze opowiadano jednak nieprawdopodobne historie, a niektórzy uznawali go za wszechmogącego cudotwórcę. Podobno spowodował, że ekspedientce ze sklepu mięsnego wyrosła górna szóstka, a jej kierowniczka pokonała astmę. Niewidomy miał odzyskać wzrok, a człowiek, który od wojny nie poruszał się o własnych siłach, usłyszał od proroka, że ma wstać i chodzić, co podobno faktycznie się stało. Jednemu z pacjentów, który przyjechał do Majdanu z Ostródy, w domu

ponoć zmartwychwstała matka.

„Odkąd pamiętam – kontynuował Keller – w sekcie była mowa o tym, że każdy z nas może kilka razy żyć na ziemi, że już w różnych momentach historii wracaliśmy na ten świat. (…) Kacmajor nam wyjaśniał, że każdy z nas, członków sekty, żył za czasów Chrystusa. Ci zaś, którzy mieszkają w naszym domu, należeli przeważnie do najbliższego otoczenia Chrystusa. To znaczy, że mężczyźni byli najczęściej apostołami, kobiety zaś tymi niewiastami, które chodziły za Chrystusem, gdy nauczał”[361].

Życie w sekcie

Trudno określić liczebność wspólnoty w Majdanie Kozłowieckim. Jej lider wspominał o setce wiernych, natomiast według innych relacji mieszkało tam o połowę mniej osób. Bez wątpienia skład był płynny – niektórzy odchodzili, inni przybywali, rodziły się też dzieci. Najmłodszych zresztą nie rejestrowano, a dorośli niszczyli dowody osobiste i nie respektowali obowiązku meldunkowego.

Początkowo wszystko układało się znakomicie. Usługi Kacmajora cieszyły się ogromną popularnością i prorok zarabiał wielkie pieniądze. Nowi członkowie wspólnoty przed przystąpieniem do sekty spieniężali swoje majątki, a uzyskane środki przekazywali liderowi. Wprawdzie znaczną część adeptów Nieba stanowili życiowi rozbitkowie nieposiadający dóbr materialnych, ale trafiali się też właściciele domów, mieszkań czy samochodów.

„W tamtym świecie – zwierzała się jedna z wyznawczyń Kacmajora – miałam mieszkanie o powierzchni 120 metrów kwadratowych i bmw. Miałam też minus 7 dioptrii, a teraz widzę bez okularów. I to mi wystarcza”[362].

Prorok przeznaczał pieniądze na bieżące wydatki, ale inwestował również w sprzęt rolniczy. Zakupiono „piękny traktor z przyczepą” i specjalistycznym osprzętem oraz bogate wyposażenie gospodarcze. Na polach należących do proroka wierni sadzili ziemniaki i siali grykę, ułożono także krawężniki pod wjazd do domu. Wszystko wydawało się „takie kolorowe”, a wspólnotę stanowili „uśmiechnięci ludzie zwracający się do siebie z szacunkiem”, będący „wobec siebie dobrzy i autentycznie uprzejmi”.

Ukoronowaniem dnia była wspólna kolacja, podczas której zawsze spożywano tylko chleb i wino, co stanowiło czytelną aluzję do komunii świętej. Czytano fragmenty Biblii, a ci, którzy w ciągu dnia doznali widzeń (co nie należało do rzadkości), dzielili się swoimi przeżyciami.

„Co do modlitwy – relacjonował Sebastian Keller – dozwolona była tylko jedna, *Ojcze Nasz*, gdyż jej właśnie nauczał nas Pan Jezus w Ewangelii. Modlitwa musiała odbywać się sam na sam z Bogiem, nikt nie mógł cię widzieć, zgodnie z tym, co jest napisane w Biblii. (…)

Podczas modlitwy ręce miały być wzniesione ku górze, a nie złożone. Kiedy bowiem otwieramy ramiona i wznosimy je wysoko, wtedy Bóg może coś w nie zesłać. Kiedy zaś trzymamy je złożone, zamknięte, to w jaki sposób możemy coś od niego otrzymać? Tak tłumaczył nasz guru. Pamiętam swe pierwsze modlitwy. Chodziłem pod las na łąkę, gdzie mnie nikt nie widział, i kładłem się krzyżem na

ziemi”[363].

Radio, telewizja i prasa były w Majdanie zakazane, ale w zamian Keller często grywał wieczorami na gitarze, a jego współtowarzysze śpiewali piosenki skomponowane przez niego do słów Kacmajora. Podobno guru pisał znakomite teksty, a Keller był w znakomitej formie twórczej. Po latach przyznał, że nigdy nie komponowało mu się tak łatwo i dobrze jak w Majdanie Kozłowieckim. I jeżeli czegoś żałował po zerwaniu z sektą, to właśnie przypływów weny twórczej.

W życiu sekty ogromną rolę odgrywały wieszcze znaki dostrzegane przez jej członków. Czasami odnosiło się wrażenie, że bez odpowiednich sygnałów nic właściwie nie może się wydarzyć. Gdy członkowie wspólnoty napotykali zamknięty przejazd kolejowy, zawracali bez załatwienia sprawy, uznając, że nie było szans na jej realizację. Ból w prawej nerce traktowali jako dobry omen, natomiast w lewej – jak najgorszy. Oczywiście wszystko miało podtekst religijny.

„Czucie dużego palca u nogi – kontynuował Keller – oznaczał ukąszenie przez szatana. (…) Ból odbytnicy, pieczenie tamże oznaczało, że ktoś miał w tyłku sprawę, nie przyłożył się, najprościej mówiąc – olał ją sobie. Muszę powiedzieć, że [wówczas] sekta była doskonale zorganizowaną strukturą, na którą składały się widzenia kolorów, obrazów, czucie chorób innych ludzi, odczuwanie ich bólu. Wszystko było świetnie zsynchronizowane pomiędzy nami a Kacmajorem. To jakby łańcuch sześćdziesięciu osób, złączonych w jednym mechanizmie działającym jak zegarek”[364].

Szaleństwo i metoda

Wszystko zaczęło się rozpadać wiosną 1993 roku. Kacmajor stracił wówczas całkowicie kontakt z rzeczywistością i wprowadził wiele zmian, które kompletnie zdezorganizowały życie wspólnoty. Z perspektywy czasu można uznać, że prorok po prostu oszalał, gdyż trudno znaleźć logikę w jego zachowaniu.

„Kazał powynosić z domu drogocenne przedmioty – tłumaczył Keller – począwszy od ubrań, a skończywszy na urządzeniach rolniczych. Zaczęliśmy to sprzedawać ludziom z okolicy. Właściwie za bezcen. (…) Cała osada się wtedy zleciała, a wieśniacy zabierali nawet ubrania, talerze i meble. Guru tłumaczył, że musimy się pozbyć tego, co dla nas cenne, ponieważ przeszkadza nam to w osiągnięciu zbawienia. Pamiętam, za dwa worki ziemniaków sprzedaliśmy motorower Ogar”[365].

Niebawem prorok wprowadził dalsze zmiany. Stwierdził, że imiona, które noszą jego wyznawcy, zostały nadane podczas chrztu, a przecież on nie uznawał Kościoła – i podjął decyzję o ich zmianie. Członkowie sekty przyjęli ten pomysł z entuzjazmem, przejawiając wręcz nieprawdopodobną inwencję. Pojawiły się najdziwniejsze imiona, takie jak: I Śrubokręt Nie Pomoże, Trójkątyzacja Kota, Apartament Numer 8, Audi Quattro, Windą do Nieba, Sianokosy Przestrzeni, Ewidencja Stanów Pozagrobowych czy Ekstra Mocne.

Sam prorok zaczął się określać jako Nie, natomiast swoją nową partnerkę życiową nazwał Bo. Imiona te zestawione razem tworzyły nazwę sekty. Ale prorok na tym nie poprzestał – swoje dzieci urodzone w Majdanie nazwał: Idzie, Do, Nas, Co Dzień,

Nowe, Świtem. W ten sposób powstawało przesłanie: „Niebo idzie do nas co dzień nowe świtem”. Natomiast ostatnie dziecko urodzone w Majdanie (dziewczynka) nazwał Mądrość, co miało stanowić początek kolejnej maksymy. Przy okazji nalegał też, by imiona małżonków będących członkami sekty zostały ze sobą skorelowane. Jeżeli mąż nazywał się Zawsze, to jego żona – Uśmiech. Natomiast Sajnóg początkowo nosił imię Anioł Rowerowy, a potem przyjął bardziej godne – Ambasador.

Kacmajor uznał również, że jego podwładni powinni posługiwać się językiem zrozumiałym wyłącznie dla wtajemniczonych. Aby to osiągnąć, stosował litery bez znaków diakrytycznych (nie istniały: ę, ą, ś, ż, ć, ó, ź, ń, ł) oraz zrezygnował z dwuznaków (sz, cz, rz, ch, dz, dż, dź). W efekcie członkowie sekty potwornie seplenili, a ich język był kompletnie niezrozumiały.

Oddzielny temat stanowiły w Niebie stosunki damsko-męskie. Kacmajor wcześniej był dwukrotnie żonaty, ale uznał, że prorok musi mieć życiową towarzyszkę, z którą będzie płodził dzieci. Odpowiednia kandydatka niebawem się znalazła.

„Moja żona – mówił w jednym z wywiadów – ona widziała i czuła pewne rzeczy. (…) Jej koleżanka z roku przyjechała do mnie z tzw. schizofrenią, (…) siedziała w zakładzie psychiatrycznym, przywieziono ją do mnie. Po nałożeniu rąk wyzdrowiała, pojechała jeszcze na jakieś studia do Moskwy. Żona, znając tę dziewczynę przed i po, (…) przyjechała, a ja patrząc na nią, wiedziałem, że to jest moja żona, i powiedziałem: ty jesteś moja żona, a ona została moją żoną (…). Ona mi się nie podobała fizycznie, rozumiesz, bo to nie był mój typ kobiety, ale ja wiedziałem, że to jest dusza jakaś określona, że ja z tą duszą zrobię coś i będzie fajnie”[366].

Rzeczywiście musiało być fajnie, skoro Grażyna U. urodziła Kacmajorowi siedmioro dzieci. Wprawdzie planowali dwunastkę, nawiązując do liczby apostołów i plemion Izraela, jednak nie zrealizowali tego celu przed katastrofą sekty.

Wewnątrz wspólnoty, zgodnie z nakazami ewangelicznymi, panował surowy patriarchat. Skoro „głową kobiety jest mężczyzna, głową mężczyzny jest Chrystus, a głową Chrystusa jest Bóg” – przyjmowano to dosłownie. W innym wypadku byłoby to „niezgodne z Prawem” i powstałby „bajzel”, do czego nie można było dopuścić. Wprawdzie nie oznaczało to, że mężczyźni z sekty w ogóle nie rozmawiają ze swoimi żonami, ale to zawsze oni podejmowali ostateczną decyzję.

„Żaden mężczyzna nie jest u nas tyranem – tłumaczył członek wspólnoty, Kalina Petrus – ale jeżeli w rodzinie dziecko jest nieposłuszne matce, rodzicom, żona nieposłuszna mężowi, to wszyscy razem zaczynają Bogu imponować. My wiemy, że jedno »nie« dziecka do matki powoduje chorobę, że jedno »nie« żony do męża powoduje chorobę, to nie jest żaden nasz wymysł”[367].

W świetle prawa polskiego trudno było jednak uznać te związki za małżeństwa. Ślubów osobiście udzielał Kacmajor, który nie miał żadnych uprawnień. W rzeczywistości autorytarnie przydzielał kobiety poszczególnym wiernym, a wyznawczynie nie protestowały.

„Poznałem swoją żonę tutaj, w Majdanie – przyznawał Paweł K. – Przyjechała po pomoc po chorobie nerek. To ja ją wyleczyłem. (…) Pobraliśmy się po trzech dniach znajomości. Urządziliśmy wesele. Było po szklance wina i po mandarynce. (…)

Miała takie szorstkie ręce. W ogóle była szorstka w obyciu. Taka mądrala. Pycha. Lekceważenie. Paliła papierosa za papierosem. Miała łysienie plackowate. Zaczęliśmy to wszystko wyjaśniać. Miała widzenia. W poprzednich życiach była kapo w Oświęcimiu. Była sodomitką, burdelmamą…”[368].

Innym razem zdarzyło się, że Kacmajor pobłogosławił związek 25-letniej Ewy W. z czternastoletnim chłopcem. Kobieta trafiła do sekty wraz z dzieckiem (lub dwojgiem), a gdy prawowity mąż chciał odebrać jej potomstwo, usłyszał, że teraz partnerem Ewy jest Sianokosy Przestrzeni. Z całą powagą oznajmiła, że gimnazjalista zastąpi dzieciom biologicznego ojca, który jako niewtajemniczony nie jest dla nich odpowiednim opiekunem. Ewa W. urodziła jeszcze trójkę dzieci, a porody osobiście odbierał Kacmajor (tak jak wszystkie w obrębie wspólnoty). Dzieci nie rejestrowano, nie przeprowadzano obowiązkowych szczepień, unikano też obowiązku szkolnego.

„Dzieci nie posyłaliśmy do szkoły – potwierdzał Paweł K. – Sami je uczyliśmy. Jeśli jest Bóg, to nie można dziecku mówić, że człowiek pochodzi od małpy. Mieliśmy polonistę, moja żona była po chemii. W domu wisiała mapa, dzieci znały wszystkie rzeki. Miały gdzie się bawić, miały przestrzeń. Starsze opiekowały się młodszymi”[369].

Oczywiście nie korzystano także z pomocy lekarskiej, ale to raczej naturalne, skoro na miejscu był uzdrowiciel… Poza tym zawsze tłumaczono, że choroby, nieszczęścia i wypadki są następstwem złych uczynków. I gdy udało się wyjaśnić problem, rany same się goiły, a choroby mijały.

Śmierć w Niebie

Rodziny próbowały wydobyć bliskich spod wpływu Kacmajora. W sprawie niepełnoletnich interweniowała policja i młodych wielbicieli proroka odsyłano do domów. Często bez skutku, tak jak w przypadku 17-letniej Anny z Białegostoku, której opiekunowie zgłosili porwanie. Na niewiele się to jednak zdało, gdyż dziewczyna wraz ze swoim chłopakiem ponownie uciekła do sekty.

Podobnie było z trójką rodzeństwa Hinków (w tym dwoje niepełnoletnich). Rodzice przyjeżdżali do Majdanu i zgłaszali sprawę policji – Kacmajor podsumował, że postępowanie rodziny zakończy się nieszczęściem. Niestety, miał rację, gdyż w styczniu 1993 roku Darek i Irena Hinkowie ponieśli śmierć w wypadku samochodowym pod Legionowem. Wraz z nimi zginęli jeszcze chłopak dziewczyny oraz jeden z członków sekty. Prorok odebrał tragedię bardzo osobiście i długo nie mógł się pogodzić z ich śmiercią.

„Po kilku dniach wrócił Bogdan – wspominał Sebastian Keller. – O wszystkim dowiedział się dopiero w domu. Rozpłakał się. Najbardziej wzruszyło go wspomnienie o Darku. On był dla niego jak syn. Darek zaś nie widział świata poza Kacmajorem”[370].

Jednak inna śmierć obciąża już wyłącznie konto proroka. Do wspólnoty trafił bowiem niejaki Maciej, który z powodu ciężkiego schorzenia nerek musiał regularnie poddawać się dializom. Maciej to „radosny facet, ale widać było, że choroba sprawiała mu cierpienie”, chociaż starał się to ukrywać przed otoczeniem. Początkowo regularnie jeździł na dializy do Lublina, aż wreszcie Kacmajor namówił

go, by zarzucił zabiegi. Obiecywał, że wyleczy go w Majdanie. Maciej w ciężkim stanie trafił do szpitala w Lublinie, gdzie zmarł z powodu zatrucia organizmu. Członkowie sekty nie dali jednak za wygraną i przekradali się do szpitala, próbując wskrzesić zmarłego przez nakładanie rąk. Nie zaprzestali swoich zabiegów nawet wówczas, gdy ciało Macieja trafiło już do kostnicy po sekcji zwłok!

Członkowie Nieba odchodzili jednak nie tylko z powodu wypadków czy chorób. W sekcie zdarzały się również samobójstwa, gdyż nie wszyscy wytrzymywali psychiczny terror zaprowadzony przez Kacmajora. Z tego powodu pobyt w Majdanie skończył się tragicznie dla dziewczyny z Jeleniej Góry o rzadkim imieniu Lutona. Gdy jej mąż stał się zagorzałym wyznawcą Kacmajora, to – choć właśnie pisała doktorat – rzuciła wszystko i ruszyła za partnerem. Wytrzymała w sekcie kilka lat, aż wreszcie pewnego dnia napisała list pożegnalny, wzięła plecak i pojechała autobusem do Lublina. Tam rzuciła się z ostatniego piętra wieżowca, ponosząc śmierć na miejscu. Policja miała problem z identyfikacją zwłok, a mąż Lutony pod naciskiem Kacmajora początkowo nie zgłaszał jej zaginięcia.

„Moja żona wyskoczyła z okna – przyznawał. – Zabiła się. Nie wytrzymała. (…) Policja i dziennikarze ocenili, że zrobiłem jej pranie mózgu, omotałem. Obwinili mnie za jej śmierć. (…) Jak jej kiedyś powiedziałem, że się rozstajemy, to groziła, że pójdzie na wieżowiec i zabije się. Kiedyś miała widzenie. Powiedziała, że zostawię ją za dwa lata. Okłamałem ją wtedy, że źle odczytała i oznacza to niezałatwioną sprawę”[371].

Wojna ze wszystkimi

Początkowo członkowie Nieba byli pozytywnie postrzegani przez swoich sąsiadów, tym bardziej że wielu mieszkańców Majdanu korzystało z uzdrowicielskiej mocy proroka.

„Wróciłam do domu ze szpitala – wspominała jedna z mieszkanek wsi – leżałam w łóżku dwa tygodnie, ledwo chodziłam. Mówili mi: »Każdy leczy się u niego, dlaczego ty nie spróbujesz?«. (…) Wiedział dokładnie, co mi jest. Położył rękę na mojej głowie i mówił, że ból jest w tym i tym miejscu. Nakazał: »Wszystkie leki wyrzuć, przychodź do mnie«”[372].

Z relacji członków wspólnoty wynika, że zdecydowana większość mieszkańców Majdanu chętnie korzystała z usług proroka. Pojawił się jednak problem, gdy Kacmajor uznał, iż w leczeniu mogą zastępować go podwładni. Wyselekcjonował grupę wiernych, którzy przejawiali zdolności bioenergoterapeutyczne, i to właśnie oni przejęli większość obowiązków lidera.

Spotkało się to z niechęcią pacjentów, zwłaszcza że w tym czasie prorok coraz częściej był widywany, jak relaksował się w mało ewangeliczny sposób. Jego ulubionym zajęciem stało się bowiem picie piwa w towarzystwie bliskiego współpracownika, Andrzeja Ilskiego (brat wspomnianej Ewy W.). Doszło wreszcie do tego, że w Majdanie uzdrawiał pewien emerytowany policjant z Lubartowa, którego nikt nie podejrzewał wcześniej o nadprzyrodzone zdolności.

W tym czasie Kacmajor odkrył nowy rynek na swoje usługi – Ukrainę. Często tam wyjeżdżał, co sugerowało, że raczej nie zniszczył swoich dokumentów, gdyż bez

problemu przekraczał granicę. Wprawdzie Ukraina nigdy nie była specjalnie zamożnym krajem, ale popyt na usługi uzdrowiciela był tak ogromny, że przywoził stamtąd znaczne zapasy gotówki. Jednak to wszystko było zbyt mało jak na potrzeby wspólnoty i członkowie sekty zaczęli kraść, by utrzymać się przy życiu.

„Paru ludzi od nas przyłapano na kradzieżach – przyznawał prorok. – Oni wiedzieli, że mają pójść i coś tam ukraść, żeby z kimś o czymś porozmawiać, z policją, wejść tam na policję i rozmawiać o Bogu. (…) Kradli ubrania. Coś tam do jedzenia… trzy kilo makaronu, kilo ryżu, jakiś sweter… takie historie. (…) Prawo mówi, że z wiary żyć będziecie… i nie zajmujemy się niczym innym poza leczeniem i głoszeniem Słowa Bożego, no i czasami kradzieżami, no ale coś trzeba robić”[373].

Guru bagatelizował jednak problem, bowiem w rzeczywistości złodziejstwo stało się głównym źródłem utrzymania członków wspólnoty. Niektórzy z nich okradali sklepy w Lubartowie i Lublinie, natomiast inni spieniężali łupy. W samym Majdanie miejscowym gospodarzom ginęło niemal wszystko: od wiązek chrustu po kury, a Kacmajor określał to jako „branie tego, co nasze”.

Mieszkańcy Majdanu zgłaszali te przypadki na policję, ale brakowało twardych dowodów i funkcjonariusze nie mogli wkroczyć na posesję Nieba. Wreszcie trafiła się okazja w związku z kradzieżą drewna z prywatnego lasu. W lipcu 1993 roku aresztowano piętnastu mężczyzn, a wśród nich Kacmajora, Ilskiego i Kellera. Część zatrzymanych skierowano na przymusową obserwację psychiatryczną.

„Badałem dziesięciu – wspominał dyrektor szpitala, Zbigniew Rzecki. – Każdy z nich, kolejno, przebywał u nas przez sześć tygodni. U żadnego nie stwierdziłem choroby psychicznej. Wszyscy mieli zaburzoną osobowość. Kacmajora charakteryzuje wybujała żądza władzy. Jest doskonałym manipulatorem. Zapowiadał na oddziale, że jego zbór będzie niebawem liczył kilka tysięcy ludzi. Agitował personel i pacjentów. Nie był jednak najinteligentniejszym człowiekiem w sekcie. Andrzej Ilski w testach plasował się wyżej. Bardziej hermetyczny od Kacmajora, wierzący w głoszone przez niego hasła. Struktura sekty jest prosta: »apostołowie«, czyli ścisłe kierownictwo, i wierni, czyli podnóżki. Ideologia opiera się na Psalmach Dawidowych, Księdze Izajasza i innych wyjątkach Starego Testamentu. Kacmajor jest w gruncie rzeczy ateistą”[374].

Guru spędził w odosobnieniu dziesięć miesięcy, ale sekta pod jego nieobecność przetrwała, co potwierdza lojalność wyznawców. Był to także dowód na duże umiejętności socjotechniczne proroka, zwłaszcza że w tym czasie w siedzibie wspólnoty panował głód. Odżywiano się głównie niesolonymi ziemniakami, a przez pewien czas – wyłącznie jabłkami. Z powodu nieopłaconych rachunków elektrownia odcięła im prąd, zatem do oświetlenia służyły kradzione świece lub lampy naftowe. Gdy wychowywane w tych warunkach dzieci po latach pojawiły się w normalnym świecie, usiłowały zdmuchiwać włączone żarówki i dziwiły się, że nie gasną pod wpływem przeciągu.

Wreszcie doszło do otwartej wojny pomiędzy wspólnotą a mieszkańcami Majdanu Kozłowieckiego. Członkowie sekty rzucali na nich klątwy, przepowiadając śmierć od nowotworów, a w przypadku lżejszych przewinień – tylko reumatyzm lub kilkudniową biegunkę. Gdy zmarł jeden z miejscowych gospodarzy, na drodze wystawiono jego kukłę z napisem „on nie chciał się z nami bawić”. W dzień Matki

Boskiej Zielnej członkowie sekty towarzyszyli procesji, wykrzykując wulgaryzmy i becząc jak owce, a niektórzy z nich leżeli w rowach i mierzyli do wiernych z karabinów wystruganych z drewna.

Głośnym echem odbiła się w całej Polsce sprawa ukrywania przez proroka Janusza Ochnika. Pełniąc służbę w stopniu podchorążego w Wyższej Szkole Łączności w Zegrzu, w maju 1990 roku zastrzelił czterech kolegów, po czym zbiegł, biorąc dwóch zakładników. Gdy ostatecznie się poddał, przewieziono go na obserwację do kliniki psychiatrycznej w Lublinie. Tam poznał Kacmajora i po ucieczce ze szpitala ukrywał się właśnie w Majdanie Kozłowieckim. Ostatecznie jednak prorok uznał, że utrzymanie zabójcy było zbyt kosztowne, i kazał mu opuścić posesję. Wygłodniały Ochnik błąkał się przez dwa dni po okolicy, aż wreszcie się ujawnił.

Inna sprawa, że nigdy nie został skazany za morderstwo – zdiagnozowano go jako niepoczytalnego i skierowano na bezterminowy pobyt w zakładzie psychiatrycznym. Po pewnym czasie lekarze uznali jednak, że został wyleczony, i jako niegroźny dla otoczenia wyszedł na wolność.

Sprawa zabójcy z Zegrza przyczyniła dużo złej sławy Kacmajorowi, ale nie była wyjątkiem. Coraz większa liczba członków Nieba miała problemy z prawem, a policja dokonywała regularnych rewizji w siedzibie wspólnoty.

„To były trudne akcje – przyznawał podkomisarz Antoni Marczuk z Lubartowa. – Najpierw trzeba było obstawić tyralierą cały teren, bo podejrzani uciekali do lasu jak zające. Brało w tym udział 20–30 funkcjonariuszy, posiłki trzeba było sprowadzać aż z Lublina”[375].

Regularne wizyty policji wiązały się nie tylko z kradzieżami, lecz także z niedopełnieniem obowiązku meldunkowego oraz brakiem rejestracji narodzin i szczepień dzieci.

Z czasem prorok zaczął stosować wobec swoich wyznawców również terror fizyczny:

„Jesienią 1995 roku – relacjonował Sebastian Keller – Andrzej, Łukasz i Grzesiek, trzech największych osiłków w tym domu, wzięli mnie na »rozmowę« do jednego z pokoi. Rozmowa polegała na tym, że przez pół godziny tłukli mnie, gdzie popadło. (…) Nie było dla mnie miłosierdzia, był – jak to oni mówili – sąd. Nigdy w życiu tak nie dostałem jak wtedy. Bogdan potem powiedział, że nic o tym nie wiedział. Przypuszczam, że kłamał, bo nic bez jego wiedzy nie działo się w tym domu. (…) Dodam tylko, że jeden z moich oprawców wcześniej przez sześć lat trenował karate. Niestety, dało się to odczuć”[376].

Inną karą była czasowa banicja z sekty, co uznawano za wyjątkowo dotkliwą sankcję. Ludzie mieszkający od lat w Majdanie nie wyobrażali sobie życia poza wspólnotą, zresztą pozbawieni środków finansowych i dokumentów nie potrafili się odnaleźć w realnym świecie. Dlatego też po zakończeniu kary wracali z radością i pokornie wypełniali wszystkie zalecenia mistrza. Nie było wątpiących nawet wtedy, gdy Kacmajor zaczął głosić, „iż jest bogiem, który zstąpił na ziemię, a jego najstarszy syn to Chrystus”.

Potwierdza to przypadek 36-letniego Bogusława Popławskiego, jednego z gorliwszych wyznawców lubelskiego proroka. Aresztowany za kradzieże wyszedł z więzienia w maju 2000 roku – choć był bez środków do życia, Kacmajor z

niewiadomych powodów nie wpuścił go do siedziby wspólnoty. Popławski podciął sobie gardło w pobliskim lesie. Na proroku nie wywarło to większego wrażenia, już dawno bowiem groził wyznawcom, że „nie pokój im przyniósł, a miecz", a poza tym „przyszedł czas uciąć głowę kogutowi"[377].

Rozłam i upadek

Mimo narastających problemów Kacmajor nie zaniechał werbunku kolejnych wiernych. Uznał też, że skoro w sekcie zaaklimatyzował się Sajnóg, to powinni dołączyć do niego także koledzy z Totartu. Tym bardziej że potrzebował ludzi, których obecność w szeregach wspólnoty podnosiłaby jej atrakcyjność.

Do Konnaka wysłał Sajnoga z Ilskim. Straszyli poetę końcem świata, zapowiadali też, że przynależność do Nieba zapewni ratunek. Ponieważ misjonarze nie odnieśli sukcesu, zatem do Tymańskiego udał się sam mistrz z Ambasadorem. Tym razem mieli ze sobą nie tylko Biblię, lecz także kij bejsbolowy. Gdy nie przyniosło to efektu, u kolejnego członka Totartu, Dariusza Brzóskiewicza, pojawiła się już cała trójka. Przepowiadali mu chorobę nowotworową i bliską śmierć, ale poeta wyrzucił ich za drzwi.

Jednak na co dzień prorok nie angażował się w akcję misyjną, pozostawiając to swoim podwładnym. Z reguły wyglądało to wręcz groteskowo, co potwierdzają wspomnienia Sebastiana Kellera:

„Brałem któregoś z niebian, jechaliśmy samochodem do Lubartowa i (…) kiedy szedłem ulicą, duch kazał mi zaczepiać przygodnie spotkanych ludzi i mówić przykładowo: »Człowieku, masz chore serce, jeżeli się nie nawrócisz, za godzinę umrzesz«.

Obwieszczałem też przypadkowym osobom: »Jutro będziesz miał zawał« albo »Jutro o trzynastej dostaniesz wylewu«, lub »za rok o tej samej porze umrzesz na raka wątroby«"[378].

Zaczepiani reagowali w bardzo różny sposób, najczęściej jednak ignorowali misjonarzy. Zdarzyło się jednak, że gdy Keller zapowiedział pewnej kobiecie zawał, jeżeli natychmiast „nie uwierzy w prawdziwego apostoła Jezusa Chrystusa, Bogdana Kacmajora", krewka niewiasta uderzyła go w twarz i musiał posiłkować się ucieczką.

W 1995 roku w sekcie nastąpił rozłam. Andrzej Ilski uznał, że Kacmajor defrauduje pieniądze przeznaczone na wspólne potrzeby, i opuścił Majdan Kozłowiecki. Razem z nim wyjechała jego żona z dwójką adoptowanych dzieci, Ewa W. ze swoimi potomkami oraz kilkoro innych wyznawców. Przenieśli się do Jakubowskich na Podlasiu i tam wynajęli chałupę, by kontynuować misję, ale już bez naczelnego proroka.

Nie mieli jednak z czego żyć i Ilski z jednym z mężczyzn trafił do aresztu za kradzieże w sklepach. Zatrzymano także Ewę W. – została oskarżona o współżycie z nieletnim i ukrywanie dzieci z legalnego małżeństwa. Sąd rodzinny nakazał bowiem oddanie ich biologicznemu ojcu, ale przepychanka prawna trwała kilka lat, bowiem Ewa W. nie zamierzała respektować wyroku. Aby zarobić na prawników, jej mąż wyjechał do pracy w Niemczech. Nie wytrzymał jednak psychicznie i zakończył życie samobójczym skokiem z balkonu. Na Ewie W. nie zrobiło to wrażenia.

Tymczasem w Majdanie Kozłowieckim władzę nad sektą przejmował głód. Wierni pozbywali się strachu przed prorokiem i wracali do rodzinnych domów, gdzie przez kolejne lata mieli się zmagać z neurozami, lękami i nerwicami. Niekiedy, jak w przypadku Sebastiana Kellera, odejście z sekty powodowało wybuch gorliwego katolicyzmu, aczkolwiek dawny Ekstra Mocne nie potrafił sobie wybaczyć, że przez Kacmajora rozpadło się jego małżeństwo. Ukończył jednak studia i pomagał ludziom, którzy padli ofiarą innych proroków.

Nie wszyscy mieli jednak tyle szczęścia. Pewna wyznawczyni spod Opola o imieniu Katarzyna wydostała się z sekty wraz z czwórką swoich dzieci, z których każde miało innego ojca. Nie potrafiła się przystosować do normalnego świata. W jednym z wywiadów wprost stwierdziła, że Kacmajor zniszczył jej życie i nigdy nie będzie mogła normalnie funkcjonować.

Długo przy swoim mistrzu trwał natomiast Zbigniew Sajnóg.

„Gdybym konsekwentnie trzymał się tego, co jest w Piśmie napisane – zwierzał się wiele lat później – tobym wyszedł stamtąd wcześniej. Ale dałem się przekonać, że jednak jest inaczej. (…) Było to zdecydowanie bardzo złe doświadczenie”[379].

Po odejściu z sekty Sajnóg pracował na budowach, zatrudnił się też jako stróż nocny. Kilka lat później wziął udział w realizacji filmu dokumentalnego o działalności Totartu, ale współpraca z nim nie należała do najłatwiejszych. Obecnie jest bardzo aktywny literacko, chociaż pisuje raczej do szuflady lub zamieszcza fragmenty swoich prac w internecie. Podobno wydawcy boją się go publikować – być może dlatego, że z nazwiskiem Sajnoga związany jest najgorszy etap działalności Nieba.

„Dużo wskazuje na to, że Sajnóg nie był zwykłym członkiem sekty – opowiadał Konnak. – Że był raczej prawą ręką Kacmajora i jego człowiekiem do zadań specjalnych. Kilka lat temu jeździliśmy po Polsce, promując film o Totarcie. Na spotkania przychodzili smutni, połamani ludzie, dawni członkowie sekty albo tacy, którzy w sekcie mieli znajomych. Wielu z nich wylądowało w zakładach zamkniętych, to były prawdziwe tragedie. Nie mogę mu wybaczyć, że brał udział, i to udział znaczący, w tym, co działo się w sekcie, że nie rozliczył się z tego do dziś. I choć ma teraz różne możliwości, nie wiem nic o tym, żeby chociaż próbował pomóc tym ludziom”[380].

Epilog bez *happy endu*

W opustoszałym domu w Majdanie Kozłowieckim pozostał Kacmajor z żoną i dziećmi. W maju 2001 roku sąd rodzinny w Lubartowie zadecydował o umieszczeniu ich potomstwa w placówce opiekuńczej z powodu nierealizowania obowiązku szkolnego. Ostatecznie odstąpiono od wykonania wyroku w zamian za obietnicę wysłania dzieci do szkoły. Faktycznie, w grudniu młodzi Kacmajorowie rozpoczęli naukę.

„Nie było z tym problemu – wspominała Elżbieta Kowalczyk, dyrektorka placówki. – Dzieciaki chętnie nadrabiały zaległości. Pokazały, że są fajne, że współpracują, że znają normy społeczne. Nie było tak, jak plotkowano. Dzieciom naprawdę nic nie można było zarzucić, były dobrze wychowane, umiały się

zachować, były świetnie rozwinięte intelektualnie”[381].

Kacmajor nie zrezygnował jednak ze swoich przekonań – we wrześniu 2002 roku porzucił Majdan Kozłowiecki i wraz z rodziną przeniósł się na Podhale. Dołączyło do nich kilkoro ostatnich wiernych oraz ukraińska rodzina, której członkowie również zostali wyznawcami proroka. Osiedli w Starym Bystrem, gdzie guru podjął próbę reaktywacji sekty.

Bezskutecznie – niebawem policja zatrzymała ukraińskiego członka wspólnoty podczas próby sprzedaży kradzionej konsoli. Wówczas wyszło na jaw, że mężczyzna ten wraz z żoną należy do Nieba, a spośród trójki ich dzieci jedno, urodzone w Majdanie, nigdzie nie zostało zgłoszone i formalnie w ogóle nie istniało. Ukraińcy wrócili do swojego kraju.

Niebawem z Bystrego uciekł Do, 14-letni syn proroka. Podobno chłopak od początku sprawiał ojcu problemy wychowawcze, nie chcąc się podporządkować. Gdy w Krakowie trafił w ręce policji, prosił, by oddano go do domu dziecka. Twierdził, że najbardziej przerażają go słowa ojca o możliwości zbiorowego samobójstwa wszystkich członków rodziny, gdyby „zaszła taka potrzeba”. Ponadto chciał się uczyć i ostatecznie zerwać z sektą.

Do (Medard) opuścił Niebo wraz z matką. Pani Grażyna też miała już dosyć męża proroka. Rozmawiając z synem, podobno przepraszała go za wszystko, co stało się jego udziałem. Niebawem jednak zniknęła. Nigdy jej nie odnaleziono, a Kacmajor nie wypowiadał się na temat żony. Nic zatem dziwnego, że pojawiły się pogłoski, iż uśmiercił panią Grażynę. Chociaż nie brakuje też informacji, że przebywa ona w jednym z krakowskich klasztorów, ewentualnie – że popełniła samobójstwo.

Medard okazał się niezwykle zdolnym uczniem. Materiał sześciu klas opanował w dwa lata, następnie dostał się do dobrego gimnazjum. Sam poprosił o chrzest, chcąc zatrzeć ślady pobytu w sekcie. Jego rodzeństwo ponownie trafiło do domów dziecka. Pojawił się jednak problem z ich nauką w szkole publicznej – protestowali bowiem rodzice innych uczniów, którzy nie chcieli, by ich pociechy miały kontakt z młodymi Kacmajorami. Ostatecznie sprawę udało się załatwić, a potomkowie proroka okazali się bardzo zdolnymi wychowankami.

Sam guru był widziany w Majdanie Kozłowieckim jeszcze w 2005 roku, wtedy też po raz ostatni zanotowano przy nim obecność Sajnoga. Następnie prorok przepadł na kilka lat – podobno przez pewien czas mieszkał w Nysie, a potem przeniósł się do Ukrainy, gdzie miał powrócić do działalności uzdrowicielskiej. Kilka lat temu rozmawiał z dziennikarzem jednej z lubelskich gazet i twierdził, że przygotowuje się do wystawy swoich prac plastycznych w jednej z galerii. Nigdy jednak do tego nie doszło, a sam Kacmajor ponownie zniknął.

„W 2006 roku byłem w Majdanie Kozłowieckim – podsumowywał Sebastian Keller – gdzie zastałem rozgrabiony, na wpół zdewastowany dom. (…) Kacmajor zostawił ten dom bez żadnego zabezpieczenia. Tak samo jak nas, na pastwę losu. Dom wygląda tak jak my po wyjściu z sekty. Rozbici i zniszczeni. Skradziono nam nasze dusze. Niektórym zabrano życie. Siedmioro z nas przypłaciło pobyt w Niebie życiem: Damian, Jagoda, Przemek, Mariusz zginęli w wypadku samochodowym. Maciej nie odzyskał przytomności po własnej kraksie, a wcześniej Bogdan kazał mu przestać jeździć na dializy. Lucyna wyskoczyła z dziesiątego piętra wieżowca w

Lublinie. Sławek zaś podciął sobie żyły w lesie nieopodal posesji w Majdanie”[382].

Keller zmienił imiona ofiar Kacmajora, a do podanej przez niego listy należałoby jeszcze dopisać nieszczęsnego męża Ewy W. Nie ustalono również losów żony proroka, więc niewykluczone, że lista pozostaje otwarta. Dodatkowo niektórzy członkowie wspólnoty wciąż leczą się psychiatrycznie i trudno powiedzieć, czy wygrają walkę o życie i zdrowie.

Zakończenie

Nie ukrywamy, że po raz kolejny nie wyczerpaliśmy tematu. Ale każda książka ma ograniczoną objętość, co oznacza, że musieliśmy dokonać selekcji. Z tego powodu nie znalazło się miejsce dla chasydów i frankistów – początki ich działalności związane są z ziemiami dawnej Rzeczypospolitej. Pominęliśmy także Wernyhorę, wieszcza kozackiego, który na stałe zadomowił się w polskiej kulturze. Nie zmieścił się też prawosławny prorok Eliasz Klimowicz, chociaż w pierwszych dekadach XX stulecia zamierzał budować na Podlasiu Nową Jerozolimę.

Oczywiście można żałować, że pominęliśmy te postaci, albo potraktować to jako zapowiedź kolejnej książki… Przekonaliśmy się już wielokrotnie, że rynek wydawniczy jest nieprzewidywalny. Zdarzało się bowiem, że pozycje, które pisaliśmy wyłącznie dla własnej przyjemności i bez ambicji komercyjnych, zyskiwały status hitów wydawniczych.

Zatem wszystko zależy od Czytelników i tego, jak przyjmą oni niniejszą książkę. Co nie wyklucza, że do tematu polskich proroków, mistyków i szarlatanów jeszcze kiedyś powrócimy.

Wybrana bibliografia

A.K., *Smutny koniec marjawityzmu na podstawie dokumentów*, Płock 1923.

Bargiełowski D., *Mężenin teozofów*, „Karta" 87/2016.

Bargiełowski D., *Po trzykroć pierwszy. Michał Tokarzewski–Karaszewicz. Generał broni, teozof wolnomularz, kapłan Kościoła liberalno-katolickiego*, t. 1, Warszawa 2001.

Bargiełowski D., *Po trzykroć pierwszy*, t. 2, Warszawa 2001.

Begey A., *U źródła. Wspomnienia o Andrzeju Towiańskim*, Kraków 1929.

Besala J., *Jak Polska zbawiała świat. Mesjasze i prorocy*, Warszawa 2018.

Bobrowska-Nowak W., *Julian Ochorowicz na drogach i bezdrożach psychologii*, [w:] „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki" 1/1971.

Boniecki A., *Gandhi, aszramy i Tybetańczycy* (wywiad z Dynowską), „Tygodnik Powszechny" z 26.10.1969.

Boniecki A., *Wanda Dynowska-Umadevi*, „Tygodnik Powszechny" z 9.05.1971.

Boruń K., *W świecie zjaw i mediów. Spór o duchy*, Warszawa 1996.

Boruń K., Boruń-Jagodzińska K., *Ossowiecki. Zagadki jasnowidzenia*, Warszawa 1990.

Boy-Żeleński T., *Brązownicy i inne szkice o Mickiewiczu*, Warszawa 1957.

Budzyński M., *Wspomnienia z mojego życia*, t. 1, Poznań 1880.

Budzyński W., *Miasto Schulza*, Warszawa 2005.

Chobot J., *Nowoczesny ruch spirytualistyczny z szczególnym uwzględnieniem Polski*, Wisła 1937.

Czapliński P., *Wanda Dynowska-Umadevi*, „Zeszyty Studenckiego Koła Orientalistycznego w Lublinie" nr 3, lipiec 1981.

Dalborowa R., *A jednak ciekawe*, „Stolica" 12/1973.

Danilewicz-Zielińska M., *Mickiewicziana i album Moszyńskiego*, „Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza" 24/1989.

Danilewicz-Zielińska M., *Mistyk w kręgu oświeconych. Próba przypomnienia »Króla Nowego Izraela« – Tadeusza Grabianki*, [w:] *Próby przywołań. Szkice literackie*, Warszawa 1992.

Dezerterzy. Zbigniew Sajnóg, TVP Kultura 2017.

„Dobry Wieczór! Kurier Czerwony" z 26.06.1938.

Doktór T., *Towarzystwo Teozoficzne*, „Zeszyty Filozoficzne" 7/1997, s. 81–101.

Dołęga-Mostowicz T., *Kariera Nikodema Dyzmy*, Warszawa 2017, e-book.

Domańska J., *Karta z zamkniętej księgi bytu*, Warszawa 1919.

Drygas K., *Biblioteka Polsko-Indyjska w Madrasie*, „Przegląd Humanistyczny" nr 1/1963.

Dynowska W., *Razem pod wiatr*, Bangalore 1948.

Dzich A., *Niebo stało się piekłem*, Newsbook.pl/2018/12/26/niebo-stalo-sie-pieklem-2/ [dostęp: 8.12.2021].

„Dziennik Białostocki" z 8.04.1933.

Dziennik Juliusza Zdanowskiego, t. 7, 28 I 1928 – 5 VIII 1935, oprac. J. Faryś, Szczecin 2016.

„Dzwon Niedzielny", 16/1929.

„Express Poranny", 13.08.1927.

Fukier H.M., *Wspomnienia staromiejskie*, Warszawa 1996.

Galek A., Pajuro E., *Sekta w Majdanie Kozłowieckim. Niebo, które umarło śmiercią naturalną*, https://plus.kurierlubelski.pl/sekta-w-majdanie-kozlowieckim-niebo-ktore-umarlo-smiercia-naturalna/ar/c1-11595966

Garztecki S., *Wanda Dynowska – polska literatka w Indii* (rozmowa z Dynowską), „7 Dni" z 16.10.1960.

Generał Michał Tokarzewski-Karaszewicz. Pierwszy dowódca konspiracji, red. Polak M., Toruń 2020.

Generał Stefan Rowecki „Grot" w relacjach i w pamięci zbiorowej, red. Kunert A.K., Szarota T., Warszawa 2003.

Gołembiowski W., *Mickiewicz odsłoniony i towiańszczyzna*, Paryż 1844.

Gołębiowski S., *W poszukiwaniu prawdy… Sądowe procesy arcybiskupa Jana M. Marii Michała Kowalskiego*, Felicjanów 2014.

Gondowicz J., *Skandal w astralu*, Witkacologia.eu/uzupelnienia/Gondowicz_astral.pdf

„Goniec Warszawski" z 27.04.1937, 29.11.1937 i 25.06.1938.

Goszczyński S., *Dziennik Sprawy Bożej*, t. 1, Warszawa 1984.

Górski K., *Mickiewicz-Towiański*, Warszawa 1986.

Grabowski W., *Wspomnienia o marszałku Śmigłym*, „Wiadomości" 32/1966.

Gretkus C., *Zbigniew Sajnóg. Wywiad totalny*, https://www.eprawda.pl/zbigniew-sajnog-czlowiek-potrzebuje-ratunku-wywiad-totalny/

Grochowska M., *Niebo, piekło i wyplucie*, „Gazeta Wyborcza", 27.03.1997.

Grzymała-Siedlecki A., *Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim*, Kraków 1961.

Günther W., *Matka Makryna i czterej wieszczowie*, Londyn, „Wiadomości" 15/1959.

Habdank F. (Watraszewski K.), *Z zaświatów… Rewelacje medjalne, ich istota i znaczenie*, Warszawa (Bydgoszcz) 1923.

Halama L., *Moje nogi i ja*, Warszawa 1985.

Hass L., *Liberałowie, ezoterycy, piłsudczycy. Z dziejów polityki w Polsce 1924–1928*, „Dzieje Najnowsze", 3/1973.

Helena Pietrowna Bławatska, https://radza-joga.blogspot.com/p/helena-blawatska.html

Herman A., *Pojednanie w praktyce życia codziennego i jego uwarunkowania w społecznościach dwuwyznaniowych. Studium porównawcze*, Depot.ceon.pl/bitstream/handle/123456789/2268/Herman_Pojednanie%20w%20praktyce%20%C5%BCycia%20codziennego….pdf?sequence=1&isAllowed=y

Hess K., *Wschód i Zachód w fuzji teozofii z chrześcijaństwem: liberalny Kościół katolicki i jego recepcja w Polsce*, [w:] *Studia ezoteryczne. Wątki polskie*, Kraków 2015.

Heuzé P., *Czy umarli żyją. Ankieta o stanie obecnym nauk metapsychicznych*, Warszawa 1925.

Hoffman-Piotrowska E., *Teatralizacja życia w Kole Sprawy Bożej*, „Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza" 30/1995.

Horak S.F., *Niewidzialni 1938–1956*, Nowy Świętów 2009.

Horoszczkiewiczówna W., *Andrzej Towiański – ale który?*, „Przegląd Współczesny" 53/1935.

Hradyska I., *Hinduska ze słowiańską twarzą*, „Wiadomości" nr 1326 z 29.08.1971.

„Ilustrowany Kurier Codzienny" z 21.02.1932 i 13.08.1933.

Iranek-Osmecki K., *Zarys rozwoju Armii Krajowej*, Londyn 1948.

Jasnowidztwo Marszałka Piłsudskiego i zjawy w Belwederze, [w:] „Hejnał" 7/1935.

Jellenta C., *Eusapiada*, Warszawa 1894.

Jeszcze o Ossowieckim, „Stolica" 37/1972.

Kajsiewicz H., *Rozprawy, listy z podróży, pamiętnik o zgromadzeniu*, Berlin-Kraków 1872.

Kalendarz Maryawicki na rok zwyczajny 1910, Łódź 1910.

Kantak S.K.J., *Mankietnicy i mankietnictwo*, Poznań 1910.

Katechizm życia zakonnego, Płock 1927.

Keller S., *Niebo. Pięć lat w sekcie*, Tychy 2011.

Kijas A., *Ossowiecki Stefan*, http://www.polskipetersburg.pl/hasla/ossowiecki-stefan

Kijas A., *Polacy w Rosji od XVIII wieku do 1917 roku. Słownik biograficzny*, Warszawa-Poznań 2000.

Korespondencja Adama Mickiewicza, t. 1, https://www.wbc.poznan.pl/dlibra/publication/11236/edition/18199/content, Paryż 1870, s. 186 [dostęp: 1.12.2021].

Kowalczyk J., *Nieba kres*, „Polityka" 30/2005.

Kowalski J., *Główne podstawy maryawityzmu objawione w Apokalipsie i zapowiedziane w dziełach myślicieli wieszczów narodu polskiego*, Płock 1923.

Kowalski M., *Wiele żyć Zbigniewa Sajnóga. Co się stało z ojcem chrzestnym Totartu?*, https://gwiazdy.wp.pl/wiele-zyc-zbigniewa-sajnoga-co-sie-stalo-z-ojcem-chrzestnym-totartu-6536664511961632a

Koźmiński H., *Prawda o „Maryawitach"*, Warszawa 1906.

Krasiński Z., *Listy do Delfiny Potockiej*, t. 3, red. Sudolski Z., Warszawa 1975.

Ku Królestwu Bożemu, Felicjanów 2009.

Kumor E., *Wycinek z historii jednego życia*, Warszawa 1967.

„Kurier Polski" z 21.02.1932.

„Kurjer Poranny" z 24.02.1924.

Kurkowski J., *Grabianka Tadeusz Laurenty*, http://www.polskipetersburg.pl/hasla/grabianka-tadeusz-laurenty [dostęp: 30.11.2021].

Lewalski K., *Kościół rzymskokatolicki a władze carskie w Królestwie Polskim na przełomie XIX i XX wieku*, Gdańsk 2008.

Limanowski B., *Pamiętniki 1907–1919*, Warszawa 1961.

Mames T.D., *Mysteria Mysticorum. Szkice z duchowości i historii mariawitów*, Kraków 2009.

Matuszewski I., *Czarnoksięstwo i medjumizm*, [w:] *Pisma*, t. 1, Warszawa 1925.

Mazur K., *Mariawityzm w Polsce*, Kraków 1991.

Miller M., *Sekta made in Poland*, Warszawa 2007.

Mistrzyni Ducha. W 120. rocznicę objawienia Dzieła Wielkiego Miłosierdzia, t. 2, Felicjanów 2013.

Molenda J., *Niepokorne córy II Rzeczypospolitej i PRL*, Warszawa 2016.

Mościcki H., *Wspomnienie o Towiańskim*, „Biblioteka Warszawska" 1907.

Nowakowski P.T., *Syn Kacmajora uciekł z sekty Niebo*, „Sekty i Fakty", 1/2003.

Ochorowicz J., *O możności zbudowania przyrządu do przesyłania obrazów optycznych na dowolną odległość*, [w:] „Kosmos" 2/1878.

Ochorowicz J., *Zjawiska medyumiczne*, cz. 1, Warszawa [1913].

Ochorowicz J., *Zjawiska medyumiczne*, cz. 2, Warszawa [1913].

Ochorowicz J., *Zjawiska medyumiczne*, cz. 4, Warszawa [1913].

Okołowicz N., *Wspomnienia z seansów z medjum Frankiem Kluskim: zbiór dokumentów i materjałów dowodowych z 96-ciu fotografjami i szkicami zjaw, foremek i odlewów zmaterjalizowanych części ciała oraz 23 planami, wykresami i tabel*, Warszawa 1926.

Ossowiecka, wdowa po inż. Stefanie Ossowieckim, opowiada o swoim mężu, znanym przed wojną jasnowidzu, Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 33-T-279, 1960.

Ossowiecki S., *Świat mego ducha i wizje przyszłości*, Warszawa–Łomianki 2018.

Pamiętniki Makryny Mieczysławskiej, ksieni bazylianek w Mińsku, Toruń 1878.

Pawlik Z., *Tande – znaczy tata. Wspomnienie o księdzu Marianie Batogowskim*, „Papieskie Intencje Misyjne" 3/1982, s. 12–13.

Pawłowicz H., *Okupacyjne dzieje samorządu Warszawy*, Warszawa 1974.

Pelczar J.S., *Pius IX i Polska*, Miejsce Piastowe 1914.

Piotrowski M., *Ofiary Kacmajora*, „Tygodnik Solidarność", 27/2000.

Pobożniak T., *Gandhi a Polska*, „Przegląd Orientalistyczny" 4/1969.

Polskie tradycje ezoteryczne 1890–1939, t. 1, red. Rzeczycka M., Trzcińska I., Gdańsk 2019.

Połeć T., *Kacmajor był w sekcie jedyną wyrocznią*, https://newsbook.pl/2018/12/26/niebo-stalo-sie-pieklem-2/

Porębski L., *Indie Polsce*, „Współczesność" z 1–15.11.1958.

Potulicka H., *Paradoks czy synteza*, „Wiadomości" nr 1326 z 29.08.1971.

Prewęcka K., *Mag. Stefan Ossowiecki*, Warszawa 2018.

Prus B., *Kroniki*, t. 14, oprac. Szweykowski Z., Warszawa 1964.

Prus B., *Objawy medjumiczne. Kilka słów z powodu Eusapji Palladino*, [w:] „Kraj” 4/1894.

Prus B., *Objawy medjumiczne. Kilka słów z powodu Eusapji Palladino*, [w:] „Kraj” 6/1894.

Przedpełski B., *Kapłaństwo kobiet w Kościele mariawitów*, [w:] „Notatki Płockie”, 38/3/1993.

„Przegląd Katolicki” z 23.05.1906.

Rawicz J., *Kariera szambelana*, Warszawa 1971.

Rękopisy A. Piłsudskiej, Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie, teczka 709-002-007.

Richet C., *Wiedza metapsychiczna. Według wykładu wygłoszonego 24 czerwca 1925 r. na Wydziale Medycznym w Paryżu*, Katowice 1926.

Rolle A.J., *Tadeusz Leszczyc-Grabianka starosta liwski i Teresa z Stadnickich, jego małżonka*, Lwów 1875.

Różyk W., *Objawienia Marii Franciszki Kozłowskiej według rękopisu z archiwum watykańskiego*, [w:] „Studium Teologiczne”, Świdnica 2006.

Rybak S., *Mariawityzm. Dzieje i współczesność*, Warszawa 2011.

Rybak S., *Mariawityzm. Studium historyczne*, s. 88, https://docplayer.pl/19264083-Mariawityzm-studium-historyczne.html

Sawicki R., *Gdzie się Ganges toczy*, https://www.cultureave.com/gdzie-sie-ganges-toczy/

Sekta Niebo – relacje, http://niniwa22.cba.pl/sekta_niebo.htm

Sempoliński L., *Wielcy artyści małych scen*, Warszawa 1968.

„Siedem Groszy” z 25.06.1938.

Sikora A., *Towiański i rozterki romantyzmu*, Warszawa 1969.

Słowacki J., *Rozmowa z matką Makryną Mieczysławską, bazylianką w Paryżu*, Warszawa 1918.

Smolikowski P., *Historya Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego*, t. 3, Kraków 1895.

Smolikowski P., *Stosunek Adama Mickiewicza do XX. Zmartwychwstańców*, Kraków 1898.

Sokołowski M., *Adwokat diabła Attilio Begey*, Warszawa 2012.

Sokorski W., *Wspomnienia*, Warszawa 1990.

„Stał na stopniach wagonu, a te wszystkie baby obcałowywały go po rękach!”. Mason, teozof, „kapłan”, wyznawca kamienia magicznego i miejsc mocy, Komendant Główny Służby Zwycięstwu Polsce, https://niezlomni.com/stal-na-stopniach-wagonu-a-te-wszystkie-baby-obcalowywaly-go-po-rekach-mason-teozof-kaplan-wyznawca-kamienia-magicznego-i-miejsc-mocy-komendant-glowny-sluzby-zwyciestwu-polsce

Starynkiewicz S., *Dziennik 1887–1897*, Warszawa 2005.

Szczepański L., *Medjumizm współczesny i wielkie media polskie*, Kraków 1936.

Świtkowski J., *Magnetyzm żywotny (mesmeryzm) i jego własności lecznicze*, Kraków 1934.

Tekieli R., *Gołębie uciekały, psy się na mnie rzucały. Wywiad z liderami sekty Niebo*, „bruLion” 28/1996.

Tokarski K., *O Wandzie Dynowskiej (Umadevi – Bogini światła)*, https://www.joga-joga.pl/pl179/teksty1366/o_wandzie_dynowskiej_umadevi_8211_bogini_swiatla_k

Tokarski S., *Orient i kontrkultury*, Warszawa 1984.

Totart, czyli odzyskiwanie rozumu, reż. Paduch B., TVP2, 2014.

Trzcińska I., *Dynowska Helena*, [w:] *Kultura polska wobec zachodniej filozofii ezoterycznej w latach 1890–1939*, http://www.tradycjaezoteryczna.ug.edu.pl/node/1621

Trzcińska I., *„Staję się rodzajem mitu". Teozoficzne wątki w biografii Wandy Dynowskiej*, [w:] *Studia ezoteryczne. Wątki polskie*, Kraków 2015.

Trzcińska I., *„Staję się rodzajem mitu". Teozoficzne wątki w biografii Wandy Dynowskiej*, Ruj.uj.edu.pl/xmlui/bitstream/handle/item/147498/trzcinska_staje_sie_rodzajem_mitu_2015.pdf?sequence=1&isAllowed=y

Ujejski J., *Król Nowego Izraela. Karta z dziejów mistyki wieku oświeconego*, Warszawa 1924.

Urban J., *Makryna Mieczysławska w świetle prawdy*, Kraków 1923.

Wais K., *Spirytyzm (odczyt wygłoszony we lwowskiej Czytelni Katolickiej w lutym 1920 roku)*, Lwów 1920.

Wanda Dynowska Umadevi, oprac. Jurkiewicz G., https://www.ramanadom.org/2009/07/26/wanda-dynowska-umadevi/

Wanda Dynowska Umadevi, oprac. Jurkiewicz G., https://web.archive.org/web/20160331074713/http://www.logonia.org/content/view/477/2/

Warchoł E., *Historia Starokatolickiego Kościoła Mariawitów historią „Królestwa Bożego na ziemi"*, Sandomierz 2011.

Warchoł E., *Starokatolicki Kościół Mariawitów w okresie II Rzeczypospolitej*, Sandomierz 2011.

„Wiadomości Maryawickie" 4/1935.

Wichrowska E.Z., *„Wstań i chodź…". Z nieznanego pamiętnika wojewody Ostrowskiego*, http://rcin.org.pl/ibl/Content/56915/WA248_69879_P-I-2795_wichrowska-wstan.pdf [dostęp: 1.12.2021].

Winnicka E., *Jak odchodził Zbigniew S.*, „Polityka" 43/2000.

Witkowska A., *Celina i Adam Mickiewiczowie*, Kraków 1998.

Witkowska A., *Towiańczycy*, Warszawa 1989.

Wojciech Borsuk „Kajman", Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego, https://www.1944.pl/archiwum-historii-mowionej/wojciech-borsuk,514.html

Wojtaszak A., *Generalicja Wojska Polskiego 1918–1926*, Warszawa 2012.

Wołyniak, *Z przeszłości zakonu bazyliańskiego na Litwie i Rusi*, [w:] „Przewodnik Naukowy i Literacki", dodatek do „Gazety Lwowskiej", XXXII/1904.

Wotowski S., *Duchy i zjawy. Wykład popularny z dziedziny medjumizmu i badań psychicznych*, Warszawa [1924].

Wójtowicz N., *O Tadeuszu Leszczyc-Grabiance*, wolnomularstwo.pl/baza_artykulow/wolnomularstwo-polskie/historia-polskiego-wolnomularstwa/o-tadeuszu-leszczyc-grabiance/ [dostęp: 30.11.2021].

Wroński A., *Moje spotkania z Ossowieckim*, „Przekrój" 1513/1974.

Wszołek J., Irena Julia Makryna Mieczysławska, [w:] *Polski słownik biograficzny*, t. 20, ipsb.nina.gov.pl/a/biografia/irena-julia-makryna-mieczyslawska [dostęp: 2.12.2021].

Wyrok Sądu Okręgowego w Płocku w sprawie Jana Marii Michała Kowalskiego, zwierzchnika Kościoła mariawickiego, s. 25, https://bibliotekacyfrowa.ujk.edu.pl/dlibra/doccontent?id=666 [dostęp: 4.12.2021].

Zaczyński A., *Umadevi*, „Za i Przeciw" z 26.03.1972.

Zaczyński A., *Wanda Dynowska zapomniana*, „Kierunki” z 23.06.1974.

„Zagadnienia Metapsychiczne”, 11–12/1924.

Z dziejów Królestwa, Felicjanów 1992.

Zielińska A., *Ortodoksyjny heretyk. Myśl społeczno-religijna Andrzeja Towiańskiego*, Kraków 2010.

Żongołłowicz B., *Dzienniki 1930–1936*, Warszawa 2004.

Życie codzienne romantyków, red. Krysowski O., Jędrzejewski T., Warszawa 2017.

1. Za: J. Besala, *Jak Polska zbawiała świat. Mesjasze i prorocy*, Warszawa 2018, s. 178. [wróć]
2. *Ibidem*. [wróć]
3. Za: *ibidem*. [wróć]
4. A.J. Rolle, *Tadeusz Leszczyc-Grabianka starosta liwski i Teresa z Stadnickich, jego małżonka*, Lwów 1875, s. 1. [wróć]
5. *Ibidem*, s. 19. [wróć]
6. J. Kurkowski, *Grabianka Tadeusz Laurenty*, Polskipetersburg.pl/hasla/grabianka-tadeusz-laurenty [dostęp: 30.11.2021]. [wróć]
7. J. Ujejski, *Król Nowego Izraela. Karta z dziejów mistyki wieku oświeconego*, Warszawa 1924, s. 70, 72. [wróć]
8. Za: J. Besala, *op. cit.*, s. 192. [wróć]
9. M. Danilewicz-Zielińska, *Mistyk w kręgu oświeconych. Próba przypomnienia »Króla Nowego Izraela« – Tadeusza Grabianki*, [w:] *Próby przywołań. Szkice literackie*, Warszawa 1992, s. 33. [wróć]
10. *Ibidem*, s. 33–34. [wróć]
11. *Ibidem*, s. 28–29. [wróć]
12. A.J. Rolle, *op. cit.*, s. 4. [wróć]
13. M. Danilewicz-Zielińska, *op. cit.*, s. 25. [wróć]
14. A.J. Rolle, *op. cit.*, s. 25. [wróć]
15. M. Danilewicz-Zielińska, *op. cit.*, s. 31. [wróć]
16. *Ibidem*, s. 30. [wróć]
17. J. Ujejski, *op. cit.*, s. 109. [wróć]
18. *Ibidem*, s. 117. [wróć]
19. J. Besala, *op. cit.*, s. 195. [wróć]
20. N. Wójtowicz, *O Tadeuszu Leszczyc-Grabiance*, wolnomularstwo.pl/baza_artykulow/wolnomularstwo-polskie/historia-polskiego-wolnomularstwa/o-tadeuszu-leszczyc-grabiance/ [dostęp: 30.11.2021]. [wróć]
21. A.J. Rolle, *op. cit.*, s. 33. [wróć]
22. *Ibidem*, s. 29. [wróć]
23. *Ibidem*, s. 31. [wróć]
24. A.J. Rolle, *op. cit.*, s. 36. [wróć]
25. J. Ujejski, *op. cit.*, s. 129–130. [wróć]
26. A.J. Rolle, *op. cit.*, s. 40. [wróć]
27. *Ibidem*, s. 115, 119. [wróć]
28. *Ibidem*, s. 113. [wróć]
29. W. Horoszczkiewiczówna, *Andrzej Towiański – ale który?*, „Przegląd Współczesny” 53/1935. [wróć]
30. A. Zielińska, *Ortodoksyjny heretyk. Myśl społeczno-religijna Andrzeja Towiańskiego*, Kraków 2010, s. 30. [wróć]
31. Za: T. Boy-Żeleński, *Brązownicy i inne szkice o Mickiewiczu*, Warszawa 1957, s. 164–185. [wróć]
32. Za: H. Mościcki, *Wspomnienie o Towiańskim*, „Biblioteka Warszawska” 1907. [wróć]
33. Za: *ibidem*. [wróć]
34. Za: T. Boy-Żeleński, *op. cit.*, s. 163. [wróć]
35. Za: *ibidem*. [wróć]
36. Za: H. Mościcki, *op. cit.* [wróć]
37. Za: *ibidem*. [wróć]

38. W. Gołembiowski, *Mickiewicz odsłoniony i towiańszczyzna*, Paryż 1844, s. 12. [wróć]
39. Za: A. Witkowska, *Celina i Adam Mickiewiczowie*, Kraków 1998, s. 98. [wróć]
40. Za: E.Z. Wichrowska, *„Wstań i chodź…". Z nieznanego pamiętnika wojewody Ostrowskiego*, Rcin.org.pl/ibl/Content/56915/WA248_69879_P-I-2795_wichrowska-wstan.pdf [dostęp: 1.12.2021]. [wróć]
41. *Korespondencja Adama Mickiewicza*, t. 1, Wbc.poznan.pl/dlibra/publication/11236/edition/18199/content, Paryż 1870, s. 186 [dostęp: 1.12.2021]. [wróć]
42. Za: A. Witkowska, *op. cit.*, s. 107. [wróć]
43. *Korespondencja…*, s. 179. [wróć]
44. Za: E.Z. Wichrowska, *op. cit.* [wróć]
45. Za: A. Witkowska, *Towiańczycy*, Warszawa 1989, s. 123. [wróć]
46. K. Górski, *Mickiewicz-Towiański*, Warszawa 1986, s. 22. [wróć]
47. Za: *ibidem*, s. 21. [wróć]
48. T. Boy-Żeleński, *op. cit.*, s. 117. [wróć]
49. Za: *ibidem*, s. 76–77. [wróć]
50. E. Hoffman-Piotrowska, *Teatralizacja życia w Kole Sprawy Bożej*, „Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza" 30/1995. [wróć]
51. S. Goszczyński, *Dziennik Sprawy Bożej*, t. 1, Warszawa 1984, s. 205. [wróć]
52. A. Witkowska, *Towiańczycy*, s. 17. [wróć]
53. Za: *Życie codzienne romantyków*, red. O. Krysowski, T. Jędrzejewski, Warszawa 2017, s. 99. [wróć]
54. Za: M. Danilewicz-Zielińska, *Mickiewicziana i album Moszyńskiego*, „Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza" 24/1989. [wróć]
55. Za: A. Witkowska, *Celina…*, s. 117. [wróć]
56. Za: A. Zielińska, *Ortodoksyjny heretyk. Myśl społeczno-religijna Andrzeja Towiańskiego*, Kraków 2010, s. 61. [wróć]
57. M. Budzyński, *Wspomnienia z mojego życia*, t. 1, Poznań 1880, s. 289. [wróć]
58. Za: *ibidem*, List do Cieszkowskiego 22.01.1846, s. 138. [wróć]
59. A. Zielińska, *op. cit.*, s. 37. [wróć]
60. A. Begey, *U źródła. Wspomnienia o Andrzeju Towiańskim*, Kraków 1929, s. 10–11. [wróć]
61. Za: *ibidem*, s. 15. [wróć]
62. Za: *ibidem*, s. 16. [wróć]
63. Za: *ibidem*, s. 29. [wróć]
64. Za: M. Sokołowski, *Adwokat diabła Attilio Begey*, Warszawa 2012, s. 10. [wróć]
65. Za: *ibidem*, s. 10. [wróć]
66. P. Smolikowski, *Historya Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego*, t. 3, Kraków 1895, s. 224. [wróć]
67. J. Wszołek, Irena Julia Makryna Mieczysławska, [w:] *Polski słownik biograficzny*, t. 20, Ipsb.nina.gov.pl/a/biografia/irena-julia-makryna-mieczyslawska [dostęp: 12.2021]. [wróć]
68. *Pamiętniki Makryny Mieczysławskiej, ksieni bazylianek w Mińsku*, Toruń 1878, s. 2, 5. [wróć]
69. *Ibidem*, s. 14. [wróć]
70. *Ibidem*, s. 37. [wróć]
71. *Ibidem*, s. 54–56. [wróć]
72. Z. Krasiński, *Listy do Delfiny Potockiej*, t. 3, red. Z. Sudolski, Warszawa 1975, s. 618, 707, 727, 739. [wróć]
73. J. Słowacki, *Rozmowa z matką Makryną Mieczysławską, bazylianką w Paryżu*, Warszawa 1918, s. 4. [wróć]
74. P. Smolikowski, *op. cit.*, s. 226–227, 228, 234. [wróć]

75. *Ibidem*, s. 237–238. [wróć]
76. *Ibidem*, s. 240–241. [wróć]
77. J.S. Pelczar, *Pius IX i Polska*, Miejsce Piastowe 1914, s. 7. [wróć]
78. *Ibidem*, s. 9. [wróć]
79. J. Urban, *Makryna Mieczysławska w świetle prawdy*, Kraków 1923, s. 50. [wróć]
80. H. Kajsiewicz, *Rozprawy, listy z podróży, pamiętnik o zgromadzeniu*, Berlin-Kraków 1872, s. 442. [wróć]
81. J. Pelczar, *op. cit.*, s. 11. [wróć]
82. J. Urban, *op. cit.*, s. 49. [wróć]
83. P. Smolikowski, *op. cit.*, s. 244, 248. [wróć]
84. *Ibidem*, s. 249. [wróć]
85. *Ibidem*, s. 249–250. [wróć]
86. *Ibidem*, s. 259. [wróć]
87. *Ibidem*, s. 284. [wróć]
88. *Ibidem*, s. 289. [wróć]
89. *Ibidem*, s. 290. [wróć]
90. *Ibidem*, s. 292. [wróć]
91. J. Wszołek, *op. cit.* [wróć]
92. Z. Krasiński, *op. cit.*, s. 592, 758. [wróć]
93. P. Smolikowski, *op. cit.*, s. 294–295. [wróć]
94. J. Urban, *op. cit.*, s. 72. [wróć]
95. P. Smolikowski, *Stosunek Adama Mickiewicza do XX. Zmartwychwstańców*, Kraków 1898, s. 13. [wróć]
96. Z. Krasiński, *op. cit.*, s. 679. [wróć]
97. *Ibidem*, s. 686. [wróć]
98. *Ibidem*, s. 706. [wróć]
99. *Ibidem*, s. 805. [wróć]
100. *Ibidem*, s. 603, 764. [wróć]
101. P. Smolikowski, *op. cit.*, s. 250. [wróć]
102. H. Kajsiewicz, *op. cit.*, s. 443. [wróć]
103. *Ibidem*, s. 69. [wróć]
104. W. Günther, *Matka Makryna i czterej wieszczowie*, Londyn, „Wiadomości" 15/1959. [wróć]
105. Wołyniak, *Z przeszłości zakonu bazyliańskiego na Litwie i Rusi*, [w:] „Przewodnik Naukowy i Literacki", dodatek do „Gazety Lwowskiej", XXXII/1904, s. 74–77. [wróć]
106. J. Urban, *op. cit.*, s. 138. [wróć]
107. *Ibidem*, s. 120–121, 124, 126. [wróć]
108. *Ibidem*, s. 126–127. [wróć]
109. *Ibidem*, s. 127. [wróć]
110. J. Ochorowicz, *O możności zbudowania przyrządu do przesyłania obrazów optycznych na dowolną odległość*, [w:] „Kosmos" 2/1878. [wróć]
111. J. Świtkowski, *Magnetyzm żywotny (mesmeryzm) i jego własności lecznicze*, Kraków 1934, s. 7–8. [wróć]
112. W. Bobrowska-Nowak, *Julian Ochorowicz na drogach i bezdrożach psychologii*, [w:] „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki" 1/1971. [wróć]
113. J. Ochorowicz, *Zjawiska medyumiczne*, cz. 1, Warszawa [1913], s. 9. [wróć]
114. *Ibidem*, s. 12. [wróć]
115. *Ibidem*, s. 28. [wróć]
116. *Ibidem*, s. 24, 28, 32. [wróć]
117. *Ibidem*, s. 48. [wróć]

118. Za: *Bolesław Prus. Artysta, myśliciel, świadek epoki*, red. Jerzy Snopek, Warszawa 2016, s. 292–293. [wróć]
119. J. Ochorowicz, *Zjawiska medyumiczne*, cz. 2, Warszawa [1913], s. 200. [wróć]
120. I. Matuszewski, *Czarnoksięstwo i medjumizm*, [w:] *Pisma*, t. 1, Warszawa 1925, s. 268. [wróć]
121. *Ibidem*, s. 269. [wróć]
122. B. Prus, *Objawy medjumiczne. Kilka słów z powodu Eusapji Palladino*, [w:] „Kraj" 4/1894. [wróć]
123. B. Prus, *Objawy medjumiczne. Kilka słów z powodu Eusapji Palladino*, [w:] „Kraj" 6/1894. [wróć]
124. S. Starynkiewicz, *Dziennik 1887–1897*, Warszawa 2005, s. 109. [wróć]
125. B. Prus, *Kroniki*, t. 14, oprac. Z. Szweykowski, Warszawa 1964, s. 39–40. [wróć]
126. C. Jellenta, *Eusapiada*, Warszawa 1894, s. 11. [wróć]
127. C. Richet, *Wiedza metapsychiczna. Według wykładu wygłoszonego 24 czerwca 1925 r. na Wydziale Medycznym w Paryżu*, Katowice 1926, s. 18. [wróć]
128. J. Ochorowicz, *Zjawiska…*, cz. 1, s. 156–159. [wróć]
129. *Ibidem*, s. 162. [wróć]
130. K. Boruń, *W świecie zjaw i mediów. Spór o duchy*, Warszawa 1996, s. 81. [wróć]
131. J. Ochorowicz, *Zjawiska medyumiczne*, cz. 4, Warszawa [1913], s. 151–152. [wróć]
132. *Ibidem*, s. 161. [wróć]
133. I. Matuszewski, *op. cit.*, s. 260. [wróć]
134. J. Ochorowicz, *Zjawiska…*, cz. 4, s. 145. [wróć]
135. J. Domańska, *Karta z zamkniętej księgi bytu*, Warszawa 1919, s. 5–6. [wróć]
136. K. Wais, *Spirytyzm (odczyt wygłoszony we lwowskiej Czytelni Katolickiej w lutym 1920 roku)*, Lwów 1920, s. 28. [wróć]
137. F. Habdank (K. Watraszewski), *Z zaświatów… Rewelacje medjalne, ich istota i znaczenie*, Warszawa (Bydgoszcz) 1923, s. 71. [wróć]
138. S.K.J. Kantak, *Mankietnicy i mankietnictwo*, Poznań 1910, s. 6. [wróć]
139. *Ibidem*, s. 7. [wróć]
140. S. Rybak, *Mariawityzm. Studium historyczne*, s. 88, DocPlayer.pl/19264083-Mariawityzm-studium-historyczne.html [dostęp: 4.12.2021]. [wróć]
141. *Ibidem*, s. 88, 93. [wróć]
142. H. Koźmiński, *Prawda o „Maryawitach"*, Warszawa 1906, s. 8. [wróć]
143. Za: S. Rybak, *op. cit.*, s. 91. [wróć]
144. H. Koźmiński, *op. cit.*, s. 11–12. [wróć]
145. *Mistrzyni Ducha. W 120. rocznicę objawienia Dzieła Wielkiego Miłosierdzia*, t. 2, Felicjanów 2013, s. 66. [wróć]
146. E. Warchoł, *Starokatolicki Kościół Mariawitów w okresie II Rzeczypospolitej*, Sandomierz 2011, s. 15. [wróć]
147. *Kalendarz Maryawicki na rok zwyczajny 1910*, Łódź 1910, s. 89. [wróć]
148. H. Koźmiński, *op. cit.*, s. 31. [wróć]
149. *Ibidem*, s. 33–34. [wróć]
150. *Mistrzyni…*, s. 74. [wróć]
151. *Ibidem*, s 57. [wróć]
152. E. Warchoł, *Historia Starokatolickiego Kościoła Mariawitów historią „Królestwa Bożego na ziemi"*, Sandomierz 2011, s. 24, 29. [wróć]
153. *Wyrok Sądu Okręgowego w Płocku w sprawie Jana Marii Michała Kowalskiego, zwierzchnika Kościoła mariawickiego*, s. 25, https://bibliotekacyfrowa.ujk.edu.pl/dlibra/doccontent?id=666 [dostęp: 4.12.2021]. [wróć]
154. S. Rybak, *op. cit.*, s. 82. [wróć]

155. *Ku Królestwu Bożemu*, Felicjanów 2009, s. 19. [wróć]
156. S. Rybak, *op. cit.*, s. 23. [wróć]
157. *Ibidem*, s. 19. [wróć]
158. *Ibidem*, s. 20. [wróć]
159. E. Warchoł, *Starokatolicki…*, s. 19. [wróć]
160. S.K.J. Kantak, *op. cit.*, s. 15. [wróć]
161. *Ibidem*, s. 17. [wróć]
162. A. Herman, *Pojednanie w praktyce życia codziennego i jego uwarunkowania w społecznościach dwuwyznaniowych. Studium porównawcze*, https://depot.ceon.pl/bitstream/handle/123456789/2268/Herman_Pojednanie%20w%20praktyce%20%C5%BCycia%20%20codziennego%E2%80%A6.pdf?sequence=1&isAllowed=y [dostęp: 4.12.2021]. [wróć]
163. S.K.J. Kantak, *op. cit.*, s. 17. [wróć]
164. K. Mazur, *Mariawityzm w Polsce*, Kraków 1991, s. 49. [wróć]
165. K. Lewalski, *Kościół rzymskokatolicki a władze carskie w Królestwie Polskim na przełomie XIX i XX wieku*, Gdańsk 2008, s. 140. [wróć]
166. *Ibidem*, s. 135, 141. [wróć]
167. H. Koźmiński, *op. cit.*, s. 45. [wróć]
168. *Ku Królestwu…*, s. 12–13. [wróć]
169. S.K.J. Kantak, *op. cit.*, s. 24–25. [wróć]
170. *Ibidem*, s. 27–28. [wróć]
171. „Przegląd Katolicki” z 23.05.1906. [wróć]
172. S. Rybak, *op. cit.*, s. 30. [wróć]
173. K. Mazur, *op. cit.*, s. 37. [wróć]
174. *Z dziejów Królestwa*, Felicjanów 1992, s. 36–37. [wróć]
175. S. Rybak, *op. cit.*, s. 51. [wróć]
176. K. Mazur, *op. cit.*, s. 69. [wróć]
177. *Ibidem*, s. 68. [wróć]
178. S. Rybak, *op. cit.*, s. 52. [wróć]
179. K. Mazur, *op. cit.*, s. 71. [wróć]
180. T.D. Mames, *Mysteria Mysticorum. Szkice z duchowości i historii mariawitów*, Kraków 2009, s. 108. [wróć]
181. K. Mazur, *op. cit.*, s. 108. [wróć]
182. *Ibidem*, s. 72. [wróć]
183. *Katechizm życia zakonnego*, Płock 1927, s. 66–69. [wróć]
184. A.K., *Smutny koniec Marjawityzmu na podstawie dokumentów*, Płock 1923, s. 28. [wróć]
185. *Wyrok…*, s. 1, 3. [wróć]
186. *Ibidem*, s. 10. [wróć]
187. *Ibidem*, s. 13. [wróć]
188. S. Gołębiowski, *W poszukiwaniu prawdy… Sądowe procesy arcybiskupa Jana M. Marii Michała Kowalskiego*, Felicjanów 2014, s. 96. [wróć]
189. *Ibidem*, s. 98. [wróć]
190. *Ibidem*, s. 114–116. [wróć]
191. *Ibidem*, s. 122–124. [wróć]
192. *Ibidem*, s. 127, 130. [wróć]
193. *Ibidem*, s. 108. [wróć]
194. S. Rybak, *Mariawityzm. Dzieje i współczesność*, Warszawa 2011, s. 101. [wróć]
195. J. Kowalski, *Główne podstawy maryawityzmu objawione w Apokalipsie i zapowiedziane w dziełach myślicieli wieszczów narodu polskiego*, Płock 1923, s. 42. [wróć]

196. *Ibidem*, s. 144, 153–154. [wróć]
197. *Ibidem*, s. 170. [wróć]
198. *Ibidem*, s. 201. [wróć]
199. Za: B. Przedpełski, *Kapłaństwo kobiet w Kościele mariawitów*, [w:] „Notatki Płockie", 38/3/1993. [wróć]
200. „Dzwon Niedzielny", 16/1929. [wróć]
201. S. Rybak *Mariawityzm. Dzieje…*, s. 108. [wróć]
202. Za: B. Przedpełski, *op. cit.* [wróć]
203. S. Rybak, *Mariawityzm. Dzieje…*, s. 93. [wróć]
204. K. Mazur, *op. cit.*, s. 101. [wróć]
205. *Ku Królestwu…*, s. 25. [wróć]
206. „Wiadomości Maryawickie" 4/1935. [wróć]
207. S. Rybak, *Mariawityzm. Dzieje… op. cit.*, s. 73. [wróć]
208. B. Przedpełski, *op. cit.* [wróć]
209. K. Mazur, *op. cit.*, s. 108. [wróć]
210. *Ku Królestwu…*, s. 26. [wróć]
211. S. Rybak, *Mariawityzm. Dzieje…*, s. 125. [wróć]
212. *Ibidem*, s. 159. [wróć]
213. W. Różyk, *Objawienia Marii Franciszki Kozłowskiej według rękopisu z archiwum watykańskiego*, [w:] „Studium Teologiczne", Świdnica 2006, s. 209. [wróć]
214. *Ibidem*, s. 122, 207. [wróć]
215. W. Grabowski, *Wspomnienia o marszałku Śmigłym*, „Wiadomości" 32/1966. [wróć]
216. N. Okołowicz, *Wspomnienia z seansów z medjum Frankiem Kluskim: zbiór dokumentów i materjałów dowodowych z 96-ciu fotografjami i szkicami zjaw, foremek i odlewów zmaterjalizowanych części ciała oraz 23 planami, wykresami i tabel*, Warszawa 1926, s. 289. [wróć]
217. R. Dalborowa, *A jednak ciekawe*, „Stolica" 12/1973. [wróć]
218. L. Szczepański, *Medjumizm współczesny i wielkie media polskie*, Kraków 1936, s. 100. [wróć]
219. *Ibidem*, s. 104. [wróć]
220. *Ibidem*, s. 106. [wróć]
221. S. Wotowski, *Duchy i zjawy. Wykład popularny z dziedziny medjumizmu i badań psychicznych*, Warszawa [1924], s. 59. [wróć]
222. L. Szczepański, *op. cit.*, s. 107. [wróć]
223. N. Okołowicz, *op. cit.*, s. 11. [wróć]
224. *Ibidem*, s. 11, 14. [wróć]
225. *Ibidem*, s. 122–123. [wróć]
226. *Jasnowidztwo Marszałka Piłsudskiego i zjawy w Belwederze*, [w:] „Hejnał" 7/1935. [wróć]
227. N. Okołowicz, *op. cit.*, s. 136. [wróć]
228. *Ibidem*, s. 138. [wróć]
229. *Ibidem*, s. 248. [wróć]
230. *Ibidem*, s. 176. [wróć]
231. *Ibidem*, s. 516–517. [wróć]
232. „Kurjer Poranny" z 24.02.1924. [wróć]
233. N. Okołowicz, *op. cit.*, s. 232. [wróć]
234. *Ibidem*, s. 232–233. [wróć]
235. J. Gondowicz, *Skandal w astralu*, Witkacologia.eu/uzupelnienia/Gondowicz_astral.pdf [dostęp: 5.12.2021]. [wróć]
236. N. Okołowicz, *op. cit.*, s. 246. [wróć]

237. R. Dalborowa, *op. cit.* [wróć]
238. N. Okołowicz, *op. cit.*, s. 48–49. [wróć]
239. L. Szczepański, *op. cit.*, s. 114. [wróć]
240. N. Okołowicz, *op. cit.*, s. 176. [wróć]
241. *Ibidem*, s. 25. [wróć]
242. P. Heuzé, *Czy umarli żyją. Ankieta o stanie obecnym nauk metapsychicznych*, Warszawa 1925, s. 20. [wróć]
243. N. Okołowicz, *op. cit.*, s. 568. [wróć]
244. *Ibidem*, s. 71. [wróć]
245. *Ibidem*, s. 583. [wróć]
246. *Helena Pietrowna Bławatska*, Radza-joga.blogspot.com/p/helenablawatska.html [dostęp: 6.12.2021]. [wróć]
247. B. Limanowski, *Pamiętniki 1907–1919*, Warszawa 1961, s. 136. [wróć]
248. *Ibidem*, s. 141. [wróć]
249. I. Trzcińska, *Dynowska Helena*, [w:] *Kultura polska wobec zachodniej filozofii ezoterycznej w latach 1890–1939*, Tradycjaezoteryczna.ug.edu.pl/node/1621 [dostęp: 6.12.2021]. [wróć]
250. I. Trzcińska, *„Staję się rodzajem mitu". Teozoficzne wątki w biografii Wandy Dynowskiej*, Ruj.uj.edu.pl/xmlui/bitstream/handle/item/147498/trzcinska_staje_sie_rodzajem_mitu_2015.pdf?sequence=1&isAllowed=y [dostęp: 6.12.2021]. [wróć]
251. W. Dynowska, *Razem pod wiatr*, Bangalore 1948, s. 133. [wróć]
252. B. Żongołłowicz, *Dzienniki 1930–1936*, Warszawa 2004, s. 671. [wróć]
253. Za: *Polskie tradycje ezoteryczne 1890–1939*, t. 1, red. M. Rzeczycka, I. Trzcińska, Gdańsk 2019, s. 60. [wróć]
254. Za: *ibidem*, s. 83. [wróć]
255. Za: *ibidem*, s. 85. [wróć]
256. Za: D. Bargiełowski, *Mężenin teozofów*, „Karta" 87/2016. [wróć]
257. Za: D. Bargiełowski, *Po trzykroć pierwszy. Michał Tokarzewski-Karaszewicz. Generał broni, teozof wolnomularz, kapłan Kościoła liberalno-katolickiego*, t. 1, Warszawa 2001, s. 507. [wróć]
258. Za: *Polskie…*, s. 101–102. [wróć]
259. Za: L. Hass, *Liberałowie, ezoterycy, piłsudczycy. Z dziejów polityki w Polsce 1924–1928*, „Dzieje Najnowsze", 3/1973. [wróć]
260. Za D. Bargiełowski, *Po trzykroć…*, s. 517. [wróć]
261. *Ibidem*, s. 517–518. [wróć]
262. Za: A. Wojtaszak, *Generalicja Wojska Polskiego 1918–1926*, Warszawa 2012, s. 731. [wróć]
263. *Wanda Marokini – nieznana twarz Rzeczpospolitej podziemnej '39*, Rp.pl/historia/art4870641-wanda-marokini-nieznana-twarz-rzeczpospolitej-podziemnej-39 [dostęp: 6.12.2021]. [wróć]
264. *„Stał na stopniach wagonu, a te wszystkie baby obcałowywały go po rękach!". Mason, teozof, „kapłan", wyznawca kamienia magicznego i miejsc mocy, Komendant Główny Służby Zwycięstwu Polsce*, Niezlomni.com/stal-na-stopniach-wagonu-a-te-wszystkie-baby-obcalowywaly-go-po-rekach-mason-teozof-kaplan-wyznawca-kamienia-magicznego-i-miejsc-mocy-komendant-glowny-sluzby-zwyciestwu-polsce [dostęp: 6.12.2021]. [wróć]
265. Za: W. Budzyński, *Miasto Schulza*, Warszawa 2005, s. 60. [wróć]
266. Za: D. Bargiełowski, *Po trzykroć…*, s. 560. [wróć]
267. Za: *Polskie…*, s. 103. [wróć]
268. Za: D. Bargiełowski, *Mężenin…* [wróć]

269. Za: *ibidem*. [wróć]
270. Za: *ibidem*. [wróć]
271. Za: *ibidem*. [wróć]
272. Za: *ibidem*. [wróć]
273. W. Sokorski, *Wspomnienia*, Warszawa 1990, s. 67. [wróć]
274. T. Dołęga-Mostowicz, *Kariera Nikodema Dyzmy*, Warszawa 2017, e-book. [wróć]
275. Za: *Wanda Dynowska Umadevi*, oprac. G. Jurkiewicz, Web.archive.org/web/20160331074713/http://www.logonia.org/content/view/477/2 [dostęp: 6.12.2021]. [wróć]
276. E. Kumor, *Wycinek z historii jednego życia*, Warszawa 1967, s. 52. [wróć]
277. Za: D. Bargiełowski, *Po trzykroć pierwszy*, t. 2, Warszawa 2001, s. 120. [wróć]
278. Za: *Generał Stefan Rowecki „Grot" w relacjach i w pamięci zbiorowej*, red. A.K. Kunert, T. Szarota, Warszawa 2003, s. 337. [wróć]
279. H. Pawłowicz, *Okupacyjne dzieje samorządu Warszawy*, Warszawa 1974, s. 62. [wróć]
280. Za: K. Iranek-Osmecki, *Zarys rozwoju Armii Krajowej*, Londyn 1948, s. 25. [wróć]
281. Za: D. Bargiełowski, *Po trzykroć…*, t. 2, s. 299. [wróć]
282. Za: J. Molenda, *Niepokorne córy II Rzeczypospolitej i PRL*, Warszawa 2016, s. 58. [wróć]
283. Za: *Wanda Dynowska Umadevi*, oprac. G. Jurkiewicz, Ramanadom.org/2009/07/26/wanda-dynowska-umadevi/ [dostęp: 6.12.2021]. [wróć]
284. Za: R. Sawicki, *Gdzie się Ganges toczy*, CultureAve.com/gdzie-sie-ganges-toczy/ [dostęp: 6.12.2021]. [wróć]
285. Za: J. Molenda, *op. cit.*, s. 64. [wróć]
286. Za: *Wanda Dynowska Umadevi*, oprac. G. Jurkiewicz, Ramanadom.org/2009/07/26/wanda-dynowska-umadevi/ [dostęp: 6.12.2021]. [wróć]
287. Za: J. Molenda, *op. cit.*, s. 68–69. [wróć]
288. K. Boruń, K. Boruń-Jagodzińska, *Ossowiecki. Zagadki jasnowidzenia*, Warszawa 1990, s. 191. [wróć]
289. G. Geley, *Inż. Stefan Ossowiecki – polski jasnowidz*, oprac. Z. Tuwanowa, Warszawa 1927, s. 4. [wróć]
290. S. Ossowiecki, *Świat mego ducha i wizje przyszłości*, Warszawa-Łomianki 2018, s. 54. [wróć]
291. A. Wroński, *Moje spotkania z Ossowieckim*, „Przekrój" 1513/1974. [wróć]
292. „Goniec Warszawski" z 27.04.1937. [wróć]
293. G. Geley, *op. cit.*, s. 4. [wróć]
294. S. Ossowiecki, *op. cit.*, s. 20. [wróć]
295. A. Kijas, *Ossowiecki Stefan*, PolskiPetersburg.pl/hasla/ossowiecki-stefan [dostęp: 7.12.2021]. [wróć]
296. A. Kijas, *Polacy w Rosji od XVIII wieku do 1917 roku. Słownik biograficzny*, Warszawa-Poznań 2000, s. 253. [wróć]
297. G. Geley, *op. cit.*, s. 7. [wróć]
298. S. Ossowiecki, *op. cit.*, s. 70. [wróć]
299. *Ibidem*, s. 71–72. [wróć]
300. A. Wroński, *op. cit.* [wróć]
301. *Rękopisy A. Piłsudskiej*, Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie, teczka 709-002-007. [wróć]
302. *Dziennik Juliusza Zdanowskiego*, t. 7, 28 I 1928 – 5 VIII 1935, oprac. J. Faryś, Szczecin 2016, s. 119. [wróć]
303. S. Ossowiecki, *op. cit.*, s. 95–96. [wróć]
304. „Express Poranny", 13.08.1927. [wróć]

305. L. Sempoliński, *Wielcy artyści małych scen*, Warszawa 1968, s. 453. [wróć]
306. L. Halama, *Moje nogi i ja*, Warszawa 1985, s. 60. [wróć]
307. „Ilustrowany Kurier Codzienny", 13.08.1933. [wróć]
308. *Ibidem*. [wróć]
309. *Ibidem*. [wróć]
310. L. Halama, *op. cit.*, s. 55. [wróć]
311. „Zagadnienia Metapsychiczne", 11–12/1924. [wróć]
312. K. Boruń, K. Boruń-Jagodzińska, *op. cit*., s. 120. [wróć]
313. „Goniec Warszawski" z 25.06.1938. [wróć]
314. „Dobry Wieczór! Kurier Czerwony" z 26.06.1938. [wróć]
315. „Siedem Groszy" z 25.06.1938. [wróć]
316. A. Grzymała-Siedlecki, *Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim*, Kraków 1961, s. 291. [wróć]
317. H.M. Fukier, *Wspomnienia staromiejskie*, Warszawa 1996, s. 186–187. [wróć]
318. „Goniec Warszawski" z 29.11.1937. [wróć]
319. A. Wroński, *op. cit*. [wróć]
320. *Ibidem*. [wróć]
321. S. Ossowiecki, *op. cit.*, s. 155. [wróć]
322. A. Grzymała-Siedlecki, *op. cit.*, s. 283. [wróć]
323. *Ibidem*, s. 284. [wróć]
324. R. Dalborowa, *A jednak ciekawe*, „Stolica" 12/1973. [wróć]
325. S.F. Horak, *Niewidzialni 1938–1956*, Nowy Świętów 2009, s. 80. [wróć]
326. A. Grzymała-Siedlecki, *op. cit.*, s. 284. [wróć]
327. *Ibidem*, s. 286. [wróć]
328. „Kurier Polski" z 21.02.1932. [wróć]
329. *Ibidem*. [wróć]
330. „Ilustrowany Kurier Codzienny" z 21.02.1932. [wróć]
331. „Dziennik Białostocki" z 8.04.1933. [wróć]
332. J. Chobot, *Nowoczesny ruch spirytualistyczny z szczególnym uwzględnieniem Polski*, Wisła 1937, s. 156. [wróć]
333. S. Ossowiecki, *op. cit.*, s. 14. [wróć]
334. *Ibidem*, s. 23. [wróć]
335. J. Rawicz, *Kariera szambelana*, Warszawa 1971, s. 215. [wróć]
336. S.F. Horak, *op. cit.*, s. 82, 85. [wróć]
337. K. Prewęcka, *Mag. Stefan Ossowiecki*, Warszawa 2018, s. 135. [wróć]
338. S. Ossowiecki, *op. cit.*, s. 259. [wróć]
339. *Ossowiecka, wdowa po inż. Stefanie Ossowieckim, opowiada o swoim mężu, znanym przed wojną jasnowidzu*, Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 33-T-279, 1960. [wróć]
340. R. Dalborowa, *op. cit*. [wróć]
341. *Wojciech Borsuk „Kajman"*, Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego, 1944.pl/archiwum-historii-mowionej/wojciech-borsuk,514.html [dostęp: 7.12.2021]. [wróć]
342. K. Prewęcka, *op. cit.*, s. 145. [wróć]
343. *Ibidem*, s. 146. [wróć]
344. S. Ossowiecki, *op. cit.*, s. 9. [wróć]
345. *Jeszcze o Ossowieckim*, „Stolica" 37/1972. [wróć]
346. Za: E. Winnicka, *Jak odchodził Zbigniew S.*, „Polityka" 43/2000. [wróć]
347. Za: A. Dzich, *Niebo stało się piekłem*, Newsbook.pl/2018/12/26/niebo-stalo-sie-pieklem-2/ [dostęp: 8.12.2021]. [wróć]
348. *Ibidem*. [wróć]

349. Za: R. Tekieli, *Gołębie uciekały, psy się na mnie rzucały. Wywiad z liderami sekty Niebo*, „bruLion” 28/1996. [wróć]
350. Za: *Sekta Niebo – relacje*, Niniwa22.cba.pl/sekta_niebo.htm [dostęp: 8.12.2021]. [wróć]
351. S. Keller, *Niebo. Pięć lat w sekcie*, Tychy 2011, s. 31–32. [wróć]
352. Za: M. Kowalski, *Wiele żyć Zbigniewa Sajnóga. Co się stało z ojcem chrzestnym Totartu?*, Gwiazdy.wp.pl/wiele-zyc-zbigniewa-sajnoga-co-sie-stalo-z-ojcem-chrzestnym-totartu-6536664511961632a [dostęp: 8.12.2021]. [wróć]
353. Za: *Totart, czyli odzyskiwanie rozumu*, reż. B. Paduch, TVP2, 2014. [wróć]
354. Za: *ibidem*. [wróć]
355. Za: R. Tekieli, *op. cit*. [wróć]
356. E. Winnicka, *op. cit.* [wróć]
357. Za: *Dezerterzy. Zbigniew Sajnóg*, TVP Kultura 2017. [wróć]
358. Za: R. Tekieli, *op. cit*. [wróć]
359. Za: E. Winnicka, *op. cit.* [wróć]
360. S. Keller, *op. cit.*, s. 83. [wróć]
361. *Ibidem*, s. 48. [wróć]
362. J. Kowalczyk, *Nieba kres*, „Polityka”, 30/2005. [wróć]
363. S. Keller, *op. cit.*, s. 34. [wróć]
364. *Ibidem*, s. 72. [wróć]
365. *Ibidem*, s. 55. [wróć]
366. R. Tekieli, *op. cit.* [wróć]
367. Za: M. Miller, *Sekta made in Poland*, Warszawa 2007, s. 123. [wróć]
368. Za: *Sekta…* [wróć]
369. Za: M. Miller, *op. cit.*, s. 108. [wróć]
370. S. Keller, *op. cit.*, s. 53. [wróć]
371. Za: *Sekta…* [wróć]
372. Za: E. Galek, E. Pajuro, *Sekta w Majdanie Kozłowieckim. Niebo, które umarło śmiercią naturalną*, Plus.kurierlubelski.pl/sekta-w-majdanie-kozlowieckim-niebo-ktore-umarlo-smiercia-naturalna/ar/c1-11595966 [dostęp: 8.12.2021]. [wróć]
373. Za: R. Tekieli, *op. cit.* [wróć]
374. Za: M. Grochowska, *Niebo, piekło i wyplucie*, „Gazeta Wyborcza”, 27.03.1997. [wróć]
375. Za: M. Piotrowski, *Ofiary Kacmajora*, „Tygodnik Solidarność”, 27/2000. [wróć]
376. S. Keller, *op. cit.*, s. 46–47. [wróć]
377. Za: E. Winnicka, *op. cit.* [wróć]
378. S. Keller, *op. cit.*, s. 45. [wróć]
379. Za: *Dezerterzy…* [wróć]
380. Za: M. Kowalski, *op. cit.* [wróć]
381. Za: A. Galek, E. Pajuro, *op. cit.* [wróć]
382. S. Keller, *op. cit.*, s. 111. [wróć]